

DOMINIKA VAN EIJKELBORG

RZECZY,
KTÓRE ROBIMY
W CIEMNOŚCI



DOMINIKA VAN EIJKELNBORG

RZECZY,
KTÓRE ROBIMY
W CIEMNOŚCI



B. J.
M. O.
H. B.
Dla Was.

*Co wody jeziora złączyły,
a płomień ogniska przypieczętował...*

*Ciemność bez względu na powód swego istnienia,
jest straszna i przerażająca.
Pochłania człowieka dokładnie, wykrzywia jego istnienie,
rozrywa i niweczy.
Kto czuje się bezpieczny w absolutnej ciemności?
Kto wierzy w potrzebę istnienia ciemności?
W ciemności wszystko łatwo się wygina, przekręca, znika.
I pustka będąca istotą ciemności wszystko pochłania.*

– Haruki Murakami, *Tańcz, tańcz, tańcz*,
tłum. Anna Zielińska-Elliott

Tylko w ciemności można zobaczyć gwiazdy.

– H Martin Luther King, Jr.
(cytat z przemówienia *Byłem na szczycie góry* z 3 kwietnia 1968 roku,
tłum. Amber Steele-Zielińska)

1

Słyszała odgłos własnych kroków. Niósł się po sali jak echo uderzeń gongu. Posadzka błyszczała, odbijając blask lamp zamontowanych pod sufitem i przez chwilę Joanna miała wrażenie, że idzie po rozciągniętej przed nią tafli światła. Za sobą słyszała głosy pracowników muzeum, którzy omawiali ostatnie szczegóły wystawy. Domyślała się tematu ich dyskusji, nie rozumiejąc ani słowa. Stała na środku sali i podniosła wzrok, wodząc nim po białych ścianach obwieszonych fotografiami. Każdą z nich znała lepiej niż ktokolwiek inny, na każdej zatrzymała spojrzenie, myślami wracając do chwili, gdy została wykonana. Ułamki sekund uwięzione za szkłem, jak spreparowane motyle nakłute na cienkie szpilki i zamknięte w gablocie. Mogły umknąć, lecz zostały schwywane. Joanna Sandorska miała wrażenie, że zdjęcia zaczynają trzepotać jak skrzydła i w końcu uwolnią się spod szkła, by zlecieć się wokół niej, jak stado wygłodniałych ptaków. Oczy uwiecznionych na papierze kobiet zdawały się śledzić ją tak, jak ona śledziła je niegdyś, ukryta za obiektywem aparatu. Większość z nich stanowiła jedynie tło, na którym odgrywały się dramaty, dokonywały chwile wzruszenia. Każda z fotografii opowiadała własną historię, zupełnie inną od poprzedniej. Wszystkie łączyła kobieca postać, nie w centrum, lecz gdzieś w rogu, na dalszym planie, jakby pojawiła się przypadkiem, jakby celem fotografa nie było nawet złapanie jej

w kadr. Joanna pamiętała każdą z nich. Ich emocje wypisane na twarzy, ich niemoc i jednocześnie siłę uczuć, która zdawała się wypełniać każde zdjęcie. Na jednym z nich widniała karetka pogotowia i zmiążdżone auto. Pomiedzy postaciami ratowników i strażaków pochylonych nad pojazdem można było dostrzec małą bosą stópkę wystającą spod pogiętej blachy. Większości ludzi, którzy widzieli tę fotografię, zajęło chwilę, nim ich oczy zarejestrowały postać kobiety w tle przytrzymywanej przez policjanta. Jej twarz wykrzywiona przerażeniem i bólem, dłonie wyciągnięte w stronę auta. Joanna pamiętała jej głos. Nie płacz, nie krzyk, lecz zdławiony ryk, którego nie potrafiłaby dziś odtworzyć, ale który rozpoznałaby wszędzie, gdyby go znów usłyszała. Fotografię zrobiła w czasie pobytu w Stanach. Podobnie jak tę wiszącą obok, z której patrzyli ku niej roześmiani kierowcy ciężarówek, niektórzy z kanapką w dłoni, inni z papierosem i kawą w papierowym kubku. Tuż za nimi otwarte drzwi potężnego pojazdu odsłaniały kabinę, gdzie na fotelu kierowcy z nogami wspartymi o kierownicę siedziała kobieta. Patrzyła w stronę obiektywu, lecz inaczej niż oni, butnie, odważnie, jej lekko zmrużone oczy zdawały się mówić: wiem, że myślisz, że nie dam sobie rady; mylisz się.

W magazynach kulturalnych pisano, że wystawa ta otworzy jej drzwi do międzynarodowych galerii, choć Joanna nigdy nie przypuszczała, że tak się stanie. To, że znajdowała się w Muzeum Fotografii w centrum Amsterdamu, w wieczór przed uroczystym otwarciem wystawy poświęconej jej pracy, wciąż jeszcze docierało do niej jedynie po części. Holandia była trzecim po Polsce i Czechach miejscem, gdzie zaproszono ją z ekspozycją. I nie ostatnim. W ciągu najbliższych trzech miesięcy kolekcja miała odwiedzić galerie w Belgii i Austrii.

Kiedy ponad dwadzieścia lat temu Joanna po raz pierwszy wzięła do ręki aparat fotograficzny, nie podejrzewała nawet, dokąd ją doprowadzi. Stał się jej tarczą, bezpiecznie odgradzącą od świata. Za obiektywem była kimś innym, kimś, kto sprawował kontrolę nad rzeczywistością. Zaczynała jako amatorka. Szybko jednak zrozumiała, że ukryta za szybką obiektywem bezkarnie może patrzeć na świat pod dowolnie wybranym kątem. Pracowała, robiąc szkolne zdjęcia, fotografie ślubów i wesel, ale nieprzerwanie fotografowała także dla przyjemności. Najpierw

wszystko rozwijało się powoli, jakaś gazeta kupiła jej pracę, potem inna zamówiła serię. Przełom nastąpił wraz z burzliwym rozwojem internetu. Nim się spostrzegła, jej fotografie zaczęły pojawiać się wszędzie, jej wnikliwe oko, oryginalny sposób przedstawiania rzeczywistości zostały docenione przez liczne zamówienia i publikacje. Musiała zrezygnować ze ślubów i wesel, gdyż brakowało jej wolnych terminów. Wkrótce potrzebowała własnego menedżera, żeby uporać się z klientami, fakturami, umowami. I to właśnie Patrycja z Joanny Sandorskiej stworzyła w celach marketingowych Jo Ann Sandor.

– Musisz coś zrobić z tym nazwiskiem. Powinno brzmieć bardziej dostępne, chwytliwie, wpadać w ucho, jak melodia, zapadać w pamięć, rozumiesz? – Zapisała na kartce trzy wyrazy i przesunęła ją w stronę Joanny. – I co ty na to? Nieźle, prawda? Troszkę jak nazwisko żydowskiej Amerykanki z polskimi korzeniami. Mam na myśli, że międzynarodowo to dobrze! I dużo lepiej wygląda na stronie internetowej.

Joanna wzruszyła wtedy ramionami, ale pod świdrującym spojrzeniem Patrycji skinęła w końcu głową.

– *Mazel tow!* – ucieszyła się Patrycja i klamka zapadła.

Joanna, wciąż jeszcze stojąc nieruchomo w przestronnej sali muzeum, pozwoliła, żeby wspomnienia otoczyły ją jak mgła. W tym momencie zgasło światło i ciemność jak nagły ciężar opadła na nią. Obróciła się automatycznie.

– Jo? Przepraszam! Nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś! – Eddy, młody pracownik muzeum, włączył światło i wsuwając dłonie w kieszenie spodni, dołączył do Joanny. Rozejrzał się, by w końcu zatrzymać na niej wzrok. – Usatysfakcjonowana?

– Jak najbardziej – odparła zgodnie z prawdą, skrętnie ukrywając emocjonalny koktajl, który wezbrał w niej w trakcie tych krótkich chwil sam na sam ze zdjęciami. W ciągu ostatnich dni rzadko bywała sama. W wirze przygotowań do wystawy oraz zwiedzania Amsterdamu nie miała czasu skupić się na własnych uczuciach. Zauważyła jednak Eddy'ego i sposób, w jaki zabiegał o jej zadowolenie.

Przyłapywała się na myśli, jak daleko mogłyby sięgnąć jego starania, i nie ukrywała, że uwaga kilkanaście lat młodszego mężczyzny pochlebiała jej.

– Wszystko zapięte na ostatni guzik, więc będziemy zamykać. Zrobiło się późno, ale niestety zwykle tak bywa, że w ostatniej chwili wychodzą jakieś nieoczekiwane drobiazgi. A ty? Gotowa na wielką chwilę?

Był wysoki, jak większość Holendrów, i musiał pochylić się lekko, by zajrzeć jej w oczy. Skinęła z uśmiechem.

– Chodźmy zatem – powiedziała, robiąc krok w kierunku wyjścia z sali.

– Właściwie... – zaczął niepewnie i wsunął okulary na nos. Miał potargane włosy i bujny zarost na twarzy. – Chciałem cię o coś zapytać. Bo wiem przecież, że jutro zasypie cię lawina odwiedzających wystawę.

– Dobrze, pytaj... – Patrzyła na niego z zainteresowaniem. Jego angielski był nieskazitelny, choć dużo bardziej lubiła słuchać jego głosu, gdy rozmawiał w swoim ojczystym języku z innymi pracownikami. Brzmiał wtedy dużo swobodniej.

– Którą z nich najbardziej lubisz? – Wskazał ruchem głowy na zdjęcia.

Zaskoczył ją, rozejrzała się więc lekko zdezorientowana. Jej wzrok zatoczył koło po pomieszczeniu. Kiedy nie odpowiedziała od razu, zaśmiał się.

– Pozwól, że sformułuję pytanie inaczej: która ma dla ciebie największe znaczenie?

Joanna mimowolnie odwróciła twarz w stronę fotografii, której widoku unikała. Tak naprawdę nie potrafiła odpowiedzieć, dlaczego włączyła ją do serii zdjęć z tej wystawy. Była stara i tak nabrzmiała emocjami, których nie chciała pamiętać, że sama myśl o tym kawałku papieru i cieniach na nim wydrukowanych zadawała jej ból. Cienie. Tylko tyle pozostało. Cienie i duchy, które dopadały ją w ciemności, gdy próbowała zasnąć. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Eddy stał nadal obok, z uwagą studiując jej twarz.

– To ta, jak się domyślam? – spytał w końcu, patrząc na tę samą fotografię.

Pokiwała głową w odpowiedzi. Wiedziała już, że to był błąd. Takie osobiste prace nie powinny stanowić części wystawy artystycznej. Choć rozumiała przecież, że sztuka nigdy nie bywa neutralna. Chciała zmienić zdanie. Zdjąć ramkę z systemu misternych zawiesznień i wyjść z nią z galerii. Podeszła bliżej. Zdjęcie wydrukowano w największym możliwym formacie przy tej marnej rozdzielczości i włożono w czarną ramkę. Przedstawiało mężczyznę odzianego jedynie w dżinsy, leżącego na łóżku, na jego nagiej piersi spało niemowlę. Wokół nich była rozrzucona biała pościel. I choć tych dwoje stanowiło pierwszy plan, to nie oni przyciągali uwagę. W tle za cienkimi prześwitującymi zasłonami widać było kobietę stojącą na balkonie tyłem do obiektywu. Trzymała dłonie na barierce. Była ubrana jedynie w przydługi podkoszulek. Portret z kobietą w tle. Taki tytuł nadała tej fotografii i to on stał się w końcu tytułem całej wystawy.

– Gdybym nie wiedział, że stoisz za obiektywem i robisz to zdjęcie, pomyślałbym, że to ty. – Głos Eddy’ego wyrwał ją z zamyślenia.

Uśmiechnęła się lekko i z trudem zapanowała nad przemożną potrzebą wyciągnięcia dłoni, by opuszkami palców dotknąć zimnego szkła, pod którym uwieczono cienie tej trójki. Zobaczyła nagle odbitą w nim własną twarz. I przez moment przebiegła jej przez głowę myśl, że to ona sama jest kobietą w tle. Eddy przyglądał się jej badawczo.

– To nie ja – odparła krótko.

Kiedy wyszli z muzeum, Joanna z przyjemnością wciągnęła w płuca chłód pierwszych grudniowych dni. Amsterdam migotał zapraszająco światłem ulicznych latarni odbijających się w wodach kanałów.

– Odprowadzę cię. – Eddy ruszył wraz z nią.

– Niepotrzebnie się kłopotcesz, to w końcu blisko. – Znała już drogę do hotelu, musiała jedynie pójść wzdłuż kanału, przejść przez kamienny most, przemierzyć dalej parę metrów prosto uliczką pełną sklepów, by w końcu skrócić przy barze kanapkowym w ulicę Kerkstraat, przy której mieścił się jej hotel.

– Wielka szkoda. – Eddy uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

Joanna otuliła się ciasniej płaszczem i przez chwilę rozważała, co powiedzieć. Jej hotelowy pokój był mały, lecz komfortowy. Wieczorami unosił się w nim przyjemny zapach włoskiego jedzenia, dochodzący z sąsiadującej pizzerii. Obok mieściła się kawiarnia, w której do późna grano głośną muzykę, i coffeeshop, gdzie mieszkańcy miasta i turyści zaopatrywali się w jointy. Nie przeszkadzał jej hałas dobiegający z ulicy. Dzięki niemu nie czuła się osamotniona w nieznanym mieście. Lecz prawdziwe towarzystwo to luksus, którego od dawna nie zaznała.

– Słuchaj, Eddy... – zaczęła niepewnie. Nie była dobra w prowadzeniu słownych gier taktycznych. I miała świadomość, jak utrudniało jej to życie. Jej domeną było opowiadanie obrazami. Słowa pełne były pułapek, podtekstów. – Jestem tu tylko na parę dni. Lubię cię, ale...

– Jo, nie jesteśmy dziećmi. Jeśli nie odpowiada ci moje towarzystwo, wolałbym, żebyś to powiedziała szczerze, zamiast wymyślać wymówki. Jeśli o mnie chodzi... Parę dni czy parę godzin w twoim towarzystwie wydaje się jak parę sekund, więc...

– Lubisz pizzę? – spytała, ucinając jego wywód. – Wiem, że jest późno...

– Lubię! O każdej porze.

Przeszli kamienny most łączący dwa brzegi kanału Keizersgracht.



Obudziła się zdezorientowana. Ze snu wyrwał ją dźwięk zamykanych drzwi. Podniosła się na łokciach i przez mgłę zaspanych oczu zobaczyła lekki uśmiech Eddy'ego. Miał włosy jeszcze bardziej potargane niż poprzedniego dnia, koszulę luźno zarzuconą na nagie ciało, a spod nogawek wystawały białe stopy. Pod pachami ścisnął plik gazet, w dłoniach trzymał tacę zastawioną obfitym śniadaniem. Ostrożnie postawił ją na stoliku przy łóżku.

– Poszedłeś tak na dół? – zapytała lekko rozbawiona.

Skinął głową.

– Dostałem nawet śniadanie do pokoju, z mlekiem owsianym do kawy, choć nie wiem, jaką pijesz, rogaliki, jeszcze ciepłe, dżem, masło, ser... – zaczął z zadowoleniem wymieniać zdobycze.

– A to? – spytała, wskazując placem na miseczkę z brązową mazią.

– Pindakaas – odparł, a kiedy popatrzyła na niego pytająco, wyjaśnił: – Takie orzechowe smarowidło. Z orzeszków ziemnych. Co jadasz tutaj na śniadanie?

– Kawę – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Usiadł obok niej i oparł się o zagłówek. Podał jej filiżankę. Jego bliskość przypomniała jej minioną noc i wywołała uśmiech. Przez parę minut delektowała się smakiem kawy i wspomnieniami. Eddy sięgnął po gazety, które przyniósł, i popijając kawę, przewracał strony.

– Nie wiedziałam, że interesujesz się polityką – przerwała ciszę. Przesuwając wzrokiem po gęsto zapisanych stronach, próbowała domyśleć się, o czym mogły mówić. Podczas krótkiego pobytu w Holandii nauczyła się kilku prostych słów, ale skomplikowany język nadal brzmiał jak szyfr szorstkich charknięć. Przyglądała się więc zdjęciom dołączonym do artykułów z nieszczególnym zainteresowaniem, automatycznie biegnąc spojrzeniem od jednej fotografii do drugiej.

– Nie tyle polityką, co ogólnie światem. W szerokim tego słowa znaczeniu – powiedział i pocałował ją we włosy, jakby zwykł to robić od zawsze, choć znali się dokładnie trzy i pół dnia.


Prawie przewrócił stronę i ona prawie przeoczyła to zdjęcie, w przyjemnym rauszu pod wpływem ciepła tego pocałunku. Jednak twarz z fotografii, która mignęła jej przed oczyma, sprawiła, że poczuła nagły chłód. Przytrzymała dłonią stronę, którą przewracał.

– Och, przepraszam, nie wiedziałem, że też czytasz – zażartował, wiedząc, że nie znała niderlandzkiego.

Nie odpowiedziała. Pochyliła się nad gazetą i skupiła wzrok na zdjęciu. Grupa robotników budowlanych, wszyscy w białych kaskach i takich samych kurtkach z logo firmy, stała przed budynkiem wyglądającym na starą fabrykę. Joanna

utkwiała wzrok w jednej z męskich sylwetek i zastygła, jakby dopadł ją nagły paraliż. Trwało to może minutę, nim wiedziała na pewno. Nie miała wątpliwości. To musiał być on. Patrzyła na twarz mężczyzny, który niegdyś zrujnował jej życie, by potem zniknąć bez śladu, pozostawiając za sobą jedynie zgliszcza, rozpacz i ból.

2

mawialiśmy się, że ważne decyzje będziemy podejmować razem. – Lia Kornmann nerwowo machała pod stołem stopą obutą w czarne zamszowe botki do kostki z dość wysokim i niebezpiecznie ostrym obcasem. Kiedy na niego patrzyła, wyobrażała sobie, kogo chciałaby nim najchętniej zranić. Pierwsze miejsce na liście zajmował jej były mąż, z którym próbowała właśnie prowadzić w miarę kulturalną rozmowę telefoniczną.

– Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? To nie jest żadna ważna decyzja. Nie chodzi przecież o wybór studiów! – Głos w słuchawce brzmiał jak zawsze arogancko z małym dodatkiem drwiny.

– Nie, chodzi o bezpieczeństwo i zdrowie naszego syna! – Starła się nie podnosić głosu i nie dać mu odczuć, że ledwo panuje nad złością. – A studia to akurat będzie musiał wybrać sobie sam.

– Amsterdam to duże miasto. Skuterem będzie mu łatwiej odwiedzać kolegów albo podjechać do mnie do pracy. – Rzeczowy i spokojny ton Falco irytował ją jeszcze bardziej.

– Wiem, jak duży jest Amsterdam. I jak ruchliwe są ulice. Nie wiem, czy ty wiesz, że twój syn nie założy kasku sam z siebie, chyba że mu go wciśniesz na głowę, a biorąc pod uwagę, że większość czasu spędzasz w biurze, nie sądzę, żebyś

miał nad tym jakąkolwiek kontrolę. Nie wspominając już o ograniczeniu prędkości, którego z całą pewnością nie będzie przestrzegał.

– Słuchaj, przecież on nie wsiądzie na ten skuter jutro. Dopiero zaczniesz lekcje z teorii, a na lekcje jazdy może uczęszczać od szesnastego roku życia... – zaczął.

– Czyli za cztery miesiące, na Boga! Chodzi o to, że nigdy nie powinieneś mu obiecywać takich rzeczy bez uzgodnienia tego ze mną!

Odpowiedziało jej nabrzmiałe irytacją westchnienie.

– To twoja opinia. Zresztą już za późno. Obiecałem mu, zaczyna od nowego roku.

Lia zacisnęła palce na słuchawce, jakby miała zamiar ją zmiażdżyć. Na wyświetlaczu telefonu już trzeci raz mignęła lampka połączenia wewnętrznego, ale zignorowała ją.

– Po prostu powiedz mu, że omówiłeś to ze mną i zmieniłeś zdanie.

– Sama mi wypominałaś, że w kontaktach z nim muszę trzymać się danego słowa. Z powodów wychowawczych. A teraz mi mówisz, że mam nie dotrzymać obietnicy!

– W takim razie powiedz mu, że nie odwołujesz lekcji, tylko zostają odroczone, aż będzie trochę starszy!

– Bo ty tak chcesz?

– Bo tak jest rozsądnie!

– Porozmawiajmy o tym innym razem, dobrze? Mam teraz spotkanie – urwał ich słowne przepychanki. W jego głosie słyszała wyraźnie, że myślami był już gdzie indziej. Dokładnie znała ten ton, lekko nieobecny.

– Falco, nie waż się... – Próbowała go zatrzymać, ale rozłączył się, usłyszała jeszcze urywek jego słów skierowanych do kogoś innego.

Odłożyła słuchawkę, choć miała ochotę nią rzucić o ścianę. W tym samym momencie lampka połączenia wewnętrznego zamigotała znowu.

– Tak? – starała się, by jej głos brzmiał neutralnie i nie zdradzał furii, która rozsadała ją od środka. Powinna była poczekać z tą rozmową telefoniczną, ale

obawiała się, że w domu świadkiem dyskusji będzie Jasper.

– Pani redaktor. – Hiske rzadko używała tego zwrotu, głównie w chwilach, gdy chciała przyciągnąć uwagę Lii. – Meta Zwanenburg na linii pierwszej, połączyć?

Na dźwięk nazwiska Lia zmarszczyła czoło.

– Ta Meta Zwanenburg?

– Obawiam się, że tak.

– Och... – Lia westchnęła z lekkim zaskoczeniem. Meta Zwanenburg nie dzwoniła od tak dawna, że Lia zapomniała o jej istnieniu, a był czas, gdy trudno było o nim zapomnieć.

– Powiedz, żeby zadzwoniła później, teraz jestem zajęta. – Po konfrontacji z byłym mężem Lia nie miała ochoty na kolejną w ciągu tej samej godziny słowną przepychankę z kimś, do kogo nie docierały proste komunikaty.

– To już jej mówiłam. Trzy razy. Dzwoni po raz czwarty i pyta, czy przypadkiem już nie jest później.

– Niech zostawi numer telefonu. Oddzwonię później.

– To również jej powiedziałam. Twierdzi, że kiedyś mówiłaś jej, że nie miewasz wolnych chwil.

Lia pomasaowała kark, próbując rozluźnić mięśnie zaciśnięte stresem i narastającą irytacją. Miała ochotę walnąć głową o blat biurka.

– Poproś, żeby zadzwoniła o szesnastej.

Po krótkiej chwili ciszy usłyszała głos Hiske.

– Ale... wtedy będziesz akurat na spotkaniu w Groningen.

– Wiem przecież! – warknęła w odpowiedzi. Nie chciała urazić Hiske, z którą pracowała od tak dawna, że ich profesjonalna relacja nabrała przyjacielskiej formy.

– Jak tam rozmowa z byłym mężem? – Hiske zdawała się nie przejmować tonem Lii.

– Jak zawsze!

Lia rozłączyła się i przez chwilę masowała skronie, przymykając powieki i próbując ukierunkować myśli na pracę. Zamiast przejrzeć projekty okładek

kolejnego numeru „Chic”, myślała o byłym mężu. Założyła okulary i skupiła się na wydrukach. Leżały na obszernym, perfekcyjnie zorganizowanym biurku. Patrzyła na nie nieobecny wzrokiem, nadal próbując stłumić złość. W końcu podeszła do okna, z którego widok rozciągał się na skwerek przecięty wodami kanału z ruchliwym skrzyżowaniem Hoekemastraat z Oostergobrug za nimi. Przez chwilę obserwowała nieprzerwany strumień pojazdów, zastanawiając się, dokąd zmierzają lub skąd przybywają. To był jej punkt widokowy, wieża kontroli, miejsce, gdzie czuła się królową, a jeśli nie królową, to na pewno wyjątkowo dobrym koordynatorem lotów.

Lubiła Leeuwarden, choć nie była jego rodowitą mieszkanką. Przyjechała tu dwanaście lat temu, z czteroletnim synkiem, papierami rozwodowymi i dwiema walizkami. Kupiła niewielki apartament w centrum, zapisała Jaspera do najbliższej szkoły i nie tracąc czasu na zbędne żale, zabrała się do pracy nad tworzeniem życia, które sobie zaplanowała.

Żale miała już za sobą. Najgłębsze po pierwszym rozwodzie z Adrianem Kornmannem, dyrektorem popularnego kanału telewizyjnego, na którego antenie Lia pracowała jako prezenterka. Miała jedynie dwadzieścia trzy lata, gdy starszy o paręnaście lat Adrian owinął ją sobie wokół palca. Przy nim czuła się jak gwiazda, a nie jak prowadząca program wyświetlany w czasie antenowym o najniższej oglądalności. Lia do tej pory nie była w stanie powiedzieć, czy była zakochana w Adrianie, czy może w swoich wyobrażeniach o nim. Początki ich relacji pełne były luksusowych amsterdamskich restauracji, krótkich, lecz intensywnych wyjazdów, w których Lia towarzyszyła Adrianowi, jak droga i piękna biżuteria, którą zakłada się, by robić wrażenie na innych. A to akurat Adrian uwielbiał. Porażać ludzi swoim idealnym wyglądem, urokiem, erudycją, autem, które przyciągało wzrok, prestiżem życia, którym pysznił się bez skrępow. Okazał się narcyzem w całym tego słowa znaczeniu i trwające zaledwie półtora roku małżeństwo rozpadło się z hukiem po jego kolejnej zdradzie, za którą zresztą winą umiejętnie obarczył Lię. Gdyby koniec tego małżeństwa oznaczał jedynie koniec relacji, Lia dałaby sobie emocjonalnie radę. Jednak Adrian nie znośił być

zmuszanym do codziennych kontaktów z ludźmi, którzy nie adorowali go tak, jak by sobie tego życzył. Przez jego manipulacje i gierki atmosfera w pracy dręczyła Lię bardziej niż rozwód w toku. W rezultacie porzuciła męża i ledwo rozpoczęła karierę. Zrezygnowała ze wszystkich praw do majątku czy nieruchomości. Zachowała jednak to, co Adrian miał najcenniejszego. Jego nazwisko.

Falco poznała rok później, zbierając materiały do nudnego artykułu do gazety, w której zatrudniono ją z lekkim sceptycyzmem, co zresztą rozumiała. Zdawała sobie sprawę, że nazwisko byłego męża otworzyło jej drzwi, i nie wahała się go użyć. Nie miała pomysłu ani na siebie, ani na życie. Nawet dziś po tylu latach, kiedy Lia myślała o tamtej młodej kobiecie, którą była, czuła coś rodzaju wstydu zamiast współczucia. Wiedziała jednak, że nic nie uczy odporności szybciej niż bolesne doświadczenia. Użalanie się nad sobą nie rozwiązuje problemów, choć zaspokaja chwilową potrzebę dramatyzowania. Falco sprawiał wrażenie kogoś niezdolnego do odgrywania dramatów. Był rzeczowy, zadbany, nie pracował w mediach i jeździł autem, które nie było przejawem narcyzmu, a jednak dawało do zrozumienia, że finansowo może sobie pozwolić na wiele. Ich relacja rozwijała się w spokojnym tempie i zwieńczona była piękną ceremonią ślubną – taką, o jakiej Lii marzyła od zawsze, z klasą i ze smakiem. Problemy zaczęły się nieoczekiwanie, gdy Jasper skończył rok, a Lia była przekonana, że najgorsze już za nimi. Może odprężyła się za bardzo, ignorowała pierwsze oznaki obumierania ich związku? Z głębin macierzyństwa powoli znów wypływała na powierzchnię życia. Wróciła do pracy i skupiła się na odbudowywaniu swojej wątej pozycji zawodowej. Jasper zostawał w żłobku, co dawało jej przestrzeń i czas dla siebie. I kiedy wynurzyła się wreszcie i rozejrzała wokół, okazało się, że wiele jej umknęło.

Falco w istocie nie był typem skorym do dramatyzowania. Informację o swoim romansie przekazał jej podczas kolacji w zwykły czwartkowy wieczór. Lia pamiętała, że Jasper przewrócił wtedy kubek z sokiem. Patrzyła, jak słodki płyn ścieka powoli ze stołu na podłogę, i miała wrażenie, że to ona sama krwawi powoli i obficie.

Tym razem walczyła w sądzie jak lwica o każdy grosz, jakby chciała ukarać nie jednego, lecz obu byłych mężów. Zostawiła za sobą wszystko, włącznie z miastem, które kochała za wartki nurt, dźwięki, ogrom wrażeń. Miasto, którego kanały wypełniły jej własne łzy.

Wykupienie podupadającej i nijakiej gazetki we fryzyjskim Leeuwarden było aktem samobójczym – w finansowym i towarzyskim sensie. Przyjaciele i rodzina pukali się w czoło, próbując ją powstrzymać, ale było za późno. Lia postanowiła wziąć los i przyszłość w swoje ręce. Niewiele wiedziała o prowadzeniu własnej gazety, jeszcze mniej o wszystkim, co się z tym wiązało. Była jednak zdeterminowana, miała wizję i nie zamierzała ustąpić. W ten właśnie sposób narodził się „Chic”, najbardziej stylowy i nowoczesny dwutygodnik wydawany w całej Fryzji i współpracujący z najbardziej popularnymi miesięcznikami w całej Holandii. „Chic” stał się prestiżowym głosem w tym regionie kraju. Nie był gazetką plotkarską ani dziennikiem regionalnym – jedną z tych gazet, które mieszkańcy znajdują w skrzynce pocztowej lub pod drzwiami. Na półkach zajmował miejsce obok najbardziej poczytnych czasopism, którym dorównywał stylem i tematyką. Zajmował się kulturą w najszerszym tego słowa znaczeniu, od mody po literaturę, od tego, co ważne na świecie, po chwytliwe i poruszające tematy lokalne. Grono odbiorców „Chic” rozciągało się od studentów po biznesmenów. O miejsce na reklamę w gazecie Lii walczyły najpopularniejsze marki w kraju.

Dwanaście lat później pozycja dwutygodnika była stabilna, a renoma nienaruszalna. Lia szczyła się poziomem czasopisma, współpracowała z najlepszymi dziennikarzami i fotografami, pieczołowicie dobierała tematy artykułów, dbała o perfekcyjną stronę wizualną. Każdy detal, każda fotografia, tytuł artykułu, wszystko przechodziło przez jej ostrą selekcję, o wszystkim decydowała sama. A jednak mimo renomy „Chic”, a może właśnie z jej powodu, od czasu do czasu Lia musiała zmagać się z natrętami szukającymi rozgłosu. Poza Metą Zwanenburg, której intencje Lia była w stanie zrozumieć, najgorszym przypadkiem był pewien nawiedzony mężczyzna, który prześladował ją dwa lata temu. Uparcie

przesyłał na adres mailowy gazety artykuły dotyczące różnych teorii spiskowych związanych z polityką i światem nauki. Wydzwaniał, pytając, ile mu zapłacą za artykuł, i zdawało się, że zdecydowana i wyraźna odmowa w ogóle do niego nie docierała. Twierdził, że skoro wysłał im gotowy do publikacji tekst, redakcja powinna mu zapłacić. W rezultacie Lia była zmuszona skorzystać z pomocy prawnika. Ostatnio skontaktował się z nimi jakiś człowiek, który domagał się rozmowy z szefem gazety, ponieważ skradziono mu psa, na którego posłaniu znaleziono ich czasopismo, co mężczyzna uznał za znak, że redakcja powinna mu pomóc w poszukiwaniach. Od czasu do czasu miała ochotę umieścić na łamach gazety obszerny artykuł na temat dziwaków, z którymi się zetknęła w czasie swojej pracy.

Zerknęła na zegarek i westchnęła. Rozmowy z byłym mężem zawsze wyprowadzały ją z równowagi – choć w rezultacie była bardziej zła na siebie niż na niego – że nawet po tylu latach wciąż jeszcze wzbudzają w niej tyle emocji. Złożyła wydruki i odsunęła je na bok. Był piątek, mogły poczekać do poniedziałku. Przejrzała skrzynkę pocztową i wrzuciła do katalogu „ważne” przesłane przez jej dziennikarzy teksty. Wiedziała, że część wieczoru będzie musiała poświęcić na zapoznanie się z nimi, choć w planach miała przygotowanie sushi, poza tym czekała ją jeszcze wyprawa do Groningen. Thomas nigdy nie narzekał, nawet jeśli musiała przerwać ich wieczór, by popracować, mimo to czasami rzucał jakimś żartem na temat jej „romansu” z pracą. Wiedział jednak, że „Chic” był czymś więcej niż jedynie ścieżką kariery. Poznali się zresztą prawie cztery lata temu tutaj, w redakcji, gdy Lia podjęła decyzję o renowacji całego piętra i zainwestowała ryzykownie wysoką kwotę, by jej królestwo było symbolem szyku i klasy nie tylko na papierowych stronach.

Telefon komórkowy leżący na blacie biurka zawibrował i na wyświetlaczu pojawiło się imię i nazwisko. W komórce miała je zapisane poprawnie, w jego ojczystym polskim języku. Tomasz Rajter.

3

Eddy Smit rozglądał się lekko zaniepokojony po przestronnym pomieszczeniu, które powoli zapełniało się odwiedzającymi wystawę gośćmi. Uśmiechał się i kiwał głową na powitanie, obserwował reakcje zwiedzających. Próbował nie dać po sobie poznać, że z każdą minutą staje się coraz bardziej nerwowy. Ucisnął dłonie znajomych profesorów z akademii sztuki i wyszedł na korytarz, gdzie po raz kolejny wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. Odczekał chwilę, aż po piątym sygnale usłyszał na nagraniu głos Jo. „Jo Ann Sandor, zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału”.

– Eddy? – Marie, dyrektorka muzeum, podeszła do niego z lampką wina w dłoni. – Gdzie ona się podziewa? Goście się niecierpliwiają.

Słyszał w głosie Marie dobrze skrywany stres.

– Próbowałem się dodzwonić. Nie odbiera. Może jest w drodze?

– A hotel? Może zadzwoń tam i zapytaj, czy już wyszła? Przecież to bardzo blisko! Jak można spóźnić się na własny wernisaż?

Musiał wyszukać numer do hotelu. Tam przynajmniej odebrano od razu, choć mimo usilnych próśb nie udzielono mu żadnych informacji, połączono go za to z pokojem Jo. Bez rezultatu jednak, gdyż również tam usłyszał jedynie powtarzający się sygnał nieodebranego połączenia i irytującą melodię, która miała

umilić czas oczekiwania. Przez chwilę patrzył na Marie, która otoczona grupką ludzi entuzjastycznie o czymś opowiadała, po czym wyszedł na chłodne powietrze. Rozejrzał się wokół, jakby oczekiwał, że Jo zaraz nadejdzie, spóźniona i lekko zażenowana, ale rozpromieniona. Nie miał pojęcia, co się mogło stać, i w duszy analizował ostatni wieczór i noc, które spędzili wspólnie. Czy to z jego powodu nie przysłała? Czy powiedział coś, co ją zraniło? Tego chyba obawiał się najbardziej, choć nie miał pojęcia, co niewłaściwego konkretnie zrobił. Rano wydała mu się nagle nieobecna i dziwnie chłodna, ale domyślał się, że mogła stresować się otwarciem wystawy. Wsunął dłonie w kieszenie spodni, bo palce zaczęły mu marznąć. Wiał ostry przenikliwy wiatr, którego podmuchy wkradały się pod cienki materiał koszuli. Przesunął się na bok i z uśmiechem przepuścił grupkę ludzi, którzy zdążali na wernisaż. Rzucił jeszcze okiem w kierunku, skąd powinna nadejść Jo, po czym wrócił do środka, czując w żołądku nieprzyjemny ścisk.



Kiedy parę godzin później Eddy Smit wszedł do hotelu przy ulicy Kerkstraat, w głowie kłębiły mu się czarne myśli. Zerknął w ciemne okno, choć nie był w stanie powiedzieć, czy było szczelnie zasłonięte, czy prostu puste. Chciał ruszyć od razu do pokoju, w którym spędził ostatnią noc, ale recepcjonistka spojrzała na niego wymownie. Po krótkim wyjaśnieniu sytuacji mógł bez przeszkód ruszyć w stronę pokoju Jo. Zapukał najpierw delikatnie, potem mocniej. Odczekał parę sekund i zapukał znowu.

– Jo? Jesteś tam?

Wyjął komórkę i wybrał po raz setny tego wieczoru jej numer. Przysunął się do drzwi, usłyszał jednak jedynie ciszę.

– Jo? Jo...

Rozejrzał się po pustym korytarzu, po czym schylił i zajrzał pod drzwi. W pomieszczeniu panowała ciemność.



Było coś obezwładniającego w świadomości, że mógł być tak blisko. Nagle wydawało się jej, że wszystko, co się jej przytrafiło w życiu od czasu, gdy zniknął, prowadziło ją do tego miejsca, do tej chwili. Do tego zdjęcia na stronie wyrwanej z gazety, które wciąż jeszcze ścisnęła w dłoni. Odkąd ujrzała jego twarz, świat wokół zaczął powoli przypominać gęstniejącą mgłę. Eddy przekonany, że wizja zbliżającej się wystawy zaczyna ją stresować, wyszedł, gdy tylko skończyli śniadanie. Joanna włączyła laptopa i próbowała odszukać na stronie gazety artykuł, z którego pochodziło zdjęcie. Liczyła na to, że znajdzie tam więcej informacji lub fotografię w lepszej rozdzielczości, żeby powiększyć ją i przyjrzeć się dokładniej. Kiedy okazało się, że niczego nie znalazła, wpisała w wyszukiwarkę internetową nazwę podanej w artykule firmy.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała. Aż gęstniejąca wokół niej mgła zaczęła zamieniać się w ciemność. Gdzieś z tyłu głowy miała świadomość, że musi wstać, ubrać się, wyjść. Nic już jednak nie miało znaczenia. Nawet to, że tak blisko czeka na nią spełnione marzenie, na które pracowała tyle lat. Było za późno. W ciemnościach hotelowego pokoju jak w surrealistycznej sali kinowej Joanna była widzem od nowa oglądającym tę samą historię złożoną z własnych wspomnień.

– Jo? Jesteś tam?

Głos Eddy'ego wyrwał ją z transu. Nie ruszyła się z miejsca. Pozwoliła mu pukać i powtarzać jej imię. Kim był ten młody mężczyzna? Cieniem. Jak wszyscy inni. Usłyszała kroki, których odgłos oddalał się powoli. Sięgnęła po laptopa. Zmrużyła oczy, gdy światło ekranu rozbłysło w ciemnościach. Dopiero po chwili była w stanie skupić wzrok na słowach w zakładce pod tytułem *Team*. Czytała powoli nazwisko po nazwisku. W końcu jej wzrok zatrzymał się na dwóch wyrazach. I po raz kolejny tego dnia Joanna poczuła dreszcz, który wstrząsnął jej zdrętwiałym od bezruchu ciałem. Przesunęła palcem po wyświetlonych na ekranie słowach. Tomasz Rajter.

4

B było zimno, gdy wyszedł. Panował przejmujący chłód, który uderzał go w twarz ostrymi podmuchami podszytymi lodowatą wilgocią. Niemal od razu pożałował, że nie wziął czapki. Dopilnował, żeby maszyny zostały odłączone, posprawdzał wszystkie kąty, a to, co trzeba było zapakować, wrzucił do busa razem z roboczą kurtką, z której uprzednio strzepał kurz i pył. Dochodziła siedemnasta, a nie chciał się spóźnić na kolację. Pozamykał i zabezpieczył budynek. Zawsze sprawdzał wszystko po trzy razy, zamki, maszyny, elektryczność. Wsiadł do busa i odruchowo włączył radio, zerknąwszy raz jeszcze na zegarek. Westchnął ciężko, gdy pomyślał o korkach w mieście. Wszyscy wracali domu, zmęczeni po całym tygodniu, z gotowymi planami na weekend. W głowie próbował ustalić, ile potrzebuje czasu, żeby dojechać do domu, splukać z siebie osiem godzin pracy i włożyć czyste ubrania. Zakupy zrobił poprzedniego dnia i wszystko, włącznie z ulubionym trunkiem Lii, było gotowe. Wiedział, że lubiła piątkowe wieczory, mimo że najbardziej ze wszystkiego kochała być w pracy. Mieszkał na barce położonej na obrzeżach miasta w pobliżu terenu pełnego fabryk i magazynów. Kiedy kupił ją prawie sześć lat temu, po długim okresie wynajmowania mieszkań, była w katastrofalnym stanie. Drewno zbutwiało, na ścianach rozprzestrzenił się grzyb, szyby w oknach trzymały się tylko dzięki

sporej ilości taśmy klejącej, kanalizacja śmierdziała, odpływy były zatkane, drzwi niemal wypadły z futryn. W renowację barki zainwestował całe swoje oszczędności i każdą wolną chwilę przez siedem długich miesięcy, ale za każdym razem gdy przekraczał jej próg, czuł, że było warto.

Wyjeżdżał już na główną ulicę, gdy z zamyślenia wyrwał go stłumiony dźwięk komórki. Zaklął cicho, zjechał na pobocze i sięgnął na tyły busa do rzuconej w pośpiechu roboczej kurtki. Telefon ucichł dokładnie w chwili, gdy zacisnął na nim palce, ale już sekundę później zawibrował ponownie w jego dłoni. Od razu wiedział, że to Lia. Nie znosiła, gdy ktoś nie odbierał po pierwszym sygnale, i potrafiła zadzwonić trzy razy z rzędu, niemal bez przerwy.

– Lia? – Wsunął komórkę w uchwyt i wybrał tryb głośnomówiący.

– Cholera... Cholera... – Z głośnika dobiegł go poirytowany głos Lii, który wypełnił samochód. Tomek zjechał z pobocza i włączył się w ruch na głównej ulicy.

– I ciebie też miło usłyszeć. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Pieprzone korki! – rzuciła w odpowiedzi. – Spóźniam się!

– Gdzie jesteś? – spytał spokojnie, zatrzymując auto na czerwonym świetle.

– Nadal w Groningen! W ogóle nie można się z tego miasta wydostać! – Z każdym kolejnym zdaniem jej głos pobrzmiwał narastającą frustracją.

– Rodowita amsterdamka narzekająca na korki na prowincji kraju. Jak ty przeżyłaś tyle lat w wielkim mieście?

– Jeśli w ten sposób próbujesz mnie pocieszyć, to wybrałaś złą taktykę. Jedź, baranie! – warknęła. – Przepraszam, to nie do ciebie, tylko do tego debila przede mną.

– Lia, uspokój się, dojedziesz w swoim czasie. Czy miałaś coś jeszcze załatwić w mieście? Zrobić ci zakupy?

– Cholera, znowu jeden pas! Będę w domu jutro!

Usłyszał, że wcisnęła klakson i zakląła znowu przez zaciśnięte zęby. Nawet mimo dystansu, który ich dzielił, czuł jej narastającą złość.

– Lia, jak ci minął dzień, kochanie? – spytał miękko.

– Normalnie – odparła najpierw takim tonem, jakby Tomek był natrętną muchą, ale po chwili zaczęła mówić odrobinę spokojniejszym głosem: – Najpierw miałam zebranie, potem rozmawiałam z Falco o tym skuterze, ale jego zdaniem oczywiście przesadzam. On uważa, że Jasper jest jak najbardziej gotowy na prawo jazdy. Z tym człowiekiem nie da się porozmawiać bez odczuwania morderczych skłonności. No i jeszcze wisienka na torcie! Meta Zwanenburg zaczyna znowu wydzwaniać. Jestem po prostu osaczona. W tej chwili dosłownie. Nie mogę się ruszyć w żadną stronę. Poczekaj, Jasper wysłał mi wiadomość.

Jechał powoli, z głośników dochodził oddech Lii. Już wiedział, co było źródłem jej złości. Domyślał się zresztą, jeszcze zanim padły słowa potwierdzające jego przypuszczenia.

– Cholera – mruknęła. – Thomas, czy możesz odebrać Jaspera? Pojechał do kolegi. Jest bez roweru, a zanim ja dojadę, będzie późno.

– Autobusy nadal kursują w porze popołudniowej – powiedział z lekkim przekąsem.

– Ale on nie ma karty, a jego rower stoi pod szkołą.

– To jak się dostał do tego kolegi?

– Mówi, że pojechali z jego mamą. Oni mieszkają na obrzeżach miasta, to spory kawałek drogi, szczególnie w takie zimno. Zadzwoń i zapytam, czy nie mogą go podrzucić, nie kłopotz się.

Słyszał, że jej irytacja była teraz skierowana przeciw niemu.

– Nie mówię przecież, że go nie odbiorę, tylko pytam, jak wygląda sytuacja. Podaj mi adres.

Przez chwilę w głośnikach panowała cisza i Tomek zastanawiał się, czy Lia opanowuje złość, czy po prostu sprawdza adres w wiadomościach od Jaspera.

– Przesłałam ci na czat – powiedziała trochę łagodniejszym tonem.

– Daj mu znać, że po niego podjadę. – Zerknął na wyświetlony na telefonie adres. – Będę tam za jakieś... dwadzieścia minut do pół godziny, w zależności od

korków.

– Dziękuję, Thomas. – Słyszał, że jej słowa były szczere. – Nie wiem, o której dojadę do domu. Za godzinę, półtorej? Może weźmiesz prysznic u mnie i zrobimy sushi, jak wrócę.

Tomek z przyjemnością oszczędziłby sobie jazdy w tę i z powrotem, ale myśl o spędzeniu czasu sam na sam z Jasperem nie napawała go radością. Wystarczyło, że będą musieli znosić się w aucie w czasie drogi do apartamentu Lii.

– Muszę podjechać po rzeczy do domu. Ale przyjadę, jak tylko wrócisz. Jedź ostrożnie!

– Ty też!



Zjechał na autostradę, włączył radio i wcisnął pedał gazu. Lię poznał parę lat temu. Do tej pory żartował, że tak naprawdę spotkali się po raz pierwszy przy kawie, na co Lia zwykle odpowiadała pół żartem, pół serio, że gdyby nie ta kawa, miałyby poważne problemy z prawem. Tomek nigdy nie powiedział jej, że nie byłby to pierwszy raz.

Próbował kalkulować, ile czasu zajmie mu dojazd po Jaspera i podrzucenie go do apartamentu Lii w zakorkowanym o tej porze centrum miasta, potem powrót do siebie i znowu do centrum. Z zamyślenia wyrwało go nazwisko, które padło z ust radiowego spikera. Podkreślił dźwięk:

– Policjanci zabezpieczyli teren, obecna jest również ekipa techniczna oraz karetka pogotowia. Rzecznik prasowy lokalnej policji odmawia potwierdzenia, że znalezione ciało należy do poszukiwanej od dwóch tygodni Lois Bakker. Dwudziestopięcioletnia kobieta pochodząca z Drachten zaginęła, jadąc rowerem z pracy do domu. W jej poszukiwaniach brały udział jednostki policji oraz cała społeczność Fryzji, jednak sprawa tego nagłego niewyjaśnionego zniknięcia wstrząsnęła całym krajem. Ostatnie zdjęcie z jej odnalezionego krótko po zniknięciu telefonu było najczęściej umieszczanym zdjęciem w internecie przez

ostatnie tygodnie. Przedstawiało jej zapłakaną twarz. Sprawę Lois Bakker poruszano na łamach prasy oraz telewizji. W organizowanej przez policję akcji poszukiwawczej udział brało wielu mieszkańców miasta i okolic, w tym rodzina, koledzy i przyjaciele zaginionej. Zakrojone na ogromną skalę działania policji nie przyniosły żadnych rezultatów ani nawet wskazówek do chwili, gdy rower zaginionej został odnaleziony przez przypadkowych przechodniów w Leeuwarden. Z informacji podanych do wiadomości publicznej wynika, iż przełom w sprawie nastąpił po otrzymaniu anonimowego telefonu, czy dotyczył on jednak ciała, które odkryto tu zaledwie czterdzieści minut temu, tego funkcjonariusze oficjalnie nie potwierdzają. Z wiadomości otrzymanych od naszego reportera, który jest na miejscu zdarzenia, wynika, że obecni są tam również rodzice zaginionej. Najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń jest więc taka, że ciało faktycznie należy do Lois Bakker. Zostańcie z nami! Na antenie naszego radia będziemy informować was na bieżąco!

Tomek znał sprawę z opowieści Lii, w której gazecie również ukazał się artykuł o poszukiwanej przez całą Holandię kobiecie. Lia bardzo ostrożnie podchodziła do takich tematów. Jeśli coś pojawiało się na łamach „Chic”, to znaczyło, że była to kwestia ważna, poruszająca masy, dotycząca wszystkich.

Zastanawiał się, czy słyszała już najnowsze wieści i czy udało się jej wydostać z Groningen. Lia lubiła mieć wszystko pod kontrolą, w szczególności czas i swoje życie. Oraz opinie innych ludzi, które najłatwiej było kształtować, będąc redaktorką naczelną i właścicielką popularnego czasopisma. Jednak tak naprawdę łatwiej jej było kreować i sterować tym, co myśleli czytelnicy jej gazety, niż tym, co myśleli najbliżsi jej ludzie. Jak choćby jej dorastający syn czy były mąż, z którym Lia prowadziła niekończące się sprzeczki.

Jakimś cudem ominął korki, dzięki czemu dojazd trwał krócej, niż przypuszczał. Nowe zabudowania na obrzeżach Leeuwarden były wysokimi, utrzymanymi w nowoczesnym stylu szeregowcami. Trochę zbyt kanciastymi i nudnymi w jego odczuciu, zresztą nie znał się szczególnie na architekturze.

Odnalazł podany przez Lię numer domu i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu wysoka elegancka kobieta.

– Dobry wieczór. Pan po Jaspera? – Wpuściła go do przestronnego holu i odwróciła w stronę schodów. – Jasper! Twój tata przyjechał!

– Ja nie... – Tomek zaczął lekko zażenowany, ale przerwał, gdy na schodach pojawił się Jasper, z niezbyt szczęśliwą miną.

– To nie jest mój ojciec – mruknął jedynie pod nosem, zbiegając ze schodów. Chwycił z wieszaka kurtkę i rzucił w stronę Tomka krótkie burknięcie, które miało być formą powitania.

Na szczycie schodów pojawił się syn kobiety. Tomek rozpoznał go od razu, widywał go czasem w domu Lii, gdzie razem z Jasperem grali w gry komputerowe.

Kobieta zdawała się tak samo zażenowana jak sam domniemany ojciec. Pożegnała Jaspera, a potem przepaszającym tonem powiedziała do Tomka:

– Trudny wiek...

Skinął i wyszedł za Jasperem, który stał już przy aucie z rękoma w kieszeniach i naburmuszoną miną. Wsiadł do busa, kiedy Tomek odblokował drzwi. Od razu wsadził na uszy kolorowe bezprzewodowe słuchawki i pochylił się nad telefonem.

– Jadłeś coś? – spytał go Tomek, gdy wyjechali na autostradę. – Jasper? – zapytał nieco głośniej, żeby przebić się przez blokadę w postaci słuchawek. Chłopak mruknął coś i pokręcił głową.

Tomek przywykł już do tego nieprzyjaznego zachowania i tolerował je, głównie dlatego, że rozumiał kierujące chłopakiem emocje. Nawet parę lat temu, gdy Lia poznała ich wreszcie ze sobą, Jasper, choć nie śmiał jeszcze okazywać jawnej niechęci, dawał wyraźnie do zrozumienia, że Tomek jest w ich domu intruzem. Z wiekiem napięcie między nimi narastało, spotęgowane dorastaniem chłopca.

Podjechali do okienka w McDonalddie, gdzie Tomek zamówił zestaw z hamburgerem i colą. Podał Jasperowi papierową torebkę.

– Mama nie będzie zadowolona – wymamrotał chłopak i Tomek wiedział, że próbuje mu dopiec.

– Mama stoi w korku i będzie szczęśliwa, że coś zjadłeś i nie marzniesz na przystanku na przedmieściach. Nie ma za co, tak na marginesie. I smacznego – odparł bez niepotrzebnego sarkazmu. Nie zależało mu na tym, by dokuczyć chłopakowi, ale nie zamierzał dawać się tak traktować.

Wkrótce wjechali do centrum.

– Mieliśmy chyba do domu jechać. – Jasper zorientował się, że skręcili w innym kierunku. Zsunął z uszu słuchawki, a dłoń, w której trzymał bułkę, zawisła w powietrzu.

– Z tego co wiem, twój rower stoi nadal pod szkołą.

– Przecież jutro jest sobota. I tak nie muszę tam iść. Może postać do poniedziałku.

– Do poniedziałku mogą go ukraść. Albo będzie stał dwa dni w deszczu. A może spadnie śnieg...

– Jasne... – mruknął sarkastycznie Jasper, po czym dodał głośniejszym głosem: – Nie możemy po prostu pojechać do domu? Zmęczony jestem.

Tomek rzucił okiem na niego i na niedojedzonego hamburgera w jego dłoni.

– To niedaleko, musimy tylko kawałek objechać. Poza tym... – Urwał, ale po chwili dokończył zdanie: – Mama nie będzie zadowolona, jak zostawisz rower na placu szkolnym na cały weekend.

Chłopak odwrócił głowę i nie odezwał się już do chwili, gdy dojechali pod budynek szkoły. Zatrzymali się przed zamkniętą bramą placu. Chłodne wieczorne powietrze owiało ich sylwetki. Jasper wcisnął dłonie w kieszenie puchowej sportowej kurtki i wydał ironicznie usta, a sposób, w jaki uniósł brwi, mówił wyraźnie, że był niemal zadowolony, widząc, jak Tomek bezskutecznie próbuje otworzyć bramkę. Ten zerknął na chłopaka i stłumił westchnienie. Wydawało mu się, że na jego twarzy oprócz satysfakcji dostrzegł cień ulgi.

– No to będziesz musiał jednak w poniedziałek iść piechotą.

Jasper wzruszył ramionami. Odwrócili się i ruszyli do auta.

– Halo? Czy mogę w czymś pomóc? – usłyszeli za sobą głos woźnego. Szedł ku nim przez plac.

– Dobry wieczór! Przyjechaliśmy po rower. Nie wiedziałem, że brama będzie już zamknięta. Przepraszam, że pana niepotrzebnie zaalarmowałem.

– Nic nie szkodzi. Macie szczęście, miałem już wychodzić do domu.

Starszy mężczyzna otworzył im bramę i Tomek odwrócił się w stronę chłopaka.

– Idziesz czy nie? Ten pan też chce już wrócić do domu.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego wyczekująco. Jasper stał z pochmurną miną, niezdecydowany i nagle lekko przestraszony.

– Ale... mój rower stoi gdzie indziej.

– Co? Jak to? To czemu nic nie powiedziałeś, kiedy tu jechaliśmy?

Chłopak wzruszył ponownie ramionami.

– Zapomniałem – mruknął lekko naburmuszony, unikając ich wzroku.

Tomek westchnął, przeprosił jeszcze raz woźnego i dziękując mu, życzył spokojnego wieczoru. Do Jaspera odezwał się dopiero, gdy znów siedzieli w aucie.

– Gdzie stoi ten rower?

– Nieważne. Jedźmy do domu.

Tomek zahamował i zgasił silnik.

– Słuchaj. Możesz się dąsać, ile chcesz. Ale ten rower kosztował twoją mamę trochę kasy. Jeśli ci go ukradli, to po prostu powiedz. Jeśli nie, to wrócimy do domu, jak sobie przypomnisz, gdzie go zostawiłeś.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza, po czym z ust chłopaka padł adres. Tomek wpisał go do nawigacji i ze zdziwieniem stwierdził, że ulica mieści się parę minut drogi od apartamentu Lii. Zmarszczył brwi i spojrzał na Jaspera, ten jednak utkwiał wzrok w szybie i gapił się uparcie przed siebie.

Tomek zrozumiał wszystko dopiero, gdy zaparkował pod podanym adresem. „Kraina Oz” – głosił neonowy napis nad drzwiami kafejki, w której legalnie sprzedawano marihuanę. W wąskim przejściu między kamienicami stały tłocznie zaparkowane rowery. Jasper wysiadł bez słowa i z trudem wyciągnął swój

spomiędzy reszty. Tomek otworzył drzwi busa i pomógł mu podnieść rower i zabezpieczyć go między maszynami i sprzętami z pracy.

– Teraz to mama dopiero będzie niezadowolona – burknął i zaraz pożałował tej ironicznej uwagi.

Kiedy wsiedli, powiedział krótko:

– Ty nie mówisz jej o McDonalddie, ja o Krainie Oz.

Jasper skinął głową prawie niezauważalnie, z nadal naburmuszoną miną. Tomek z lekką satysfakcją zdał sobie sprawę, że chłopaka najprawdopodobniej bardziej od tego, że został przyłapany na paleniu zioła, wkurza fakt, że teraz musi coś zawdzięczać jemu, Tomkowi, intruzowi we własnym domu.

Uśmiechnął się pod nosem i ruszył w kierunku apartamentu Lii. Zapytał ją kiedyś, podczas jednej z ich pierwszych kolacji, jaką była nastolatką. Odpowiedziała mu wtedy pytaniem:

– Chcesz wersję łagodną czy tę dla ludzi o mocnych nerwach?

– Daj mi tę, którą najbardziej obawiasz się podzielić.

– Byłam rozpieszczona, głupia i przekonana, że wszystko mi się należy – odparła bez wahania lub cienia wstydu.

Tomek kątem oka widział zaciętą twarz Jaspera, gdy jechali przez ruchliwe ulice centrum. „Syn swojej mamy”, pomyślał.

5

Lia rozłożyła składniki na blacie kuchennym i zerknęła do garnka, w którym stygł ryż. Z szafki wyjęła bambusową matę i położyła obok octu ryżowego, butelki sosu sojowego, puszki wasabi i nori, które przygotowała na drewnianym talerzu. Rano, jeszcze przed rozpoczęciem pracy, zakupiła na targu u zaufanego sprzedawcy krewetki i wędzonego łososia dla Thomasa, który nie tolerował surowych ryb.

Pamiętała dokładnie dzień, kiedy się poznali. Wraz z rosnącym nakładem „Chic” rosły też marzenia Lii. Jednym z nich była generalna renowacja biura. Prace remontowe właśnie ruszyły na dobre i choć dyrektor firmy budowlanej przedstawił jej pracowników, w jej oczach wszyscy wyglądali jak klony tej samej osoby odzianej w robocze ubrania. Tamtego dnia wszystko szło nie tak. Bałagan i hałas uniemożliwiały codzienną pracę dziennikarzy. Panował chaos i Lia nie mogła się skupić. Wszędzie unosił się pył, nawet w zaaranżowanym kuchennym aneksie, który zabezpieczono parawanem z folii. Lia wcisnęła przycisk ekspresu, jednak zamiast dźwięku nalewania kawy usłyszała niepokojące bzyczenie. Wyłączyła urządzenie i włączyła ponownie z nadzieją, że to pomoże. Tym razem nie odezwało się nawet bzyczenie, lampki migotały alarmująco. Westchnęła, choć miała ochotę zakląć, i wcisnęła przycisk parokrotnie, używając coraz więcej siły.

– Coś się zepsuło? – usłyszała za sobą głos. Odwróciła się zaskoczona. Nie wiedziała, jak długo jej się przyglądał lekko rozbawionym wzrokiem. Miał w ręku papiery, na których widniały jakieś architektoniczne rysunki.

– Ekspres do kawy. Zaciął się – powiedziała, nie patrząc na niego i mocując się z tacką, którą próbowała wyjąć.

– Może ja spróbuję? – zaoferował, odkładając papiery na blat. Nie pamiętała jego nazwiska, ale akcent wyraźnie jej mówił, że jest obcokrajowcem.

– To nie ściana, to ekspres do kawy – syknęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

On jednak zdawał się nie być urażony.

– Mogę? – zapytał, wskazując na urządzenie. – Widzę, że naprawdę potrzebna ci dawka kofeiny.

Chciała zwrócić mu uwagę, że wolałaby, aby nie mówił jej na ty, ale zdała sobie sprawę, że może forma, której używał, była jedyną mu znaną w tym języku.

Pochylił się nad ekspresem, odsunął go ostrożnie i obrócił, z kieszeni wyjął mały cienki śrubokręt, którym wykręcił kilka śrubek. Zdjął tylną osłonkę.

– Może nie ściana, ale ścianka – powiedział, z uśmiechem prezentując fragment plastikowej obudowy i ponownie pochylił się nad urządzeniem.

Lia oparła się o blat i obserwowała jego ruchy. Miał ciemnobrązowe bardzo krótko ostrzyżone włosy i kilkudniowy zarost. Jego granatowe robocze spodnie były przybrudzone pyłem, ale biały T-shirt czysty i świeży.

– Więc znasz się nie tylko na budownictwie, ale też na reperowaniu sprzętów domowego użytku? – zapytała, trochę by przerwać panującą między nimi ciszę, a trochę po to, by czegoś się o nim dowiedzieć.

– Nie, ale znam ten ekspres, to niemiecka firma, wszystkie mają tę samą usterkę. Mieszkalem kiedyś w Niemczech. Dobra kawa, ale dość wadliwe urządzenie.

Po chwili przykręcił plastikową osłonkę i wyjął kubek z dłoni Lii.

– Proszę, gotowe. – Wcisnął przycisk i ciemny płyn z sykiem zaczął napełniać jej kubek.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, ale powinnaś coś zrobić z tym uzależnieniem od kofeiny. – Mrugnął. – Ten problem jest rozwiązany, ale... jest jeszcze jeden.

– Jaki? – Lia ściągnęła brwi i upiła odrobinę kawy, której gorycz rozplynęła się w jej ustach.

Rozłożył rysunki na blacie.

– Ta szklana ściana z wodospadem. Wygląda na to, że będzie kłopotliwa. Tu idą metalowe belki, a tu elektryczność. Nie da się poprowadzić przewodu ani rury.

– A tutaj? – Pochyliła się obok niego nad rysunkiem. Pachniał wodą kolońską, męskim szamponem i farbą. Lia z zaskoczeniem stwierdziła, że ta mieszanka bardzo jej odpowiada.

Pokręcił głową i przesunął palcem po papierze. Miał czyste i masywne jak na swój wzrost dłonie. Lia była od niego parę centymetrów wyższa.

– Obawiam się, że z tej strony to w ogóle nie jest możliwe. Nie ma odpowiedniego wsparcia. To jest sporych rozmiarów metalowa konstrukcja ze szkłem i wodą. Tego nie da się ot tak zamontować w każdym dowolnym miejscu. Kable i rury muszą biec po podłodze, na to też powinno być miejsce.

Lia westchnęła. Ta ściana była dla niej symbolem luksusu. Zależało jej, żeby odwiedzający redakcję zobaczyli wnętrze, które odpowiadało temu, co reprezentowała jej gazeta: szyk, klasę i wszechstronność.

– Porozmawiam z dostawcą konstrukcji, czy nie oferują oni jakichś rozwiązań dla problematycznych wnętrz, i dam ci znać, kiedy będę wiedział więcej. Muszę wrócić do pracy, ale cieszę się, że przynajmniej jedną ścianę udało mi się dzisiaj z powodzeniem zamontować. – Uśmiechnął się i poklepał ekspres do kawy, a Lia zwróciła uwagę na jego biegły niderlandzki i ciekawy akcent. Miała ochotę zapytać, skąd pochodzi.

– Ściankę – odparła z lekką ironią.

– Ale bardzo ważną. – Mrugnął i wyszedł, zabierając ze sobą rysunki.

Dwa dni potem Lia pracowała do późna. Przygotowywała faktury do rozliczenia podatkowego dla swojej księgowej i jako ostatnia została w redakcji. Jasper spędzał weekend u ojca, więc mogła ten piątkowy wieczór bez wyrzutów sumienia poświęcić na uporządkowanie zaległych papierów. Wyszła właśnie z pokoju, by zrobić sobie kolejną filiżankę kawy, gdy do jej uszu dobiegł hałas z drugiego końca ciemnego holu. Poczowała, jak jej serce ścisnął skurcz strachu. Teoretycznie wiedziała, że budynek był zabezpieczony alarmem, do którego kod znali jedynie pracownicy, ale jednocześnie miała świadomość, że to nie zawsze chroni przed włamaniem. Powoli i najciszej, jak potrafiła, cofnęła się do pokoju. Chwyciła z biurka telefon komórkowy i wystukała numer alarmowy policji. Przez chwilę wahała się z palcem zawieszonym nad zieloną słuchawką. Rozejrzała się po pokoju. Serce biło jej jak szalone, a myśli przemykały przez głowę panicznym galopem. Po cichu opuściła pokój, ściskając w dłoni komórkę, gotowa w każdej sekundzie nawiązać połączenie. Skierowała się do aneksu kuchennego. Bardzo powoli wysunęła szufladę i bezszelestnie wyjęła sporych rozmiarów nóż, którego w redakcji używano do krojenia ciast i tortów, gdy świętowano urodziny lub sukcesy pracowników. Uzbrojona w ostrze i telefon ruszyła ciemnym korytarzem w stronę, skąd po raz kolejny dobiegł ją głuchy dźwięk, jakby ktoś uderzył w rurę. Z każdym krokiem czuła narastające napięcie. Wkrótce dotarła do miejsca, gdzie skręcając w prawo, wchodziło się do przestronnego pokoju recepcyjnego. Wcześniej podzielony był na dwa pomieszczenia, jednak w ramach renowacji zburzono ścianę. Lia wzięła głębszy oddech i wyszła za róg korytarza. Na podłodze stał reflektor skierowany na jedną ze ścian, a obok niej pochylony nad grzejnikiem klęczał mężczyzna. Dopiero po chwili dotarło do niej, że rozpoznaje sylwetkę intruza.

– Co pan tu robi o tej porze? – wykrztusiła z siebie, czując, jak jej wreszcie rozluźnione mięśnie drżą niekontrolowanie.

Tomasz Rajter podskoczył i z brzękiem upuścił trzymany w dłoni śrubokręt. Obrócił ku niej zdumioną twarz.

– Ale mnie wystraszyłaś! Nie wiedziałem, że ktoś tu jest! – Jego spojrzenie zjechało z jej twarzy na potężny nóż, który nadal ściskała w dłoni. – Ty, jak widzę, również nie...

Podniósł się i otrzepał z kurzu.

– Więc co dokładnie tutaj robisz? – powtórzyła pytanie, choć już łagodniejszym głosem. Z zaskoczenia nie zauważyła, że automatycznie przeszła na ty.

Skinął ręką, żeby podeszła. Pomieszczenie było w takim stanie, że Lia nie mogła uwierzyć, że jeszcze kiedyś będzie wyglądało normalnie. Pozbyto się gipsowych płyt ze ścian, które stały teraz, obnażając wewnętrzny szkielet pełen kabli i rur, wszędzie wisiały folie, walały się resztki gruzu, w kątach leżały jakieś paczki w wysokich stosach. Trzeba było uważać, gdzie się stąpa, bo w niektórych miejscach zdjęto już warstwę podłogi. Podeszła do niego. Zauważyła na jednym ze stosów pudełko z nadjedzoną pizzą i puszkę coli. A obok kserokopie rysunków architektonicznych.

– Zamierzasz go jeszcze użyć? – spytał, ruchem głowy wskazując nóż.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba pokroić pizzę – odparła nadal lekko zła, że przestraszył ją nie na żarty. Choć fakt, że ona również jemu napędziła stracha, łagodził jej złość.

– Popatrz. – Wskazał palcem na plany, na których nakreślił coś czerwonym flamastrem. – Sprawdziałem właśnie, jak biegnie ta instalacja. Okazuje się, że możemy bez problemu przemieścić kaloryfer. Jeśli zamontujemy go tutaj, ściana będzie wolna. W tym miejscu jest wystarczające wsparcie, żeby postawić twoją wodną konstrukcję. Oczywiście musisz to zatwierdzić.

– Nie wiem... Przy oknie chciałam postawić sofy i stoliki... Kaloryfer będzie brzydko wyglądał.

– Momencik – powiedział z zabawnym akcentem. Jego oczy błyszczały w świetle reflektora.

Patrzyła, jak wyciąga telefon komórkowy i wyszukuje zdjęcia. W końcu podsunął go przed jej oczy.

– Brzydko?

Lia spojrzała na wyświetlone zdjęcie. Przedstawiało nowoczesne pomieszczenie ze śnieżnobiałą ścianą, na której widniała duża prostokątna kamienna płyta, ze wzorami przypominającymi geograficzną mapę świata pełną zakoli, falistych linii i zagłębień.

– Co to? – spytała ze szczerym zainteresowaniem. To, co zobaczyła, wyglądało bardziej jak dzieło sztuki niż kaloryfer.

– To grzejnik na gorącą wodę z naturalnego kamienia.

– I dałbyś radę to tutaj zainstalować?

Skinął głową.

– Jest drogi – przyznał. – Ale będzie się ładnie komponował z wodną ścianą z elementami metalu i kamienia.

Lia przytaknęła.

– Koszt nie ma znaczenia. Zgoda. Wodna ściana tutaj. – Przesunęła palcem po rysunkach. – A kaloryfer z kamienia tu.

Podniosła na niego wzrok. Było w nim coś, co sprawiało, że nie miała ochoty się pożegnać. Przez chwilę odniosła wrażenie, że on również się zawahał, jakby chciał coś jeszcze dodać. Zamiast tego jednak zaczął składać swoje rzeczy.

– W porządku. W takim razie przejrzę ofertę i przygotuję ewentualny kosztorys oraz zmienię plany. Szef będzie musiał to zatwierdzić, no i ty też już oficjalnie. Na wszystko trzeba mieć papier i podpis w dzisiejszych czasach. – Zarzucił na siebie roboczą kurtkę. – I przepraszam, że cię przestraszyłem. Mój kod do alarmu działa jedynie od poniedziałku do piątku, więc musiałbym czekać ze sprawdzeniem wszystkiego dwa dni.

Pożegnał się i chwilę potem Lia została sama, choć od tamtego wieczoru uważniej wybierała strój do pracy, a przechodząc przez pomieszczenie recepcyjne, mimowolnie szukała go wzrokiem tylko po to, by wymienić z nim krótki uśmiech, gdy podnosił głowę znad wykonywanej pracy. Czasem wpadali na siebie przy nieszczęsnym automacie do kawy i Lia wkrótce zaczęła pijać kawę o stałych

porach. Coraz częściej wymieniali uwagi dotyczące nie tylko postępu prac renowacyjnych w redakcji, ale również kolejnego wydania „Chic”. Pochlebiali jej to, że czytał ostatni numer, a jego komentarze dotyczące publikowanych materiałów były interesujące. Wkrótce nie mogła się doczekać, kiedy znów go zobaczy, choć wciąż jeszcze nie miała pewności, czy poświęcał jej uwagę z grzeczności, w końcu mu płaciła, czy też odwzajemniał jej rosnące zainteresowanie, do którego jej samej trudno było się przyznać. Bez wątpienia był jednak najmiłszym akcentem dnia, a gdy nadchodził weekend, Lii trudno było się z niego cieszyć.

Może to ujmowało ją w nim najbardziej? Sposób, w jaki dawał jej subtelnie do zrozumienia, że ją lubi, bez narzucania się lub insynuowania niczego. Kiedy pewnego popołudnia spotkali się w czasie przerwy na kawę, zapytał ją, czy może znajdzie chwilę, żeby zerknąć na rysunki i zatwierdzić drobne zmiany. Akurat miała czas, a mimo to nim zdążyła przemyśleć swój krok, skłamała gładko, że nie da rady, i spytała, czy mógłby zajrzeć do jej biura, kiedy skończy pracę. Próbowała wyczuć, czy spieszyło mu się do domu. Był piątek, w redakcji panowała luźna atmosfera i Lia odliczała godziny do siedemnastej. Kiedy wreszcie się pojawił, minąwszy w otwartych drzwiach pokoju Hiske, Lia sama nie wiedziała już, czego właściwie oczekiwała.

– Bardzo zajęta? – spytał, wchodząc i unosząc w dłoni papiery, jakby chciał się upewnić, że pamiętała, po co przyszedł.

– Już nie. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń po rysunki.

Stał niezręcznie obok jej biurka, kiedy przeglądała projekty, i pokazał jej palcem miejsca, gdzie wprowadzono poprawki. Poczula mieszaną farby, wody kolońskiej i kawy. Nagle przeraziła ją siła, z jaką zapragnęła dotknąć ciemnego zarostu na jego policzku.

– Lia? – Zdała sobie za późno sprawę, że o coś zapytał, i zastygła przerażona myślą, że zauważył, jak reaguje na jego bliskość.

– Ja... – zaczęła i odwróciła do niego twarz.

Miała wtedy czterdzieści dwa lata i już dawno przestała wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, szczęśliwe zakończenia, iskry i motyle w brzuchu. A jednak kiedy ich oczy się spotkały i jego spojrzenie pociemniało na chwilę, Lia wiedziała, że on czuje to samo. Kierowana niezrozumiałym impulsem wyciągnęła dłoń w stronę jego szorstkiego policzka. Z jego początkowego zażenowania nie pozostało nic, gdy przycisnął ją do biurka i przyciągnął do siebie szybko i zdecydowanie.

Wspomnienie tamtego pocałunku do tej pory wywoływało w niej dreszcz. Ostrożnie i z namaszczeniem zawijała sushi w idealnie okrągłe rolki. Traktowała to jako rodzaj medytacji. Maczała palce w przygotowanej wcześniej miseczce z wodą, jakby to była woda święcona, którą miała odprawić sakrament. Zwykle pozwalała sobie na nieprzerwany i wolny ciąg myśli, jakby wszystko, co tłumiała przez te dni, musiało wreszcie popłynąć.

– Mamo? – dobiegł ją głos Jaspera. – Mamo?!

Lia westchnęła, słysząc w jego tonie zniecierpliwienie na granicy z irytacją. Oplukała dłonie.

– Mamo?! Widziałeś moją granatową bluzę? – Wpadł do kuchni jak powiew zimnego wiatru.

– Może jest w praniu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, próbując zachować spokój. – Wychodzisz? Przecież nic nie jadłeś.

– Jak to w praniu? Była czysta!

– Sprawdziłeś w szafie?

– Nie jestem ślepy – mruknął rozzłoszczony. – Gdyby była w szafie, tobym cię nie pytał.

Zignorowała jego uszczypliwe uwagi.


– To może wpadła za łóżko? Dokąd idziesz? Chciałabym, żebyś coś najpierw zjadł... – zaczęła, ale nim zdążyła skończyć, wyszedł z kuchni, rzucając jedynie przez ramię:

– Jadłem już. Zapytaj Thomasa – dodał z przekąsem.

Lia patrzyła, jak jej dorastający syn z wprawą przerastającą mistrza zaczyna stosować te same manipulacyjne techniki, co jego ojciec. Potrafił być przymilny jak kociak, gdy czegoś chciał, a jeśli ważyła się mu odmówić, wbijał zniechęcający pazur, raniąc ją boleśnie. Potrafił traktować ją chłodno, jakby była meblem, który mu zawadzał, i celowo udawać, że nie słyszy jej pytań.

Dźwięk dzwonka do drzwi skierował myśli Lii ponownie na przyjemniejszy tor, wytarła dłonie w kuchenny ręcznik i wyszła do pokoju, żeby przywitać Thomasa. Jego uśmiech sprawił, że jej złość zelżała, i gdy w drzwiach mignęła postać Jaspera, który wychodził w pośpiechu, nie miała już ochoty dopytywać, dokąd idzie. Zresztą zwykle przesiadywał u Koena, gdzie godzinami grali w gry komputerowe. Kiedy przychodzili do jej mieszkania, robili dokładnie to samo, a gdy wychodzili, pozostawał po nich lekki zapach potu, puste paczki po chipsach i puszki po coli. Machnął ręką, gdy zawołała, żeby nie wracał zbyt późno. Po chwili klatkę schodową wypełniło echo jego kroków. Lia nie mogła jeszcze wiedzieć, że już wkrótce będzie ich wyczekiwać jak wyroku Sądu Najwyższego.

6

 Tamtego dnia jezioro lśniło w blasku słońca, jakby było nie wodą, lecz diamentowym pyłem. Joanna bez trudu potrafiła przypomnieć sobie ciepło lipcowego poranka, nawet teraz, stojąc przed stacją w Amsterdamie, gdy lodowaty porywisty wiatr uderzał ją w policzki z wściekłością, którą doskonale знаła. I choć wszystko zdarzyło się daleko stąd, miała wrażenie, że od przeszłości dzieli ją jeden krok. Kiedy przymykała powieki, ciemność stawała się tunelem czasu, przez który w ułamku sekundy cofała się lata wstecz, i znów miała dwadzieścia lat, była lekka jak mgła wisząca nad taflą jeziora tuż po zachodzie słońca, jej ciało wypełniał blask słońca i zapach ziół rosnących na łąkach. Znów, przez krótką chwilę, miała poczucie, że lato nigdy się nie skończy. Ale tamto lato dobiegło końca, jak wszystko w życiu. Prawie wszystko. Bo po niektórych historiach nie da się tak po prostu postawić kropki. One żyją swoim życiem, nigdy nieskończone, pełne znaków zapytania i domniemań „co by było, gdyby”. Mijają kolejne słoneczne lata, ale nic już nigdy nie jest takie samo, a każdy lipiec ma posmak goryczy.

W oczy zapiekły ją łzy złości. Zagryzła zęby. Jej ciało zadrżało od panującego chłodu. Zerknęła na zegarek i otulając się ciaśniej płaszczem, weszła na stację. Kupiła bilet w przedziale pierwszej klasy. Kiedy pociąg podjechał, przed jej

wagonem nie było tłoku. Mogła spokojnie wsiąść i zająć miejsce. Obok niej usiadł wysoki mężczyzna w niezwykle gładkim i doprasowanym do perfekcji garniturze. Już w sekundę później otworzył laptop i zniknął w świecie ważnych spraw. Joanna sprawdziła połączenia oraz otrzymane wiadomości. Odsłuchiwała nagranie i przez moment twarz Eddy'ego napłynęła przed jej oczy wraz z głosem pełnym niepokoju. Zignorowała wiadomości i wrzuciła telefon do torebki. Pociąg ruszył, zabierając Joannę w podróż do przeszłości.



– Tomek! – Julia biegła przez szkolne boisko. Joanna próbowała za nią nadążyć. Po drodze złapała rzucony przez przyjaciółkę plecak. Zatrzymała się przed grupką dzieciaków zebranych na drugim końcu boiska, ale mur ciał nie powstrzymał Julii, która przepychała się teraz w kierunku, skąd dobiegały odgłosy bójki.

Joanna westchnęła i zgarnęła z ziemi czarny znoszony plecak Tomka z zepsutym zamkiem, zamiast którego sterczała agrafka. Położyła ich torby pod drzewem i rozejrzała się po zbiegowisku. Nie miała pojęcia, o co poszło tym razem. Nie potrafiła również zliczyć, która to już bójka z udziałem Tomka. A rok szkolny jeszcze nie dobiegł końca.

Odsunęła się na bok, gdy zaalarmowana dzwonkiem grupka ruszyła w stronę szkoły. Niektórzy śmiali się pod nosem, inni zupełnie na głos. Najwyższy z grupy, Karol, otrzepywał ubrania z piachu. Był od niej dwa lata starszy, ale siedział rok za pałę z historii i chodził teraz do klasy z Tomkiem. Odwróciła wzrok w stronę miejsca, gdzie jeszcze chwilę wcześniej trwała szarpanina.

– Znowu się spóźnisz – narzekała Julia, klęcząc obok niego. – Co masz teraz? Matematykę?

Kiwnął głową. Z nosa ciekła mu krew, którą wytarł rogiem porwanego podkoszulka. Joanna zresztą nigdy nie widziała go ubranego porządnie. Podniósł się i chwilę masował nadgarstek. Widziała, jak zaciskał usta. Ale nigdy nie płakał. Nawet wtedy, gdy dostał od ojca tak mocno, że skóra na plecach podeszła krwią

i każdy ruch sprawiał mu ból. Joanna nie rozumiała, po co mu były jeszcze te bójkę w szkole. Widziała, że często prowokował je sam.

Ruszyli w trójkę przez szkolne boisko. Majowe słońce było już ciepłe, a powietrze pełne zapachów. Szkolny korytarz świecił pustkami. Ich kroki pobrzmiwały echem w starym budynku z wysokimi sufitami. Tomek nie powiedział ani słowa, machnął im tylko ręką przed drzwiami klasy. Wiedziały, że teraz oberwie mu się jeszcze od matematyki. One też były spóźnione, ale wzorowym uczennicom więcej uchodziło płazem. Szczególnie Julii, której oceny były znakomite. Ukochana jedynaczka dwójki nauczycieli zdawała się nie mieć problemu z żadnym z przedmiotów. Joanna z zazdrością obserwowała łatwość, z którą najlepsza przyjaciółka przyswajała wiedzę, bez trudu pisała wypracowania dla siebie i Joanny, czytała dwie listy lektur, własną i tę klasy wyżej, żeby odrabiać zadania domowe Tomka. Z równą biegłością robiła bezbłędne notatki z historii i biologii, jak i z fizyki czy języka angielskiego. Potrafiła napisać dwie klasówki w tym czasie, w którym inni uczniowie mieli problem z napisaniem jednej. Najbardziej niezwykle było jednak nie to, ile potrafiła przyswoić, lecz w jak naturalny sposób rozdawała swoje notatki, zadania domowe, ściągę na klasówki. Jakby jej ciężka praca nie miała dla niej wartości.

Tomek nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Nagle Julia, nim zdążył przestąpić próg klasy, położyła dłoń na jego ramieniu, po czym wspierając się na nim i krzywiąc z udawanego bólu, podskoczyła na jednej nodze.

– Pani profesor, przepraszam bardzo. Potknęłam się na schodach, chyba skręciłam kostkę. Tomek i Asia pomogli mi wejść na piętro.

Matematyczka była potężną kobietą, której oczy zawsze patrzyły srogo zza grubych szkieł okularów. Miała jednak słabość do tej bystrej dziewczyny. Skinęła jedynie głową i zapytała, czy idzie do szkolnej pielęgniarki i czy potrzebuje, żeby ktoś ją zaprowadził. Julia pokręciła głową.

– Idziemy na lekcję historii. Nie chcemy się spóźnić, Asia mi pomoże.

Tomek ruszył między ławki z pochyloną głową. Joanna zamknęła za nim drzwi klasy i jeszcze przez sekundę patrzyła przez wąskie okienko, jak zajmuje miejsce i rzuca porwany plecak obok krzesła.

Posadzono je obok siebie w ławce już w pierwszej klasie i nawet w dzienniku ich nazwiska stały jedno pod drugim. Numer dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć. Joanna zapamiętała to doskonale. „Joanna Sandorska. Obecna! Julia Sawicka. Obecna!” Były najmniejsze z grupy. Julia, ponieważ decyzją poradni pedagogicznej ominęła zerówkę, była więc rok młodsza, Joanna, ponieważ wiecznie była niejadkiem, wzrostem ledwo nadążającym za rówieśnikami. Obie ciemnowłose i niebieskookie, mogły uchodzić za siostry. Zostały jednak przyjaciółkami, choć Joanna nigdy nie potrafiła zrozumieć, czym sobie na to zasłużyła. Nie miała zbyt wiele do zaoferowania, poza swoim absolutnym uwielbieniem.

– Asia, Asia... – Przyjaciółka trąciła ją łokciem i przesunęła w jej stronę zwitek papieru wystający odrobinę spod jej płasko leżącej na ławce dłoni.

Joanna wyjęła go powoli i opuściła na kolana. Rozwinęła go, nie spuszczając wzroku z nauczycielki historii.

– Po sejmie elekcyjnym Sobieski miał zasiąść na tronie, lecz wobec trudnej sytuacji państwa przyszyły władca chwilowo zrezygnował z koronacji, którą odbył dopiero w 1676 roku.

Zerknęła na kartkę, a potem prawie niezauważalnie skinęła głową. Julia odpowiedziała uśmiechem.

– Za najpilniejsze zadanie dla Rzeczypospolitej król Jan III Sobieski uznał zawarcie pokoju z Turcją, odzyskanie ważnego strategicznie Kamieńca Podolskiego...

Po szkole pożegnały się szybko i zgodnie z tym, co widniało na zworku papieru, umówiły się za dwie godziny. Rodzice Julii wymagali, by córka najpierw odrabiała prace domowe, więc po szkole zawsze była uziemiona. Joanna czekała pod sklepikiem, gdzie kupiły lody truskawkowe w małych plastikowych kubeczkach,

ich ulubione, po czym gawędząc o pracy domowej i o tym, co jadły na obiad, ruszyły do domu Tomka. Mimo że Kościuszki była główną ulicą przecinającą miasteczko, ciasno stojące wzdłuż niej kamienice nadgryzione były zębem czasu i często zaniedbane. Przez bramę wjazdową weszły na zawalony starymi sprzętami dziedziniec. Już tam usłyszały znajomy głos. Joanna poczuła, jak wszystkie włosy stają jej dęba, a nogi dziwnie drętwieją i zwalniają.

– Ty smarkaczu pieprzony! – dobiegło ich uszu. Jakiś mebel został przesunięty, z impetem szorując po drewnianej podłodze. – Tak się będziesz do ojca odzywał?! Myślisz, że wszystko ci wolno, gówniarzu?!

Julia przystanęła i nie oglądając się za siebie, wyciągnęła dłoń w stronę przyjaciółki. Kiedy ich palce zetknęły się, Joanna poczuła przypływ odwagi. Powoli skierowały się do drzwi na parterze. Pokonały kamienne schodki i przy akompaniamencie przekleństw wcisnęły dzwonek do drzwi.

Ojciec Tomka stracił pracę po raz trzeci tamtego roku. Choć nigdy nie było wiadomo, czy pił, bo go wyrzucono, czy wyrzucono go, bo pił. Jedno było pewne. Gdy pił, bił. Najczęściej Tomka, bo ten chętniej zbierał razy niż reszta rodzeństwa, a matka wiecznie pracowała i była jedynym źródłem utrzymania rodziny.

– Czego tam? – Chrapliwy głos wyprzedził postać, która szybko ukazała się w ciemnym korytarzyku.

– Dzień dobry. Czy jest Tomek? – Głos Julii był nad wyraz uprzejmy, ale jej palce zacisnęły się kurczowo wokół dłoni Joanny.

– Tomek dziś nie wyjdzie. Musi się uczyć.

– Szkoda. A jutro?

Joanna kątem oka widziała sylwetkę przyjaciela, który niepostrzeżenie wyskoczył przez okno i zniknął w bramie.

– Jutro musi pomóc matce w domu. A wy co? Nie macie pracy domowej, że się włóczycie po mieście?

– Już odrobione.

– To zmykajcie stąd. Do domu!

– Do widzenia...

Joanna czuła ucisk w podbrzuszu, gdy biegły dziedzińcem w stronę bramy. Wypadły z niej, sapiąc. Tomek siedział na ławeczce przystanku autobusowego. Miał czternaście lat i takie pokłady wściekłości w sobie, że zasiliłby całą klasę.

– Zmywam się stąd – powiedział, kiedy wciąż jeszcze dysząc i oglądając się za siebie, podeszły do niego.

– Jadłeś coś? – Julia usiadła obok niego. Joanna miała wrażenie, że w mgnieniu oka jej bliskość odprężyła go nieco. Pokręcił głową z pochmurną miną.

– Chodźmy do mnie. Babcia zrobiła pierogi i powiedziała, że wyszło jak dla całego pułku wojska. – Joanna mieszkała w czteropiętrowym bloku na pobliskim osiedlu. Trzypokojowe mieszkanie dzieliła z babcią, mamą i starszą siostrą. Mama pracowała, babcia zajmowała się domem i dwiema dziewczynkami. Po śmierci ojca zostały same, ale radziły sobie dobrze bez męskiej ręki. Może to właśnie dlatego Tomek był w ich domu bardzo lubiany. Babcia często podkarmiła chudego chłopaka i narzekała, że sterczą mu kości, że rośnie i musi jeść. On, ilekroć akurat był u nich, wnosił jej zakupy na trzecie piętro albo przynosił wiadro ziemniaków z piwnicy. Dla niego zawsze znajdowała dodatkową porcję obiadu.

Patrzyły z Julią, jak zjada pierogi z takim zapałem, jakby nie jadł od tygodnia.

– Pomóc coś babci? – spytała Joanna.

– Lekcje odrobiłaś?

Skinęła głową.

– To już mi wystarczająco pomogłaś. Uciekajcie stąd na powietrze, na słońce, nie ma co siedzieć w domu, jak taka pogoda! Tylko na kolację wróć!

Prawie wypchnęła ich za drzwi. Włoczyli się trochę po osiedlu, gawędząc o niczym i skrupulatnie unikając drażliwych tematów. Wtedy Tomek dojrzał autobus.

– Chodźcie! – Machnął na nie ręką i pobiegli.

Wskoczyli do autobusu chwilę przed tym, gdy drzwi zasunęły się sykiem. Pojazd ruszył, kolebiąc się po nierównej drodze.

– Nie mamy biletów – szepnęła Joanna w panice.

Tomek wzruszył ramionami.

– Jedzie do Starego Folwarku, ale przed Gawrych Rudą i tak nigdy nie sprawdzają biletów. Wiem, bo często tam jeżdżę do dziadków.

Wysiedli na pierwszym przystanku w wiosce i ruszyli dalej piechotą wzdłuż asfaltowej drogi z pojedynczymi domami jednorodzinnymi po jednej stronie i polami rozciągającymi się po drugiej. Wkrótce zboczyli w piaszczystą ścieżkę pnącą się lekko pod górę i po paru minutach dotarli do zadrzewionego terenu. Tam droga się urywała, gdzieś tam stały ogrodzone domki letniskowe, puste jeszcze o tej porze roku. Zalesiony teren schodził ostro w dół, a między czubkami drzew widać było błękitną wodę małego jeziora Staw. Tomek poprowadził ich stromym zboczem w dół. Joanna miała wrażenie, że mógłby tę drogę pokonać z zamkniętymi oczami, zdawał się znać ją tak dobrze. W końcu dostali się tuż nad brzeg jeziora. Parędziesiąt metrów dalej pokazał im małą plażę z pomostem tak starym, że jego koniec zanurzał się w wodzie, a co druga deska była wyłamana.

Tomek bez słowa ściągnął podkoszulek, na którym nadal widniała plama z krwi, i zsunął spodenki.

– Tomek, co ty robisz? Woda jest jeszcze za zimna... – zaczęła Julia, ale kiedy wyprostował się i ich oczom ukazały się posiniaczone plecy, jej głos zamarł. Odwróciła wzrok.

– Najgorsze jest nie to – powiedział tak poważnym tonem, że Joanna spodziewała się jakiegoś wyznania – że zimna, ale że mokra – dokończył.

W samych bokserkach, bez chwili wahania wszedł na pomost tak daleko, jak pozwalała na to wątna konstrukcja, która zakołysała się pod jego ciężarem, a potem uniósł ramiona, złożył dłonie i zniknął. Joanna pomyślała, że bardziej wślizgnął się pod powierzchnię wody, niż wskoczył. Chwilę potem patrzyły, jak płynął zwinnie niczym ryba, pokonując lśniąca w słońcu taflę jeziora. Julia zerknęła niepewnie na Joannę.

– Nie wiem, czy ten pomost utrzyma nas obie – zauważyła.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Joanna uśmiechnęła się i zdjęła buty.

Ostrożnie weszły na pomost i omijając połamane deski, usiadły na środku. Spuściły nogi w błękitnozieloną toń. Joanna przypomniała sobie, że dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy ciało zetknęło się z przyjemnie chłodną wodą. Obserwowała małe rybki, które całą grupką poruszały się wokół jej stóp jak jeden organizm, choć przecież nadal osobno. Dziewczyny machały nogami, chlapiąc wokół i śmiejąc się głośno. Małe, gęsto otoczone drzewami jezioro dawało im poczucie, że są tu zupełnie sami, ukryci przed światem. Joanna podniosła wzrok i osłaniając oczy od słońca, obserwowała Tomka, który zbliżał się do nich. Jego dłonie chwyciły brzeg pomostu. Podciągnął się i wgrzebał na deski. Opadł ciężko obok.

– Jesteś w tym naprawdę dobry – powiedziała Julia.

Tomek leżał cicho ze stopami nadal zanurzonymi w wodzie.

– W czym? – zapytał po chwili rozleniwionym głosem.

– W pływaniu. Po prostu... człowiek ryba! – Entuzjazm Julii był lekko przerysowany, ale Joanna rozumiała doskonale, co przyjaciółka miała na myśli.

– Jasne... – mruknął Tomek z wyraźną ironią. – Ja się do niczego nie nadaje. Ty masz lepiej, jesteś dobra we wszystkim – powiedział w końcu.

– Nie. Nie umiem pływać.

Wzruszył ramionami, nie patrząc na nią.

– We wszystkim oprócz pływania.

– Serio tak myślisz? Wydaje ci się, że to jest łatwiejsze? Być dobrym we wszystkim?

Tomek usiadł i popatrzył na nią lekko zaskoczony. Kropelki wody na jego ciele błyszczały w słońcu, jak gdyby był obsypany gwiazdami.

– Jak się jest we wszystkim dobrym, wszyscy oczekują od ciebie, że będziesz mieć najlepsze wyniki. Zawsze. Jak ci się noga powinie, nie da się tego nie zauważyć. I ty musisz tym oczekiwaniom sprostać. Tyle że nikt się nie zachwyca.

Od ciebie nikt nic nie oczekuje, ty możesz jeszcze wszystko zdobyć. To jak myślisz, co ma większą wartość?

Zapadła chwila ciszy. Tomek przez chwilę ugniatał własną pięść, aż chrzęściły stawy. Może było mu głupio, a może nie chciał się sprzeczać.

– Najważniejsze pytanie to nie, czy jesteś w stanie coś zdobyć, lecz co chciałbyś zdobyć.

Joanna popatrzyła uważnie na Tomka, którego oczy wpatrzone w błyszczącą taflę nagle stały się jakby nieobecne. Zastanawiała się, gdzie błądzą jego myśli.

– No? – dopytywała się Julia.

– Chciałbym – zaczął ostrożnie – zdobyć medal olimpijski w pływaniu. Gdybym mógł... – dodał już nieco mniej rozmarzonym głosem.

– Mógłbyś – powiedziała Joanna. Nagle zdała sobie sprawę, że nieczęsto, a może nawet nigdy, Tomek mówił o swoich marzeniach. Jakby nie dawał sobie do nich prawa. Albo po prostu wiedział, że tam, gdzie gra toczy się o przetrwanie, nie ma miejsca na fantazje. – Mógłbyś – powtórzyła twardo, choć już bardziej do siebie, bo chciała wierzyć, że niezależnie, skąd pochodzimy i jak zaczynamy nasze życie, jesteśmy w stanie dotrzeć tam, gdzie pragniemy.

– Tylko w naszym mieście nie ma nawet basenu – rzuciła Julia pragmatycznie, wydymając wargi, jakby to akurat ten fakt był największą przeszkodą w zdobyciu olimpijskiego medalu. – Musisz stąd wyjechać. Jak tylko będziesz mógł. Gdzieś, gdzie mają basen!

On zaśmiał się lekko i spojrzał na nią spode łba.

– Nie wiem, po co oni cię na te matematyczne olimpiady wysyłają, przecież na pierwszy rzut oka widać, że będziesz polonistką.


Popchnęła go z udawaną złością, na co podniósł się i wrzeszcząc wniebogłosy „Litwo, ojczyzno moja...!”, wskoczył w toń, opryskując je wodą. Tak go zapamiętała z tamtego okresu. Jego chude, lecz prężne ciało noszące znaki przemocy, rozciągnięte w łuk tuż przed skokiem, ze złotą otoczką lśniącego słońca, które przysłonił, gdy stał na pomoście. Przez chwilę blask promieni oślepił ją na

dobrze. Przez zmrużone powieki próbowała dojrzeć postać Tomka w jeziornej toni. Bezskutecznie.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, znów siedziała w pociągu NS, a głos z głośnika oznajmiał postój na stacji Almere, na której musiała przesiąść się do intercity jadącego do Leeuwarden. Rozejrzała się wokół nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie pamiętała, dokąd zmierzała ani po co. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Podniosła się w pośpiechu i skierowała w stronę drzwi pociągu.

Znajdzie go. Choćby miała szukać na dnie najgłębszego jeziora.

7

 Tomek z przyjemnością patrzył na jej zwinne palce. Napełnił ich lampki winem i oparł się o kuchenną wyspę, przy której blacie Lia, używając bambusowych mat, zawijała sushi. Była zmęczona, ale nawet wtedy jej twarz wydawała mu się piękna. Zastanawiał się, co doskwierało jej bardziej: praca czy ostatnia sprzeczka z Jasperem. Obserwował od dawna jej zmagania z wychowaniem nastolatka, który nie należał do najłatwiejszych. Lia zapytała go kiedyś, dlaczego nigdy nie komentuje wybryków Jaspera. W jej oczach jego spokój w obliczu powtarzających się nieprzyjemnych sytuacji urósł do rozmiarów heroicznego aktu. Wyznała mu, że często było jej wstyd, że nie potrafiła poradzić sobie z dorastającym synem, a mimo to w obecności Tomka czuła się bezpieczna i nieoceniana. Odparł zgodnie z prawdą, że nie miał prawa osądzać jej metod wychowawczych, nie miał pojęcia, z czym się boryka, nigdy bowiem nie przyszło mu wychowywać samotnie dziecka. A to w jego oczach było aktem heroicznym.

– Czuję się taka... bezradna – powiedziała wtedy z rozbijającą szczerością.

Przytulił ją i dopiero po chwili odezwał:

– To skutek uboczny miłości. Sprawia, że jesteśmy silni... i bezsilni.

Do tej pory zadziwiało go, jak ich relacja z czystej seksualnej fascynacji przerodziła się w dojrzały, pełen szczerości związek dwojga ludzi, z których każde

miało swoją autonomię, a jednak pozostawało związanymi z wyboru.

Popatrzył na jej zmarszczone czoło i skupioną twarz. Podejrzewał, że powodem był Jasper, postanowił więc zapytać o pracę, żeby odwrócić jej uwagę.

– Słuchałaś już wiadomości?

– Hm? – Odłożyła na tacę idealnie zwinięty kawałek sushi.

– Lois Bakker. Słyszałaś najnowsze wieści?

Skinęła głową, choć nie wydawało się, żeby odkrycie ciała młodej kobiety zrobiło na niej wrażenie.

– Straszna sprawa. Internet podobno huczy. Wszyscy są w szoku – mówił dalej.

– A czego się spodziewali? Że ona po dwóch tygodniach wróci i powie, że pomyliła ścieżki rowerowe? Przecież było wiadomo, że szanse na odnalezienie jej całej i zdrowej są niemal zerowe. Nie mów mi, że ciebie zdziwiła ta wiadomość?

Tomek spojrział na nią z zaciekawieniem. Lia zawsze imponowała mu realistycznym podejściem do życia. Ale teraz nawet on sam poczuł się zaskoczony jej oschłą reakcją na wieść o tragedii.

– Nie zdziwiła, ale zasmuciła może...?

Lia zerknęła na niego z mieszaniną pobłażania i irytacji, po czym wzruszyła ramionami.

– I co jej twój smutek teraz pomoże? – zapytała szorstko. – Szukał jej cały kraj. Zatrzymaj na ulicy pierwszego lepszego przechodnia i powiedz jej imię, będzie wiedział, o kim mówisz. Och, spróbuj tego samego w Amsterdamie czy Hadze... Tam też będą wiedzieć! I nie zapomnij wpisać jej nazwiska w wyszukiwarce w internecie. Podejrzewam, że z dwadzieścia procent populacji w tym kraju nosi nazwisko Bakker, ale to Lois wyskakuje pierwsza. Sprawę rozdmuchano do rozmiarów klęski narodowej. Dla jednej dziewczyny! – Prawie wypluwała z siebie słowa z goryczą, której smak poczuł w ustach on sam.

– Również dzięki tobie – zauważył. – Ty też zdecydowałaś się umieścić w gazecie artykuł o Lois... – zaczął niepewnie, niezupełnie rozumiejąc jej złość.

Dopiero wtedy zauważył, że jej dłoń drżała, a wzrok uparcie utkwiała w bambusowej macie. – Lia?

– To też jej nie pomogło... – powiedziała cicho i zorientował się, że na bambusową matę kapią łzy.

– Jezus, Lia... – Przygarnął ją do siebie, choć protestowała. – Ty też masz prawo płakać.

Chciał ją pogłaskać, ale uwolniła się z jego ramion i otarła oczy wierzchem dłoni.

– A co to da? Nawet jej nie znałam. Postawisz to na stole? – Podała mu tacę, kończąc tym samym rozmowę. Popatrzył na nią zaniepokojony, ale wyraz jej twarzy zmienił się nagle i nie było na niej śladu po tej krótkiej chwili słabości.

Pamiętał, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Powiedziała mu, że na tarasie jej apartamentu przecieka rynna. Oboje wiedzieli, że był to jedynie pretekst, jednak Tomek potraktował usterkę poważnie i kiedy otworzyła mu drzwi, wniósł ze sobą skrzynkę z narzędziami i przez kolejną godzinę pozwolił jej patrzeć, jak naprawia ciekącą rynnę i wyjmuje mokre deski. Długo po tym wyznała mu, że przez jakiś czas myślała, że to, do czego doszło między w nimi w biurze, było jednorazowe, a jego interesowała tylko zepsuta rynna.

Taras przestronnego apartamentu wychodził na centrum Leeuwarden. Rozciągał się z niego widok na fontannę z Merkurym stojącą przed budynkiem biblioteki i szerokie wody kanału biegnącego przy Wirdumerpoortsdwinger oraz most ponad nim. To miejsce tętniło ruchem – centra handlowe, duży podziemny parking, biblioteka oraz położenie sprawiały, że przez otaczające apartament ulice przepływał nieustanny strumień aut, rowerów i ludzi.

– Świetna jakość. Wyschną i będą jak nowe. Wyczyściłem przestrzeń między nimi, osuszyłem izolację pod spodem, a rynna nie będzie już przeciekać – powiedział, umieszczając deski w podłodze. – Zaraz tu posprzątam i gotowe.

Kiedy skończył i zamknął skrzynkę z narzędziami, stał jeszcze przez chwilę, obserwując Lię przez oszklone drzwi tarasowe, za którymi w nowocześnie

urządzonym salonie umieszczono designerskie meble i lampy. Pomyślał wtedy, że ona sama pasuje do tego wnętrza, w swojej idealnie przylegającej do ciała spódnicy i bluzce, której podwinięte rękawy odsłaniały subtelną biżuterię. Mimo że już dawno wyszła z biura, nadal miała na stopach szpilki. Dopiero po chwili zauważyła, że jest obserwowana, i zdjęła okulary, których używała do czytania. Poczul się przyłapany, ale nie miał wątpliwości, że sposób, jaki na nią patrzył, sprawił jej przyjemność. Wszedł do mieszkania i przez moment zastanawiał się, czy nie zepsuje wystroju.

– Napijesz się czegoś? – spytała, a gdy zauważyła, że się waha, dodała w lekkiej panice: – Rozumiem oczywiście, że jest już późno i pewnie się spieszysz albo masz inne plany...

– Nie mam. Chętnie. – Przerwał jej i odstawił skrzynkę z narzędziami, która już kompletnie zrujnowała *intérieur*.

Nie został na noc. Ani wtedy, ani przez kolejny rok, ale ich spotkania stawały się coraz częstsze i coraz intymniejsze. I w końcu Tomek poczuł, że Lia stała się częścią jego życia. Choć prawda była taka, że to on stał się częścią jej życia i niepostrzeżenie wpasował w wystrój wnętrza.

8

Joanna wysiadła na stacji w Leeuwarden. Dzięki licznym podróżom nauczyła się panować nad uczuciem paniki, którego doznawała za każdym razem, gdy włączała się w rwący nurt ludzkich ciał na stacjach lub lotniskach. Zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku wyjścia ze stacji, kierując się tabliczkami. Kiedy wreszcie wydostała się z budynku, okazało się, że na zewnątrz czeka ją jeszcze gorszy tłok. Dopiero po chwili dojrzała ogromne dźwigi na placu przed stacją. Ruszyła w prawo, zdecydowana wejść do pierwszego napotkanego hotelu. Zostawiła za sobą zbiegowisko i dopiero wtedy po drugiej stronie ulicy dojrzała jednopiętrowy brązowy budynek z oszklonym tarasem i szarymi osłonami okiennymi. Hotel Oranje. Przebiegła jezdnię i pewnym krokiem weszła do środka, gdzie powitał ją przytulny i zarazem nowoczesny wystrój sali recepcyjnej.

Wkrótce zamknęła za sobą drzwi do przestronnego pokoju z oknami wychodzącymi na ruchliwą ulicę. Nie zdejmując płaszcza ani butów, rzuciła się na pachnącą pościel i z ramionami rozrzuconymi na boki wpatrywała się w śnieżnobiały sufit. Była blisko. W tym samym mieście. Był tutaj. Gdzieś w tej sieci ulic poprzepłatanych kanałami. Ona sama czuła się schwytna w sieć wspomnień, które prześladowały ją jak plaga niewidzialnych insektów. Wypełzały znikąd i gryzły w najczulsze miejsca.

—————

Dla Julii Tomek był zjawiskiem. Nie trzeba było wyteżać wzroku, by zauważyć, że fascynowało ją wszystko, co robił od pierwszej chwili, gdy pojawił się w zasięgu jej spojrzenia. Nawet jeśli to, co robił, należało do kategorii rzeczy nieodpowiedzialnych, niebezpiecznych lub zwyczajnie głupich.

Joanna dokładnie pamiętała pierwsze spotkanie z Tomkiem. Miała wtedy sześć lat. Był koniec wakacji i niedługo miała pójść do zerówki. Była w odwiedzinach u dziadków, mieszkających w kamienicy przy głównej ulicy miasta. Okna kuchni wychodziły na dziedziniec, gdzie dziadek zbudował dla niej małą piaskownicę. Rzadko bawiła się z dziećmi z domu po drugiej stronie podwórka. Głośno krzyczały, kopiąc piłkę o ściany budynku, więc Joanna trzymała się z daleka. Jej siostra za to chętnie wybiegała na plac, żeby uczestniczyć zarówno w grach, jak i kłótniach. Tamtego dnia babcia upiekła ciasto drożdżowe ze śliwkami, którego zapach roznosił się po podwórzu. Joanna siedziała na ławce pod oknem i ze smakiem zjadała swój kawałek, gdy pod jej nogi potoczyła się piłka. Patrzyła na nią przez chwilę i na swoje obute w lakierki stopy, które przestały radośnie tańczyć.

– No kopnij! – usłyszała poirytowany głos i podniosła wzrok. Miał brudne ręce i przybrudzoną twarz, zasmarkany nos i potargane włosy. Oczy zabłysły mu, gdy jego wzrok padł na kawałek ciasta. Widziała to nawet z daleka. I to, jaki był wychudzony. – Kopnij! – zawołał raz jeszcze, ale z jakiegoś powodu ona nie mogła się ruszyć.

Podbiegł do ławki, na której siedziała, i zerknął na nią ze złością.

– A ty co? Kaleka? Kopnąć nie umiesz? – rzucił w jej stronę i już miał odejść, kiedy Joanna kierowana impulsem pokazała mu język.

– Brudas! – syknęła.

Jego oczy rozszerzyła wściekłość. W okamgnieniu machnął ręką, wrywając z jej dłoni ledwo nagryziony kawałek ciasta i kopiąc przed sobą piłkę, ruszył biegiem na drugą stronę dziedzińca. Zabawna rzecz z tą przestrzenią. Kiedy Joanna wiele lat później weszła przez bramę kamienicy na to samo podwórko, zdumiało ją,

jakie było małe. Jak gdyby otaczające je budynki z upływem czasu zacieśniały krąg. Ławeczka pod oknem zniknęła razem z piaskownicą. A jednak między ścianami kamienic nadal unosiło się echo wspomnień.

– Babciu! – Joanna zerwała się z ławki i biegiem ruszyła w stronę drzwi. – Babciu! On mi zabrał ciasto! – krzyczała przez łązy. Nie płakała z bólu, lecz z upokorzenia, do którego nie chciała się przyznać.

– Co się stało? – Pomarszczone ciepłe ramiona otoczyły ją i przygarnęły.

– Ten chłopak! Ten chłopak z drugiej strony podwórka! Zabrał mi ciasto! – Joanna pominęła to, że go obraziła, i nie wspomniała o pokazanym języku. W oczach babci była dzieckiem idealnym i takim chciała pozostać.

– Asia, przestań płakać. – Babcia wzięła ją za rękę i ruszyła na dziedziniec.

– Nie! – Joanna próbowała protestować, ale babcia okazała się niewzruszona.

Wyszły na podwórko.

– Tomek! – Na dźwięk swojego imienia chłopiec obrócił umorusaną twarz. Przez moment Joannie wydawało się, że widok starszej kobiety ucieszył go, ale jego wzrok przesunął się na postać stojącej obok niej dziewczynki i jego twarz przybrała wyraz irytacji.

Opornie ruszył w ich stronę i stanął pokornie przed kobietą.

– Tomku, to moja wnuczka Joasia. Powiedziała mi, że zabrałeś jej ciasto. Dlaczego to zrobiłeś?

Chłopak otworzył usta.

– Bo ona... – zaczął i jego chude ciało zdawało się trząść pod naporem emocji, dziwnej mieszanki wstydu i złości. Spojrzał na przerażoną twarz Joanny i zamilkł.

– Byłem głodny – bąknął wreszcie i pod warstewką brudu na jego policzkach wykwitł rumieniec.

– Powinieneś był poprosić o kawałek. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani. – Tomek pochylił głowę, a Joanna zapamiętała narastające uczucie upokorzenia, kiedy zdała sobie sprawę, że nie poskarżył się babci na jej brzydkie zachowanie.

– Nieważne, jak bardzo jesteś głodny, nie możesz zabierać innym jedzenia, chłopcze. Masz przyjść do mnie. Za każdym razem. Po prostu przyjdź do mnie.

Jako sześciolatka Joanna nie rozumiała, dlaczego babcia koniecznie musiała dzielić się pysznym ciastem z tym chłopcem, z tym brudnym, chudym, nieznanym chłopcem z drugiej strony podwórka. Dopiero lata później, gdy jako dojrzewająca dziewczyna słuchała historii babci o wojnie, strachu i głodzie, tamten kawałek nabrał innego znaczenia.

Parę minut potem siedzieli obok siebie na tej samej ławeczce. On pochłaniał swoją porcję drożdżowego ciasta z prędkością światła, ona obracała swój w dłoni. Chęć na smakołyk już dawno minęła. Nie patrzyła na niego, ale kiedy skończył jeść, wyciągnęła dłoń z ciastem.

– Chcesz? – spytała, a on wziął go z jej ręki, przełamał i podał jej połowę.

– W piłkę nie umiesz, to może w chowanego? – zapytał i wytarł nos wierzchem dłoni. Kiedy nie odpowiedziała, dodał zachęcająco: – Mogę się schować jako pierwszy, jak wolisz?

– To ja będę szukać – powiedziała wreszcie i wsadziła swój kawałek placka do ust.



Joanna obróciła się na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Skulona patrzyła w stronę okna, za którym obce jej miasto tętniło ruchem i dźwiękami. Ponad trzydzieści lat później nadal grali w tę samą grę i ona nadal była tą, która musiała szukać.

Leżała tak długo, że światło wpadające z za zasłon poszarzało, a potem niepostrzeżenie zmieniło się w mrok. Jej ciało zdrętwiało, głód przybrał formę nieznośnego ssania w okolicach żołądka, a kłujące wspomnienia powoli odeszły za ścianę mgły, która ogarnęła Joannę jak sen. Kiedy obudziła się wreszcie, był środek dnia, chociaż nie miała pojęcia, jak długo spała. Mimo głodu i otumanienia zbyt długim snem wiedziała, co ma robić.

9

Lia obudziła się za wcześnie. Z rozkoszą wsunęła się głębiej pod kołdrę i w ciemnościach, po omacku dłonią odszukała ciepłe ramię Thomasa. Miał piękne ciało, bardziej pływaka niż budowlańca, wąskie w talii, szerokie i dobrze umięśnione. W jego brązowych włosach, najczęściej krótko zgolonych na języka, widać było już pierwsze przebłyski siwizny, choć był parę lat młodszy od Lii.

To, co zaczęło się jako związek na chwilę, który miał dać Lii odrobinę przyjemności i dreszczyku, dość szybko przerodziło się w najstabilniejszą relację w jej dotychczasowym życiu. Thomas dawał jej poczucie przynależności bez osaczania. W nienarzucający się sposób pozostawał w pobliżu, szanując jednak jej prywatność i potrzebę niezależności. Miał niezwykły dar wyczuwania jej potrzeb i nastrojów. Każde z nich miało swój dom, swoją pracę, oddzielne finanse i wspólne plany. Na początku ich relacji Thomas nigdy nie zostawał na noc, dopóki wyraźnie go o to nie poprosiła, i nawet po tamtej pierwszej wspólnej nocy nie przeciągał wyjścia do domu. Lia pamięta, że pewnego dnia zwierzyła się w końcu Hiske. Nie żeby Hiske nie miała pojęcia o ich relacji. Musiała widzieć ich razem, wiele mówiące spojrzenia i uśmiechy. Lia była świadoma, że trzymanie wszystkiego w tajemnicy dłużej nie działało na jej korzyść. Zresztą renowacja

redakcji dobiegła końca i Thomas nie miał już wytłumaczenia na swoje wizyty w biurze Lii. Jadły sałatki, kiedy wreszcie wyrzuciła z siebie:

– Pewnie zauważyłaś, że Thomas często u mnie bywa...

Hiske odłożyła widelec. Jej uśmiech wiele zdradzał.

– Tak? – spytała, przekornie nie ułatwiając jej niczego. – Nie, jakoś nie zwróciłam uwagi. Cały ten remont trwał dłużej, niż przewidywano. Nie wspomnę już o kompletnym chaosie i pyle, który nadal wysypuje mi się z szuflad biurka. A minęło już parę tygodni, odkąd skończyli!

Zamilkła i utkwiała oczy w Lii.

– Jesteśmy ze sobą.

– Och...

– Nie patrz tak na mnie. On jest... niezwykły.

Lia poczuła przyjemny ścisk w żołądku. Wypowiedzenie na głos tych słów uruchomiło serię chemicznych reakcji w jej mózgu. Miała ochotę zacząć mówić i nie przestawać. Zamiast tego włożyła do ust listek rukoli i rozgryzając go, poczuła lekko pikantny smak. Próbowwała ostudzić swój nadmierny entuzjazm i nie zdradzać więcej, niż powinna.

– Nigdy nie byłam w tak idealnym związku – próbowała tłumaczyć się przyjaciółce. – Mam wrażenie, że on jest brakującym elementem, który perfekcyjnie pasuje do mojej układanki. Nie potrafię wymienić nawet jednej jego wady lub irytującego zachowania. Czasem zastanawiam się nawet, czy on naprawdę istnieje.

Hiske uniosła brwi. Popatrzyła na nią sceptycznie i nie ukrywała, że nie podziela jej entuzjazmu. Pokręciła głową, jej jasne, zawsze idealnie obcięte proste włosy zakołysały się wokół pociągłej twarzy, na której odmalował się wyraz lekkiego zgorszenia. Lia wiedziała, że Hiske, podobnie jak ona, była samotną matką. Pamiętała dokładnie ich pierwsze spotkanie i przyjemne uczucie, którego doznała, patrząc na wysoką sylwetkę i promieniującą z niej pewność siebie. Lia nigdy nie robiła tajemnicy z powodów, dla których zatrudniła kobietę lata temu.

Ponieważ Hiske rzadko opowiadała o przeszłości, a Lia nie miała zwyczaju wtykać nosa w życie innych ludzi, podejrzewała, że przyjaciółka, tak samo jak ona, miała za sobą trudny rozwód. Lia chciała mieć przy sobie kogoś, kto nie oceniałby jej za jej przeszłość i miał przynajmniej podstawowe zrozumienie dla walki, którą musiała stoczyć, by dotrzeć tak wysoko. Nieraz mówiła przyjaciółce, że szczyt „Chic” osiągnęły razem.

– A co na to Jasper? – Hiske spytała Lię, która w napięciu oczekiwała na reakcję przyjaciółki.

Wzruszyła ramionami z uśmiechem.

– Musi przywyknąć. Sama wiesz, jaki on jest. Do tego wchodzi w trudny wiek i z wszystkiego robi problemy. Może dziś jeszcze przyjaciółmi nie zostaną, ale jak podrośnie i zrozumie pewne sprawy, będzie mu łatwiej zaakceptować, że poza jego mamą jestem też kobietą.

– Thomasowi musi być trudno z tą wrogością Jaspera... – zaczęła Hiske.

– A skąd. On jest niesamowicie wyrozumiały. Zapewnia mu przestrzeń i nie daje się wciągnąć w żadne słowne zaczepki. Traktuje Jaspera poważnie, a jednocześnie nie odbiera jego nieprzyjemnych zaczepek osobiście. Nie próbuje się też wkupić w jego łaski prezentami czy pochlebstwami. Prawie niemożliwe, że sam nie ma dzieci. Jest w tym tak naturalny. Mam poczucie, że powinnam się uczyć od niego cierpliwości, bo mi samej coraz częściej jej brakuje, jeśli chodzi o Jaspera. Czasem jest tak niemożliwy i okropnie irytujący, że doprowadza mnie do szału. Ale nawet wtedy Thomas nigdy nie komentuje moich metod wychowawczych.

– Skąd wiesz? – spytała Hiske.

– Skąd wiem co?

– Że nie ma dzieci. Pytałaś?

– Nie, ale kiedyś, po jakiejś mojej kłótni z Jasperem, której akurat niestety był świadkiem, spytałam go, czemu nigdy mi nie powie, że jestem kiepską matką. Odparł wtedy, że nigdy nie ważyłby się czegoś takiego powiedzieć i że on sam nie

ma pojęcia, jak to jest wychowywać dziecko, do tego samotnie, więc podziwiałam moje próby dotarcia do Jaspera. Nikt jeszcze nie sprawił, że poczułam w jednym momencie zrozumienie i wsparcie.

– Brzmi jak jakiś psychopata – odezwała się Hiske i nim Lia zdążyła zaprotestować, dodała: – Idealni faceci nie istnieją. Za tą perfekcją zawsze kryje się jakaś pułapka. – Wymierzyła w nią widelec. – Żebyś potem nie mówiła, że cię nie ostrzegałam.

Minęły cztery lata i słowa Hiske zatarły się. Umarły jak roślina, która nie miała gdzie zapuścić korzeni. Lia czuła się spełniona i szczęśliwa. Poza drobnymi rzeczami uważała swoje życie za idealne. Co więcej, była przekonana, że całkowicie na nie zasługuje.

Choć nastawienie Jaspera do Thomasa nigdy nie uległo poprawie, nawet to nie było w stanie zepsuć jej relacji z mężczyzną, o którego przeszłości niewiele wiedziała. Miała świadomość, że czasem była ciekawa i rzucała znienacka jakieś zakamuflowane pytanie. Odpowiadał krótko i bez wahania, lecz nigdy nie zdradził nic osobistego. Nie pytał też Lii o jej własną historię, o byłych mężów lub kochanków, więc rozumiała, że to niepisana reguła w ich związku. Wiedziała zresztą, że szczerść ma zawsze swoje granice i kończy się tam, gdzie zaczynają się niepotrzebne, wścibskie pytania.

Kiedy znów otworzyła oczy, zorientowała się, że przysnęła. Dochodziła ósma. Zimowy mrok za oknem przejaśniał się, a z kuchni dobiegł ją brzęk filiżanek i talerzy. Wyciągnęła dłoń, ale miejsce obok niej było już puste, choć nadal ciepłe. Thomas pewnie przygotowywał śniadanie. Przymknęła powieki. Pozwoliła sobie na jeszcze parę minut lenistwa, po czym narzuciła jedwabny szlafrok na ramiona i podążając za rozprzestrzeniającym się po domu zapachem kawy, skierowała się do kuchni. Po drodze zerknęła na drzwi pokoju Jaspera, które – tak jak się spodziewała – były szczelnie zamknięte. Nigdy nie budził się w dni wolne przed dziesiątą, więc minęła jego pokój, nie poświęcając mu więcej uwagi.

– Dzień dobry – powiedziała. Obrócił się z szerokim uśmiechem. Kroił mango i banany, które Lia uwielbiała dodawać do płatków śniadaniowych. Zjedli

w kuchni, popijając gorącą kawę i skubiąc owoce oraz ciepłe jeszcze rogaliki. Kiedy potem myślała o tej błogiej godzinie sobotniego poranka, gdy dzień dopiero się budził, zastanawiała się, czy był to ostatni szczęśliwy moment jej życia. Czy mogła zmienić bieg historii, gdyby nie stała wsparta o blat, gapiąc się za okno, delektując kawą, nieświadoma tego, że jej idealne, starannie zaprojektowane życie miało obrócić się w koszmar, w którym nic nie było już pod jej kontrolą?

– Zejdę na dół po gazety. Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby zerknąć, jak świat dał sobie bez ciebie radę w ciągu tych paru godzin, kiedy pozwoliłaś sobie na sen.

– Nie tylko na sen. – Uśmiechnęła się filuternie.

Wyszczерzył zęby i zapiął zamek bluzy, po czym ruszył przez salon. Lia zebrała z blatu brudne miseczki i otworzyła drzwiczki zmywarki. Wstawiała naczynia, gdy stanął nagle po drugiej stronie kuchennej wysepki.

– Niedługo pobijesz rekord w najszybszym donoszeniu prasy na dystansie jednego piętra – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad zmywarki.

– Lia? – W jego głosie pobrzmiwało dziwne napięcie i niepokój.

Wyprostowała się momentalnie i popatrzyła na niego pytająco.

– Nie widzę w holu butów i kurtki Jaspera... Może rozebrał się w swoim pokoju...

Nie słuchała go dłużej. Pośpiesznie ruszyła w stronę drzwi pokoju Jaspera. Pchnęła je i stała potem kilka sekund przerażona tym, że łóżko, w którym powinien spać jej syn, było puste.

10

Lia stała w kuchni z telefonem w dłoni i przeklinając bezgłośnie, wsłuchiwała się w sygnał telefonu Jaspera. Pierwszy, drugi, szósty, aż do włączenia się automatycznej sekretarki. Głos Jaspera rozbrzmiał w słuchawce. „Hej, tu Jasper, wiesz, co masz robić”. Prawda była jednak taka, że Lia nie wiedziała. Po pierwszym wybuchu złości, kiedy była przekonana, że po prostu nie wrócił na noc do domu, przyszedł czas na strach. Rzucone w przestrzeń pogróżki na temat konsekwencji, jakie go spotkają, gdy wróci do domu, zmieniły się w ciche modlitwy, by wreszcie pojawił się w drzwiach.

Thomas siedział przy kuchennej wyspie i wpatrywał się w nią bez słowa. Kiedy zrozumiała, że syn nie zamierza odebrać, zaczęła przeglądać kontakty w swojej komórce w poszukiwaniu numerów do jego kolegów.

– No? – W słuchawce odezwał się zaspany głos. Usłyszała, jak chłopak ziewa przeciągle.

– Dzień dobry Koen, z tej strony Lia Kornmann, mama Jaspera. Wiem, że jest wcześnie, ale Jasper nie wrócił do domu na noc i zastanawiam się, czy może został u ciebie.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza i Lii przeszło przez myśl, że może chłopak po prostu zasnął.

– Halo?

– Nie, tu go nie ma.

– Ale był? – upewniała się.

– Taaa... Wczoraj. Ale poszedł do domu, jak zrobiło się późno.

– A o której wyszedł?

– Eeee... Nie wiem, nie pamiętam za bardzo, ale było już późno. Moi rodzice już spali – dodał szybko.

– Był może z wami ktoś jeszcze? A może Jasper mówił, że jedzie do kogoś? Wiesz może, do kogo by poszedł, jeśli nie do ciebie?

– Nie, nie...

– Gdybyś go widział, możesz mu przekazać, żeby zadzwonił do domu, bo się martwię?

– Jasne.

– Dziękuję...


Wybierała numer po numerze. Wyjęła z szuflady kserokopię listy kontaktów do rodziców, którą szkoła sporządzała co roku na wypadek jakiejś sytuacji alarmowej. Obdzwoiła wszystkie telefony domowe i komórkowe dostępne na liście, długopisem zakreślając koło wokół tych, do których nie udało się dodzwonić. Co jakiś czas ponownie wybierała numer komórki Jaspera. Bezowocnie. Odpowiadało jej to samo nagranie. Filiżanka kawy stała nietknięta obok listy nazwisk i numerów telefonicznych.

Lia odłożyła komórkę i przez chwilę stała w milczeniu oparta o blat.

– Lia? Mogę coś dla ciebie zrobić? Może... pokręcę się autem po mieście? Rozejrzę się wokół szkoły... – Głos Thomasa w jej kuchni brzmiał nagle jak nieznośny hałas, przez który nie mogła się skupić.

– Myślę, że powinieneś już sobie iść – przerwała mu szybko. – Muszę zadzwonić do mojego byłego męża. A potem na policję.

Skinął i bez słowa opuścił kuchnię. Chwilę później usłyszała, jak wychodzi.



Musiała wybrać numer trzykrotnie. Za trzecim razem Falco odebrał po czwartym sygnale. Zerknęła na zegarek. Znała go za dobrze i wiedziała, że nie spał.

– Jezus, Lia. – Sapnął w słuchawkę. – Wiesz, że o tej porze gram w squasha. Co jest? Mam nadzieję, że nie dzwonisz, żeby znowu kłócić się o to prawko na skuter. Naprawdę nie mam już na to ochoty i nie wiem, czemu w sobotni poranek jesteś żądna krwi.

Oczywiście wyobraźni widziała jego spoconą, zgrzaną wysiłkiem twarz, w którą miała ochotę chlusnąć wiadrem lodowatej wody.

– Jasper nie wrócił na noc.


– Jak to nie wrócił na noc? To zadzwoń do kolegów!

– Dzwoniłam. Nigdzie go nie ma. Nikt nie wie, gdzie jest. Nie odbiera telefonu. Zaraz wychodzę na policję, ale chciałam najpierw dać ci znać.

– Na policję? Myślę, że przesadzasz. Pewnie zaraz wróci skruszony. Powiedz mu, że jak jeszcze raz wywinie taki numer, to nici z prawka na skuter. To nauczy się wracać na czas...

– Ty zawsze myślisz, że przesadzam – przerwała mu. – Proszę cię, miej przy sobie telefon i gdyby się do ciebie odezwał, daj mi natychmiast znać. Zadzwoń może do jego kolegów u ciebie w mieście... Może coś im powiedział?

Rozłączyła się, nie dając mu już szansy na podważanie jej rodzicielskich kompetencji.



Najbliższy posterunek policji mieścił się przy Heer Ivostraatje naprzeciw placu z krzywą wolno stojącą wieżą kościelną Oldehove. Ulice w sobotni poranek były spokojne i Lia pokonała dystans w kilka minut. Bez trudu znalazła miejsce jak najbliżej wyjścia z parkingu i biegiem ruszyła w stronę posterunku w starej piętrowej kamienicy z wysokimi okiennicami. Jakież było jej zdziwienie, gdy

okazało się, że otwarte jest dopiero od godziny dziewiętej trzydzieści. Usiadła na stopniach schodów i wpatrywała się w zegar na kościelnej wieży wskazujący kwadrans po dziewiętej. Wyciągnęła telefon i po raz kolejny wybrała numer Jaspera. „Hej, tu Jasper, wiesz, co masz robić. Hej, tu Jasper, wiesz, co masz robić. Hej, tu Jasper, wiesz...”

– Mogę w czymś pomóc? – Lia zerwała się ze schodów, u szczytu których stał młody policjant.

– Tak. Muszę zgłosić zaginięcie. Chodzi o mojego syna.

Po paru minutach siedziała w pokoju. Mężczyzna, która poznała przed chwilą, wyglądał na zaspanego. Okrągły brzuch wystawał ponad pasek spodni, a koszula nie dopinała się w paru miejscach.

– Jasper de Rooij, urodzony jedenastego marca dwa tysiące trzeciego roku w Amsterdamie. Ojciec Falco de Rooij, matka Lia Kornmann. Jesteśmy po rozwodzie. Wzrost metr siedemdziesiąt pięć, około... Waga... Nie wiem... Jest szczupły i trenuje siatkówkę. – W skupieniu podawała dane, o którą ją poproszono.

– Co miał na sobie?

– Bluzę z kapturem w szarym kolorze, dzinsy i adidas. Niebieskie. I kurtkę narciarską, czarną z szarymi wstawkami.

– Gdzie był ostatnio widziany?

– U kolegi. Późnym wieczorem. Chłopiec nazywa się Koen Schaper, mieszka w dzielnicy De Steigers. Nie pamięta, która dokładnie była godzina, kiedy Jasper wyszedł.

– Na piechotę?

– Nie. Rowerem. To rower sportowy marki Giant.

Mężczyzna skinął głową i pieczołowicie wklepywał dane w komputer.

– Wyszedł późno... więc... Od ilu godzin jest zaginiony?

– Ja nie widziałam syna już od ponad dwunastu godzin. Naprawdę nie wiem, jak długo był u kolegi. Nie miałam od niego wieści od chwili, gdy wyszedł z domu.

Policjant podsunął jej świstek papieru.

– Dobrze, proszę tu zapisać nazwisko, adres i numer telefonu tego kolegi. Wspomniała pani o rozwodzie, czy to jakaś świeża sprawa? – zapytał.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie jesteśmy razem od lat. Mój były mąż nadal mieszka w Amsterdamie. Dzwoniłam do niego. Jaspera tam nie ma.

Mężczyzna chrząknął.

– Jeśli chłopak wszedł do pociągu lub autobusu dziś rano, równie dobrze mógł jeszcze nie dojechać... Proszę regularnie sprawdzać, czy nie wylądował ostatecznie u ojca. Doszło wczoraj między wami do jakichś nieporozumień?

Lia czuła, jak jej ciało sztywnieje. Pomyślała o granatowej bluzie.

– Proszę pana, Jasper ma piętnaście lat. Jest nastolatkiem. Każda rozmowa z nim kończy się nieporozumieniem! A mimo to po każdej z nich wracał na noc! Co pan sugeruje? – zapytała ostrzej, niż zamierzała. Nagle poczuła się zaatakowana, ale w jej mniemaniu atak był zawsze najlepszą obroną.

– Nic – odparł spokojnie, jakby jej ton go nie wzruszył. – Czy w przeszłości syn miał kontakt z alkoholem lub narkotykami?

– Słucham? – Lia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Jak wyglądała sytuacja w szkole? Czy były jakieś niesnaski między nim a rówieśnikami? A może miał kłopot z jakimś przedmiotem lub konkretnym nauczycielem?

Lia otworzyła usta w kompletnym osłupieniu.

– Zaraz... Przepraszam... Narkotyki? Kłopoty? Dokąd pan zmierza z tymi pytaniami?

Westchnął i odsunął krzesło lekko od biurka, stwarzając między nimi odrobinę więcej przestrzeni. Przesunął dłonie znad klawiatury i położył je luźno splecione na biurku obok komputera.

– Próbuję zorientować się w okolicznościach, w których doszło do zaginięcia, i ocenić, na ile poważna jest sprawa.

– Na ile poważna... – zaczęła sucho. – Pan myśli, że przesadzam?

– Ja nic nie myślę. Ja zbieram dane. Proszę pani, w osiemdziesięciu procentach przypadków zaginiony znajduje się już w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin od chwili zgłoszenia. Zwykle okazuje się, że przyczyna zniknięcia była błaha. W przypadku dzieci i młodzieży ważne jest ustalenie, czy chodzi o realne zagrożenie, czy ucieczkę. Naprawdę bardzo rzadko, może kilka razy w roku zdarza się zaginięcie, którego policja nie potrafi rozwiązać. Nikt nie podważa pani troski i lęku o syna. Chodzi nam jednak o jak najbardziej sprecyzowane informacje dotyczące chłopca i okoliczności zaginięcia. Jakkolwiek kłopotliwe mogą być pytania, odpowiedzi na nie pomagają nam odnaleźć zaginioną osobę.

Lia poczuła się zażenowana i pokiwała pokornie głową. Mężczyzna patrzył na nią teraz z lekkim politowaniem.

– Dobrze. Możemy zatem skupić się na pytaniach?

– Jasper nie ma kłopotów w szkole. Jest lubiany w klasie. Nie jest może wybitnym uczniem, ale dobrze sobie radzi. W Amsterdamie też ma kolegów. Nie podejrzewam go o narkotyki, choć nie dam sobie ręki uciąć, czy nie podpala trawki... Nigdy nie widziałam go pijanego, ale wiem, że w piwie już umoczył usta. Jasper nie sprawia kłopotów wychowawczych, choć... nie mogę powiedzieć, żeby lekko przechodził dorastanie.

– Jakież relacje intymne?

– W tym wieku? – Prawie uniosła się z krzesła, ale szybko opanowała oburzenie i pokręciła zamasyście głową. – Nie.

– Dobrze. To chyba wszystko na tę chwilę.

– I co teraz? Mam na myśli, jakie konkretne kroki podejmiecie?

– Najpierw dane zostaną wprowadzone do systemu i rozesłane do dyżurujących policjantów na mieście. Umieścimy również meldunek na stronie internetowej oraz portalach społecznościowych. Jeśli będą jakieś zgłoszenia o miejscu pobytu syna, od razu zostanie pani powiadomiona.

– Czyli... nie będziecie go szukać aktywnie?

– Proszę pani. – Mężczyzna chrząknął i wyraźnie chciał już zakończyć rozmowę. – W Leeuwarden pracuje, żebym nie skłamał, może stu siedemdziesięciu policjantów. Dla porównania mieszka tu około stu tysięcy mieszkańców. Sto tysięcy par oczu rozglądających się po całym mieście. Garstka policjantów to przy tym nic. Więc jest to aktywne poszukiwanie, i to zakrojone na szeroką skalę.

Lia była świadoma, że funkcjonariusz próbuje ukoić jej nerwy i wrócić do picia porannej kawy. Jak również tego, że meldunek o zaginięciu nie dotrze do każdego mieszkańca miasta. A jednak myśl, że ktoś poza nią będzie szukał syna, przyniosła coś w rodzaju ulgi.

– A jeśli Jasper nie odnajdzie się w ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin? – dopytywała. – Co wtedy? Jakie są kolejne kroki?

– Jeśli faktycznie tak się stanie, skontaktujemy się z panią. Proszę być dobrej myśli.

Poproszono ją jeszcze o aktualne zdjęcie syna i wkrótce Lia opuściła duszny pokój na posterunku i udała się do domu, jak jej przykazano. Próbowwała pozbyć się złych przeczuć, które jak grudniowy wiatr przenikały ją bezlitosnym chłodem. Nagle miasto, które wybrała im na dom, stało się obce, nieprzeniknione i okrutne.

11

Mówiłeś, że umówiliście się o jedenastej. – Koen upił spory łyk coli i rozejrzał się z zaciekawieniem. – Jesteś pewny, że to tutaj?

Stali przed klubem, kuląc ramiona od panującego chłodu. Wokół nich panował zwykły piątkowy gwar. Jasper skinął głową i wyjął komórkę, która prawie wyslizgnęła mu się ze zdrętwiałych od zimna palców. Spóźniała się już ponad dwadzieścia minut. A bez niej nie mogli dostać się do klubu.

– Może już jest w środku? – Koen niecierpliwił się coraz bardziej. Wcisnął dłoń głęboko w kieszenie kurtki. – Albo cię wykiwała.

– Zamknij się – syknął Jasper i po raz kolejny zerknął na wyświetlacz telefonu. W końcu wysłał kolejną wiadomość i rozejrzał się wokół. – Obiecała, że przyjdzie – powiedział bardziej do siebie niż do kolegi.

– No to chyba zmieniła zdanie – odburknął Koen. – Jak mówiłeś, że ma na imię?

– Mirtis. – Jasper chuchał na zziębnięte dłonie.

– To chyba nie jest holenderskie imię? Ufasz jej? Może nas wystawiła?

– Może nie, skąd mam wiedzieć? Może tureckie? Albo surinamskie? Co za różnica? Po holendersku mówi świetnie. Obiecała, że przyjdzie...

– Może ją przeoczyłeś? Widziałeś ją choć raz naprawdę czy tylko na zdjęciu?

– Nie przeoczyłem – odburknął, nie patrząc koledze w oczy. Mimo panującego chłodu zalała go fala ciepła na wspomnienie długich godzin, które spędził z Mirtis na czacie. Rozmawiali o wszystkim, choć najbardziej lubił, kiedy późną nocą ona pisała, on jedynie czytał, drżącą dłonią trzymając telefon.

– Chyba marnujemy tu czas – sapnął znowu Koen. – Mogłem zostać w domu.

– I co robić? – Popatrzył na niego z nieukrywaną irytacją.

Jasper obrócił się, gdy usłyszał odgłos obcasów stukających w chodnikowe płytki. Z mroku wyłoniła się wysoka szczupła kobieca postać, odziana w krótki płaszcz z szerokim kapturem, który osłaniał jej twarz. Oczy chłopców przykuły jej długie nogi w wysokich kozakach sięgających ud, których fragment odsłaniała krótka spódniczka.

Jasper wsunął telefon do kieszeni i gdy ich minęła, ruchem głowy dając znać, by za nią podążali, posłusznie ruszył w stronę wejścia do klubu. Oczekali chwilę, aż ochroniarz stojący w drzwiach wpuści grupkę ludzi, i dopiero gdy przed wejściem nie było nikogo, kobieta podeszła do mężczyzny, wsunęła mu w dłoń plik banknotów, a on bez słowa i nie spojrzawszy nawet w ich kierunku, otworzył drzwi.

Przeszli przez hol. Po chwili uderzyło ich ciepłe powietrze, huk muzyki, mieszanina zapachów i błyski stroboskopowych świateł. Jasper zdjął kurtkę i próbował w tłumie nie zgubić kobiety. Na głowie nadal miała kaptur, spod którego na jej ramię spływały jasne, niemal białe włosy. Wskazała im dłonią kierunek. Wkrótce dostali się na przeciwległą stronę sali, niedaleko baru, przy którym tłoczyli się kupujący trunki.

Znaleźli wysoki okrągły stolik, jeden z wielu pod ścianą, przy którym można było stanąć i wypić coś. Zostawiła ich tam i ruszyła w stronę baru. Po drodze zsunęła z głowy kaptur.

– Mówiłem ci, że przyjdzie – wykrztusił wreszcie Jasper, śledząc oczyma oddalającą się postać. Nie wiedział, jak się zachować. Na czacie Mirtis była otwarta i chętna do rozmów. Na żywo zdawała się chłodna i nieco sroga. Chciał jej

powiedzieć, ile znaczyły dla niego te rozmowy, ale nie miał nawet odwagi otworzyć ust, żeby się przywitać.

– Odłot, człowieku, totalny odłot – powiedział Koen i pokiwał z uznaniem głową.

Kiedy wróciła, postawiła przed nimi dwa piwa w przezroczystych kubkach. Jasper upił trochę. Chciał przyjrzeć się kobiecie, ale nie śmiał patrzeć na nią otwarcie. Koen kołysał się w rytm muzyki. W końcu wyjął z kieszeni telefon i uniósł go, żeby zrobić sobie zdjęcie.

Mirtis wyciągnęła dłoń i pchnęła jego rękę na dół tak, że komórka prawie mu wypadła. Pokręciła głową, nie patrząc na niego, i przez kilka minut pili piwo w milczeniu.

– Mówiłaś... eee... – zaczął niepewnie Koen. – Mówiłaś, że załatwisz nam coś lepszego niż piwo. Mam kasę – dodał szybko, gdy uśmiechnęła się lekko. Stała bokiem do nich, oparta o wysoki stolik i wpatrzona w miejsce, skąd dochodziła muzyka, Jasper widział więc jedynie fragment jej profilu.

– Cierpliwości – odparła jedynie, choć Jasper nie był pewien, czy dobrze usłyszał w panującym wokół jazgocie. Kiedy potem próbował sobie przypomnieć ten wieczór, był przekonany, że tak naprawdę powiedziała „litości”.

Masy ludzkich ciał drgały w rytm muzyki, której hipnotyzujący rytm uderzał do głowy. Koen pił drugie piwo, przed Jasperem stał również kolejny kubek. Od czasu do czasu zerkał na Mirtis. Patrzyła na niego tak, że prawie musiał odwrócić wzrok.

– Słyszałem, że jest tu gość, który sprzedaje najlepsze pigułki w mieście. Mam ponad stówkę, powinno starczyć dla nas obu. – Koen nachylił się do niego. Zrobił się nerwowy i co chwila rozglądał się wokół, lustrując twarze klientów klubu, jakby spodziewał się, że na którejś zobaczy wypisane słowo „diler”.

Mirtis zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Dwa razy zerknęła na swoją komórkę i Jasper miał wrażenie, jakby na coś czekała. W pewnym momencie wyświetlacz jej telefonu zamigotał. Wsunęła go do kieszeni, nie czytając treści wiadomości. Obróciła się do nich i pochylając się nad blatem stolika, spojrzała

Jasperowi w oczy. Czuł się już lekko podpity. Przysunęła się do niego, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Kiedy przesunęła palcem po jego dłoni, zaciśniętej na kubku z piwem, zalało go przyjemne ciepło. Zerknął niepewnie na Koena, a potem na krwiście czerwony paznokiec, który powoli przesunął się po jego skórze. Z kieszeni płaszcza wyjęła pudełko przypominające puderniczkę. Otworzyła je powoli. Pigułki były małe i lekko różowe. Jasper szturchnął Koena, który prawie podskoczył, gdy jego wzrok padł na zawartość.

– To coś lepszego niż cokolwiek, co sprzedają goście tutaj... – powiedziała, ale kiedy Koen wyciągnął dłoń, zatrzasnęła wieczko małego pojemniczka. – Będziecie musieli zapłacić...

Koen podszedł do niej i stanął blisko. Z kieszeni džinsów wyjął plik banknotów. Jasper obserwował go w milczeniu. Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Nie – powiedziała, kiedy przeliczał gotówkę. – Nie to miałam na myśli... Gotówką zapłacisz następnym razem. Dzisiaj...

Wyciągnęła dłoń i powoli, niemal niezauważalnie, przesunęła palcami wzdłuż rozporka jego spodni. Prawie upuścił pieniądze i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Tutaj? Teraz?

Skinęła powoli.

– Najpierw on. – Wskazała Jaspera ruchem głowy. – A potem ty, na deser...

Koen wcisnął banknoty niedbale do kieszeni spodni i przytaknął bez słowa. Jasper czuł, że serce wali mu mocno, kiedy brał pigułkę z pojemniczka. Koen nie wahał się ani chwili. Popił tabletkę piwem i wyszczerzył zęby. Mirtis wbiła wzrok w Jaspera, który obracał pigułkę w palcach.

– Nie wymiękaj, człowieku. – Koen popatrzył na niego z lekką pogardą.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała Mirtis i wyjęła tabletkę z jego dłoni. Włożyła ją w swoje czerwone wargi, a potem ujęła jego twarz w ręce i przyciągnęła do siebie.

Jasper poczuł jej ciepłe słodkie usta na swoich, które jak pod wpływem elektrycznego impulsu rozwarły się. Wsunęła język między jego wargi i delikatnie popchnęła tabletkę. Musiał przytrzymać się ręką stolika, gdy odsunęła się od niego.

– Odlot... – szepnął Koen. Jego oczy błyszcząły.

– Wróć po ciebie – powiedziała do niego, po czym chwyciła dłoń Jaspера i pociągnęła go za sobą w stronę korytarzyka, gdzie mieściły się toalety. Minęli jednak drzwi prowadzące do nich i ruszyli głębiej. Wyraźnie znała drogę do wyjścia, które mieściło się na końcu holu. Pchnęła drzwi i Jasper poczuł, jak jego płuca wypełnia zimne grudniowe powietrze. Podążał za Mirtis. Za rogiem budynku stały duże kontenery na odpadki. Przez nagie gałęzie drzew wpadało do tego kąta jedynie mdłe światło latarni stojącej po drugiej stronie ulicy. Popchnęła go delikatnie na ścianę, o którą oparł się posłusznie. Miał wrażenie, że stopniowo ogarnia go dziwny trans, i domyślał się, że pigułka musiała zacząć działać. Przemknęło mu przez głowę, że powinien ją zapytać, co to konkretnie było i jaki efekt miało wywołać. Ale tak naprawdę interesowała go jedynie ona. Wspomnienie jej słów wypisanych na czacie wróciły. W tamtej chwili nie dbał o nic. Otworzył usta i jego gorący oddech utworzył obłoczek pary. Jej ciepłe dłonie zsuwały się powoli po jego klatce piersiowej do brzucha, a potem niżej. Uklękła przed nim. Spojrzał w dół, na jej włosy, na fragment uda między wysokim kozakiem a krótką spódniczką, na jej palce z czerwonymi paznokciami, na wypukłości pod guzikami jego dzinsów. Rozpinała je niespiesznie, jeden po drugim. Jasper przymknął powieki i oparł głowę o ścianę. Doszedł, nim rozpięła ostatni guzik. I to było ostatnie, co był w stanie przypomnieć sobie z tamtego wieczoru.

12

Jeszcze tego samego piątkowego dnia opuściła hotel i wynajęła auto. Miasto tętniło ruchem. Podjechała pod budynek starej fabryki, gdzie trwały prace, i obserwowała w napięciu. Zdjęcie wyrwane z gazety zatknęła za osłonkę przeciwsłoneczną nad przednią szybą. Gdy w grupie robotników dojrzała postać Tomka, musiała przytrzymać się kierownicy auta, by nie pobiec w jego kierunku. Nawet z odległości rozpoznała go bez trudu. Ruchy, rysy, gestykulację. Pewne rzeczy zdradzają człowieka, choćby nie wiem, jak się starał je kamuflować. Kiedy opanowała pierwszy szok, sięgnęła po aparat. Najpierw pstryknęła parę fotografii z dystansu, potem kilka zbliżeń. Za każdym razem gdy wciskała przycisk, jej serce zatrzymywało się na ułamek sekundy.

Siedziała w aucie aż do zakończenia dnia pracy. I gdy bus Tomka ruszył spod fabryki, pojechała za nim. Było grudniowe późne popołudnie, a na ulicach panował ruch. Skręcił w pewnym momencie i nieomal go zgubiła. Wyjechali na obrzeże miasta, na osiedle nowoczesnych domków jednorodzinnych. Musiała trzymać się dość blisko, nie chciała ryzykować, że znów straci go z oczu. Przez chwilę zaczęła się obawiać, że zauważył, iż jest śledzony, i dlatego krąży po mieście, ale wtedy zatrzymał się przed jednym z budynków. Wysiadł i zadzwonił do drzwi, za którymi chwilę potem zniknął. Kiedy wyszedł, Joannie zabrakło tchu. Towarzyszył mu

młody chłopak, niemal jego wzrostu. Szczegółów twarzy nie mogła dojrzeć. Patrzyła, jak wsiadają do auta, a potem podążyła za nimi ruchliwymi ulicami miasta. Pojechali do McDonalda. Joanna zaparkowała na dużym parkingu, po czym w panice próbowała go opuścić, kiedy bus wyjechał na główną ulicę. Wymusiła pierwszeństwo i żegnana odgłosem klaksonów pojechała za autem Tomka. Zatrzymali się na chwilę pod szkołą, stamtąd pojechali pod knajpę, skąd chłopak zabrał rower. Joanna obserwowała, jak razem wkładają go na tyły busa, wymieniając krótkie uwagi. Oparła aparat na kierownicy i ostrożnie zrobiła kilka zdjęć. Wokół niej panował ruch, nie mogła ryzykować, że ktoś ją zauważy. A jednak ciekawość była silniejsza. Jej mięśnie drżały od napięcia. Czy chłopak mógł być... powodem, dla którego Tomek nigdy nie wrócił, nigdy nie szukał, nigdy nie spróbował naprawić przeszłości? Odjechali sprzed knajpy z Joanną trzymającą się za blisko busa, jak gdyby próbowała sprowokować los, by postawił ich twarzą w twarz. Straciła go jednak z oczu w ruchliwym centrum. Wróciła więc do hotelu, gdzie bez obiadu, głodna i roztrzęsiona, usiadła natychmiast do laptopa. Włożyła kartę do czytnika i otworzyła jedno z ostatnich zdjęć. Musiała je rozjaśnić i wyostrzyć, poprawić kontrast, żeby móc dojrzeć twarz ukrytą w grudniowym mroku. Studiowała ją potem z uwagą, próbując wyczytać w niej odpowiedzi na setki pytań, które nabrzmiały w niej boleśnie. Była zdecydowana na wszystko, by je odnaleźć.



Tamtej zimy spadło tyle śniegu, że odśnieżone ulice przypominały długie białe tunele. Zaraz po obfitych opadach nadszedł mróz. W nocy temperatura spadała do minus dwudziestu dwóch stopni. Okno w pokoju Joanny i jej siostry pokrywały lodowe rysunki, a wyjście do szkoły w jeszcze ciemny zimowy poranek przypominało wyprawę na Mount Everest. Mimo to Joanna wychodziła kwadrans wcześniej. Tylko w ten sposób mogła spotkać się jeszcze na chwilę z Julią i Tomkiem. Umawiali się w kościele, naprzeciw parku. Tomek chodził do technikum po drugiej stronie miasta, Julia do najlepszego liceum, w którym uczyli

jej rodzice, mieszczącego się po drugiej stronie parku, a Joanna dostała się do liceum, do którego niegdyś uczęszczała jej mama. Po szkole spotykali się w domu handlowym Arkadia. Tam, w ciepłej i radosnej atmosferze zbliżających się świąt mogli chwilę zapomnieć o problemach i szkole.

– Widzisz? Znowu tu jest... i znowu się na ciebie patrzy. – Julia pochyliła się konspiracyjnie w stronę Joanny. – Chodzi do mojego liceum, chyba do drugiej ce.

Joanna się obruszyła.

– Wcale się na mnie nie patrzy! – Poczowała narastający niepokój. Znała Radka z widzenia z osiedla. Ale myśl o zamienieniu z nim choćby paru słów wprawiała ją w stan paraliżu. Może to były jego szare poważne oczy, a może fakt, że Joanna nie czuła się zbyt pewnie w kontaktach ze słabo znanymi ludźmi.

– Gapi się – przyznał Tomek i wsadził do buzi resztkę kanapki, którą Julia dla niego przechowała.

Joanna westchnęła ciężko i udawała, że wygląda przez duże okno centrum handlowego. Zima i Boże Narodzenie przynosiły ze sobą ten dziwny ścisk w żołądku, który czasem trwał całymi tygodniami, jak gdyby Joanna nosiła w powłokach brzusznych kawałek metalu, ciężki i zimny. I choć wiedziała, co go powodowało, odmawiała sobie myślenia o tamtym grudniowym popołudniu sprzed lat, gdy jej tata w drodze do domu upadł z zakupami na chodnik. Ludzie myśleli, że był pijany. Ktoś wezwał w końcu karetkę, zbyt późno, by zatrzymać rozległy zawał serca. Święta już nigdy nie były takie same. Babcia wprowadziła się do ich mieszkania w bloku, z podwórza kamiennicy zniknęły piaskownica i ławeczka, a razem z nimi beztroskie dzieciństwo cichej dziewczynki.

– Asia, słuchaj. – Julia pociągnęła ją za ramię. – W sylwestra moi rodzice idą na bal do Domu Nauczyciela! Pozwolili mi kogoś zaprosić, żeby nie siedziałam sama. Powiedziałam im, że przyjdiesz! Ty też masz przyjść. – Odwróciła się do Tomka. – Wypożyczymy fajny film!

Tomek kiwnął niemrawo głową. Joanna obróciła się i jej oczy napotkały wzrok Radka. Wydawało się jej, że uśmiechnął się do niej lekko. Mimo wątpliwości na jej

policzkach wykwitł rumieniec. Odwróciła spojrzenie. Tomek patrzył na nią spode łba. Jego zmrużone oczy błyszczały dziwnie, choć może odbijały po prostu blask bożonarodzeniowych światełek rozwieszonych w sklepie.

Wyszli na mroźne powietrze. Tomek próbował schować zziębnięte dłonie w przykrótkie rękawy za małej zimowej kurtki. Od czasu do czasu pociągał nosem. Odprowadzili Julię pod dom. Wysoka siatka odgradzała dużą nowoczesną willę od reszty świata. Sawiccy wybudowali ją po odziedziczeniu majątku po dziadku Julii. Joanna zauważyła, że firanka w oknie kuchni poruszyła się, i wiedziała, że czujne oczy mamy koleżanki obserwują ich. Nie było żadną tajemnicą, że rodzice nie pochwalali znajomości córki z tym chudym, biednym chłopakiem. Julia natomiast nie chwaliła się rodzicom, jak zażyła jest ich przyjaźń, nie starała się jednak ukrywać, że się widują. W ten sposób rodzice byli przekonani, że trzymają rękę na pulsie. Pogadali jeszcze chwilę o klasówkach na zakończenie semestru i pożegnali się. Joanna pomachała przyjaciółce i ruszyli z Tomkiem w kierunku swojego osiedla.

– Dobrze, że nie jesteś z niczego zagrożony – powiedziała.

Tomek wzruszył ramionami.

– To dopiero połowa roku, może ta lepsza połowa?

– Przyjdiesz w sylwestra do Julii?

– Nie wiem, czy ojciec mnie wypuści.

Joanna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Będzie załamana, jak nie przyjdiesz.

– Wiem – odparł cicho i do ostatniego dnia roku więcej już o tym nie rozmawiali.

Trzydziestego pierwszego grudnia nastąpiła wielka odwilż. Śnieg zmienił się w brunatną breję i Joanna była przekonana, że był to nie tylko ostatni, ale też najbrzydszy dzień mijającego roku.

Julia przyszła do niej po obiedzie, podekscytowana i wesoła. Rodzina Tomka nie miała telefonu, poszły więc piechotą, pokonując ulice pełne brązowych kałuż

i resztek tego, co jeszcze dzień wcześniej było śniegiem. Otworzył im ojciec Tomka, prawie trzeźwy i uśmiechnięty. Wpuścił je do środka. W kuchni stały wiadra z potężnymi kawałkami surowego mięsa, pachniało krwią i marynatą.

– Rodzice nie chcą dobrej swojskiej karkówki? – zapytał Julię, nie zwracając uwagi na stojącą obok Joannę, którą obecność w domu przyjaciela zawsze wprawiała w lekką nieśmiałość.

– Zapytam ich!

– Tomek! – krzyknął w głąb mieszkania i po chwili chłopak ukazał się w drzwiach pokoju dziennego.

Wyszli porozmawiać na zewnątrz.

– Jak to nie możesz? – Julia spojrzała na niego z wyrzutem.

– Normalnie, nie mogę dziś.

– Ale...

– Po co tu ciągle przychodzisz? – zapytał rozzłoszczony. Julia zrobiła krok w tył, jakby jego złość mogła ją dosłownie zranić fizycznie, gdyby stanęła zbyt blisko niego. – Idź sobie stąd, rozumiesz! Nie masz nic innego do roboty?

Z kuchni dobiegł ich hałas i krzyk ojca Tomka:

– Patrz, co robisz, kaleko jedna!

– Zobaczymy się jutro – powiedział szybko i obrócił się, by wejść do środka.

Gdy zniknął za drzwiami, Julia stała jeszcze chwilę na dziedzińcu. Powoli zapadała zimowa szarość. Stały, patrząc, jak mężczyzna ciągnie żonę za ramię i popycha w stronę blatu. Chuda postać Tomka jak cień osłoniła skuloną sylwetkę kobiety. Julia odwróciła się, gdy padł pierwszy cios. Joanna myślała, że przyjaciółka będzie płakać. Ta jednak powiedziała ostro:

– Chodź!

W zapadającym mroku zdumiona Joanna podążała za Julią. Jej buty przemokły kompletnie i nie trudziła się już omijaniem topniejącego śniegu. Julia wpadła do domu i nie zdejmując zabłoconych butów, weszła do łazienki, zostawiając za sobą

mokre ślady. Z najwyższej półki szafki nad umywalką wyjęła pudełeczko leków i przez chwilę w skupieniu czytała załączoną ulotkę.

– Julia... Co ty robisz?

Z łazienki Julia pobiegła do dużego pokoju. W rogu przy oknie wychodzącym na balkon stała choinka obwieszona światełkami i bombkami. Chwyła wazon, przechyliła go i na jej dłoń wypadł kluczyk. Odstawiła wazon i otworzyła barek. Przez parę sekund przesuwiała wzrokiem po butelkach, by w końcu wyjąć jedną z tych stojących z tyłu. Była to mała buteleczka z płynem w kolorze bursztynu. Julia zamknęła barek, wrzuciła kluczyk do wazonu i ruszyła do kuchni, gdzie przy użyciu dwóch łyżeczek zaczęła kruszyć tabletki.

– Julia... co to jest?

– Jakiś dobry likier, który rodzice przywieźli z wakacji w Bułgarii.

– Co ty wyrabiasz? Nie możesz tak po prostu brać rzeczy rodziców! Przecież zauważą!

Julia odłożyła łyżeczki i popatrzyła uważnie na Joannę.

– I co zrobią? Zbiją mnie kablem, tak że sińce podejdą krwią? A może pasem tak, że będę wolała stać, zamiast siedzieć? – zapytała ostro.

Joanna wbiła wzrok w twarz przyjaciółki. Było w niej coś nieustępliwego.

– Pomóc ci? – spytała wreszcie.

– W tamtej szufladzie jest taki mały lejek, będzie mi potrzebny.

Zgniotła kolejną tabletkę. Zawahała się, a potem wyjęła jeszcze jedną i skruszyła na proszek. Otworzyła butelkę, a potem za pomocą lejka ostrożnie wsypała proszek do likieru. Zakręciła go i potrząsnęła butelką, aż płyn znowu zrobił się przejrzysty.

Chwilę potem ponownie przemierzały ulice miasta.

– Znowu wy? – Ojciec Tomka otworzył im drzwi, tym razem jednak uśmiech nie pojawił się na jego twarzy.

– Dobry wieczór. Mam coś dla pana od moich rodziców. Oni bardzo by chcieli kupić tę karkówkę. Możemy wejść?

Mężczyzna przepuścił je w zimnej sieni. Unosił się od niego intensywny zapach czosnku, papierosów, wódki i krwi, mieszanka, która przyprawiała Joannę o mdłości. Wytarły porządnie brudne buty. Weszły do kuchni, gdzie na blacie leżał sporych rozmiarów kawał czerwonego mięsa. Joanna musiała odwrócić wzrok. Julia wyjęła buteleczkę.

– Od rodziców na dobry początek roku. Za karkówkę zapłacą przy odbiorze.

W tej chwili w drzwiach kuchni stanął Tomek. Wbił wzrok w dziewczęta, jak gdyby chciał je wypchnąć z domu siłą spojrzenia. Miał pękniętą wargę i zaczerwienione oczy. Julia tylko rzuciła na niego okiem, po czym sięgnęła po pierwszą lepszą szklanekę z blatu. Wylała resztki tego, co zawierała, otworzyła butelkę i napełniła szkło, które podała ojcu Tomka.

– Tata mówi, że to najlepszy bułgarski likier. Jest ciekaw, czy panu smakuje. Powiedział, że za dobrej jakości mięso trzeba podziękować dobrej jakości trunkiem.

Mężczyzna wychylił zawartość jednym haustem i sięgnął po butelkę.

– Bułgarski, mówisz? Niezły. Podziękuj rodzicom!

Tomek patrzył na nie spod ściągniętych złością brwi.

– To my już pójdziemy. Dobranoc i szczęśliwego Nowego Roku!

Wyszły do ciemnej chłodnej sieni, ale kiedy Joanna pośpiesznie sięgnęła w stronę klamki, by wreszcie wydostać się z tego dusznego śmierdzącego domu, kątem oka zobaczyła postać Tomka, który zamknął za sobą drzwi. Chwytał Julię za ramię i brutalnie potrząsnął.

– Co ty wyrabiasz? Zwariowałaś?

– Zobaczysz – odparła, krzywiąc się z bólu. – Tomek, puść.

Rozluźnił uścisk.

– Co zobaczę?

Joanna ze zdumieniem dostrzegła, jak twarz Julii się zmienia. W jej oczach pojawił się dziwny błysk satysfakcji.

– Wrzuciłam pigułki do alkoholu – wyszeptała, pochylając się ku niemu.

– Co?! – Na twarzy Tomka odmalował się szok. – Chcesz go zabić?!
Zwariowałaś?

– Nie zabić. Uśpić. Jak psa, którym jest. Nie obrażając psów. Przyjdź, jak zaśnie. Będzie spał całą noc. Nie zorientuje się, że wyszedłeś.

Tomek przesunął wzrokiem z Julii na Joannę.

– Ty... wiedziałaś o tym?

Poczuła narastającą panikę, ale skinęła głową. Obrócił się i zniknął za drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Tamtego wieczoru, gdy wracały do domu Julii, by spędzić razem sylwestrową noc, świat wydawał się Joannie surrealistycznym miejscem, w którym wszystko było dziwnie wykrzywione lub umieszczone w najmniej oczekiwanym miejscu.

Pokroiły ciasto i przyrządziły zapiekanki z plasterkami szynki, pieczarkami i grubą pierzynką tartego sera. Czas mijał, ale Tomek wciąż się nie pojawiał. Joanna widziała, że przyjaciółka powoli traciła nadzieję, że jeszcze przyjdzie. Kiedy wreszcie rozległo się pukanie do drzwi, obie podskoczyły i w oczach Julii znów zapłonęły radosne iskry. Chłopak wszedł niepewnie do środka. Był w domu Julii po raz pierwszy. Zdjął kurtkę i uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił: przepaszająco i zawadiacko jednocześnie.

Zjadł cztery zapiekanki i trzy kawałki ciasta, narzekając w trakcie jedzenia na filmy, które Julia wybrała.

– Same romansidła! – wzdychał ostentacyjnie, ale Joanna widziała, że tak naprawdę był szczęśliwy.

Gdzieś w połowie filmu spytał nagle, jakby sobie przypomniał:

– Co mu wrzuciłaś do tej butelki?

Julia nie oderwała wzroku od ekranu, na którym Meg Ryan podczas rozmowy z przyjaciółką zastanawiała się, czy mężczyzna, którego w ogóle nie zna, może być jej przeznaczeniem.

– Pigułki nasenne – odparła, jak gdyby chodziło o coś nic nieznaczącego.

– Skąd je wzięłaś? – dopytywał dalej.

Julia westchnęła i nadal śledząc rozwój akcji, odparła:

– Z szafki w łazience. To pigułki mojej mamy. Łyka je, odkąd dowiedziała się, że ojciec sypia z koleżanką z pracy.

Tomek odwrócił głowę i utkwiał spojrzenie w Julii, ale Joanna nie mogła nagle oderwać wzroku od ekranu. Siedziała jak zamrożona na swoim miejscu w domu, o którym myślała, że jest idealny, gdzie był spokój, dostatek, gdzie nikt nie umierał na zawał tuż przed Gwiazdką lub znęcał się nad własnym synem. Nagle świat stał się już nie tylko surrealistycznym obrazem, ale też sprytnie pomyślaną optyczną iluzją.

Obejrzeli jeszcze jeden film, w przerwie powitali Nowy Rok. O trzeciej nad ranem Joanna zaczęła zbierać ze stołu talerze i szklanki. Nie chciała, żeby rodzice Julii dowiedzieli się, że Tomek był w ich domu. Umyła naczynia, jakby pozbywała się wszelkich śladów. Zastanawiała się, co pomyślą rodzice Julii, kiedy odkryją brak butelki w barku i kilku pigułek nasennych. Czy ona, Joanna, też będzie miała kłopoty?

Wróciła do salonu. Stała w progu pokoju, który otulony był mrokiem rozjaśnianym jedynie przez choinkowe lampki. „Jak jaskinia”, pomyślała, zapisując obraz w pamięci. Julia spała z głową na ramieniu Tomka, który patrzył na Joannę. W jego oczach dojrzała bezsilność i po raz pierwszy Joanna poczuła się jak intruz.



Siedziała w wynajętym fordzie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów od barki, przy spokojnej opustoszałej uliczce na obrzeżu miasta. Mieściły się tu głównie magazyny, fabryki, firmy, każda z własnym parkingiem. Ostatnie dni spędziła, obserwując go i śledząc każdy jego krok. Czasem szła piechotą, wdzięczna za grudniowy ziąb, skutecznie studzący jej rozpalone emocje, czasem jechała wynajętym autem. Spędzała w nim wtedy cały dzień, obserwując go z tak bliska, jak to było możliwe. Stara fabryka, w której pracował, mieściła się po drugiej stronie miasta, niemal na jego granicy. Codziennie rano zjeżdżała tam ekipa

budowlana i prace ruszały pełną parą. Ukryta za obiektywem czuła się okiem, czujnym i żądnym obrazów. Potem w hotelu zgrywała zdjęcia na laptopa i studiowała każdy detal jego twarzy.

Powoli i nadal bacznie rozglądając się wokół, podeszła do barki. Łódź wyglądała jak długi niski budynek umieszczony na podeście dryfującym na wodzie. Zadbany i czysty. Okna wychodziły na wodę. Wejście na barkę mieściło się z boku i aby się do niego dostać, trzeba było zejść krok w dół z brzegu kanału na coś w rodzaju maleńkiego tarasu. Stały na nim dwa drewniane fotele ogrodowe. Po wodzie mimo panującego chłodu pływały kaczki. Kiedy dojrzały Joannę, zbliżyły się z zainteresowaniem, licząc być może na smaczny kąsek. Pstryknęła im parę zdjęć. Gdyby ktoś ją teraz zauważył i zwrócił uwagę, że nie powinna wchodzić na cudzy teren, zawsze mogła powiedzieć, że chodziło jej tylko o kilka dobrych ujęć.

W oknach barki nie wisały zasłony, jakby nie miał nic do ukrycia. Nawet drzwi wejściowe były oszklone i nie stanowiły bariery. Joanna podeszła do szyby i zajrzała do środka. Wnętrze było urządzone minimalistycznie i ze smakiem. Proste meble i sprzęty wypełniały niewielki pokój dzienny w sposób zapewniający najlepsze wykorzystanie przestrzeni. Na ścianach nie było zdjęć ani obrazów. Mały salon z sofą i stolikiem łączył się z aneksem kuchennym urządzonym w bieli z drewnianymi akcentami. W rogu stała sporych rozmiarów doniczka z wysoką rośliną, na szafce znajdowało się kilka książek i płyt. Na niewielkim stole jadalnym z pięknym drewnianym blatem pod oknem przeciwległym do aneksu zauważyła jakieś papiery, jednak nie mogła dojrzeć, co przedstawiały. Za czystą i nowocześnie urządzoną kuchnią widziała mały korytarzyk. Domyślała się, że prowadził do łazienki i sypialni, które mieściły się za wąskimi białymi drzwiami na jego końcu.

Pstryknęła kilka zdjęć, rozejrzała się i szybkim krokiem wróciła do auta.

Jak mógł tak po prostu zostawić wszystko, zapomnieć? Żyć dalej, jak gdyby nic się nie stało? Pojechała do hotelu, gdzie zjadła lunch w restauracji na dole, po czym ponownie wsiadła do samochodu i wkrótce zaparkowała go na swoim stałym miejscu, skąd mogła obserwować prace w starej fabryce. Kiedy wyszedł na

zewnątrz, znów wyjęła aparat, mimo że na jej laptopie w katalogu, który nazwała „Tomek”, zapisała już ponad trzysta zdjęć. Każde z nich utwierdzało ją w pewności, że to on. Każde z nich przypominało minione wydarzenia, jakby w jej umyśle odnajdywała zapomniane fotografie. Każdy kolejny dźwięk migawki był jak trzaśnięcie drzwi, które zamykały się za nią, kiedy podążała coraz głębiej w tunel wiodący ku przeszłości.

13

Lia Kornmann nie spała trzecią noc z rzędu. Od nadmiaru kofeiny i niedoboru snu jej serce doznawało co jakiś czas nieprzyjemnych drgań sejsmicznych, jakby wkrótce miały nastąpić wstrząsy, które rozerwałyby mięsień sercowy. Przyjechała do biura i odprowadzana przez kilka par oczu zamknęła się w swoim gabinecie, gdzie opadła ciężko na fotel. Na jej biurku leżał stos papierów i wiedziała, że kiedy włączy laptopa, program pocztowy wyświetli ogromną liczbę nieprzeczytanych wiadomości. Zamknęła powieki i dopiero wtedy poczuła, że jej skronie pulsują bólem, a oczy pieką. Ciche pukanie do drzwi wyrwało ją ze stanu odrętwienia.

– Tak?

– Pani redaktor? Lia? – Twarz Hiske nosiła wszelkie odcienie niepokoju. Powoli weszła do pokoju. – Trzymasz się jakoś?

Lia skinęła i wskazała głową stos na biurko.

– Przejmiesz to? Chcę wiedzieć jedynie o sprawach wymagających mojej decyzji w kwestiach finansowych, resztę zostawiam tobie i zespołowi. Przejrzę dziś mejle, a potem jadę do domu. Muszę tam być, w razie, gdyby...

Zamilkła i odwróciła twarz w stronę okna. Tak naprawdę nie wierzyła, że Jasper nagle jak gdyby nigdy nic pojawi się w drzwiach. W niedzielę wieczorem

przyjechał z Amsterdamu Falco. Jego obecność była na tyle obciążająca psychicznie, że w rezultacie musiała wyrwać się choć na chwilę ze swojego własnego mieszkania. Czekanie nie było łatwe, ale nic innego nie mogła w tej chwili zrobić.

Kiedy Hiske opuściła gabinet, zabierając ze sobą stos papierów, Lia odetchnęła. Współczujące spojrzenie przyjaciółki nie działało na nią dobrze, czuła się przyparta do muru. Włączyła laptopa, otworzyła program pocztowy i zaczęła przeglądać wiadomości, zaczynając od tych najstarszych. Przez chwilę miała wrażenie, że nic złego się nie wydarzyło, siedziała przecież w swoim pięknym biurze, życie toczyło się dalej.

Telefon zadzwonił parę minut później.

– Lia Kornmann, słucham? – Odebrała, wzrokiem nadal lustrując tytuły nieprzeczytanych jeszcze mejli. – Halo?

Odpowiedziała jej cisza. Spojrzenie Lii zatrzymało się nieruchomo na ekranie laptopa. Nagle cała jej uwaga skupiła się na milczeniu w słuchawce telefonu.

– Jasper? – zapytała drżącym głosem i połączenie zostało przerwane.

Lia poczuła, jak kolejny wstrząs sejsmiczny naruszył powierzchnię jej serca. To była pomyłka. Próbowała uspokoić skołatane nerwy. Zwykła pomyłka, nic więcej. Oparła czoło na chłodnym blacie biurka i dokładnie wtedy telefon zadzwonił ponownie.

– Halo?! Kim jesteś?! Czego chcesz? – Jej głos miał brzmieć mocno i zdecydowanie, tymczasem był jak błagalny skowyt.

– Dzień dobry. Daan Hoekstra z policji w Leeuwarden. Czy mogę rozmawiać z Lią Kornmann? – Głos w słuchawce zdawał się lekko zdezorientowany jej powitaniem.

– To ja. Przepraszam. Dzień dobry. Są jakieś wieści? Znaleźliście mojego syna?

– Nie, przykro mi, nie mam dla pani żadnych wiadomości. W związku z tym, że od zgłoszenia zaginięcia minęło więcej niż siedemdziesiąt dwie godziny, chcielibyśmy podjąć kolejne kroki.

– To znaczy?

– Chcielibyśmy zobaczyć pokój pani syna, przeszukać jego komputer, o ile to możliwe. Nawiązaliśmy już kontakt z kolegą, u którego był w wieczór przed zaginięciem.

– Rozumiem. Będę w domu za pół godziny.

– Dziękuję! Do widzenia.

Lia wrzuciła komórkę do torby i opuściła w pośpiechu redakcję, odprowadzana do wyjścia przez pełne współczucia spojrzenia i smutne uśmiechy.



– Kees Herder – przedstawił się młody policjant, któremu otworzyła drzwi. Jego równie młody kolega skinął głową, jakby nie widział potrzeby wymieniać swojego nazwiska. Jedno musiało jej wystarczyć. Legitymacje, którymi machnęli, miały stanowić dowód, że nie są striptizerami, o co podejrzewałyby ich w każdej innej sytuacji.

Lia zatrzymała wzrok na wysokiej smukłej sylwetce odzianej w policyjny mundur i młodej twarzy, z której bystre oczy patrzyły przenikliwie. Mężczyzna zdjął policyjną czapkę i zobaczyła, że jego jasnobrązowe włosy były starannie przystrzyżone i nażelowane. Uśmiechnął się do niej ciepło, a Lię uderzyło to, że wyglądał jak jeden z aktorów grających agenta FBI w amerykańskim serialu kryminalnym. Zbyt ładny, by mógł być prawdziwy. I zdecydowanie zbyt młody. Zerknęła na jego kolegę, który niezgrabnie wszedł za nim do środka.

– To... pan prowadzi sprawę mojego syna? – zapytała, próbując ukryć zaskoczenie i rozczarowanie.

Skinął głową i rozejrzał się, poprawiając zapięty na biodrach pas wyposażony w różne groźnie wyglądające przyrządy. Lia patrzyła na niego i nie mogła oderwać wzroku.

– Mój kolega sprawdzi pokój pani syna, a ja chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. O ile nie ma pani nic przeciwko.

W tle słyszeli głos Falco, który prowadził rozmowę telefoniczną, jedną z tych, które nie mogły czekać, nawet gdyby świat miał się zawalić. Lia wskazała policjantowi drzwi pokoju Jasperra i patrzyła, jak znika za nimi.

Drugi zajął miejsce na sofie. Kiedy usiadł, Lia ponownie zaczęła obserwować jego twarz.

– Przepraszam, ale... ile pan ma lat?

Uniósł brwi i jego przenikliwy wzrok skupił się na Lii.

– Nie sądzę, żeby mój wiek miał znaczenie dla sprawy – odparł uprzejmie i otworzył notatnik.

– Mam wrażenie, że miejscowa policja nie traktuje zaginięcia mojego syna poważnie – powiedziała drżącym głosem. Zaciśnęła usta w wąską kreskę. Miała ochotę odmówić współpracy, dopóki nie przyślą kogoś z odpowiednim doświadczeniem w prowadzeniu śledztw. „Dłuższym niż dwa tygodnie”, pomyślała cierpko.

Policjant podniósł wzrok znad notatnika.

– Więc jest pani redaktorką naczelną czasopisma? – zapytał rzeczowym tonem, jakby nie słyszał uwagi Lii.

Skinęła głową.

– Redaktorką naczelną i właścicielką.

– Hm. – Pokiwał głową, mrużąc coś w rodzaju potwierdzenia. – Zakładam, że tak popularna gazeta ma swoją stronę internetową.

– Oczywiście, ale nie rozumiem... – zaczęła Lia.

– Ile lat ma administrator strony internetowej?

– Słucham?

Patrzył na nią przenikliwie lekko zmrużonymi oczyma, niewzruszony jej reakcją. Menedżer do spraw internetowych w redakcji był jej najmłodszym pracownikiem. Lia wzięła głęboki wdech i kiwnęła głową, dając policjantowi do zrozumienia, że dotarło do niej, co próbował jej powiedzieć.

– Czy możemy teraz przejść do sprawy pani syna, czy są jeszcze jakieś inne szczegóły z mojego życia osobistego, które panią interesują?

Zaprzeczyła. Kees Herder bez słowa pochylił się nad notatnikiem i jak gdyby nigdy nic rozpoczął śledztwo w sprawie zginęcia Jaspera. Na większość pytań odpowiadała, ukrywając irytację spowodowaną tym, że już wcześniej udzieliła na nie odpowiedzi. Mimo to miała wrażenie, że młody policjant nie tylko słyszał jej głos, ale również go słuchał. Wkrótce dołączył do nich Falco i Kees Herder skupił się na nim.

– Jak często syn przebywał u pana?

– Tak często, jak to było możliwe.

Lia wyduła wargi, ale nie powiedziała nic, choć nie umknęło jej uwadze, że młody policjant zerknął na nią przelotem.

– Rozumiem, że były to głównie weekendy, ale pana żona wspomniała, że w Amsterdamie Jasper miał również znajomych, z którymi spędzał czas. Skoro nie znał ich ze szkoły, to skąd?

– Nie wiem... z sąsiedztwa głównie. Jakie to ma znaczenie? Przecież Jasper nie zginął, kiedy był pod moją opieką. Zaginął, gdy był tutaj.

„Typowe”, pomyślała Lia. Falco jak zawsze wybrał atak jako formę obrony.

– Wszystko może mieć znaczenie. Najważniejsze nie jest to, gdzie zaginął Jasper, ale dokąd się udał. A ponieważ Amsterdam był, jak mniemam, jego drugim domem, mógł tam pojechać.

Z pokoju Jaspera wyszedł drugi policjant. Miał ze sobą laptop i tablet chłopca. Lia podniosła się z sofy.

– Muszę pana uprzedzić, że ja też próbowałam je sprawdzić, bezskutecznie. Są zabezpieczone hasłem.

– Przecież to policja, Lia, oni mają swoje sposoby. – Falco rzucił uwagę tonem, który zawsze wywoływał u niej mordercze skłonności.

– Wiem – warknęła.

– Pokój jest czysty, nic szczególnego. Zabiorę to do auta. – Policjant nie patrzył nawet w ich stronę, jakby pozostawiał koledze użeranie się ze sfrustrowaną rodziną zaginionego.

Kees Herder skinął i podniósł się z sofy.

– Proszę przesłać mi nazwiska i adresy kolegów Jaspera z Amsterdamu. Chcę ich sprawdzić na wszelki wypadek.

Falco westchnął ciężko, ale kiwnął głową i policjant pożegnał się uprzejmie. Kiedy wychodził, Lia zatrzymała go jeszcze w drzwiach.

– Skąd pan wiedział?

– Słucham? – Wsunął notatnik do wewnętrznej kieszeni policyjnej kurtki i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Skąd pan wiedział, że nasz administrator jest najmłodszym pracownikiem? Czy może pan blefował?

– Ja po prostu wykonuję moją pracę. A jej sporą część stanowi zbieranie informacji – odparł i pożegnał się grzecznie w sposób, w jaki mówili „do widzenia” koledzy jej syna.

14

Nie lubił takiej zimy: suchej, mroźnej, wietrznej. Tu, w Holandii, nawet mróz smakował inaczej, był jak ostra brzytwa tnąca powoli powierzchnię płuc, za każdym razem gdy brał wdech. Tęsknił za miękkim śniegiem, za przyjemnym zimnem, które było jak puch, otulało, a nie cięło na kawałki.

Zatrzymał auto na podziemnym parkingu i udał się do apartamentu Lii. Nie widział jej od tamtego sobotniego poranka. Wysłał wiadomości, ale jej odpowiedzi były lakoniczne. Znał ją jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zawsze kryła się za tym niechęć do kontaktu z nim, częściej nieumiejętność nawiązania szczerej komunikacji w obliczu stresu i frustracji.

Zapukał i po chwili drzwi otworzył mu wysoki smukły mężczyzna w okolicach pięćdziesiątki. Miał idealnie zaczesane włosy i głęboko osadzone niebieskie oczy i choć Tomek nigdy nie widział byłego męża Lii, nie miał wątpliwości, że stoi przed nim ojciec Jaspera.

– Dobry wieczór. Nazywam się Tomasz Rajter, zastałem Lię?

– Lia odpoczywa – brzmiała krótka szorstka odpowiedź. Przenikliwe, lekko aroganckie spojrzenie lustrowało go od stóp do głów. – O co chodzi?

Tomek wyciągnął dłoń z lnianą torbą, w której umieścił pojemniki z jedzeniem.

– Przygotowałem dla niej coś pożywnego. Wiem, że ma teraz za dużo na głowie, żeby gotować, i pewnie w ogóle nie myśli o jedzeniu.

Tomek próbował zignorować to, że spojrzenie mężczyzny sprawiało, że czuł się mały i niedorzeczny.

– Mamy jedzenie – odparł mężczyzna i uniósł brwi. – Coś jeszcze?

Tomek opuścił dłoń, w której trzymał torbę, i przez parę sekund sam nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Chciałbym z nią porozmawiać. Jestem pewien, że...

– Proszę pana, to sprawa rodzinna. Nie ma pan tu czego szukać.

Długą minutę mierzyli się wzrokiem. W końcu Tomek bez słowa obrócił się i zszedł schodami ku wyjściu z budynku.


W tamtej chwili był wdzięczny za tnące ostrze mrozu, bo gasiło palącą go złość. Był wieczór i po tym, jak wyjechał z parkingu, postanowił zrobić zakupy. Zatrzymał się przed dużym supermarketem, gdzie z trudem znalazł miejsce. Przez to spotkanie twarzą w twarz z byłym mężem Lii nie mógł się skupić i kiedy w końcu ruszył w stronę kasy, zauważył, że w jego koszyku znajdują się jakieś przypadkowe produkty. Zwykle robił zakupy w innym sklepie, kluczył więc bez sensu między półkami, nie mogąc nic znaleźć. Klął w myślach, rozglądając się wokół, i wtedy jego oczy wyłapały gdzieś dalej znajomą twarz. Przez chwilę nie wiedział nawet, skąd ją zna. Miał już odejść, ale wtedy przypomniał sobie, że parę dni temu odbierał Jaspera z domu tego chłopaka. Stał teraz z kolegami, śmiejąc się zbyt głośno. Tomek odwrócił się, żeby się upewnić. Wówczas ich oczy spotkały się i spojrzenie nastolatka przerodziło się w przerażenie, a twarz zbladła. Tomek zawahał się chwilę. „To sprawa rodzinna”, przypomniał mu głos w jego myślach. Kątem oka dojrzał jednak, jak chłopak przepycha się w panice przez czekających w kolejce do kasy, próbując wydostać się ze sklepu. Tomek westchnął, na sekundę przymknął powieki, ściągając brwi w skupieniu. Potem zerwał się do biegu, koszykiem potrącając klientów supermarketu. Nastolatek był już przy rozsuwanych drzwiach, kiedy Tomek dopadł kolejki do kasy.

– Proszę pana! Musi pan zapłacić! – krzyknęła kasjerka.

Tomek obejrzał się i zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w dłoni koszyk pełen zakupów. Upuścił go na ziemię i biegiem ruszył ku rozsuwanym drzwiom. Z ulgą wessał w płuca zimne powietrze i rozejrzał się, wzrokiem szukając uciekiniera. Zlokalizował go przy barierkach, gdzie chłopak szarpał się z rowerem. Tomek rzucił się w jego stronę, ale nim zdążył dobiec, chłopak uwolnił rower, wskoczył na niego i zjechał od razu na ruchliwą ulicę, witany dźwiękiem klaksonów. Przeciął w poprzek drogę, dopadł ścieżki rowerowej po drugiej stronie i po chwili zniknął z oczu Tomkowi, który dysząc, stał na chodniku z dłońmi wspartymi na kolanach. Obejrzał się w stronę sklepu i postanowił dać sobie spokój z zakupami. Przez chwilę trwał tak niezdecydowany. Nie było sensu iść z tym do Lii, nie miał ochoty na kolejne upokarzające starcie z panem Byłym Mężem. Nie miał też podstaw, by zawiadomić policję. Lia na pewno podała im nazwiska kolegów Jaspera; gdyby coś było nie tak, sami by do tego doszli. Wsunął dłonie w kieszeni kurtki, bo zaczęły mu sztywnieć z zimna. Powinien to tak zostawić. Wrócić na barękę, otworzyć puszkę piwa i odpocząć. To była istotnie sprawa rodzinna i sprawa dla policji, on nie miał z tym nic wspólnego. To nie był jego syn ani jego rodzina. Nie wiedział nic, poza tym, że chłopak, którego właśnie spotkał, wyraźnie coś ukrywał.

15

Joanna siedziała na miękkiej pasiastej sofie w hotelowej recepcji. Właśnie skończyła jeść i nie miała ochoty wracać do pustego pokoju. Tu na dole było spokojnie, ale mogła bezkarnie cieszyć się nienarzucającym się towarzystwem innych gości oraz gwarem dobiegającym z sali restauracyjnej. Kominek, przy którym stały dwie ustawione naprzeciw siebie kanapy, nie był prawdziwy, ale emitował ciepło, a hipnotyzujący taniec płomieni wprowadzał ją w przyjemny trans. Zanim się spostrzegła, witki wspomnień oplotły ją ciasno i wciągnęły pod powierzchnię.



Zapach palących się gałęzi i igieł był jak kadzidło. Dym unosił się i rozprzestrzeniał, drewno trzaskało i syczało, by po chwili rozrzucić wokół iskry, z których powoli opadał popiół. Płomienie szybko pięły się w górę i zdawały niemal lizać rozgwieżdzone niebo. Siedzieli na swetrach i kocach albo po prostu na trawie. Ziemia była ciepła, nagrzana sierpniowym słońcem, trawa miękka i sucha. Joannę paliły policzki od bliskości ognia, a komary gryzły zaciekle, choć nikt tak naprawdę nie zwracał na to uwagi. Julia opierała głowę na ramieniu Joanny i co jakiś czas krzyczała z zachwytem, gdy kolejna gwiazda spadała z nieba, błyszcząc

przez chwilę długim złotym ogonem, tylko po to, by potem obrócić się w nicość. Tomek ostrzył kijki, na które potem wbijali kiełbaski. Kropelki tłuszczu syczały w ogniu, woń pieczonego mięsa rozkosznie podrażniała zmysły, a piwo z sokiem malinowym smakowało słodko, jak nektar młodości.

Tacy byli wtedy młodzi, spragnieni życia i doznań. Joanna pamiętała to uczucie błogiej euforii i tę niewypowiedzianą pewność, że czeka ich coś pięknego.

To ognisko Julia wyblagała u rodziców. Swoje urodziny w lipcu obchodziła podczas rodzinnego wyjazdu za granicę i nie miała okazji świętować ich z przyjaciółmi. Sawiccy nie byli zachwyceni, ale w rezultacie wyrazili zgodę. Udostępnili domek letniskowy nad jeziorem Wigry, dowieźli jedzenie i zapowiedzieli, że impreza ma się skończyć o drugiej w nocy. Domek położony był blisko brzegu jeziora i otoczony drzewami, których ściana odgradzała go od innych zabudowań. Kiedy tu przebywali, Joanna miała wrażenie, że są jedynymi ludźmi w całym lesie. Lata później, kiedy dzięki swojej karierze odbywała dalekie podróże, nadal nigdzie, w żadnym zakątku świata nie odnalazła czaru, który rzucił na nią ten dziki zielony skrawek kraju.

Joanna przyjechała z Julią i jej rodzicami, resztę gości dowieźli rodzice. Pani Sawicka, matka Julii, w ogromnym stresie patrzyła na przygotowania do ogniska i po raz kolejny upominała chłopców układających drewno, żeby postawili obok wiadro z wodą, żeby uważali, żeby nie spalili domu. Julia wzdychała poirytowana.

– Marto, oni mają po osiemnaście lat. Naprawdę dadzą sobie radę. Zostawmy młodzież w spokoju i wracajmy do domu. – Pan Sawicki niemal siłą zabrał żonę w stronę auta.

Joanna słyszała jeszcze, jak rozmawiali w drodze do samochodu.

– Julia jest młodsza. I taka naiwna. I widziałeś tych chłopców z technikum, ze trzy lata starsi chyba. To już nie młodzież, to młodzi mężczyźni.

– Przesadzasz. Są może z rok starsi. To po pierwsze, po drugie, to nie są jacyś obcy, tylko jej znajomi! Sama ich zaprosiła!

– Tego nie wiesz! Zaprosiła tego Tomka i pewnie on ściągnął ze sobą kolegów!

– Nie sędzę, a nawet jeśli, to naprawdę myślisz, że z Tomkiem i Asią coś złego mogłoby się Julii przytrafić? I ilu przyjaciół miałaby bez nich?

– Nie wiem, dlaczego ty tak lubisz tego chłopaka, wiesz, z jakiej pochodzi rodziny...

Reszty rozmowy Joanna nie mogła usłyszeć, ponieważ Sawiccy wsiedli do auta, a ona sama poszła pomóc w rozpakowywaniu przywiezionego prowiantu. Julia zaprosiła kilka osób ze swojej klasy i ze szkoły muzycznej, w której uczyła się gry na fortepianie. Tomek zabrał dwóch kolegów i swoją dziewczynę. Nie pierwszą i, jak domyślała się Joanna, nie ostatnią. Miał dziewiętnaście lat i jego niesforna natura działała na dziewczęta jak lep na muchy. Joanna chciała wymyślić inne, ładniejsze porównanie, ale nawet Julia nie męczyła się z ubieraniem tego w bardziej przyzwoitą formę. Dziewczęta przychodziły i odchodziły i ani Joanna, ani Julia nie zadawały sobie trudu, by zapamiętać ich imiona. To koledzy Tomka przywieźli skrzynki z piwem, które stały w aucie, dopóki rodzice Julii nie zniknęli za zakrętem. Wkrótce grupka nieznanych sobie osób gwarnie i radośnie zasiadła wokół ogniska, jak gdyby znali się całe lata. Zmrok jeszcze nie zapadł, ale słońce już zaszło i nad jeziorem zawisła cienka mgiełka. Joanna zauważyła, że Tomek zerkał w stronę szaroróżowej wody okrytej powłóczystą woalką pary. Wstał, otrzepał spodnie z trawy i ruszył w kierunku brzegu. Patrzyła za nim chwilę. Wiedziała, że wypił piwo, i miała poczucie, że musi mieć go na oku, jeśli zdecyduje się wskoczyć do wody. Wszedł na pomost i powoli zsunął z siebie porwane jasne dżinsy i czarny podkoszulek. Na trawie została jego czerwono-czarna flanelowa koszula w kratę, również nie pierwszej świeżości. Kątem oka Joanna dostrzegła sylwetkę Julii, stała na schodkach letniskowego domku z tacą w dłoniach, wpatrzona w sylwetkę Tomka, który wygiął się w łuk na krawędzi pomostu i w ułamku sekundy zniknął pod powierzchnią wody, wślizgując się pod nią bez rozpryskiwania kropelek wokół siebie.

Wynurzył się spory kawałek dalej i potrząsnął głową. Kosmyki przydługich włosów zaczesał dłonią do tyłu. Nawet z daleka widziała, że uśmiechał się szeroko. Nie do niej. Do postaci na schodach domku.

– Julka! – krzyknął, a echo powtórzyło: Julka... Julka... – Chodź popływać!

Joanna obróciła się, żeby zobaczyć reakcję przyjaciółki. Zeszła powoli ze schodów i postawiła tacę na drewnianej ławeczce.

– Chodź ze mną – poprosiła, pochylając się nad Joanną.

– Nie, ja nie pływam zbyt dobrze i na pewno jest zimno, poza tym nie mam stroju – wykręcała się.

– Chodź, proszę, sama nie pójdę, z tobą tak, proszę...

Joanna podniosła się z trawy i odstawiła butelkę z piwem i sokiem malinowym.

– Tylko dlatego, że to twoje urodziny – powiedziała i razem weszły na pomost.

W przeciwieństwie do Joanny Julia pozostała tak samo chuda, jak w podstawówce. Joannę okres dojrzewania przywitał krągłościami, nad czym bardzo ubolewała.

Przyjaciółki zrzuciły ubrania i Julia pierwsza zsunęła się do jeziora. Joanna westchnęła ciężko, ale nie miała wyboru. Woda była zadziwiająco ciepła. Tomek podpłynął do nich z uśmiechem.

– Jak zupa, no nie? – zapytał, lekko dysząc. Na jego twarzy i ustach widniały kropelki wody. Skinęły głową w odpowiedzi. – To dlatego, że woda jest cieplejsza niż powietrze. Widzicie ten drążek? Kto pierwszy...?! – zawołał, woda chlupnęła i odpłynął tak szybko, że Joanna z podziwem patrzyła za nim jeszcze przez chwilę.

– Asia! – Julia próbowała go bezskutecznie dogonić i dopiero po chwili zauważyła, że przyjaciółka została w tyle.

– Już, już! – odkrzyknęła i podpłynęła w kierunku drążka, nie siląc się wcale i nie oszukując, że ma jakieś szanse w tej konkurencji. Unosiła się lekko i bez wysiłku. Kiedy postanowiła znów popływać, wzrokiem odnalazła cel, do którego mieli dopłynąć. Tomek i Julia dryfowali już wokół drążka, przytrzymując się go. Ich sylwetki, ledwie odbite w falującej wokół nich wodzie, były dziwnie blisko. Patrzyli na siebie z uśmiechem, ich usta poruszały się powoli, ale słowa nikły w echu, które próbowało je nieudolnie powtórzyć. Joanna odpłynęła w stronę pomostu. Kiedy wdrapała się na niego, jej rozgrzanym ruchem ciałem wstrząsnął

chłód. Przez chwilę szamotała się z ubraniami, żeby naciągnąć je na mokrą skórę, i ignorując wołania ze strony jeziora, stanowczym krokiem ruszyła w kierunku ogniska, żeby się ogrzać.

To nie tak, że była zazdrosna. Po prostu nie chciała, żeby rzeczy się zmieniały. A coś zmieniło się właśnie tam, tamtego lata. I Joanna czuła, że nie jest w stanie tego powstrzymać. Czuła coś, do czego trudno było jej się przyznać. Siedziała w małej łazience w domku letniskowym, gdzie pachniało cytrynowym odświeżaczem powietrza. Już dawno wysuszyła włosy i miała wyjść, gdy zapukano do drzwi.

– Asia? – dobiegł ją głos Julii.

Otworzyła drzwi i podała przyjaciółce ręcznik. Z jej włosów kapłała woda, usta miała niemal sine, ale policzki zaróżowione, a oczy błyszczące.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Prawie wepchnęła Joannę z powrotem do łazienki i zamknęła drzwi. – Nie mogłam tak przy tych wszystkich.

Joanna poczuła, że drętwieje, i całą siłą woli próbowała udawać zaniepokojenie, które miało przykryć strach.

– Całowałam się! – Julia zapiszczała cicho. – Pierwszy raz!

– Co? Kiedy? – Joanna z trudem wykrzesła z siebie odrobinę entuzjazmu. Przed oczyma stanął jej widok ich dwojga zanurzonych w wodzie.

– Z tym wysokim kolegą Tomka, Bartkiem.

Nie wiedziała, czy poczuła bardziej ulgę, czy zdziwienie.

– Ale... jak? Kiedy? – powtórzyła.

Wyjęła ręcznik z dłoni Julii i zaczęła wyciskać w niego mokre kosmyki jej długich ciemnych włosów.

– Siedział na pomoście, kiedy wyszliśmy z wody. Tomek pobiegł, żeby cię poszukać, ale widać nie znalazł... a ja zaczęłam się ubierać. Bartek wstał i podniósł mój sweter. Chciałam go od niego wziąć, ale on... Przełożył mi go przez dłonie i głowę, a potem pocałował. Miał takie... ciepłe usta!

Joanna odniosła wrażenie, że Julia zaraz zacznie skakać w tym małym pomieszczeniu. Przytrzymała ją za ramiona i dokończyła osuszanie jej mokrych włosów. Piękniejszego prezentu urodzinowego Julia nie mogła sobie wymarzyć. Joanna poczuła, że z serca spadł jej dziwny ciężar.

Resztę wieczoru spędziły, pławiąc się w tej błogiej euforii. Tuż przed drugą zgaszono ogień, który protestował, sycząc i dymiąc obficie. Zmyto naczynia i rozdzielono resztki prowiantu. Sawiccy przyjechali jako pierwsi, sporo przed czasem. Pani Sawicka rozglądała się wokół wzrokiem polującego sokoła, ale najwidoczniej nie znalazła żadnej wartej uwagi ofiary, bo zajęła się pakowaniem rzeczy do auta. Wkrótce zjechali inni rodzice i polanka przed domkiem nagle opustoszała. Joanna zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę samochodu państwa Sawickich, z którymi miała wracać do domu. Właśnie wtedy mignęła jej między drzewami kraciasta czerwono-czarna koszula. Auto kolegów Tomka odjechało już, przez chwilę wahała się więc, czy dobrze widziała. Mimo to wymknęła się pędem na ścieżkę, do której można było dojść, skracając sobie drogę przez las wokół domku.

Szedł kawałek dalej z rękoma w kieszeniach. Rozpoznała nawet w mroku nocy jego koszulę, jasne džinsy i czarny plecak z urwanym paskiem na ramię.

– Tomek – wyszeptwała jego imię, nadal próbując go dogonić.

Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Asia?

– Dokąd ty idziesz? Myślałam, że już pojechałeś z chłopakami i ... – Z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że nie pamiętała imienia dziewczyny.

– Z Moniką?

Skinęła.

– Nie. Nie było miejsca w aucie.

– Co? I zostawili cię tak?

– Nie zostawili. Wolałem iść piechotą.

– Piechotą?! Kompletnie ci odbiło?! Jest środek nocy, a do miasta jest jakieś piętnaście kilometrów! Nie możesz iść, zostań na noc w domku.

– Mogę i pójdę, zresztą przecież nie idę do miasta, tylko do dziadków do Gawrych Rudy, to tylko kawałek drogi.

– Z pięć kilometrów! W środku nocy! – krzyknęła oburzona.

– Znam drogę. Nawet w ciemności.

Przemierzyli w wakacje te szlaki parokrotnie i Joanna wiedziała, że Tomek z zamkniętymi oczami znalazłby ścieżki ukryte między drzewami, skrótów nieznanymi innym ludziom.

– Nie bądź taki uparty, rodzice Julii cię zawiozą, nie chcę, żebyś szedł sam w środku nocy.

– Asia, ty wiesz, że oni mnie nie tolerują. Zresztą nie ma problemu. Niedługo będę u dziadków.

– I co? Obudzisz ich w środku nocy? Zwariowałeś? Przecież się przestraszą, wcale się ciebie nie spodziewają.

– Jezu, Asia, dam sobie radę.

Westchnęła poirytowana. Był tak uparty, że miała ochotę go kopnąć.

– To idę z tobą w takim razie, nie zostawię cię samego – powiedziała w akcie desperacji.

Zaśmiał się lekko.

– I gdzie będziesz spała?

Popatrzył na nią, unosząc brwi. Nagle Joanna przełknęła odpowiedź, którą w uniesieniu prawie wyrzuciła z siebie. „Tam, gdzie ty”. Przez moment miała wrażenie, że również w jego pytaniu było ukryte inne, na które odpowiedzi oczekiwał. W mroku nocy jego oczy wydały się jej ciemne i pełne migoczących gwiazd.

Zamiast coś powiedzieć, wzruszyła ramionami.

– A ty? Gdzie ty będziesz spał?

– Ja dam sobie radę – powtórzył i już prawie się obrócił, gotowy odejść.

– Wiem, że dasz sobie radę sam. – Podkreśliła ostatnie słowo. – Ale nie musisz być sam. Jedź z nami. Julia będzie się martwić.

– Nie będzie. Bo jej nic nie powiesz – odparł. – Nie psuj jej urodzin. Wracaj do domu. Pa!

Odwrócił się i ruszył piaszczystą dróżką nieśpiesznym, jednak pewnym krokiem. Rąbek księżycy rzucał blade światło na jego sylwetkę. Joanna stała pośrodku drogi otoczona letnią nocą, wokół niej szumiał las, a powietrze pachniało jeziorem, trawą i ogniskiem. Po raz pierwszy czuła się rozdarta między dwojgiem swoich najlepszych przyjaciół.

– Asia? Gdzie ty jesteś? Rodzice chcą już jechać! Idziesz? – Głos Julii dobiegał spomiędzy drzew.

– Tak, już idę! – zawołała i odwróciła się jeszcze na moment, by spojrzeć na oddalającą się powoli postać.



– Przepraszam, mogę? – Wysoki elegancki mężczyzna wskazał miejsce na drugim końcu sofy, na której siedziała Joanna, wyrrywając ją z zamyślenia.

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem i skinęła głową, nie tyle rozumiejąc, co powiedział, ile domyślając się na podstawie gestykulacji. Znów zapatrzyła się w taniec płomieni. Było jednak za późno. Czar wspomnień umknął i pozostawił ją na pastwę nieproszonego towarzysza.

Zapytał ją o coś, wyjął spod pachy gazetę i zaczął ją przeglądać od niechcienia.

– Przepraszam, nie mówię po holendersku – odparła, mając nadzieję, że przybysz da sobie spokój.

– Bardzo przyjemnie urządzone hotel, nie sądzi pani? – Mężczyzna przeszedł natychmiast na płynny angielski, tym razem jednak odkleił wzrok od gazety i przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

– Owszem.

– Tego się nie spodziewałem we Fryzji. Nie bywam tu często. Mieszkam w Amsterdamie. Niestety sprowadziły mnie tutaj nieprzyjemne sprawy rodzinne. Moja była żona jest redaktorką tutejszej gazety i...

Joanna podniosła się z sofy i odeszła bez słowa, pozostawiając mężczyznę za sobą i nie dbając ani o jego reakcję na jej nagłe i nieuprzejme odejście, ani o jego osobiste problemy.

16

Lia siedziała w fotelu w przestronnym salonie, owinięta kocem. Za oknami panował mrok, ale jej uszu dobiegał gwar miasta. Co jakiś czas zerkała na telefon, który milczał. Powinna wstać i zrobić sobie coś do jedzenia, ale nie potrafiła się poruszyć. Każdy miesiąc zdawał się odmawiać współpracy. Była zmęczona, ale nie mogła spać. Dwa dni wcześniej Falco zawiózł ją do lekarza, który przepisał tabletki nasenne. Od tamtej pory nie zażyła ani jednej. Myśl, że mogłaby zasnąć zbyt głęboko i nie usłyszeć telefonu czy pukania do drzwi, sprawiała, że Lia nie pozwoliła sobie na odrobinę odpoczynku. Czasem przysypiała w dzień, gdy Falco przyjeżdżał do jej apartamentu. Co najmniej trzy razy dziennie dzwoniła na policję, by dopytywać się o postęp sprawy. Bez rezultatów. Miała wrażenie, że za każdym razem dostawała tę samą lakoniczną odpowiedź, że policja prowadzi postępowanie i że zostaną powiadomieni, gdyby pojawił się nowy ślad. Tymczasem minął tydzień i Lia była na granicy załamania nerwowego. Przez chroniczny brak snu popadła w rodzaj letargu, z którego wyrывał ją jedynie rzadko dzwoniący telefon.

Wieczorami, kiedy Falco wracał do hotelu, oddychała z ulgą i dawała sobie prawo do wypłakania tyłu łez, od ilu powstrzymywała się cały dzień, by udawać

silną i opanowaną przed byłym mężem. Potem siadała w fotelu i oglądała stare filmiki z czasów, gdy Jasper był małym chłopcem.

Kiedy odezwał się dźwięk nadchodzącej wiadomości, prawie upuściła telefon, chwytając go zbyt gwałtownie. Gdy jednak na wyświetlaczu pojawiło się imię Thomasa, odłożyła komórkę zawiedziona. Zaraz potem rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Westchnęła i odczekała chwilę. Musiał stać pod drzwiami. A jeśli nie? Jeśli to jej syn? Podniosła się ciężko z fotela i ruszyła w stronę drzwi. Otworzyła je, próbując powstrzymać kołatanie serca. Thomas stał przed nią z niepokojem wymalowanym na twarzy. Widziała, jak na nią patrzył, i wiedziała, co zobaczył. Cień kobiety, którą znał.

– Thomas... Po co tu przyszedłeś? Nie mam czasu... – zaczęła słabo.

– Lia... Mogę wejść? Przyniosłem jedzenie i...

– Nie chcę jeść – przerwała mu szybko, choć wiedziała, że powinna coś zjeść.

– Wiem. Wiem, że nie chcesz. Ale musisz.

Przepuściła go w korytarzu. Nie mogła dłużej protestować, nie miała na to energii. Wszedł i rozejrzał się niepewnie po pokoju.

– Twój były mąż...? – spytał, jakby upewniał się, czy niebezpieczny pies jest na pewno zamknięty w kojcu.

– Wraca na noc do hotelu. Dzięki Bogu.

Otuliła się mocniej kocem, który okrywał jej ramiona. Od tygodnia było jej ciągle zimno, brak snu i niejedzenie rozregulowały temperaturę ciała. Ilekroć czuła falę chłodu, od której drżała, myślała o Jasperze. Czy był gdzieś tam, samotny, zagubiony w tym zimowym przejmującym chłodzie? Czy myślał o niej? Dlaczego nie wracał? Dlaczego jej to zrobił? W jej głowie panował chaos i choć przestała już wierzyć w to, że Jasper dobrowolnie odszedł, nie informując jej, miała nadzieję, że ten, kto powstrzymuje go przed powrotem, trzymał go przy życiu.

Thomas skierował się do kuchni. Postawił na blacie pojemnik, a pozostałe schował do lodówki. Patrzyła, jak przygotowuje talerze i sztućce, nalewa jej lampkę białego wina i szklankę wody. Potem wziął ją za ramiona i dosłownie

posadził na krześle przed miską z wyglądającą apetycznie sałatką makaronową. Normalnie pochwaliby jego wybór i doskonale przygotowanie posiłku, tym razem patrzyła jedynie tępo w talerz.

– Jedz. Wiem, że nic nie jadłaś. Jesteś głodna. Osłabniesz, a musisz być silna.

Skinęła głową i powoli zaczęła jeść. Dopiero po pierwszych paru kęsach poczuła bolesny ścisk głodu w żołądku, jakby jej własny organizm dopiero w konfrontacji z pożywieniem zdał sobie sprawę, jak bardzo go potrzebował.

– Smakuje? – spytał.

– Tak. Dziękuję. Nie musiałeś... – zaczęła cicho.

– Musiałem. Chciałem przyjść wcześniej, dużo wcześniej, ale... byłem tutaj, niestety twój były mąż mnie nie wpuścił. Zresztą i tak nie wiedziałem, jak mógłbym pomóc i co powiedzieć.

– Teraz już wiesz? – spytała trochę ostrzej, niż powinna. – Przepraszam, przepraszam. Nie wiem, dlaczego tak reaguję, to nie twoja wina.

Nie chciała na niego patrzeć. Więc przez moment zapadła cisza. Zjadła jeszcze kilka kęsów sałatki.

– Mają już coś?

– Nic – odparła i odłożyła sztucce. – Mam wrażenie, że oni w ogóle go nie szukają. Umieścili ogłoszenie, rozesłali meldunki i teraz chyba czekają, aż ktoś inny go znajdzie!

– Jak to możliwe, że nic nie mają? Przecież nie rozpląnął się w powietrzu!

Poczuła narastającą irytację, choć zdawała sobie sprawę, jak bardzo bezpodstawną. Nie mogła o tym rozmawiać. Nie mogła się przyznać, jak bardzo jest bezsilna i zrozpaczona. Nie mogła i nie chciała przyznać się do desperacji, do świadomości, że z każdą minutą szanse na powrót jej syna maleją. A ta rozmowa nie mogła przybrać innego kierunku.

– Myślę, że powinieneś już iść – powiedziała stanowczo, odsuwając od siebie talerz, jak gdyby tym samym gestem odsuwała jego samego.

– Słucham? – Spojrzał nią zaskoczony.

– Powinieneś już iść – powtórzyła.

– Lia, ja właściwie chciałem ci coś powiedzieć... – zaczął niepewnie, co jedynie utwierdziło ją w przekonaniu, że to, co chce jej przekazać, nie jest tym, co chce usłyszeć, choć sama nie wiedziała, co chciałaby, żeby to było. W tamtej chwili czuła, że atak jest najskuteczniejszą formą obrony.

– Ja też chciałam ci coś powiedzieć. Lepiej będzie, jak przestaniemy się widywać.

– Co? Dlaczego? Lia, ja nie to chciałem...

– Wiem, ale musisz zrozumieć, że teraz nic i nikt się dla mnie nie liczy poza moim synem.

Otworzył usta, ale nie dała mu nawet dojść do słowa. Tak było lepiej, wołała nie słyszeć i nie słuchać.

– Dziękuję ci za troskę, ale nie potrafię się w tej chwili odwdzińczyć. Nie mam nic do zaoferowania.

– Lia, posłuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć...

Odsunęła krzesło z głośnym szurnięciem i podniosła się gwałtownie.

– Proszę, idź już, chcę być sama.

Patrzył na nią oniemiały, ale Lia podjęła już decyzję. Relacja z nim kosztowała ją zbyt dużo energii i uwagi. Kosztowała ją więcej, niż chciała się przyznać. Może gdyby tamtej nocy nie zasnęła wyczerpana w jego ramionach, wcześniej zauważyłaby, że jej syn nie wrócił na noc? Może gdyby nie on, Jasper nie wychodziłby z domu? Nie było żadną tajemnicą, że go nie lubił i nigdy nie zaakceptował.

Thomas spuścił głowę i wstał od stołu. Parę sekund później usłyszała, jak po cichu zamknął za sobą drzwi. Podniosła talerz z sałatką i rzuciła nim o ścianę.



Wyszedł, bo co tak naprawdę miał jej do powiedzenia? Nic. Prawdopodobnie reakcja kolegi Jaspera na jego widok w sklepie nie miała żadnych ukrytych znaczeń i wcale nie była związana ze zniknięciem chłopaka. A nawet jeśli o czymś świadczyła, to przecież nie miał pojęcia o czym. Może dałby jej tylko złudną nadzieję lub wprowadził w konsternację. Kiedy zobaczył ją w drzwiach, miał wrażenie, że jest nieznaną kobietą, która jedynie przypomina tę, którą znał. Jej włosy straciły blask, a oczy wyrażały rozpacz i desperację. Wydała mu się krucha, jak figurka z porcelany, choć zawsze był przekonany, że była wykuta w skale. To nie tak, że w tych okropnych chwilach straciła urodę i klasę, wręcz przeciwnie. Kiedy na nią wtedy patrzył, w jego oczach była piękniejsza niż kiedykolwiek. Rozumiał, dlaczego go tak potraktowała. Nie miało znaczenia, czy była w tym jego wina, czy nie. Potrzebowała być na kogoś wściekła. To leży w ludzkiej naturze. Kiedy dzieje się coś strasznego, pragniemy kogoś obwinić, kogoś ukarać. Wybrała jego. Nie miał jej tego za złe. Wrócił na barkę i próbował skoncentrować myśli na czymś innym, ale obraz Lii w totalnej rozsypce wracał do niego uparcie. Powinien był zatrzymać chłopaka, wypytać. Przecież ludzie nie rozplývają się w powietrzu. O tym też dobrze wiedział.

Mróz skuł ziemię, a nieogrzewana stara fabryka nie oferowała łatwych warunków pracy. Z powodu chłodu postanowiono zakończyć robotę trzy dni wcześniej, niż planowano. Budynek miał być i tak zamknięty na cały okres świąteczny. W ostatnim dniu zabezpieczono rozpoczęte prace, wszelkie sprzęty i maszyny zostały odstawione na teren firmy. Tomek sprawdził jeszcze stan budynku, pozamykał drzwi i bramę, życzył kolegom wesołych świąt i pojechał do domu. Nie spał pół nocy, a godziny, gdy przysypiał, pełne były niespokojnych snów. Rano wstał z łóżka z piekącymi oczyma i uczuciem kompletnego rozbicia. Wypił kawę, ale śniadanie zostawił nietknięte. Wsiadł w firmowego busa i wkrótce włączył się w poranny ruch w mieście. Kiedy po trzydziestu minutach wreszcie podjechał pod budynek szkoły, zastał pusty plac i zamknięte bramy. Westchnął ciężko i przeklął w myślach. Przerwa świąteczna zaczęła się również w szkołach. Wtedy przypomniał sobie, że ma w telefonie adres chłopaka wysłany kilka dni temu przez Lię. Znajac Jaspera, nie spodziewał się, by nastolatek obudził się przed dziewiątą rano. Wrócił więc do domu, z uczuciem frustracji i głodu, który zaspokoił pozostawionym na stole śniadaniem. Pod dom chłopaka zajechał dopiero po lunchu. Zaparkował nieco dalej i postanowił czekać. Nie miał pojęcia, czy dzieciak jest w domu. Mogli przecież wyjechać na święta albo po prostu gdzieś wyjść. Był jednak gotowy siedzieć tam i tracić czas. Nie miał zresztą nic lepszego do roboty.

Sączył kawę z zabranego ze sobą termosu, zjadł parę ciastek, krusząc wokół i zerkając na budynek mieszkalny kilka metrów dalej. Prawie upuścił termos, gdy drzwi otworzyły się i z domu wyszedł kolega Jaspera ze wzrokiem wbitym w telefon komórkowy. Tomek pokręcił głową z niedowierzaniem, gdy chłopak wsiadł na rower i powoli ruszył przed siebie, wciąż nie odrywając wzroku od telefonu. Tomek ruszył. Jechał powoli, choć wiedział, że nawet gdyby deptał chłopakowi po piętach, ten nie zauważyłby tego, zajęty jedynie wyświetlaczem telefonu. Zmierzali w stronę centrum, a Tomasz zdawał sobie sprawę, że wiele ścieżek rowerowych przecinało miasto w miejscach niedostępnych autom. Nie wiedział, jak długo uda mu się śledzić chłopaka, i zaczął żałować, że nie zaczepił

go, gdy ten wyszedł z domu. Obawiał się jednak, że w domu mogli być jego rodzice, ktoś mógłby go zauważyć, a tego nie chciał. Gdy dojechali do centrum, prawie zgubił go na światłach. Potem uciekł mu, wjeżdżając w jedną z wąskich uliczek, i Tomek cudem dopadł go, objeżdżając uliczkę z innej strony. W końcu jednak musiał się poddać na rondzie, gdzie utknął, patrząc, jak Koen odjeżdża, a potem znika, przecinając kanał mostem. Kiedy Tomek wreszcie mógł jechać dalej, nie miał pojęcia, dokąd ma się udać. Zjechał w kierunku, w którym po raz ostatni widział rowerzystę, wiedząc, że nie byłby w stanie go dogonić, nie mając pojęcia, dokąd pojechał. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest blisko miejsca, skąd tamtego wieczoru odebrał rower Jaspera. Skierował się więc w okolice kafejki Kraina Oz i po chwili zaparkował auto w niedozwolonym miejscu przy ulicy. Wysiadł i próbował przez szybę zajrzeć do wnętrza lokalu. Nie chciał wchodzić. Jeśli kolega Jaspera faktycznie był w środku, wolał nie wywoływać u niego znowu paniki. Był jednak ciekaw, jaka będzie reakcja nastolatka na jego widok. Musiał czekać. Oparł się o firmowego busa i wsunął dłonie do kieszeni. Było zbyt zimno, by pozostawać bez ruchu. Zaczął przechadzać się parę metrów od kafejki, zerkając regularnie na jej drzwi. W wąskim przejściu między budynkami znów stały ciasno zaparkowane rowery. Przeszł parę kroków w jedną stronę, potem w drugą. Nawet wpadło mu do głowy, żeby wsiąść do busa i poczekać w cieple, ale myśl, że chłopak znów miałby mu się wymknąć, powstrzymała go od schronienia się przed zimnem. Mijał przesmyk między budynkami, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił głowę. Po drugiej stronie przejścia ponad rzędem rowerów ujrzał kobietę. Stała tam po prostu, z dłońmi w kieszeniach długiego czarnego płaszcza, na który spływały ciemne włosy. Mimo że nosiła przeciwsłoneczne okulary, był pewien, że patrzy prosto na niego. Zastygł porażony myślą, że jej postać wydała mu się nagle tak znajoma. Zmrużył oczy, wyęzając wzrok. Jak w amoku, postąpił krok w stronę przesmyku. Drzwi kafejki trzasnęły, odciągając uwagę Tomka. Na zewnątrz wyszło trzech chłopaków, rozmawiając głośno. Zatrzymali się zaledwie parę metrów od niego. Obrócił się raz

jeszcze raz w stronę przesmyku, ale kobieta zniknęła, jak gdyby była jedynie przywidzeniem.

– Koen? – Ruszył stanowczym krokiem w stronę grupki przed drzwiami kafejki, próbując pozbyć się dziwnego uczucia, które wywołała w nim kobieca postać.

Chłopak obrócił się i utkwiał przerażone spojrzenie w Tomku, ale tym razem nie ruszył się z miejsca, jakby stopy wrosły mu w płytki chodnikowe. Wepchnął coś jedynie szybkim ruchem do kieszeni kurtki.

– Nazywam się Thomas Rajter. Jestem... – zaczął powoli, wyciągnąwszy przed siebie dłoń, jakby chciał powstrzymać nastolatka przed ucieczką siłą woli promieniującą z jego ręki. Nie bardzo wiedział, jak się przedstawić.

– Wiem, kim pan jest – odparł tamten. Dwaj pozostali lustrowali go z zaciekawieniem. – Ojczym Jaspera – mruknął i zaciekawienie kolegów przerodziło się w dziwną konsternację i niepokój. Tym razem to Tomek zlustrował ich uważnie.

– Muszę spadać – rzucił jeden z nich.

– Ja też – przytaknął żywo drugi i klepnął Koena po ramieniu, jakby chciał mu dodać otuchy, po czym oddalili się pośpiesznie. Koen rzucił Tomkowi niespokojne spojrzenie.

– Powiedziałem wszystko policjantom – wyrzucił z siebie wreszcie, kiedy mężczyzna bez słowa mierzył go baczny wzrokiem.

– Nie wątpię. Bardziej od tego, co powiedziałeś policjantom, interesuje mnie, dlaczego uciekłeś na mój widok ze sklepu.

– Nie, ja... ja wcale nie uciekałem... – płątał się chłopak, unikając patrzenia Tomkowi w oczy.

– Słuchaj, Koen. Jasper zniknął i nie wraca od wielu dni. Jego mama jest załamana. Ty byłeś ostatnią osobą, która go widziała.

– Nie, ja... – Przez chwilę oczy chłopaka wypełniła znów panika, a potem jakby zebrał się w sobie i otrząsnął z ataku lęku. – Niech mi pan da spokój, muszę

wracać do domu.

Z zaciętą twarzą minął Tomka i podszedł do jednego z rowerów stojących w ciasnym rzędzie na chodniku. Mężczyzna westchnął i poczuł w ramionach narastające napięcie. Wbił wzrok w chodnikowe płytki, po czym rozejrzał się po ulicy. Obrócił się i zobaczył, jak chłopak odpina rower. Nim jednak udało mu się tego dokonać, Tomek zgarnął go jednym stanowczym ruchem i wepchnął do przejścia między budynkami. Popchnął chłopaka na ścianę i przycisnął do niej na tyle mocno, żeby zablokować szansę na ucieczkę, ale umożliwić swobodne oddychanie. Wolną ręką, szybko i zwinnie sięgnął do kieszeni kurtki chłopaka i wyjął z niej małą saszetkę.

– Dam ci spokój, ale najpierw porozmawiamy chwilę na osobności. A może wolisz, żebym odwiedził twoją mamę i pokazał jej, czym się zajmujesz po szkole? Twój wybór.

– Nie. – Koen sapnął ciężko pod naporem ramienia Tomka.

– Co nie?

– Niech pan nie mówi matce...

Tomek skinął. Czuł, że ma lekką przewagę.

– Świetnie, czyli mamy umowę. Ja zachowam dla siebie, co tu znalazłem, a ty powiesz mi to, czego zapomniałeś powiedzieć policji. Bo przecież nie zataiłbyś ważnych informacji celowo...

– Niczego nie zapomniałem! – Nastolatek zaczął się niebezpiecznie szamotać. Tomek przycisnął go mocniej do ściany, aż poczuł, jak chrzęszczą kości.

– Obaj wiemy, że wiesz więcej, niż mówisz. – Pomachał mu saszetką przed nosem. – Nie graliście tamtego wieczora w gry, prawda?

Koen przestał się rzucać i wyglądał na zrezygnowanego.

– Graliśmy... ale nie cały czas. Wyszliśmy późnym wieczorem.

– Dokąd?

Chłopak próbował nie patrzeć mu w oczy. Tomek nie odpuszczał uścisku, bał się, że ten znów mu się wymknie, a był już pewien, że młody coś ukrywa. Kiedy

w odpowiedzi milczał, Tomek ponownie pomachał lekko saszetką. Poczuł, jak pod jego ramieniem klatka piersiowa licealisty unosi się i ciężko opada.

– Do klubu.

– Do którego klubu?

– Do Bunkra – odparł i przygryzł wargę.

– Pojechaliście rowerami?

– Tak.

– Do Bunkra? Zaraz... Ale jak tam weszliście? To nie jest klub od dwudziestego pierwszego roku?

– Jest. – Głos Koena był cichy.

– Więc? Jak was wpuszczono? Bo na pewno nie legalnie?

Chłopak pochylił głowę.

– Koen? Jak dostaliście się klubu?

– Przyszła kobieta.

– Kobieta?

Skinął.

– Jaka kobieta? – Tomek prawie nim potrząsnął.

– Nie wiem! – Dzieciak podniósł głos i spojrzał na niego gniewnie. – Nie wiem, okej?! Jasper się z nią umówił! To on ją znał, nie ja.

– Skąd ją znał?

– Nie wiem! Gadali ze sobą na jakimś czacie. To ona obiecała mu, że załatwi nam wejście i... – Urwał, jakby nagle się zreflektował, że powiedział za dużo.

– I co? – Tomek zauważył moment wahania i prawie wcisnął chłopaka w ścianę, powoli tracąc cierpliwość. – I co?! – powtórzył pytanie podniesionym głosem.

– I pigułki – wyjąkał.

– To ona was wprowadziła?

– Tak.

– Jak miała na imię?

– Mówię przecież, że nie wiem. Nie pamiętam po prostu, okej?! Coś na M, jakieś dziwne imię, obco brzmiące. Trochę jak... Mirthe chyba...

Tomek widział, że chłopak mówił prawdę. Rozluźnił uścisk.

– Jak wyglądała?

– Była szczupła, niewysoka, miała długie kozaki i krótką spódniczkę. I płaszcz. Z kapturem. I długie włosy. Blond.

– Rozpoznałbyś jej twarz?

– Nie, było ciemno. Nie pamiętam zresztą szczegółów...

– Była młoda? Czy może starsza?

– Nie pamiętam! Starsza niż my w każdym razie!

– Weszliście i co było dalej?

– Najpierw nic. Wypiliśmy piwo, posłuchaliśmy muzyki, a potem... dała nam te pigułki.

– Dała? Co to było? Ile kosztowało? Miała je przy sobie czy kupiła tam?

– Nie wiem, co to było! Powiedziała, że lepsze niż to, co tam sprzedają. Nic nie kosztowało, tylko...

– Tylko co?

– Chciała... – Twarz chłopaka nagle zmieniła kolor na intensywnie czerwony. – Chciała... no... uprawiać seks – wydusił z siebie wreszcie.

Tomek popatrzył na niego zaskoczony.

– Jako zapłatę?

Koen skinął głową. Teraz nawet jego uszy przybrały kolor purpury, choć może powodem był chłód.

– I co było dalej?

– Zażyliśmy te dragi i ona wyszła z Jasperem.

– Wyszła? Z klubu?

– Nie, poszli w stronę toalety.

– A potem?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Nie wrócili już?

– Może wrócili, nie wiem! Zacząłem się dziwnie czuć, naprawdę niezbyt dobrze. Wyszedłem na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i... dalej nic nie pamiętam.

Tomek ściągnął brwi. Lustrował chłopaka uważnie.

– Straciłeś przytomność?

– Chyba tak, ale obudziłem się nad ranem, w jakichś krzakach przy drodze tuż nad kanałem. Najpierw nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się wydarzyło. Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak zimno. Strasznie się przeraziłem. Mój rower leżał na chodniku kilka metrów dalej. Jakoś dotarłem do domu. Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że Jasper nie wrócił do domu.

– Jezus Maria – szepnął Tomek, czując, jak oblewa go zimny pot przerażenia. – I nie uważałeś, że powinieneś powiedzieć, jeśli nie policjantom, to chociaż mamie Jaspera, co się wydarzyło naprawdę?!

– Moi rodzice przy tym byli! Wszystkiego by się dowiedzieli! – prawie zapiszczał. – Myślałem, że wylądował tak jak ja i wróci, naprawdę!

– I po tygodniu nadal tak myślałeś? – warknął prosto w jego twarz. – Jeśli wspomnisz komuś o naszej rozmowie, ja nie omieszkać odwiedzić twoich rodziców. A przypominam ci, że wiem, gdzie mieszkasz.

Tomek puścił chłopaka i przejechał dłonią po twarzy. Przez moment stał sparaliżowany świadomością, że z Jasperem stało się coś naprawdę złego. Jak echo dobiegł jego uszu dźwięk migawki. Ciemna sylwetka mignęła mu u wyjścia z drugiej strony przesmyku. Sam nie wiedział, czy się nie przesłyszał. Odwrócił się i ruszył do firmowego busa.

– Hej, a moja saszetka?! – zawołał za nim Koen, którego twarz powoli odzyskiwała naturalny kolor.

Tomek przypomniał sobie o trzymanej w dłoni zawartości kieszeni Koena. Zatrzymał się i wrzucił ją do kratki ściekowej.

Słyszał, że chłopak mamrotał coś wściekły, ale nie interesowało go to. Za wycieraczką busa czekał na niego mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Westchnął poirytowany i wszedł. Kiedy ruszył spod kafejki, czuł na sobie ogromny ciężar wiedzy, której wolałby nie posiadać. Przemierzył centrum i zaparkował przed wejściem do budynku, w którym mieścił się apartament Lii.

18



Wysiedli z auta. Już się spieszyła. Była spóźniona. Szarpała się z pasem, który nie chciał puścić, i kiedy wreszcie uwolniła dziecko z fotelika, okazało się, że postawiła je na chodniku w jednym buciku. Klnąc bezgłośnie, próbowała wyciągnąć but spod fotela pasażera, pod który musiał wpaść, po czym wcisnęła go na stopę synka, nie trując się zawiązywaniem sznurówki. Nie mogła się znowu spóźnić. Zamknęła auto i pociągnęła Jaspera za sobą. Potknął się, kiedy tak biegli. O te przeklęte sznurówki. Poczula, jak jego rączka wyslizguje się z jej dłoni. A potem rozległ się płacz. Podniosła go i biegła z nim w ramionach, próbując uspokoić go, nim wejdą na teren przedszkola. Gdy przekroczyli próg budynku, trzymał jej szyję tak mocno, jakby myślał, że mieli się już nigdy nie zobaczyć. Przedszkolanka podeszła do nich i spojrzała współczująco na Lię. Pogłaskała Jaspera po nieuczesanych jasnych włosach, po czym spróbowała przejąć go od Lii. Ta musiała siłą odkleić od siebie płaczące dziecko.

– Przepraszam, strasznie się śpieszę – rzuciła przepraszająco do kobiety, cmoknęła synka w mokry od łez policzek, zerknęła po raz ostatni na rozbite kolano widoczne pod rozerwanym materiałem spodenek i pobiegła korytarzem.

– Mamo! – Rozdzierający krzyk, pełen lęku, bólu i rozpacz, towarzyszył jej do drzwi wyjściowych. – MAMO!!!

I budził ją niemal każdej nocy, gdy przysnęła, wyczerpana czuwaniem na powrót, który po jedenastu dniach wydawał się niemożliwy.

Lia Kornmann nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Z dnia na dzień jej własne, dotąd tak pełne, satysfakcjonujące życie zaczęło przypominać obraz terenu zniszczonego tornadem, spustoszenia jak okiem sięgnąć. Straciła jedną rzecz w życiu, jednak okazało się, że najważniejszą.

Obudziła się z bólem głowy. Z trudem podniosła się z łóżka, jakby ciężar, który czuła, zmaterializował się i przygniótł ją. W kuchni otworzyła szafkę i szukając tabletek od bólu głowy, wysypała wszystko na blat.

– Cholera... – mruknęła i poczuła pod powiekami łzy. Wyjęła dwie pigułki i połknęła je, popijając wodą z kranu.

Mdliło ją i wiedziała, że musi coś zjeść. Nie miała świeżego chleba. W lodówce stały jedynie pudełka z jedzeniem, które przyniósł Tomek. Dwa opróżnił Falco.

– Bardzo praktycznie z twojej strony – stwierdził. – Przygotowanie jedzenia na parę dni... Że miałaś do tego głowę w tej chwili. Ten hotel i jedzenie w restauracji kosztują mnie już fortunę...

Lia nie słuchała i nie protestowała. Zwykle czekała, aż w końcu wyjdzie.

Zamknęła lodówkę i rozejrzała się po kuchni. Naciągnęła długi wełniany sweter na dres, włożyła sportowe buty, chwyciła kurtkę i nie patrząc nawet w lustro, zeszła na dół. Spacer w chłodzie dobrze jej zrobił. Ból głowy powoli odpuszczał. Zrobiła drobne zakupy i ruszyła w drogę powrotną. Weszła do budynku i postawiła torbę na podłodze, żeby otworzyć skrzynkę na listy. Kiedy wyjmowała gazetę i cały plik ulotek reklamowych, pod jej stopy spadła karteczka. Lia podniosła ją z westchnieniem i już miała zmiąć w dłoni, gdy mignęło jej wypisane odręcznie imię syna. Upuściła na podłogę gazety i powoli przysunęła kartkę przed oczy, czując, jak krew odpływa jej z twarzy i całe ciało sztywnieje z napięcia.

– Proszę mnie połączyć z Keesem Herderem – powiedziała stanowczo, gdy na posterunku wreszcie podniesiono słuchawkę. Na blacie kuchni leżała wizytówka,

którą młody policjant zostawił, wychodząc, choć ten numer Lia знаła już na pamięć.

– Nie ma go w tej chwili w biurze. Coś przekazać?

– Nie! – Lia chodziła nerwowo po kuchni, omijając produkty, który wysypały się z torby na zakupy rzuconej na podłogę. – Proszę mnie połączyć z kimkolwiek, kto zajmuje się sprawą zaginięcia mojego syna, Jaspera de Rooija.

– Połączę panią z jego kolegą. Mam nadzieję, że będzie w stanie pani pomóc.

Lia musiała znów czekać.

– Martijn van der Neut, słucham?

– Dzień dobry, Lia Kornmann. – Była pewna, że usłyszała w słuchawce, jak stłumił westchnienie. Nagle przypomniała sobie, ile razy sama kiedyś powstrzymywała się siłą, żeby nie westchnąć, słysząc po odebraniu telefonu nazwiska ludzi, którzy wydzwaniali do redakcji. – Chciałam się dowiedzieć, czy jest jakiś postęp w sprawie poszukiwań mojego syna.

– Niestety, nie mam dla pani jeszcze żadnych wieści.

– Jak to możliwe? Przecież minęło jedenaście dni! Macie jego laptop. Czy został już przeszukany?

– Nie, nadal nie wrócił od naszego informatyka.

– Jak to?

– Proszę pani, mamy wiele spraw. Trzeba czekać...

– Ale ja czekam już jedenaście dni i z tego co widzę, wy nie robicie o wiele więcej poza czekaniem, że ktoś to za was rozwiąże!

– Rozumiem, że jest pani ciężko...

– Nie! – przerwała mu Lia. Czuła, że jej ciało przechodziło znów serię drgań. – Nic pan nie rozumie! Dziś rano w mojej skrzynce na listy znalazłam kartkę. Proszę pozwolić, że przeczytam panu treść. „Jasper był po raz ostatni widziany w klubie Bunkier”. Tylko to, nic więcej.

– I nikt się nie podpisał? – dopytywał się policjant.

– Nie. Nikt.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę, że to może być głupi żart. Takie anonimowe źródła informacji, do tego dostarczone bezpośrednio do pani, a nie na policję, najczęściej są bezwartościowe. Każdy mógł wrzucić to do pani skrzynki.

– Chyba pan żartuje? To pierwszy jakikolwiek ślad od jedenastu dni, a pan próbuje mi wmówić, że to nic takiego? Ktoś odważył się za was robotę! A co wy w tym czasie zrobiliście?

Usłyszała chrząknięcie policjanta. Chyba chciał coś powiedzieć, ale Lia nie miała ochoty słuchać kolejnej wymówki.

– Radzę wam sprawdzić ten klub – kontynuowała przez zaciśnięte zęby. – Inaczej pozwę całe to wasze biuro za zaniedbanie. Chcę, żebyście go przeszukali, i nie interesuje mnie, ile innych spraw macie na głowie! Minęło jedenaście dni i nie ma już wątpliwości co do tego, że mój syn nie zasiedział się tak po prostu u kolegi. Jedenaście dni! Mam dość czekania i wmawiania mi, że robicie, co w waszej mocy. O sprawie Lois Bakker w dziesięć dni od chwili jej zaginięcia wiedział cały kraj! Wszyscy jej szukali!

– W przypadku Bakker były podstawy, by sądzić, że zaginiona znajdowała się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– Jakie podstawy? To nieszczęsne selfie? Czy odnaleziony gdzieś rower? Żartuje pan sobie? Do tej pory pewnie nie wiecie, kiedy i dlaczego je zrobiła. Taka jest prawda!

– Proszę pani, nie mogę omawiać szczegółów tamtego śledztwa z osobami postronnymi, zapewniam jednak, że te dwie sprawy są zupełnie różne.

Lia poczuła wściekłość, która jak prąd poraziła jej umysł.

– Różne?! W czym konkretnie?! Mojego syna nie ma od jedenastu dni! A wy nie macie żadnych podstaw, by sądzić, że nie zagraża mu, jak to pan ujął, prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Proszę pani, nie da się porównywać takich spraw, okoliczności są zupełnie inne i...

– Jakie konkretnie okoliczności ma pan na myśli? Tamta kobieta zaginęła bez śladu podobnie jak mój syn! Wie pan, co je różni? W sprawie Bakker faktycznie zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, bo sprawę rozdmuchano w mediach do takich rozmiarów, że nie mieliście wyjścia! Chodziło w końcu o młodą, piękną, bezbronną kobietę i cały kraj drżał, wyobrażając sobie, że została zgwałcona przez jakiegoś zwyrodnialca, co zresztą ją pewnie spotkało, choć akurat teraz media milczą, a wy nie puszczaacie farby, bo oczywiście nie potraficie znaleźć winnego! Oto cała prawda i jedyna różnica... – Lia zamilkła nagle. A potem odezwała się cichym, stłumionym głosem: – Oczywiście... Chodziło przecież o zaginięcie młodej kobiety, a nie zbuntowanego chłopca w wieku dorastania...

– Zapewniam panią, że ani wiek, ani płeć zaginionego nie mają wpływu...

Rozłączyła się, mimo że policjant kontynuował wywód. Przez chwilę stała w bezruchu, czekając, aż fala skłębionych myśli przetoczy się przez jej odrętwiały umysł. Potem wybrała numer do redakcji. W słuchawce odezwał się miękki głos Hiske.

– Lia? Cześć... Znaleźli go...?

– Nie – odpowiedziała krótko. „I nie znajdą”, pomyślała. – Połącz mnie z Marniksem.

– Coś się dzieje, Lia? Jest jakiś ślad? Mogę jakoś pomóc? – Głos Hiske przepełniony był niepokojem.

– Po prostu połącz mnie z Marniksem, Hiske.



Marnix Naber stanął w salonie apartamentu Lii zaledwie godzinę po jej telefonie. Z plecaka wyjął cienki jak gazeta laptop i ustawił go na stole. Rozejrzył się po pokoju, zlokalizował gniazdko i podłączył do niego ładowarkę bez zbędnych pytań. Lia obserwowała jego ruchy w milczeniu. Była wdzięczna, że zgodził się spełnić jej prośbę, a co więcej, powiedział, że przyjedzie natychmiast, i gdy na niego patrzyła, po raz pierwszy od jedenastu dni miała poczucie, że ktoś coś robi

w sprawie jej syna. Był najmłodszym pracownikiem redakcji, a mimo to Lia nigdy nie miała uwag co do wykonywanej przez niego pracy. Był szybki i skuteczny, potrafił bezbłędnie wyczuć, co pasuje do stylu gazety. Lia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nigdy go nie zauważała. Może dlatego że był tak cichy, może dlatego, że nigdy się jej nie sprzeciwiał? Usiadł przy stole i wskazał jej miejsce obok siebie przed monitorem laptopa, który włączył.

– Sprawdziłem więc na szybko kilka rzeczy i proszę sobie wyobrazić, że to, co pani powiedziała przez telefon, wcale nie jest dziwnym wymysłem!

Lia popatrzyła na niego zaskoczona. Nie bardzo wiedziała, do której części ich rozmowy się odnosił, zważywszy na to, że w trakcie paru minut wylała z siebie mnóstwo myśli w chaotycznym potoku słów. Nie wyobrażała sobie również, kiedy miałyby cokolwiek sprawdzić, przecież przyjechał tu niemal od razu. Marnix zauważył jej konsternację.

– Okazuje się na przykład, że meldunki o zaginięciach osób czarnoskórych są pięć razy rzadziej rozpowszechniane przez użytkowników internetu. Potwierdzają to badania. Podobne, choć nie tak ogromne różnice dzielą meldunki, jeśli chodzi o płeć.

– Czyli...?

– Czyli może być tak, że policja ze swoim meldunkiem o zniknięciu Jaspera wcale nie dotarła do takiej liczby odbiorców, na jaką liczyła. Tyle że nie mają o tym pojęcia, a wygląda na to, że na tę chwilę ich główna taktyka polega na rozgłaszaniu zaginięcia i liczeniu, że ktoś coś widział. To wyjaśnia też fenomen sprawy Lois Bakker. Wiadomość o jej zaginięciu w bardzo krótkim czasie dotarła w najodleglejsze zakątki kraju. Pani redaktor, miała pani rację, jej płeć i kolor skóry mogły mieć wpływ na to, że informacja o jej zaginięciu była tak często rozpowszechniana.

Lia westchnęła i poczuła skurcz w żołądku.

– Zmarnowali jedenaście dni...

– Niekoniecznie zmarnowali. Na pewno nie wykorzystali potencjału. A w przypadku zaginięć rozpowszechnienie meldunków to często sprawa życia i śmierci... – Marnix urwał, jakby zorientował się, że to, co powiedział, mogło ugodzić w Lię. Zerknął na nią lekko speszony, ale kiedy natrafił na jej żywe zainteresowanie, kontynuował: – Sprawdziłem, jak często wiadomość o zaginięciu Jaspera była umieszczana w internecie. Kropelka w oceanie.

– Co możemy zrobić, żeby to poprawić?

– Proponuję założenie oddzielnej strony na Facebooku i połączenie jej z kontem na Twitterze i Instagramie. W ten sposób będziemy mogli najefektywniej wpływać na zasięg organiczny i monitorować go.

– Ale... skąd pewność, że ludzie zainteresują się tą sprawą, skoro nie zainteresowali się nią, gdy meldunki rozpowszechniała policja?

– Ponieważ my zrobimy to inaczej niż policja i wykorzystamy do tego to, co teoretycznie zmniejszało szanse na przykucie uwagi internautów.

– Nie rozumiem... – zaczęła Lia. Ale nim zdążyła wyrazić swoje wątpliwości, Marnix już zaczął wyjaśniać:

– To bardzo proste, pani redaktor...

– Lia, po prostu Lia – przerwała mu. Coś w jego entuzjazmie i przedsiębiorczości było tak przekonujące, że nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż dzięki niemu istnieje realna szansa na odnalezienie Jaspera.

– Dobrze, w takim razie, Lia... To proste. Są sposoby, żeby zwiększyć zasięg organiczny strony i zapewnić postom dotarcie do jak największej liczby użytkowników. Lois Bakker poruszyła cały kraj, jej nic to nie dało, ale może pomóc nam. A mnie pomogłaby filiżanka kawy. – Uśmiechnął się promiennie.

– O Boże! – Lia aż podskoczyła. – Przepraszam! Kompletnie o tym nie pomyślałam! To straszne! Moja głowa nie funkcjonuje przez to wszystko.

– Nic nie szkodzi.

Kiedy wróciła z dwiema filiżankami kawy, dłonie Marniksa śmigały po klawiaturze z prędkością światła.

– Strona już istnieje. Ja i pani jesteśmy administratorami, oboje mamy pełen dostęp do ustawień i treści strony – mówił, nadal stukając rytmicznie w klawiaturę.

– Jasper nie jest jasnowłosą bezbronną dziewczyną, o której bezpieczeństwo drżałby cały kraj, będziemy musieli użyć więc innej taktyki, aby poruszyć odbiorców, aby ich dotknąć, przykuć uwagę. Potrzebne nam zdjęcia, emocje, rezonans z użytkownikami sieci. Muszą poczuć, że ich też mogłoby to spotkać. Weźmiemy się za policję, obnażymy ich błędy, wzbudzimy współczucie odbiorców, pokazując, że jesteśmy sami, że każdy z nich w tej sytuacji mógłby być sam.

– Ale... o sprawie Jaspersa nikt nie wie, więc jak mają dotrzeć na tę stronę?

– Zasięg organiczny. O to ja się zatroszczę. Najpierw wykorzystamy najtańszy możliwy sposób. I dość skuteczny. Hasztagi. Trochę słabiej działają na Facebooku, ale Instagram je kocha. Proszę włączyć laptopa.

Lia zajęła miejsce obok Marniksa i otworzyła komputer, który chłopak przejął. W ciągu paru sekund na jej monitorze pojawiły się te same strony. Podsunął laptop przed jej oczy. Przeczytała treść pierwszego zamieszonego posta. *Kiedy mówię #LoisBakker, cały kraj wie, kogo mam na myśli, cały kraj szukał zaginionej, współczując rodzinie, dziś cały kraj jednoczy się w żałobie. Kiedy mówię #JasperdeRooij, nikt nie ma pojęcia, o kim mówię. Jasper zaginął jedenaście dni temu. #Policja ociąga się w poszukiwaniach, rodzina umiera ze strachu o życie i bezpieczeństwo piętnastolatka. Pomóż nam odnaleźć Jaspersa!*

– Tu będzie potrzebne zdjęcie pani syna...

– Miałaś mówić mi Lia – upomniała go.

– Dobrze. Twojego syna. Zdjęcie w miarę aktualne, ale przede wszystkim przyciągające uwagę. Pani redaktor, w zasadzie to jest to samo, co prowadzenie gazety. Chodzi o to, żeby trafić do odbiorców.

– Lia.

– Słucham?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od jedenastu dni. Przez chwilę milczała, obserwując zwinne palce Marniksa. Przygotowywał kolejny post ze szczegółami zaginięcia Jaspera. Śledziła rzędy wyrazów, pojawiające się w okienku nowego posta.

– Nie, nie. – Położyła dłoń na jego ręce. – Nie u kolegi.

Wstała i z blatu w kuchni przyniosła kartkę, którą podała Marniksowi.

– Według anonimowego informatora mojego syna po raz ostatni widziano w tym klubie.

Marnix uniósł brwi i pokiwał głową.

– To nawet lepiej – powiedział w skupieniu i odłożywszy kartkę, zaczął śmigać palcami po klawiaturze, po czym zreflektował się i podniósł zmieszane spojrzenie na Lię. – Głupio to zabrzmiało, przepraszam panią redaktor. Mam na myśli, że konkretne miejsce, szczególnie popularny klub, można podpiąć tagiem pod tekst, a to również podniesie nam zasięg. Proszę zobaczyć.

Lia pochyliła się nad laptopem. Klub Bunkier miał własną stronę na wszystkich portalach społecznościowych, w dodatku z ogromną liczbą polubień.

– Jasper miał profil na Facebooku. – Palce Marniksa błyskawicznie śmigały po klawiaturze. Skinęła głową i ze ścisłym sercem spoglądała na zdjęcia syna patrzące na nią z monitora laptopa. – Też go podepniemy pod posty... W ten sposób wszyscy jego znajomi zobaczą tę wiadomość. Jeśli każdy z nich ją umieści na swojej stronie, zobaczą to również znajomi znajomych i tak dalej...

Marnix przygotował jeszcze kilka postów, poinstruował Lię, jak je edytować, i nim wyszedł ze strony, miały one już pierwsze polubienia i ruszyły w eter dzięki kolejnym kliknięciom. Informatyk zatrzymał się jeszcze w korytarzu.

– Bardzo mi przykro, że panią redaktor to spotkało. Będę na bieżąco monitorował zasięg stron i zrobię, co w mojej mocy, żeby wiadomość o zaginięciu Jaspera dotarła do każdego zakątka kraju.

Lia zamknęła za nim drzwi i podeszła do laptopa. Paraliż strachu i niemocy, który uniemożliwiał jej funkcjonowanie, nagle odpuścił. Nie mogła liczyć na wiele

osób i musiała sama odszukać syna, ale przynajmniej wreszcie była uzbrojona. Przez parę minut stała i wpatrywała się w monitor, na którym liczba polubień i udostępnień wciąż rosła. Zrobiła sobie kawę, z lodówki wyjęła jeden z pojemników, które przyniósł Thomas, odgrzała posiłek w mikrofalach, po czym usiadła z talerzem do stołu. Pod postami pojawiły się pierwsze komentarze. Lia zaczęła jeść.

Joanna Sandorska wpatrywała się w monitor laptopa. Dzień wcześniej odbyła rozmowę z mamą, którą zaniepokoiły telefony z zagranicy. Twierdzono, że Joanna zaginęła, że nikt, nawet jej agentka, nie znał miejsca jej pobytu. Joanna spędziła całe popołudnie poprzedniego dnia, telefonując i wyciszając niepotrzebnie rozkręcony chaos. Powinna była zrobić to wcześniej, ale nie miała do tego głowy. Trudno było wytłumaczyć nagłe zniknięcie, więc napomknęła coś o stresie, wypaleniu zawodowym, nowym projekcie. Każdemu wmówiła inną wersję i była w tym na tyle przekonująca, na ile to było możliwe. Chciała pozbyć się tych ludzi i zapobiec uporczywym pytaniom, telefonom, mailom, które do tej pory ignorowała z niezbyt zadowalającym efektem.

– Więc wszystko z tobą w porządku, Asiu? – dopytywała mama.

– Tak, mamo. Nie wiem, skąd ten pomysł, że zniknęłam. Widać zapodziali mojego mejla z wiadomością, że wyjeżdżam popracować nad czymś nowym.

– Okropnie się przestraszyłam. Myślałam, że nie odzywasz się do mnie, bo byłaś zajęta wystawami.

– Mamo, byłam zajęta, tylko czymś innym, a te wystawy są tak nudne, że nie mogłam tego znieść. Patrycja wszystko pozałatwiała, to bardziej jej sprawa niż moja. Ja wolę robić zdjęcia, niż o nich rozmawiać.

– Ale Patrycja też nie wiedziała, gdzie jesteś...

– No widzisz, jaki mają bałagan! Człowiek nie ma chwili spokoju. Jak samemu się wszystkiego nie załatwi i nie dopnie na ostatni guzik, to potem jest panika. Już się rozmówiłam z Patrycją.

– To dobrze! Ulżyło mi, jak wreszcie odebrałaś telefon.

– Mamo, wiesz przecież, że jak pracuję, to potrzebuję spokoju i ciszy. Przepraszam, że się martwiłaś, następnym razem będziesz pierwszą osobą, do której wyślę wiadomość, dobrze?

– Dobrze, dobrze... Tylko powiedz ludziom, którzy cię szukają, że nie zniknęłaś. Nad czym teraz pracujesz? Podoba ci się Holandia?

– Tak, tak, jest tu naprawdę ładnie, inaczej...

– Szkoda, że nie będzie cię z nami w święta...

– Przepraszam, mamo, może przyjadę na sylwestra. Chcę to skończyć, nie mogę tak po prostu przerwać, a potem wrócić.

Krótką ciszą w słuchawce powiedziała więcej niż słowa.

– Będzie tu cię bardzo brakowało. Rzadko przyjeżdżasz... I Adam tak na ciebie czeka... On też dzwonił i pytał...

– Mamo, ja też tęsknię. Przyjadę jak skończę, dobrze? – Joanna przerwała jej szybko.

Nie lubiła wracać do rodzinnego miasta. Miała wrażenie, że było jak dom, w którym straszy, za każdym rogiem czaiło się wspomnienie, czyhały znajome, lecz zmienione upływem czasu miejsca, wszystko zdawało się mniejsze, jakby świat, który znała, kurczył się na jej oczach i miał w końcu zdusić ją w sobie.

– Mam jeszcze prośbę... Czy mogłabyś wygrzebać w piwnicy mój stary album ze zdjęciami i zeskanować dla mnie kilka fotografii?

– Stary album? Jesteś pewna? – usłyszała ostrożne pytanie.

– Tak, tak, potrzebne mi stare fotografie... do projektu... Przygotowuję coś...

– Masz jakieś konkretne zdjęcia na myśli?

– Te z Julią... i z Tomkiem.

Mama odezwała się po chwili milczenia.

– Dobrze, zeskanuję ci wszystko, co znajdę. To chwilę potrwa, nie sprzątałam piwnicy już od długiego czasu, muszę się dokopać do twoich starych rzeczy.

– Wiem, nie ma pośpiechu.

Kiedy rano Joanna włączyła laptop, czekało na nią pięć wiadomości. W załączniku mama przesłała zeskanowane stare zdjęcia. Joanna wiedziała, że musiało ją to kosztować całe popołudnie w zimnej piwnicy. Niemal wszystkie kiepskiej jakości, garstka momentów uchwyconych starym aparatem fotograficznym w czasach, gdy nie robiono mnóstwa zdjęć, gdy wspomnienia zapisywano w pamięci, gdy było wiadomo, czy ujęcie dobrze wyszło, dopiero po tym, jak po dwóch tygodniach odebrano odbitki od fotografa. Joanna uśmiechnęła się do siebie boleśnie. Ileż wartości miały teraz te skrawki papieru! Postacie niejednokrotnie rozmazane i niewyraźne, czasem złapane w kadr jedynie częściowo i rozpoznane po zapamiętanym swetrze czy butach. Przypatrywała się fotografiom i słyszała wołający ją gdzieś z zaświatów głos. „Asia! Asia!”



– Asia! Poczekaj! – Julia biegła ku niej, ociekając deszczem. – Cześć! Ale pogoda, co?

– Cześć. – Joanna czuła, że mroźny deszcz przemoczył ją do podkoszulka, i stała teraz, drżąc z zimna i wilgoci. Już nawet nie omijała kałuż, jej skarpety były równie mokre, co jej kurtka. – Okropna! Cały dzień siedziałam mokra w szkole, wyschłam trochę i znowu jestem mokra.

– W marcu jak w garncu. – Julia uśmiechnęła się szeroko. Jej ciemne włosy były zupełnie mokre i lepiły się do czoła, ale oczy błyszczały radośnie, a policzki były zaróżowione od biegu. – Chodźmy do mnie!

Pociągnęła Joannę za sobą. Plecak zwisał jej z jednego ramienia, kropelki wody kapały z kosmyków włosów.

– No nie wiem, jestem cała mokra... – Joanna jeszcze się wahała.

– No chodź, proszę! Zrobimy herbatę, mama upiekła wczoraj ciasto, dam ci ręcznik i suche skarpetki!

Pobiegły więc razem, rozpryskując wokół wodę z kałuż. W pokoju Julii usiadły tak blisko siebie, że poczuła ciepło ramienia przyjaciółki. Rozłożyły kanapę i wyciągnęły nogi. Otuliły się kocem. Książki leżały na wysokim stosie, przypominając im o przygotowaniach do matury. Za oknem wciąż padało. Dochodziła szesnasta, ale zdawało się, jakby zapadał już wieczór. Céline Dion śpiewała rzewnie. Julia uwielbiała takie piosenki. Romantyczne ballady Bryana Adamsa albo polską poezję śpiewaną. Miała jakąś nienaturalną potrzebę przeżywania smutku. Joanna najbardziej lubiła, kiedy ktoś grał na gitarze przy ognisku, gdy iskry strzelały w ciemność, płomień tańczył, a czas zwalniał. Przez moment ze ścisaniem serca wspomniała lato, teraz tak odległe w marcowym chłodziu.

– Nie. Nie zgadzam się – powtarzała Julia uparcie.

– Jezu, Julka, ty przecież wiesz, że ja nie jestem dość dobra, żeby studiować na uniwerku w Warszawie. I nawet gdybym była, obie wiemy, że nie mam na to kasy, po prostu.

– Jesteś. Jesteś bardzo dobra. Dostaniesz się bez trudu. A edukacja jest darmowa.

– Ale życie nie, dobrze o tym wiesz. Nawet jeśli uda mi się dostać akademik, wątpię, żeby za nędzną rentę po śmierci taty udało mi się utrzymać w stolicy. Poza tym, odkąd babcia umarła, mamie też jest ciężiej.

– Jest jeszcze Emilka – przypomniała jej o starszej siostrze. – Ona przecież tutaj pracuje i tutaj zostanie.

Joanna westchnęła.

– Nie mogę. Zresztą... już zdecydowałam. Będę studiować tutaj, a ty będziesz przecież często przyjeżdżać.

Przez chwilę panowała cisza.

– W takim razie ja też! – odparła Julia stanowczo.

Joanna aż uniosła się na swoim miejscu.

– Zwariowałaś?! Jesteś za dobra, żeby studiować w tej gównianej szkole! Twoi rodzice nigdy się na to nie zgodzą. Nie! Ja też się nie zgadzam. Nie wygłupiaj się, rozumiesz! To nie jest śmieszne! Tu chodzi o twoją przyszłość!

– O twoją też! – odparła butnie Julia.

– Jesteś gorsza od Tomka. Uparta jak osioł – mruknęła Joanna.

– Na niego nie jesteś zła, że tu zostaje. – Julia sprzeczała się dalej.

– On nie ma wyboru i dobrze o tym wiesz – powiedziała cicho Joanna.

Zapadło milczenie. Patrzyły na mokrą szybę, po której powoli spływały strużki deszczu, jakby odmierzały czas. Do matury zostały dwa miesiące. Dopiero po chwili Joanna zauważyła, że przyjaciółka płacze.

– Aśka... nie zostawiaj mnie... – usłyszała.

Joanna pamięta, że reakcja Julii wprowadziła ją w osłupienie. Były przyjaciółkami, ale to Julia ratowała zawsze wszystkich z tarapatów, była bogatsza, silniejsza, mądrzejsza. Joanna żyła w przekonaniu, że to oni bardziej potrzebują jej niż ona ich. I siedząc wtedy w ten marcowy wieczór obok płaczącej Julii, zdała sobie sprawę, że nie kierował nią strach przed zmianami, lecz strach przed rozstaniem. Jej serce zacisnęło się w skurczu miłości. Bo nic nas tak nie dotyka jak to, że ci, których potrzebujemy do życia jak powietrza, duszą się bez nas podobnie, jak my bez nich. W tamtym momencie osiemnastoletnia Joanna poprzysięgła w duchu wierność swojej najlepszej przyjaciółce do końca życia. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że zostały im zaledwie trzy wspólne lata, a jej lojalność zostanie wystawiona na ciężką próbę.



Odsunęła laptop gwałtownym ruchem, jak gdyby widok zdjęć sparzył ją boleśnie. Podniosła się, chwyciła płaszcz, torebkę i opuściła hotelowy pokój, w którym nagle zrobiło się zbyt duszno, by oddychać.

Wsiadła do auta i przez parę minut siedziała w bezruchu, czekając, aż jej oddech wyrówna się, a poczucie surrealizmu minie. Im więcej sobie przypominała, tym częściej tunel czasu wciągał ją w szaleńczy wir, i Joanna wiedziała, że pewnego dnia wessie ją w swoje odmęty na dobre. Musiała jednak trzymać się teraźniejszości. Wjeżdżała właśnie w ulicę, wzdłuż której ciągnęła się woda, gdy minął ją bus Tomka, jadący w przeciwnym kierunku. Zahamowała ostro. Najpierw przeraziła ją myśl, że mógł ją rozpoznać. Potem poczuła coś w rodzaju przyjemnego napięcia. Co zrobi, gdy ją zobaczy? Czy zapomniał? Czy ją pozna? Zawróciła i trzymając się w bezpiecznej odległości, podążała za pojazdem. Najpierw zatrzymał się pod zamkniętą szkołą, skąd odjechał niemal natychmiast, wprawiając tym Joannę w zdziwienie. Potem skierował się na obrzeża miasta i okazało się, że wrócił na barkę. Joanna zjadła resztki chipsów z torebki zostawionej w aucie poprzedniego dnia. Było jej zimno. Pora lunchu prawie już minęła i niemal zdecydowała, że czas wracać do hotelu, gdy na ulicy znów pojawiła się postać Tomka. Wsiadł do auta i ruszył przez miasto. Kiedy w końcu zaparkował na poboczu ulicy, ze zdziwieniem rozpoznała okolicę willi jednorodzinnych. Tym razem jednak nie wysiadł. Joanna czuła, że żołądek skręca się jej z głodu. Nie miała jednak zamiaru odjechać. Siedziała w aucie, wpatrując się w busa Tomka i czując mrowienie z tyłu głowy. Ona śledziła jego. On śledził kogoś innego. Dlaczego?

Z jednej z willi wyszedł młody chłopak z oczyma utkwionymi w telefonie. Wsiadł na rower i odjechał. Bus Tomka powoli ruszył za nim. Joanna zapomniała o głodzie. Kiedy wjechali do miasta, miała kłopot z utrzymaniem bezpiecznej odległości. Próbowwała nie zgubić śledzonego pojazdu i jednocześnie nie spowodować wypadku. W końcu utknął na rondzie, a ona stała na światłach paręnaście metrów za nim i patrzyła sfrustrowana, jak odjeżdża. Kiedy światła zmieniły kolor, ruszyła w kierunku, w którym pojechało auto, nie miała jednak pojęcia, jak je odnaleźć, bus zniknął jej z oczu. Klnąc w myślach z głodu i złości, zaczęła krążyć bez celu po uliczkach wzdłuż kanału, aż wreszcie w jednej z nich dojrzała białego busa. Stał zaparkowany w niedozwolonym miejscu przed

drzwiami kafejki. Joanna nie mogła ryzykować. Zjechała w kolejną ulicę jednokierunkową, przez chwilę szukała wolnego miejsca. Zaparkowała auto na poboczu. Wysiadła i ruszyła z powrotem. Miała zamiar obejść uliczkę i zza rogu obserwować wejście do kafejki. Prawie biegła. Bała się, że już odjechał. Wtedy minęła wąskie przejście między budynkami. Zatrzymała się. Wsunęła dłonie do kieszeni. W pierwszym odruchu chciała skrócić sobie drogę. Zobaczyła go. Przechadzał się i jego sylwetka pojawiała się po drugiej stronie przejścia i znikwała. Joanna stała sparaliżowana widokiem. Przejście między budynkami pełne ciasno ustawionych rowerów stało się nagle tunelem czasu. Dzielilo ich jedynie parę metrów, które mogła pokonać ot tak. Musiał poczuć jej wzrok na sobie, bo odwrócił głowę i Joanna wiedziała, że ją zobaczył, choć nie była pewna, czy rozpoznał. Wtedy nagle coś odwróciło jego uwagę, zniknął w ulicy i Joanna poczuła, że znów oddycha. Schowała się za rogiem, tak by nie mógł jej zobaczyć, jeśli znów spojrzy w przejście. Zerknęła na przesmyk i ruszyła w stronę auta. Chciała odjechać, ale jej oczy padły na torbę z aparatem. Postanowiła poczekać jeszcze chwilę bezpiecznie w aucie. Gdyby przyszło mu do głowy podążać za nią, mogła po prostu odjechać. Potem wysiadła i powoli zbliżyła się do przesmyku. Wyjrzała ostrożnie zza rogu. Ze zdumieniem zobaczyła Tomka, który przypierał do ściany chłopca. Ich rozmowy nie mogła dosłyszeć, głosy były ściszone, tłumił je dodatkowo ruch uliczny. Wiedziała, że ryzykuje wiele. Mimo to podniosła aparat do twarzy. Przekręciła pierścień obiektywu, żeby uzyskać najlepsze możliwe zbliżenie przy zachowaniu ostrości. Dźwięk migawki odbił się echem o ściany budynków. Poczula czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Aparat prawie wyslizgnął się z jej dłoni. Odwróciła się gwałtownie, przyciskając go do siebie.

– Eddy?! – Z niedowierzaniem patrzyła na lekko zażenowaną, a jednak przyjazną twarz wysokiego młodego mężczyzny. – Co ty tu...? Jak mnie znalazłeś? – wydusiła wreszcie, zdając sobie sprawę, że musiał za nią podążać od jakiegoś czasu. Nie było innej możliwości.



W hotelowej restauracji było przyjemnie ciepło i jasno. Czyste, perfekcyjnie nakryte stoliki stały zapraszająco w równych rzędach. Joanna zamówiła lampkę wina, sałatkę z łososiem, kawę, kawałek ciasta czekoladowego.

– Nie, wszystko naraz – poinstruowała kelnera, który dopytywał, czy nie woli poczekać z deserem.

– Nie powinienem był cię tak zaskakiwać, przepraszam, Jo. Ale nie odbierałaś telefonu i... – zaczął Eddy ostrożnie po tym, jak kelner przyjął jego zamówienie na kawę i rogalik.

– Boże, jestem taka głodna, że nie mogę myśleć – odparła, masując skronie. Było jej zimno i gorąco jednocześnie. Próbowiła wymyślić jakieś logiczne wyjaśnienie, które mogłaby dorzucić do kawy Eddy’ego, jak gratisowe ciasteczko, które kładą na talerzyku w restauracjach. Na stoliku między nimi leżała gazeta, otwarta na stronie, z której ktoś wyrwał fragment artykułu. Joanna zerkała na nią niespokojnie. – Więc tak mnie znalazłeś?

Eddy skinął głową. Przez chwilę milczeli. Wokół nich panował przyjemny cichy szmer rozmów innych gości restauracji i odległy brzęk szkła za drzwiami kuchni.

– Martwiłem się. Nie było moim celem naruszanie twojej prywatności, ale zniknęłaś w takich dziwnych okolicznościach...

– Miałam sprawy do załatwienia – przerwała mu szybko.

– Domyśliłem się – odparł. Jego ciepłe oczy lustrowały uważnie jej twarz.

– Jak widzisz, wszystko ze mną dobrze. Poinformowałam o tym resztę martwiących się.

– To dobrze. Są ludzie, dla których jesteś ważna, Jo. A gdyby coś naprawdę było nie tak, nie chciałabyś, żeby ktoś cię szukał?

Utkwiła spojrzenie w jego szczerych, przyjaznych oczach.

– Czasem szuka się kogoś z innych powodów – powiedziała, zdając sobie sprawę, że to nie była odpowiedź na jego pytanie.

Pokiwał głową mimo to, jakby jej słowa do niego dotarły, jakby rozumiał, co miała na myśli. Do ich stolika podszedł młody mężczyzna, stawiając przed nimi zamówiony posiłek i napoje.

Joanna z przyjemnością rzuciła się na sałatkę, hojnie popijając ją białym winem. Eddy obserwował to z lekkim rozbawieniem. Pozwolił jej jeść w spokoju. Dopiero po kilku minutach, gdy zaspokoila pierwszy głód i wlała w siebie pół filiżanki mocnej, aromatycznej kawy, odezwała się ponownie:

– Nie możesz tutaj zostać. Jestem zajęta.

– Fotografowaniem ludzi bez ich zgody? – zapytał wprost. Joanna znieruchomiała i opuściła widelec z wbitym na niego kawałkiem kurczaka. – Kim ty jesteś, Jo? Co tu naprawdę robisz?

Patrzył na nią tak poważnym i pełnym zgrozy wzrokiem, że nagle, zupełnie mimowolnie wybuchła śmiechem. Kilka głów obróciło się w stronę ich stolika.

– Oglądasz za dużo seriali kryminalnych, Eddy – powiedziała wreszcie. – Mam się świetnie, jak widzisz. Pracuję nad czymś innym. I...

– Jo, przecież ty kogoś obserwowałaś... Widziałem, jak... – Przesunął gazetę w jej stronę i mówił teraz podnieconym głosem.

– To są moje prywatne sprawy. Nie są związane w żaden sposób z moją pracą artystyczną – ucięła krótko.

– Jesteś w obcym kraju, znikasz w dzień własnej wystawy fotograficznej, nie powiadamiając nikogo, a potem okazuje się, że śledzisz kogoś i po kryjomu robisz mu zdjęcia.

Joanna upiła trochę wina. Napój studził jej rozgorączkowane myśli. Popatrzyła butnie na młodego mężczyznę przed nią.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała w końcu chłodno. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Pakujesz się w jakieś tarapaty... – zaczął po raz kolejny. – Jeśli jesteś w jakimś niebezpieczeństwie albo próbujesz zrobić coś głupiego...

– Eddy – przerwała mu z uśmiechem na twarzy. – Jak długo się znamy? Parę dni? Co o mnie wiesz?

– Niezbyt wiele, ale...

– Udzielę ci teraz dobrej rady. Jeśli czujesz przemożną potrzebę naruszenia mojej prywatności i uważasz, że robię coś niezgodnego z prawem, udaj się z tym na policję. Zanim to jednak zrobisz, pozwól, że ci przypomnę, że ty również odnalazłeś mnie tutaj, śledziłeś i nagabywałeś. Wszystko w imię dobrych intencji oczywiście, ale oboje wiemy, że te akurat trudno udowodnić w sądzie.

Podniosła się z miejsca i pożegnała lekkim skinieniem, na które on próbował odpowiedzieć uśmiechem, wyglądało to jednak bardziej jak grymas na jego wyraźnie zszokowanej twarzy.

20

Jasper de Rooij złamał kiedyś nogę. Miał wtedy sześć lat i był z ojcem na nartach. Zabawne jest to, że z całej sytuacji zapamiętał nie ból, choć gdy mu to opowiadano, wspomiano, że był okropnie. Najgorzej wspominał fakt, że siedząc w niemieckim szpitalu, nie tylko nie rozumiał ani słowa z tego, co wokół niego mówiono, ani nie był pewien, co się z nim stanie, ale też nie miał przy sobie jedynej osoby, której sama obecność mogła załagodzić jeśli nie ból, to przynajmniej strach.

– Mamo... – jęknął w niespokojnym śnie, choć jego głos tłumiała taśma, którą miał zaklejone usta. Przekręcił się powoli. Każdy najmniejszy nawet ruch sprawiał mu ból. Czasem miał wrażenie, że nie czuje dłoni i stóp związanych od tak dawna, iż myślał, że kiedyś mógł nimi swobodnie poruszać, zdawała mu się niemal niewiarygodna.

Piekł go policzek od leżenia na drobnych kamyczkach, którymi usłana była podłoga. Nie miał pojęcia, jak duże było pomieszczenie ani jak konkretnie wyglądało. Jego oczy zawiązane tkaniną od czasu do czasu rejestrowały coś w rodzaju jasności, zaraz po tym, gdy słyszał kroki i zgrzyt otwieranych drzwi. Domyślał się, że mogło to być światło dzienne, lecz równie dobrze lampa oświetlająca wejście. Ktoś stawiał miski z wodą i chlebem i jednym szybkim

ruchem pociągał za taśmę, którą miał zaklejone usta, a potem wychodził. Chwilę mu zajmowało przewrócenie się na kolana, tak by po omacku, skrzepowany, mógł pochylić się i chleptać wodę jak pies. Wiedział, że coś do niej dodawano, bo zaraz gdy tylko skończył pić i jeść rzucone na ziemię pożywienie, opanowywało go błogie uczucie senności.

Najgorsze były chwile, gdy wybudzał się i powoli wracała mu świadomość. Na pokaleczonych wysuszonych wargach znów czuł taśmę. Ból pojawiał się stopniowo, fragment po fragmencie. A potem Jasper zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest, co się stało i z faktu, że chce mu się sikać. Spod szmaty, którą zawiązano mu oczy, popłynęły łzy, gdy poczuł, jak jego sztywne od moczu spodnie, które niedawno wyschły, znów nasiąkają wilgocią.

Na początku próbował protestować, wił się, aż plastikowe linki opinające jego nadgarstki i kostki wpijały się w skórę, raniąc boleśnie.

Kiedy odlepiano taśmę z jego twarzy, aż wargi płonęły bólem, najpierw zaczynał krzyczeć.

– Pomocy! Wypuście mnie! Skurwiele! – Jego głos ochrypli i ledwo słyszalny brzmiał dziwnie w tych ciemnościach. Wypełniały go strach i wściekłość za upokorzenie i ból. Mocne uderzenie w twarz nauczyło go nie krzyczeć.

Potem błagał. Płakał i prosił.

– Czego ode mnie chcecie? Błagam, nie... Moi rodzice są bogaci... Zapłacą... Dadzą wam wszystko... Moja mama...

To był jedyny raz, gdy porywacz wydobył z siebie głos. W pomieszczeniu rozległ się kobiecy śmiech.

– Och, zapewniam cię, że zapłacą...

A potem zamknięto drzwi.

Nie miał poczucia czasu. W rzadkich chwilach, gdy był przytomny, jego uwaga skupiała się na bólu, niewygodzie, prymitywnych potrzebach, których zaspokojenie było niemożliwe. Leżał w bezruchu, próbując nie płakać i nie czuć. Jedynym zmysłem, którego nie ograniczyli porywacze, był słuch, więc wsłuchiwał się

w ciszę, wyłapując najmniejsze dźwięki i starając się je interpretować. Ciche skrzypienie, jakiś trzask dobiegający z dala, dziwny szum, przypominający fale, wszystko stłumione, odległe, choć Jasper nie wiedział już, co było realne, a co stanowiło jedynie wytwór jego umysłu. Na początku czekał. Na ratunek. Na znak. W miarę upływu czasu przestał łudzić się, że porwano go dla okupu. Jasper wiedział już, że umrze tam, i modlił się jedynie, by ból wreszcie ustał.

Kroki zbliżały się miarowo. Przekręcono klucz w zamku. Skrzypnęły drzwi. Podeszwy butów szurały o żwir na podłodze. Chlupnęła woda, gdy z metalicznym uderzeniem postawiono na ziemi miski. Ktoś złapał go za włosy, przytrzymał głowę i jednym ruchem zerwał taśmę z ust. Skóra zapiekła boleśnie. Jasper nabrał powietrza w płuca. Leżał bez ruchu, czekając, aż kroki znów się oddalą, a zgrzyt zamka da mu do zrozumienia, że porywacz wyszedł. Odczuwał zwierzęce niemal głód i pragnienie. Jęcząc, podkulił skrepowane nogi pod siebie i z trudem przewrócił się na kolana. Związane na plecach dłonie utrudniały każdy ruch i tak już zeszywniałego ciała. Powoli podczołgał się w kierunku, skąd docierał do niego dźwięk stawianych naczyń, i twarzą próbował zlokalizować ich położenie. Z oczu zaczęły płynąć łzy. Jego czoło natrafiło na zimną metalową krawędź miski. Oddychał ciężko, jakby właśnie przebiegł maraton. Jego gardło i język były suche i spragnione. Już miał zanurzyć usta w wodzie, prawie wdzięczny za te kilka łyków. Coś go powstrzymało. Jakiś instynkt, który nagle w tych krótkich chwilach jasności umysłu przeszył jego ciało. Umrę tutaj, pomyślał, umrę jak zwierzę. Zagryzł zęby. Każda komórka jego ciała zastygła w proteście. Umrze, ale nie za swoją zgodą.

Musiał działać szybko i najciszej jak to możliwe. Z ogromnym wysiłkiem przesunął czołem miskę najdalej, jak mu się udało, czołgając się centymetr po centymetrze. Podważył ją nosem i wylał zawartość na żwir i siano, a potem jak pies, który próbuje ukryć kość pod kocem, nosem zasypał suchym żwirem mokrą plamę. Z trudem, kierując się jedynie instynktownym wyczuciem przestrzeni, przesunął miskę z powrotem. Potem obrócił się na plecy, po omacku dłońmi odszukał kawałki chleba rzucone na podłogę i raniąc nadgarstki, wsunął

pożywienie za pasek sztywnych od brudu i wilgoci spodni. Dyszał ciężko. Podczołgał się kawałek dalej i zwałił na podłogę. Musiał sprawiać wrażenie nieprzytomnego. Wiedział, że porywacz wróci, bo gdy się budził, zawsze miał zaklejone usta. Skulił się i próbował opanować oddech. I czekał. Czas płynął powoli. Jasper czuł narastające mdłości. Był spragniony i przerażony, ale przede wszystkim po raz pierwszy, odkąd tu trafił, świadomy swojej sytuacji.


Kiedy usłyszał kroki, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Nabrał głęboko powietrza, rozluźnił mięśnie, lekko otworzył wargi i słuchał. Zgrzytnął zamek, skrzypnęły drzwi. Próbował po dźwięku ocenić, jak mocne były. Słyszał coraz bliższe szuranie po żwirku. Ktoś przycisnął jego głowę do podłogi, a potem zalepiono jego wargi szerokim pasmem taśmy. Kroki znów oddaliły się, drzwi zostały zamknięte, Jasper słuchał, dokąd odchodzą, i wtedy rozległ się stłumiony odległością dźwięk telefonu.

– Tak? – Kobięcy głos, który odebrał telefon, Jasper rozpoznał od razu. – Zaraz przyjadę, muszę jeszcze... – Głos ucichł na chwilę. – Na pewno? Skoro nie widać twarzy, to nie ma się co denerwować. – Znowu krótka cisza. – Wiem. Dobrze, masz rację. Jutro w nocy się go pozbędziemy. Sprawdzę jeszcze raz miejsce.

Potem wszystko ucichło i kroki się oddaliły. Jasper miał wrażenie, że serce rozwali mu klatkę piersiową. W panice próbował wymyślić, co dalej. Najpierw odczekać. Powiedziała, że zaraz przyjedzie, więc zamierzała opuścić to miejsce, przekonana, że Jasper jest nieprzytomny i nieszkodliwy. Czekał dalej, aż gdzieś w oddali usłyszał coś, co przypominało trzaśnięcie samochodowych drzwi. Powoli podniósł się na kolana i centymetr po centymetrze czołgał, aż dotarł do ściany. Była zimna i szorstka, gdy przyłożył do niej twarz i zaczął mocno, nie zważając na ból, szorować skronią o jej powierzchnię, żeby pozbyć się z oczu tkaniny. Miękki materiał poddał się szybko i zsunął w końcu. Rozejrzył się wokół, ale w pomieszczeniu panowała ciemność. Jasper obrócił się, usiadł tyłem do ściany i zaczął pocierać nadgarstkami o cegły. Palcami wyczuwał ich krawędzie. Ściana nie była izolowana, czuł wąskie pasma między cegłami. Znalazł tę, która odstawała odrobinę bardziej niż inne. Dyszał i sapał, walcząc z plastikową linką. Skóra piekła,

ale nie poddawał się. W pewnym momencie miał wrażenie, że uścisk jakby się poluzował. Z jeszcze większym zapałem zaczął szorować o kant cegły. Zesztywniałe ręce czasem obsuwały się, boleśnie obcierając skórę. Nie wiedział, jak długo tarł, działał jak w amoku, choć jego umysł już od długiego czasu nie był tak jasny. I nagle linka pękła. Jasper powoli wyciągnął dłonie przed siebie. Poczuł ostry ból w barkach. Ostrożnie rozmasował nadgarstki, a potem szybko uwolnił stopy i zerwał z ust taśmę. Mięśnie nóg drżały, gdy wreszcie podniósł się do pionu. Nie miał pojęcia, co czekało go za tymi drzwiami ani jak miałby je pokonać. Nie wiedział nawet, czy kobieta na pewno opuściła to miejsce, czy ktoś inny nie strzegł go po drugiej stronie drzwi. Palcami powoli je zbadał. Wyczuł deski, klamkę i zamek. Nie był w stanie ich otworzyć. Nigdy mu się nie uda. Umrze tutaj. Z całą siłą, jak mu jeszcze pozostała, uderzył w drzwi lewym barkiem. Przeszył go ból. Drzwi nie drgnęły. Osunął się plecami po ich powierzchni i opadł na pokrytą żwirem podłogę.

21

 Lia Kornmann wstała od komputera ponad dwadzieścia godzin po wizycie Marniksa. Dochodziła ósma rano i za oknami jej mieszkania powoli przerzedzała się gęsta do tej pory ciemność. Ponad budynkami budził się dzień, kurtyna ciemnych chmur unosiła się i przebijała przez nie ognista kula słońca, osnuwając horyzont różem i złotem. Lia patrzyła na zimny grudniowy poranek i ze ścisaniem serca myślała o swoim synu. Po raz ostatni zerknęła na ekran laptopa.

W ciągu dwudziestu godzin stworzyła dziesięć wiadomości, opierając się na wszystkich informacjach na temat zaginięcia Jaspera, które miała. Z małą pomocą Marniksa zaopatrzyła je w odpowiednie hasztagi, za jego radą zadbała o to, by przyciągały jak najwięcej uwagi. Marnix z nieudawanym podziwem prawił jej komplementy dotyczące pomysłowości i świetnego opracowania zamieszczanych komunikatów. Pracował z nią przez czat niemal do północy, później podziękowała mu i kazała iść spać.

Najpierw wybrała najbardziej aktualne i wesołe zdjęcia Jaspera, takie, które przemówią do rodziców dorastających dzieci. Pisała o jego planach na przyszłość, nadziejach, zainteresowaniach. Stworzyła też post dla młodych ludzi, do którego załączyła nazwiska wszystkich kolegów i koleżanek z klasy, których udało się jej

znaleźć na portalu. Potem skupiła się na wyglądzie. Ze stron sklepów internetowych ściągnęła zdjęcia konkretnych ubrań, które miał na sobie, i roweru, na którym wyjechał z domu. Przygotowała dwie mapki, na których zaznaczyła miejsca, gdzie Jasper był tego wieczoru: ich mieszkanie, dom Koena, klub Bunkier. Narysowała przykładową drogę, którą przemieszczał się jej syn, oraz prawdopodobną drogę, którą mógł wracać z klubu do domu. Oznaczyła w wiadomościach sklepy i restauracje na tej trasie oraz wysłała do nich prywatne wiadomości, błagając o sprawdzenie nagrań z kamer, jeśli te wychodzą na ulicę. Wysłała długą wiadomość do klubu Bunkier z prośbą o sprawdzenie nagrań z ich kamer i przepytanie pracujących tamtego wieczoru osób, czy nie widziały Jaspера. Kiedy udzielono jej lakonicznej i niezbyt przyjemnej odpowiedzi, Lia w akcie złości weszła na ich stronę na portalu i pod każdym postem umieściła przygotowane zdjęcie Jaspера z datą zaginięcia i desperackim wołaniem o pomoc do bywalców klubu. Napisała również błagalny mail do urzędu miasta, prosząc o dostęp do nagrań z kamer z ulic na trasie, którą mógł jechać Jasper, tłumacząc, że policja nie zajmuje się sprawą poważnie. Najpierw miała wrażenie, że jej poczynania niewiele dają. Potem pojawiły się pierwsze polubienia, udostępnienia i komentarze. Lia nie mogła oderwać się od laptopa, monitorowała stronę, popijając kawę na przemian z herbatą.

Kiedy rano odeszła od komputera, strona miała już ponad trzy tysiące polubień i liczba ta rosła powoli, ale systematycznie. Lia osobiście odpowiadała na każdy komentarz i z nadzieją patrzyła, jak jej wiadomości są udostępniane. Odpowiedzi od niektórych sklepów i restauracji nadeszły szybko. Parę z nich w istocie miało kamery obejmujące fragment ulicy i obiecywano jej sprawdzenie nagrań z tamtej nocy. Większość nie reagowała jednak i dopiero gdy Lia zerknęła na datę na laptopie, zdała sobie sprawę, że są święta Bożego Narodzenia.

Wyłączyła laptop. Marnix obiecał jej przejąć monitorowanie strony, żeby Lia mogła się zdrzemnąć. W sypialni panował mrok. Zasłony były ciasno zaciągnięte, na fotelu i przy łóżku leżały sterty ubrań, rzucone tam niedbale. Lia westchnęła ciężko i wsunęła się pod kołdrę. Przez chwilę jej wzrok zatrzymał się na buteleczce

z pigułkami nasennymi. O ileż łatwiej byłoby jej zasnąć, gdyby je zażyła. Obróciła się na bok i przymknęła powieki.

Wiedziała, że śniła dużo i chaotycznie. Zerwała się z łomoczącym sercem i przez moment nie wiedziała, co ją obudziło, dopóki nie dotarło do niej, że słyszy dzwonek telefonu. Rozkopując kołdrę w panice, rzuciła się w stronę nocnej szafki.

– Lia Kornmann, słucham! – prawie krzyknęła, odbierając.

– Dzień dobry, z tej strony Kees Herder, przeszkadzam...? – Jego głos brzmiał niepewnie.

– Nie, skąd! Czy są jakieś postępy w sprawie mojego syna? – spytała, wygrzebując się z łóżka i rozprostowując zeszywniałe ciało.

– Nie, chciałbym jednak porozmawiać z panią... najchętniej osobiście...

– Dobrze, proszę przyjść!

– Stoję przed drzwiami. Dzwoniłem, ale...

– Dlaczego nie powiedział pan od razu! Już otwieram!

Rozłączyła się i zerknęła w lustro z niesmakiem, spotykając w nim wzrok kobiety o zapadłej szarawej twarzy, potarganych włosach i wygniecionych ubraniach.

Miał zaróżowione chłodem policzki i czubek nosa. Ubrany był w cywilne ubrania, co sprawiało, że wyglądał jeszcze młodziej. Uśmiechnął się lekko i zdjął z głowy czapkę z daszkiem. Jego oczy patrzyły bystrze. Wskazała mu dłonią drogę do pokoju, choć nie miała wątpliwości, że ją pamiętał.

– Napije się pan kawy? – spytała, gdy usiadł na sofie.

– Nie, dziękuję.

– Dziś pan w cywilu?

– Mam dziś wolne – odparł.

– No tak, oczywiście... Ciągle zapominam, że są święta...

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z nagłym zainteresowaniem. Trudził się, żeby z nią porozmawiać, choć to był jego wolny dzień. Mimo że Lia już dawno straciła wiarę w to, że ci niedoświadczeni policjanci są w stanie odnaleźć jej syna,

przez chwilę darzyła młodego mężczyznę siedzącego na jej szafie odrobiną szacunku.

– O czym konkretnie chciał pan rozmawiać? – powiedziała, włączając ekspres do kawy.

– Wczoraj wieczorem byłem w klubie Bunkier.

– A jednak – odrzekła, nie ukrywając nutki cynizmu. – Jestem ciekawa, dlaczego podjął się pan tej wycieczki. W końcu... informacja pochodziła z anonimowego źródła, każdy mógł wrzucić tę kartkę do mojej skrzynki. – Celowo zacytowała słowa jego kolegi po fachu. Ale nie dojrzała w jego twarzy nawet cienia zawstydzenia, którego się spodziewała. Zmrużył oczy i uśmiechnął się lekko.

– Chciałem sprawdzić każdą możliwość.

– I? – Lia próbowała nie okazywać napięcia. Skupiła wzrok na ciemnym płynie, wypełniającym z sykiem jej filiżankę.

– Poszedłem tam prywatnie. Ze zdjęciem Jaspiera i wypytałem pracowników. Nie byli zbyt pomocni. Zacząłem więc pokazywać zdjęcie klientom lokalu, na tyle, na ile to było możliwe. Niestety bardzo szybko ktoś zawiadomił właściciela klubu, który kulturalnie, ale stanowczo wyprosił mnie ze swojego lokalu. Gdy pokazałem mu legitymację, oświadczył, że na teren klubu możemy wejść jedynie z nakazem sądowym, natomiast jego pracownicy są chronieni specjalną klauzulą i jeśli nie mam dowodów, że chodzi o poważne przestępstwo, nie mam prawa ich nagabywać w sprawach dotyczących ich pracy.

– Czyli nic pan nie osiągnął? – spytała i uniosła filiżankę do ust, żeby ukryć rozczarowanie.

– Oni coś ukrywają – powiedział prosto z mostu. – Wiedziałem to wczoraj, ale dziś...

Wyjął telefon i przez moment przesuwał palcem po wyświetlaczu, by w końcu wstać i podejść do niej. Położył komórkę między nimi na blacie kuchennej wyspy. Lia odstawiła filiżankę i pochyliła się nad wyświetlonym zdjęciem.

– To zdjęcie potwierdziło moje przypuszczenie – powiedział.

– To... To Jasper... – Lia chwyciła telefon, ze ścisłym sercem wpatrując się w sylwetkę na zdjęciu. – Więc jednak pan coś znalazł! – powiedziała z niedowierzaniem.

Kees Herder pokręcił głową.

– Nie. To pani coś znalazła. To zdjęcie zostało umieszczone w jednym z komentarzy pod postem na pani stronie.

Lia znieruchomiała i podniosła wzrok na policjanta.

– Skąd pan...?

– Codziennie monitoruję informacje przepływające przez internet. Byłem zaskoczony, gdy wpisując w wyszukiwarkę nazwisko Jaspera, w pierwszych wynikach pojawiła się pani strona.

Lia oddała mu telefon i szybkim krokiem podążyła w stronę stołu, na którym leżał jej laptop. Włączyła go i niecierpliwie czekała. Kees Herder podszedł do stołu i postawił jej filiżankę kawy obok laptopa.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę bardzo – odparł.

– Nie... Dziękuję, że się pan nie poddał w poszukiwaniach mojego syna.

Przez chwilę młody policjant zatrzymał wzrok na jej twarzy, jakby chciał coś powiedzieć, ale skinął jedynie głową i odwrócił spojrzenie.

Jej skrzynka mailowa była przepełniona. Setki zawiadomień o kolejnych udostępnieniach i komentarzach, prywatne wiadomości napływały wciąż jeszcze, gdy wchodziła na stronę na portalu.

– Pod którym postem umieszczono to zdjęcie? – spytała, siadając. – Proszę usiąść.

– Pod tym. – Wskazał ręką, gdy przesuwała wiadomości.

Lia skupiła się na komentarzach. Było ich mnóstwo. Niektórzy umieszczali fotografie zrobione w klubie, inni wpisywali nazwiska znajomych, którzy tamtego wieczoru byli w klubie. Wreszcie Lia dojrzała komentarz. „Zrobiłem to zdjęcie pod Bunkrem. Czy zaginiony to jeden z tych chłopaków? Byli z tą kobietą. Zdjęcie jest

kiepskie, niestety było ciemno. Jestem pewien, że widziałem, jak wchodzili do środka”. Lia kliknęła na fotografię. Przedstawiała grupkę młodych ludzi, ale to postacie po lewej, tuż za nią, przyciągnęły jej wzrok. Jedną z nich bez wątpienia był jej syn Jasper, drugą Koen, jego kolega. Kobieta stała lekko obrócona tyłem, miała na głowie kaptur. Lia myślała, że wystawał spod niego biały szal, był to jednak warkocz jasnych włosów. Studiowała sylwetkę uważnie, jednak nie było możliwości, żeby dojrzeć jej twarz.

– To Jasper... To mój syn. Jestem pewna – powiedziała po chwili.

Kees Herder skinął głową.

– Ja też.

Lia poczuła nagłą i nieopisaną sympatię do tego młodego człowieka.

– Więc co teraz? Mam na myśli, jakie kolejne kroki możemy podjąć? Jak odszukać tę kobietę?

– Ja wracam do pracy. Przede wszystkim zaproszę na rozmowę kolegę pani syna. Jak widać, zapomniał powiedzieć nam o kilku istotnych szczegółach z tamtej nocy. On widział twarz kobiety. Zrobię wszystko, aby uzyskać nakaz sądowy. Skoro Jasper wszedł do środka, pracownicy klubu musieli coś widzieć. A przynajmniej ochroniarz na bramce. Podstawowe pytanie to, jak chłopcy dostali się do klubu, do którego wstęp mają klienci od dwudziestego pierwszego roku życia, po okazaniu dowodu osobistego. Proszę umieścić to zdjęcie w osobnym poście. Może inni klienci klubu rozpoznają kobietę, może ktoś ją zna.

Lia przytaknęła. Młody policjant opuścił jej apartament, pozostawiając za sobą unoszący się w powietrzu delikatny zapach dobrej wody kolońskiej i uczucie nadziei, dającej siłę.

22

Kees Herder obudził się, gdy za oknem nadal panowała ciemność. Przez parę minut leżał z szeroko otwartymi oczyma, wpatrując się w mrok, wsłuchując w ciszę. Obrócił się na bok i próbował zasnąć. Zacisnął powieki, starając się zablokować obrazy, które pod nie napływały. Freya jęknęła cicho we śnie i naciągnęła na siebie kołdrę. Odnalazł dłonią jej ciepłe ciało i wsunął rękę pod swój własny podkoszulek, w którym spała. Zatopił twarz w jej ciemnych włosach i przez chwilę ich zapach sprawił, że obrazy czmychnęły, a ich miejsce zajęła wszechogarniająca go błogość. Trwało to jednak zbyt krótko, by zdążył zasnąć. Po jakimś czasie podniósł się zrezygnowany. Wysunął się spod okrycia i bez zapalania światła, po omacku odszukał w szafie swoją sportową odzież i wymknął się z pokoju. Naciągnął ubranie, adidas, czapkę, z lodówki wyjął karton mleka, którego wypił całą szklanekę, a potem po cichu opuścił mieszkanie. Zapiął na ramieniu opaskę ze światłem. Panował przejmujący ziąb, a powiewy lodowatego wiatru cięły jak ostry nóż. Było ciemno. Ulicę oświetlał jedynie żółty blask latarni. Od czasu do czasu migwały lampy przejeżdżających pojazdów. Droga przed nim była pusta. Zaczął biec. Najpierw powoli, żeby dać ciału szansę przywyknąć do chłodu, do tempa, do wysiłku, żeby rozruszać kolano, które nadal dawało mu o sobie czasem znać, potem coraz szybciej.

Pięć lat temu jego życie i plany na przyszłość wyglądały zupełnie inaczej. Hokej na lodzie był wszystkim. Szybko dostał się do najlepszej drużyny młodzieżowej, z którą ciężko trenował. Wyjeżdżali na mecze na terenie całego kraju oraz w Europie. Trener nie ukrywał, że Kees był jego najlepszym zawodnikiem, i wiązał z nim duże plany. Nim skończył osiemnaście lat, walczyły o niego trzy kluby. Był młody, dumny, przekonany o swoim talencie. Amsterdamskie Białe Wilki przyjęły go z otwartymi ramionami. Treningi były brutalne, młodzi zawodnicy często grzali ławki rezerwowe. Ale Kees dostał szansę. Już w pierwszych oficjalnych meczach trener wystawił go w początkowej tercji. Kees zadbał o to, żeby nie żałował swojej decyzji. Mecz, który zaważył na jego losach, nie należał nawet do rozgrywek ligi. Grali z drużyną niemiecką, gościnnie, ale mecz miał dla obu grup symboliczną wagę. Musieli dać z siebie wszystko. Kiedy trener wystawił go w decydującej ostatniej tercji, nie przysporzyło mu to przyjaciół w drużynie. Chciał udowodnić wszystkim, że jest najlepszy. Niemcy grali ostro, brutalnie, mieli przewagę punktową i taktycznie byli lepsi. Kees poruszał się po lodowisku jak wilk, szybko, zdecydowanie, sprytnie wymijając rozpędzonych przeciwników. Krążek wpadł do siatki. Kees obrócił się i ruszył z powrotem. Drużyna Niemców cięła lód. Ktoś przejął krążek, minął Keesa, kolejne odbicie kijem, przejęcie. Kees słyszał oszałamiający huk na trybunach. Musiał zjechać na lewą stronę lodowiska. Zrobił unik, żeby wydostać się spod silnej obrony przeciwnika. I wtedy wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Jeden z zawodników wpadł w poślizg, upadł i próbując podnieść się do pionu, zahaczył o łyżwę Keesa, który stracił równowagę. Płozy zgrzytnęły po lodzie. Poczuł, jak jego noga pociągnięta przez zawodnika za nim wygięła się pod dziwnym kątem, kość trzasnęła. Nim zdążył w odruchu paniki obrócić się i przysiąść na lodzie, by zabezpieczyć upadek, rozpędzony Niemiec wpadł na ich dwójkę, miażdżąc złamane kolano płożą łyżwy. Miał wrażenie, że ponad lodowiskiem zapadła głucha cisza, umilkł komentator, ucichł zgrzyt płóz po lodzie. Kees poczuł ciepło w kolanie. Spojrzał za siebie na wykręconą dziwnie nogę, mając nadzieję, że ochraniacz zredukował szkody do minimum. Najpierw zobaczył plamę krwi, która

szybko rozprzestrzeniała się po łodzie, potem swoje zmiążdżone kolano widoczne spod rozciątych łyżwą spodni i skarpet.

Kees przystanął i oparł dłonie na kolanach. Zaczerpnął spory haust chłodnego powietrza. Przed nim rozciągała się Kanaalweg. Po jednej stronie górowały budynki fabryki, po drugiej centrum handlowe. Ruszył wzdłuż kanału, na którego ciemnych wodach zacumowano łodzie towarowe i barki. Blask ulicznych lamp odbijał się w toni.

Rehabilitacja ciągnęła się miesiącami i choć kolano odzyskało sprawność dzięki nieustającym wysiłkom Keesa, trener Białych Wilków i sportowy lekarz odpowiedzialny za stan drużyny nie ukrywali przed nim, że jego kariera w hokeju na lodzie została przekreślona. Nigdy nie wróciłby do dawnej formy, a nawet gdyby zdecydował się próbować powrotu na lód, branie go do profesjonalnej drużyny po takiej kontuzji byłoby samobójczym golem. Żaden trener nie zdobyłby się na taki akt i żaden klub nie zapłaciłby za takiego zawodnika.

Obiegł rondo i tuż przed mostem skręcił w prawo w Emmakade. Biegł dalej wzdłuż kanału i rzędu domków z czerwonej cegły, z których dużych okien spozierała nadal ciemność. Gdzieś tam cumowała pojedyncza łódź, której maszt pisał się w osnute mrokiem i chmurami niebo. Gdy robiło się ciepło, jachty cumowały tu gęsto. Jego rozgrzane ruchem ciało stało się nagle przyjemnym w użytku instrumentem. Serce biło rytmicznie. Oddech wyrównał się.

Nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem. Był wściekły i zrozpaczony. W akcie furii zerwał ówczesny związek, brutalnie odpychając dziewczynę, która spędziła miesiące u jego boku, kiedy inni zapomnieli o jego istnieniu, kiedy ból był nie do zniesienia, a frustracja spowodowana unieruchomieniem rosła. Ona wytrzymała przy nim, gdy walczył. Lecz gdy okazało się, że przegrał, to na niej wyładował złość. Złożył podanie do szkoły policyjnej bez przekonania. A jednak nigdy nie żałował tej decyzji, choć okoliczności, które do niej doprowadziły, na zawsze będą smakowały porażką, bólem i rozczarowaniem.

Kees próbował skupić myśli na czymś przyjemniejszym. Freya. Jej ciemne falujące włosy, oliwkowa cera, głębokie spojrzenie spod długich ciemnych rzęs.

Zamiast obrazu dziewczyny, z którą spędził noc, napłynęła jednak sylwetka kobiety stojącej pod klubem Bunkier, jej jasny warkocz, obszerny kaptur czarnego płaszcza niemal stworzony do tego, by skutecznie ukrywać twarz, długie, sięgające ud kozaki. Skupił myśli na postaci kobiety, na dwóch piętnastolatkach stojących przy niej. Co robili? Czy zapłacili jej, żeby pomogła im wejść? Kupili od niej fałszywe dowody tożsamości? A może wcale nie weszli do środka? Może autor zdjęcia się pomylił? Może kupowali od niej narkotyki? I dlaczego jeden z nich wrócił tamtej nocy bezpiecznie do domu? A po drugim słuch zaginął?

Dobiegł do końca Emmakade i zatrzymał się, rozglądając wokół. Z kieszeni sportowej bluzy, opinającej jego spocone ciało, wyjął telefon. Wszedł na Facebooka, na stronę dotyczącą zaginięcia Jaspera i odnalazł mapkę stworzoną przez Lię. Keesa dzieliło jedynie dwie minuty biegu od budynku, w którym mieszkała Lia. Skręcił w lewo, pokonał most, potem w prawo w Zuidergrachtswal. Po jego prawej, po drugiej stronie kanału wznosiły się budynki dawnego więzienia, w którym dziś mieściło się centrum kulturalne. Przebiegł przez most przy Blokhuisplein, skręcił w lewo w Nieuweweg i chwilę potem stał na placu przy fontannie Merkurego. Podniósł głowę i spojrzał w okna apartamentu Lii Kornmann, w których paliło się światło. Dał sobie chwilę na odpoczynek, po czym ruszył wytyczoną przez Lię trasą z mapki umieszczonej na Facebooku.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania, Freya stała już w kuchni z kubkiem kawy. Miała mokre włosy, a owocowy zapach jej szamponu i mydła mieszał się z aromatem kawy.

– Hej. – Uśmiechnęła się ciepło. – Gdzie cię poniosło o tej porze?

– Pobiegać – odparł, dysząc. Czuł, jak mięśnie mu drżały, a pod opinającą ciało sportową odzieżą skóra zroszona była potem. Nie był jednak zmęczony. Miał ochotę zaprowadzić ją z powrotem do łóżka, zerknął jednak na zegarek i sięgnął do lodówki po sok pomarańczowy.

– Biegałeś dwie godziny... Coś cię trapi czy po prostu zgubiłeś drogę? – Patrzyła na niego sponad swojego kubka kawy trochę żartobliwie, a jednak uważnie.

– Musiałem pomyśleć – odparł i upił spory łyk soku. Otarł usta wierzchem dłoni.

– I dlatego musiałeś wyjść z domu? Czyżbym stanowiła przeszkodę w trzeźwym myśleniu? – spytała filuternie i odstawiwszy kawę, podeszła do niego.

– Jestem spocony jak szczur – ostrzegł z szerokim uśmiechem.

– Potrzebujesz pomocy pod prysznicem czy tam też zamierzasz myśleć?

Przysunęła się do niego i palcami przejechała po jego mokrych od potu krótko ściętych włosach. Objął ją w pasie i przycisnął mocno do siebie.

– Nawet w myśleniu trzeba sobie zrobić przerwę – mruknął, nim jego usta opadły pożądliwie na jej słodkie, pełne wargi.



– Nie bardzo rozumiem, jaki jest cel tej rozmowy. Mój syn już odpowiedział na wszystkie pytania. – Kobieta zajęła miejsce przy stoliku. Wyglądała na zdenerwowaną. – Czy to nie może poczekać? Powinnam być teraz w pracy.

– Jak pani wie, nie ma postępów w poszukiwaniach Jaspera de Rooija. Próbujemy sprawdzić wszelkie możliwe poszlaki. – Kees usiadł po przeciwnej stronie.

– Rozumiem, ale co mój syn ma z tym wspólnego? Oni byli kolegami. Po co go teraz ciągać po komendzie? Tylko go stresujecie niepotrzebnie! Czy to dlatego, że matka Jaspera jest bogata i wpływowa?

Uniósł brwi i przyjrzał się kobiecie.

– Naprawdę pani tak uważa? Jasper jest poszukiwany od prawie dwóch tygodni. Myślę, że każda matka w tej sytuacji, niezależnie od stanu konta bankowego czy statusu społecznego, martwiłaby się tak samo.

Kobieta zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Kees Herder położył wydruk fotografii na stoliku przed Koenem, który z bladą, przerażoną twarzą siedział wciśnięty w plastikowe krzesło obok swojej matki.

– Czy to ty?

Chłopak żuł własną wargę i wpatrywał się w zdjęcie. Kees przesunął zdjęcie po blacie w stronę kobiety.

– Czy może pani potwierdzić, że to pani syn?

Zerknęła na zdjęcie.

– Być może. Ta fotografia jest bardzo ciemna i niewyraźna. To mógł być każdy inny nastolatek.

Kees westchnął. Czuł się dziś pobudzony. Krew zdawała się wartkim strumieniem płynąć przez jego ciało. Pulsowało energią i potrzebą działania. Postukał palcami w blat stolika i chwilę myślał w skupieniu. Wyraźnie słyszał nierówny płytki oddech przerażonego chłopaka. Ale to nie do niego zwrócił się, gdy podniósł wreszcie wzrok.

– Pani musiała wiedzieć.

– Słucham?! – Oburzenie w jej głosie było niemal namacalne.

– Pani musiała wiedzieć, że chłopcy tamtego wieczoru wyszli z domu. A mimo to nie wspomniała pani nic na ten temat.

– Niech pan nie opowiada bredni. Wyszli, ponieważ Jasper miał jechać do domu.

– Jeśli okaże się, że Jaspera spotkało coś naprawdę złego, a pani zataiła istotne informacje lub namówiła syna, by je zataił... grożą pani, jako osobie dorosłej, poważne konsekwencje. Proszę sobie zdać z tego sprawę. Koen jest małoletni, sąd zerknie na niego przychylniej, szczególnie jeśli działał pod wpływem bliskiej mu osoby dorosłej...

– To ja. – Koen przerwał mu niespodziewanie. Jego głos drżał, ale nie było w nim nawet cienia wahania. – To ja. A to Jasper.

Kees kiwnął głową z aprobatą i skupił się na chłopaku, ignorując jego matkę, która natychmiast złapała syna za ramię.

23

Joanna miotła się jak ćma wokół lampy. Pokój hotelowy wydawał się jej za ciasny, jakby miał nie pomieścić całej gamy emocji, które nią targały. Wszystko szło nie tak. Czuła narastającą złość i wewnętrzny chaos, który unosił się jak potężna fala tsunami. Chwilami miała wrażenie, że ta fala zmiecie ją samą z powierzchni ziemi.

Za oknem huczał wiatr. Zapadł zmrok i gdy rozsunęła zasłony w szybie, ujrzała najpierw odbitą własną twarz. Prawie siebie nie poznała. Co się stało z tamtą dziewczyną? Czego była w stanie się dopuścić? Jak daleko potrafiła się posunąć w swojej pogoni za przeszłością, w żądzy ukarania winnych? I czy sama nie była tak samo winna?

Spakowała wszystko, co miała, wymeldowała się w recepcji i opuściła hotel. Wrzuciła do auta torbę i wsiadła, pokonując ostre podmuchy wiatru. Przez chwilę szukała odpowiedniego hotelu w telefonie komórkowym, po czym ruszyła w drogę.

Trzygwiazdkowy hotel Campanile mieścił się w Goutum, położonym jedynie parę kilometrów od Leeuwarden. Parking był bezpłatny. Hotel był zaopatrzony w bar i prostą restaurację, nie tak wykwinną i elegancką jak w Oranje. Ściany miały zielonkawy kolor, zwykłe brązowe stoliki i krzesła stały w gęstych rzędach. Coś w tym prostym, staromodnym i niezbyt ładnym wystroju przypominało

Joannie polskie bary mleczne lub zwykłe knajpki. Pokój, do którego klucz wręczył jej miły recepcjonista, znajdował się na pierwszym piętrze i był równie niewyszukany. Zasunęła zasłony, rozpakowała rzeczy i zeszła do baru na dole. Zamówiła lampkę wina i usiadła przy stoliku blisko kominka, na którym płonął ogień. Rozejrzała się wokół. W rogu stała choinka obwieszona migoczącymi światełkami. Pod nią na kolorowym stosie leżały pięknie zapakowane prezenty, o których Joanna wiedziała, że są puste jak obietnice, które ludzie składają sobie nawzajem pod wpływem chwili.



Był poranek, tak wczesny, że rosa nadal pokrywała trawy. Jej diamentowe kropelki odbijały światło promieni słonecznych. Śpiew ptaków był niemal ogłuszający, chór wielu wysokich tonów, przeplatających się melodii, nawoływań wyrywających się z maleńkich piersi. Joanna osłoniła oczy dłonią, próbując dojrzeć ptaki między gałęziami drzew i liśćmi. Miała wrażenie, że wszystkie były pozbawione ciała i stały się jedynie dźwięcznym głosem. Zeszli stromym poboczem w stronę jeziora ukrytego między ciasno rosnącymi drzewami. Jego tafla lśniła w słońcu. Joanna i Julia zdjęły buty i boso ruszyły po mokrej trawie i piasku do brzegu wody. Julia zamoczyła w niej nogę i pisnęła.

– Okropnie zimna!

Usiedli na pomoście. W ciągu mijających lat ktoś wymienił kilka desek i pomost był stabilniejszy. Zaczęli wyjmować z toreb to, co ze sobą zabrali: pieczywo, mleko, plastry sera i szynki zapakowane w foliowe torebki, ciastka, świeże pachnące pomidory, niewielkie ogórki gruntowe, słoiczek smalcu do chleba. Joanna zapomniała o nożu, ale Tomek miał przy sobie scyzoryk, którym niezbyt starannie pokroił chleb w grube pajdy. Wszystko smakowało inaczej, tam na tym pomoście zawieszonym nad błękitną wodą. I oni byli zawieszeni w czasie, powoli to, co znane, odchodziło w przeszłość, przed nimi roztaczała się zupełnie nowa, inna przyszłość, pełna niepewności i pytań, a jednak ekscytująca. Dorosłość. Jej

posmak Joanna czuła wyraźnie. Nigdy potem żadne śniadanie nie smakowało tak, jak tamto: słodkie od entuzjazmu, słone od łez, upajające. Nigdy potem życie nie wyglądało tak samo: jak piękna droga wiodąca ku rozpalonemu słońcem horyzontowi.

Joanna kątem oka zerknęła na Tomka. Wydawał się jej niespokojny i zamyślony, choć zwykle nad wodą zapominał o wszystkich troskach. Uśmiechał się, lecz w jego oczach brakowało błysku. Zastanawiała się, czy mógł martwić się wynikami matur. Jego technikum było pięcioletnie, więc razem zdawali egzaminy dojrzałości. I choć dziewczęta stresowały się nimi ogromnie, Tomek był tym, na którym całe to szaleństwo do tej pory nie robiło wrażenia.

Czekała, aż pójdzie popływać, ale siedział tam z podwiniętymi wysoko nogawkami džinsów, lekko zgarbiony, w przydużym podkoszulku, który wisiał na jego ramionach. „Wygląda, jakby czas cofnął się do podstawówki”, pomyślała. Ostrożnie położyła dłoń na jego ramieniu. Pod palcami poczuła ciepło jego skóry i napięte mięśnie.

– Tomek? Wszystko w porządku? – spytała, próbując mu zajrzeć w twarz.

Pokiwał głową bez przekonania.

– Muszę wam coś powiedzieć. To w sumie jest... dobra wiadomość – dodał niepewnie i Joanna poczuła dziwny ścisk w podbrzuszu.

Wszystko miało się zmienić. Czuła to.

– Wyjeżdżam do Niemiec. Na cały rok. Tata kumpla z klasy załatwił nam pracę.

Joanna utkwiała w nim wzrok. Julia otworzyła usta, po czym je zamknęła. Cokolwiek by powiedziały, nie zmieniłyby zdania, to było pewne.

– Jaką pracę? – zapytała.

– Normalnie, gdzieś na farmie podobno. Mówią, że ciężko, ale dobrze płacą. Jak się uda, może oszczędzę na prawo jazdy i auto.

Tomek położył się na pomoście, spuścił nogi do wody i błędził wzrokiem po bezchmurnym niebie. Opadły obok niego i przez parę minut pograżyli się w milczeniu i błękanie. Joanna była pewna, że Julia czuła się tak samo jak ona:

zaskoczona i zdruzgotana. Kiedy obróciła głowę w stronę przyjaciółki, zobaczyła jej kształtny profil zastygły w dziwnym bólu. Joanna odezwała się pierwsza:

– Teraz wszyscy będziemy rozdzieleni – powiedziała cicho i nagle ta myśl wydawała się jej tak przerażająca, jakby czekała ją amputacja bez znieczulenia.

– Nie – odparła Julia.

– Julka, już ci mówiłam, nie możesz zostać. Słyszałam twoją mamę, nie mówi o niczym innym, tylko o twoich studiach. – Joanna po raz ostatni próbowała wybić przyjaciółce głupie pomysły z głowy. – Ja przecież dam sobie radę. Zostaję na starych śmieciach. Ty nie musisz! Nie możesz!

– To nie ja zostaję. To ty wyjeżdżasz. Zapłaciłam twoje wpisowe.

Julia leżała na pomoście, jej ciemne włosy były rozrzucone wokół jej twarzy jak czarna aureola, a błyszczące oczy wpatrywały się w niebo.

– Co zrobiłaś? – Joanna poderwała się do pionu.

– Przecież mówię. Zapłaciłam twoje wpisowe na uniwersytet w Warszawie.

– Julka... nie możesz robić takich rzeczy... – Joanna prawie nie słyszała własnego głosu.

– Widać mogę, bo już to zrobiłam.

– Zwariowałaś?! Przecież ci mówiłam, że nie mogę ot tak sobie wyjechać. Skąd wzięłaś na to pieniądze?

– Sprzedałam złote kolczyki i pierścionek.

– Te, które dostałaś od rodziców na osiemnaste urodziny? Zabiją cię!

– Powiedziałam im, że je zgubiłam. Pomarudzili trochę i przestali. Pewnie kupią mi nowe na kolejne urodziny – odparła lekko.

Joanna spojrzała na Tomka, szukając u niego pomocy. Leżał nadal na deskach pomostu i patrzył w niebo, jakby rozmowa dziewcząt w ogóle go nie dotyczyła.

– Tomek, powiedz jej coś! – Szturchnęła go.

– Coś! – odparł z półuśmiechem.

Julka zaśmiała się, jedynie Joanna siedziała między nimi ogłuszona własnymi myślami. Ponieważ nigdy nie zamierzała opuszczać miasta, nagła świadomość, że

istniała taka możliwość, sparaliżowała ją na moment.

– I co teraz zrobimy? – spytała cicho, wpatrując się w migoczącą diamentowo toń.

Tomek podniósł się i zwinnym ruchem ściągnął podkoszulek, obnażając nadal chude, a jednak prężne i wreszcie pozbawione siniaków ciało.

– Jak to co? Będziemy pływać!

Chwilę potem stał na końcu pomostu wyciągnięty do skoku.

– Tomek! Woda jest strasznie zimna! – krzyknęła Julka w akcie protestu, ale roześmiała się, gdy opryskał je kropelkami wody, wskakując w błękitną toń.

– Pozwól mu – powiedziała Joanna, patrząc, jak odpływa. – Dla niego dorosłość niedługo zacznie się naprawdę.

Poczuła dziwny ścisk w sercu. Ten sam pomost, to samo jezioro i oni ci sami, ale wszystko inne miało się zmienić na zawsze.

Wracali do miasta autobusem kołyszącym się leniwie, milczący, ściśnięci na wąskiej ławeczce. Pożegnali się na przystanku i każde ruszyło w swoją stronę, lecz gdy Joanna dotarła na osiedle, Tomek stał już oparty o klatkę schodową bloku, w którym mieszkała. Coś w niej wezbrało, ale stłamsiła to szybko i wykrzeszała z siebie uśmiech.

– Miałeś iść do domu... – powiedziała lekko. – Zapomniałeś czegoś?

– Asia – powiedział jakoś inaczej niż zwykle, jakby w jej imieniu było wyjaśnienie, o które wcale przecież nie prosiła. – Jedź z Julką do Warszawy.

– Co? Przecież wiesz, że nie mogę. To nie takie proste. A co z mamą? Czym zapłacę za życie?

– Dasz sobie radę – powiedział żarliwie. – I twoja mama da sobie radę. Wyjedź stąd! Wiem, że się boisz, wiem, że myślisz, że łatwiej jest zostać...

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał – wypaliła na pół ze złością, na pół z żalem. Nie miała zamiaru tego mówić, za późno ugryzła się w język. – Ale... wiem, że ty nie chcesz tutaj zostać... – dodała ciszej, próbując opanować drżenie głosu.

Wyciągnął rękę i ujął w dłoń jej palce, jedynie ich opuszki, delikatnie, lecz stanowczo, żeby nie myślała, że to przypadek.

– Asia... Przecież wiesz, że ja zawsze będę wracał.



Joanna dopiła lampkę wina. Jej oczy zaszły łzami, tak że choinka z kolorowymi światełkami i paczkami stała się jedynie rozmazaną plamą. Pięknie prezentujące się podarunki były jedynie kartonami w ładnym opakowaniu. Pustymi jak obietnice, które ludzie składają innym pod wpływem chwili.

24

Niewielka barka wydawała mu się nagle zbyt duża. Zmył naczynia, wyjął pranie z suszarki, próbował poczytać gazetę, w końcu włączył telewizję. Cały świat opanowała świąteczna gorączka. Westchnął, przez chwilę zmieniał kanały, na niczym jednak nie mógł skupić uwagi. Dochodziła ósma. Włożył kurtkę, chwycił kluczyki do busa i wyszedł.

Tomek próbował nie myśleć o świątach. Był wdzięczny, że na miejsce zamieszkania wybrał kraj, w którym nie obchodzi się Wigilii, a Boże Narodzenie nie jest naszpikowane tysiącem tradycji i ładunkiem emocjonalnym, który mógł rozsądzić kontynent. Szybko zmienił kierunek myśli, nim mogły zabrać go tam, gdzie za żadne skarby świata nie miał ochoty docierać.

Nie wiedział, czy klub Bunkier był już otwarty, gdy zaparkował w pobliżu. Nie mógł jednak dłużej czekać. Musiał coś zrobić, coś więcej przynajmniej. Nie miał pojęcia, czy Lia potraktowała informację poważnie, czy policja wreszcie zainteresowała się sprawą. W drzwiach stał jednak ochroniarz, do którego podszedł bez wahania.

– Dzisiejsza impreza jest prywatna, więc jeśli nie ma pan zaproszenia...

– Nie interesuje mnie wstęp do klubu. Chciałem zapytać o wieczór sprzed dwóch tygodni. Pracował pan wtedy?

Mężczyzna zmarszczył brwi i pokręcił powoli głową. Tomek wyjął telefon, na którym zapisane miał zdjęcie Jaspera, i przysunął go do twarzy ochroniarza. Ten jedynie rzucił okiem na wyświetlacz.

– Chodzi o tego chłopca. Był tu z kolegą i kobietą w czarnym płaszczu z kapturem. Może pan go jednak widział albo pana kolega, który wtedy pracował.

– Nie wiem, nic nie widziałem i nie pamiętam, kto wtedy pracował.

Coś w głosie mężczyzny przypominało nagranie na automatycznej sekretarce. Powtarzane w kółko parę słów.

– Ma pan dzieci?

Mężczyzna westchnął i kiwnął głową.

– Nie wolno nam rozmawiać z policją i prasą – powiedział w końcu tonem lekko przeprasającym.

– Czyli ci chłopcy tu byli? Widziano ich? A kobieta?

– Nie wolno nam... – zaczął ponownie mężczyzna.

– Jestem jego ojcem – powiedział nagle Tomek, nim zdążył przemyśleć to zagranie. Jakie to miało w sumie znaczenie, że skłamię. – Mój syn nie wrócił do domu od dwóch tygodni. Policja nic nie robi. Ale dowiedziałem się, że był tutaj z kolegą tamtej nocy.

Mężczyzna zacisnął wargi i milczał chwilę. Obejrzał się za siebie, jakby upewniał się, że nikt go nie usłyszy, choć stali przed wejściem sami.

– Już o nich ktoś pytał. O tych chłopców i kobietę. Wczoraj. Z policji.

– Z policji?

– Tak. Jakiś młody policjant, miał nawet dowód, że ten zaginiony chłopak tu był. Zdjęcie.

– Zdjęcie? – Tomek jak echo powtarzał za ochroniarzem.

– Tak. Z internetu. Straszny szum się wokół tego zrobił. Nie wiem nic więcej poza tym, że szef był wściekły. Gość, który stał w drzwiach tamtej nocy, jest teraz na przymusowym urlopie. A reszta ma przykazane trzymać gęby na kłódki.

Podobno weszli nielegalnie. A teraz wszystko jest rozdmuchane w internecie. Mam nadzieję, że znajdzie pan syna...

Tomek pokiwał odruchowo głową, jakby wiedział, o czym mężczyzna mówi, i pożegnał się, dziękując za informacje. W aucie włączył znów telefon i w wyszukiwarce wpisał imię i nazwisko Jaspera. Był zaskoczony liczbą wyników. Przeglądał je przez chwilę, aż natrafił na zdjęcie Jaspera i Koena spod klubu. Jego wzrok padł na sylwetkę kobiety w czarnym płaszczu. Zdjęcie zrobione w mroku i z odległości telefonem było kiepskiej jakości. Mimo to Tomek wpatrywał się w postać, próbując sobie przypomnieć, czy mogła być tą samą kobietą, którą przez chwilę widział w przesmyku między budynkami. Wsadził telefon do kieszeni kurtki i odjechał spod klubu, do którego zaczęli zmierzać pierwsi klienci.

Zatrzymał się dopiero przed gmachem starej fabryki pogrążonej w ciemnościach. Umówił się z szefem, że zajrzy tu w czasie świąt, żeby wszystko sprawdzić.

Prace nie zaczęły się nawet na dobre i Tomek nie rozumiał, jaki był sens rozkręcać wszystko parę tygodni przed nadejściem zimy. Z góry było wiadomo, że będą mieli opóźnienia. Ale nie wtrącał się w decyzje szefa, choć uprzedził go, że klient musi liczyć się z niesprzyjającymi warunkami pogodowymi, które utrudnią pracę. Przy generalnej renowacji tak starego budynku, którego również rodzaj użytkowania miał się kompletnie zmienić, było pewne, że natrafią na wystarczająco dużo niespodzianek, jak choćby azbest czy zawilgocenie.

Wysiadł, zabierając ze sobą latarkę, którą zawsze woził w busie, i otworzył kłódkę na bramie. Elektryczność odłączono w budynku już dawno. Pierwsze tygodnie spędzili, usuwając wszystko, co pozostawili byli właściciele fabryki: graty i zepsute maszyny.

Otworzył zamki i wszedł do wnętrza. Było tam tak zimno, jakby stare mury wytwarzały chłód i zatrzymywały go w środku. Parter podzielono na dwie duże hale oraz mniejsze pomieszczenie po prawej, gdzie niegdyś mieściły się biura i sterownia. Tomek włączył latarkę i przesunął jej smugą po rozległej sali. Powoli przeszedł przez pierwszą halę, po czym wszedł do drugiej, wciąż penetrując kąty

snopem światła. Już miał ruszyć na piętro, gdy poczuł dziwną woń docierającą do jego nozdrzy. Stał przez chwilę na środku hali, próbując rozpoznać nieprzyjemny odór. Budynek był stary i dawno nieużywany. Może szczury przyniosły resztki pożywienia, które teraz rozkładało się w jakimś kącie. Wahał się przez moment. Musiał to sprawdzić. Równie dobrze pod wpływem niskich temperatur mogła gdzieś pęknąć rura. Postanowił przyjrzeć się najpierw pomieszczeniom, w których niegdyś mieściły się toalety. Wszystko zostało już usunięte z ich wnętrza, muszle klozetowe, stare umywalki, spłuczki, drewniane drzwi od kabin, pozostały tylko brudne ściany, sterczące z sufitów kable i nieczynne odpływy. Przesunął smugą światła po niewielkich pomieszczeniach, zajrzał do każdej kabiny, próbując zlokalizować źródło odoru. Zamiast tego jednak znalazł zbite szkło na podłodze. Przesunął światłem latarki w górę po ścianie. Wtedy dojrzał okienko pod sufitem. Poczuł nieprzyjemne mrowienie w karku. Podszedł bliżej, przykucnął i w blasku latarki skontrolował resztki rozbitej szyby. Na niektórych odłamkach zobaczył krew. Wstał i spojrzał na prostokątny otwór. Czy ktoś był w stanie precyzyjnie się przez nie do wnętrza? Może jakiś bezdomny szukał schronienia przed chłodem, wybił okno, a potem zrezygnował, zrozumiał, że nie da rady dostać się do środka. W budynku było wiele rozbitych szyb, jednak wszystkie zabito deskami. Może o jednym zapomniano? Tomek nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy tak było. Ruszył do następnego pomieszczenia, sprawdzając uprzednio, czy w kieszeni nadal miał telefon. Przeszukał kolejną toaletę, biuro i sterownię. Dopiero wtedy przypomniał sobie o dawnej szatni. Usunięto już wszelkie półki ze ścian i pozostałe ławeczki, choć drzwi pozostawiono. Tomek ruszył powoli w ich stronę. Opuścił latarkę, świecąc sobie pod nogi. Czuł teraz wyraźnie nieprzyjemną woń. Pchnął drzwi i omiótł niewielkie pomieszczenie snopem światła. Odór uderzył go w nozdrza. Odruchowo uniósł dłoń do twarzy, jakby chciał się ochronić przed dławiącym zapachem.

– Co, do... – zaczął, gdy blask latarki padł na postać skuloną w najdalszym rogu. Zamarł w progu ze smugą światła skierowaną w intruza. Kiedy ten podniósł

twarz wciśniętą dotąd w kolana, które obejmował mocno ramionami, i osłonił oczy przed rażącym blaskiem, Tomek prawie upuścił latarkę. – Jezus Maria... Jasper!

Tomek rzucił się w jego stronę. Padł na kolana i oparł latarkę o ścianę, tak by nie raziła Jaspera w oczy.

– Jasper, to ja, Thomas... – Dotknął ramienia chłopaka, który drżał tak przeraźliwie, jakby miał się rozpaść na kawałki. Jego ciało było zimne jak lód. Tomek zrzucił z siebie kurtkę i okrył nią ramiona Jaspera, próbując zbadać wzrokiem, skąd pochodzi krew, którą ubrudzone były jego ubrania. Chłopak próbował coś powiedzieć, ale zamiast słów z jego popękanych warg wyrwał się jedynie szloch. Tomek sięgnął do kieszeni kurtki i w panice zaczął wpisywać numer alarmowy.

– Już dobrze, jesteś bezpieczny... – powiedział z jedną dłonią nadal na ramieniu Jaspera, czując, jak jego ciałem wstrząsają dreszcze i szloch. – Dzwonię po policję i karetkę.

W ułamku sekundy Jasper chwycił go za rękaw, prawie wytrącając telefon z jego dłoni. Kurtka zsunęła się z jego drżących ramion.

– Nie! – krzyknął przerażonym chrapliwym głosem, jakby do dawna go nie używał.

Jego obdarte do krwi i brudne palce wczepiły się w materiał rękawa jak metalowe szczypce. Tomek popatrzył w rozszerzone strachem oczy chłopaka. Nawet w tej odrobinie światła, które dawała leżąca obok nich na ziemi latarka, widział, w jakim stanie był Jasper. Wychudły, brudny, pokaleczony. Skóra na jednym policzku była zdarta, tworząc brzydką ranę. Tomek opuścił powoli dłoń z telefonem. Drugą ręką poprawił kurtkę, nasuwając ją z powrotem na ramiona chłopaka.

– Jasper, uspokój się... Dobrze, zadzwońmy najpierw do twojej mamy... – mówił cichym, pocieszającym tonem. Lia mogła wezwać policję i karetkę, może jej głos uspokoiłby chłopaka.

– Nie! Nie, nie... – Jasper podniósł się nagle, wspierając o ścianę. Kurtka spadła na brudną ziemię. Jego nogi drżały, Tomek poderwał się, spodziewając, że chłopak zaraz upadnie. – Nie możesz tego zrobić, nie rozumiesz... – W chrapliwym głosie narastała panika. Jasper rozglądał się po pomieszczeniu, jakby miał zamiar rzucić się do ucieczki. Odepchnął rękę Tomka, która próbowała go powstrzymać.

– Jasper, co się stało...? – Tomek czuł się bezsilny. Chwycił chłopaka za ramię, czując, jak każdy mięsień w jego wychłodzonym ciele drży. – Usiądź, proszę cię, uspokój się, dobrze? Po prostu, usiądźmy... okej?

Powoli ciało Jaspera poddało się i chłopak opadł znów na ziemię, dysząc z wyczerpania i nadal trzęsąc się niekontrolowanie. Tomek otulił go kurtką. Jasper podciągnął kolana pod siebie, oparł na nich ręce i głowę, jakby dłużej nie był w stanie utrzymać jej w pionie. Tomek myślał. Nie miał pojęcia, jak uspokoić chłopaka. Wiedział, że musi wezwać pomoc, ale nie chciał ryzykować, że Jasper w ataku paniki wymknie mu się i ucieknie. Jedna z jego dłoni była owinięta nasączoną krwią szmatą.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Tomek otoczył ramieniem drżące, śmierzzące ciało chłopaka. Jak długo tam siedział? Jak dostał się do środka? Gdzie był przez te dwa tygodnie, gdy jego matka odchodziła od zmysłów?

– Strasznie mi się chce pić – usłyszał stłumiony głos chłopaka. Jasper nie podniósł głowy, ale Tomek słyszał, że płacze. – I jeść.

– Chodźmy stąd, zabiorę cię do domu... Twoja mama... – Pod ramieniem poczuł, że Jasper sztywnieje w proteście, a potem znów zaczyna drżeć.

– Nie, nie. – Podniósł ku niemu zapłakaną twarz. Łzy utworzyły brudne ścieżki na jego policzkach. Ciekło mu z nosa, który wytarł rękawem. – Nie mogę...

– Jasper, jestem tutaj, nie zostawię cię, nic ci już nie grozi.

– Nie rozumiesz... – Jego głos przerywany szlochem z trudem składał się w słowa. – Oni tam nadal są. Wiedzą, że uciekłem... Będą szukać... Nie mogę wrócić... Nikt nie może się dowiedzieć.

Tomek patrzył na niego spod ściągniętych niepokojem brwi. Narastające poczucie bezsilności wobec oporu chłopaka sprawiało, że nie wiedział, jak postąpić. Nie mógł sobie tego znowu robić. Nie powinien znów brać na siebie odpowiedzialności za czyjeś życie. Nie zapomniał nigdy, jak to się skończyło ostatnim razem, gdy zdecydował ratować kogoś na własne ryzyko.

– Proszę cię... nie mów nikomu... – Dłoń Jaspera odnalazła znów rękaw jego bluzy i wczepiła się w niego desperacko. Tomek patrzył na nią, wbijając zęby we własną wargę. Nagle brakowało mu tchu. Miał ochotę wstać i wyjść. Nigdy tu nie wracać, udawać, jakby to się nigdy nie zdarzyło.

– Przywiozę ci jedzenie, dobrze? I czyste ubrania. Najpierw coś zjesz, a potem pomyślimy, co zrobimy dalej, ale... Musisz mi obiecać, że tu zostaniesz. Że nie ruszysz się stąd na krok.

Jasper pokiwał głową z wdzięcznością. Tomek zostawił mu kurtkę i latarkę i wyszedł, ściskając w dłoni telefon. Mógł zadzwonić. Wezwać pomoc. Zawiadomić Lię. Ale coś w zachowaniu chłopaka powstrzymało go. Walnął pięścią w porowatą ścianę fabryki. Było przeraźliwie zimno. Wokół niego i w nim samym.

Kiedy prawie godzinę później wrócił pod budynek fabryki, miał ze sobą porcję ciepłego jedzenia z baru szybkiej obsługi i gorącą herbatę, ubrania z dużego marketu otwartego do późna nawet w święta, szczoteczkę do zębów, ręczniki, mydło, butle wody mineralnej, koce, dresy, podkoszulek i kurtkę z przeceny, poduszki, chleb, plastry, bandaże i środek dezynfekujący, papier toaletowy, worki na śmieci, tabletki przeciwbólowe, dwa wiadra i lampki na baterie oraz mały grzejnik z własnym akumulatorem, który znalazł w dziale z rzeczami kempingowymi, mocno przecenionymi w okresie zimowym. Zaparkował i przez parę minut siedział w aucie, upewniając się, że nikt go nie śledzi. Nie miał pewności, co spotkało chłopaka, ale nie mógł lekceważyć jego strachu. Jeśli ci, którzy mu to zrobili, faktycznie go szukali, nie miał zamiaru ich tutaj doprowadzać.

Gdy upewnił się, że jest sam, zaczął wypakowywać rzeczy z tyłu auta i wnosić je do wnętrza. Jasper siedział nadal w kącie starej szatni. W tym, jak rzucił się na jedzenie, było coś nieludzkiego. Tomek przykląkł przy grzejniku, żeby uruchomić

go i zapewnić chłopcu odrobinę ciepła. Kątem oka zerkał, jak ten wpycha sobie do ust pożywienie. Już po paru pierwszych kęsach zwrócił wszystko.

– Przepraszam – jęknął, wycierając usta i patrząc na Tomka bezradnie.

– Nic nie szkodzi, nie przejmuj się tym. – Tomek zaczął sprzątać wymiociny papierem toaletowym. – Ja to posprzątam, ale musisz jeść wolniej, twój żołądek jeszcze nie pracuje. Chcesz wody? Nie za dużo, inaczej znów zaczniesz wymiotować.

Podał chłopcu butelkę z wodą mineralną. Pił łapczywie. Potem znów chwycił pudełko z jedzeniem, ale tym razem odgryzał małe kęsy i żuł starannie, obserwując poczynania Tomka. Grzejnik zaczął działać, ale dzięki wydzielanemu przez niego ciepłu pomieszczenie zaczęło śmierdzieć jeszcze bardziej. Tomek zapalił lampki i w ich świetle dostrzegł źródło odoru w przeciwnym kącie szatni. Jasper podążył wzrokiem za spojrzeniem Tomka i pochylił głowę zawstydzony i upokorzony. Tomek poklepał go tylko po ramieniu. Parę metrów dalej znajdowało się niewielkie pomieszczenie, coś w rodzaju większego schowka. Przeniósł tam rzeczy, kiedy Jasper w starej szatni obmył się wodą z butelki i wciągnął czyste ubrania, w czym Tomek mu pomógł. Ze ściśniętym sercem patrzył na poobijane ciało chłopaka i brudne ubrania, które wrzucił do worka na śmieci.

Mały kaloryfer szybko nagrzał niewielkie pomieszczenie, w którym siedzieli na kocach i poduszkach. Tomek podał chłopakowi ciepłą herbatę

– Tylko parę łyków, powoli... – przypomniał mu.

– Jak długo? – zapytał po chwili Jasper, kiedy Tomek w przerwie między kęsami obmył jego dłoń i zdezynfekował głęboką ranę. Chłopak skrzywił się lekko.

– Hm? – Tomek podniósł na niego spojrzenie.

– Jak długo mnie nie było? – zapytał Jasper.

– Ty nie... nie wiesz?

Jasper pokręcił głową.

– Dwa tygodnie – powiedział Tomek, obserwując reakcję chłopaka. Jego dłonie znów zaczęły drżeć, herbata chlusnęła z papierowego kubka.

– Boże... – Jasper pochylił głowę i zaczął cicho płakać. Potem znów wymiotował te parę kęsów, jakby jego żołądek odmawiał przyswojenia jakiegokolwiek pożywienia. Tomek niemal w ostatniej chwili złapał wiadro i przysunął je chłopakowi.

Kiedy Jasper uspokoił się i upił znowu odrobinę ciepłej herbaty, Tomek opatrzył jego dłonie i usiadł obok. W ciepłe radiatora i przygaszonym świetle lamp nie widać było brudnych starych murów.

– Jasper, musisz mi powiedzieć, co się stało – zaczął Tomek ostrożnie. – Tamtego wieczoru i potem... Jak się tu dostałeś? Co się wydarzyło w tym klubie, do którego poszedłeś z Koenem? Kupiliście narkotyki, tak? Wdałeś się w jakieś porachunki z dealerem? Tam była kobieta... Koen powiedział, że ją znałeś.

Chłopak okrył się ściślej kocem i wpatrzył w światło lampki. Miał na sobie dres i kurtkę, ale jego dłonie nadal były lodowato zimne. Tomek czekał. Postanowił dać mu czas. Nie chciał powodować nowego ataku paniki.

– Woda – usłyszał w końcu słaby głos Jaspera i sięgnął po butelkę, ale chłopak pokręcił głową i powstrzymał go. – Nie wypilem wody. Dlatego udało mi się uciec.

– Nie rozumiem... – Tomek patrzył uważnie na twarz Jaspera, w której każda rysa napięła się bólem.

– W tej wodzie coś było. Zasypiałem za każdym razem po jej wypiciu.

Jasper mówił powoli. Czasem robił dłuższe przerwy, nie odrywając wzroku od blasku lampy, jakby próbował zebrać się w sobie, przygotować do każdego kolejnego zdania, które padało z jego ust. O bólu, upokorzeniu, głodzie. I o ucieczce. Tomek słuchał. Nie pytał o nic.

– Wtedy myślałem, że to koniec. Siedziałem pod tymi cholernymi drzwiami i zrozumiałem, że wszystko na darmo, że to i tak się nie uda. – Wytarł nos rękawem i jego oczy zabłyszczały łzami. – Że nie wyjdę stamtąd żywy... – Pociągnął nosem i milczał znowu. – Bałem się – powiedział w końcu. – Nawet pomyślałem, że lepiej było wypić tę wodę i nic nie czuć. Ale tego nie dało się już odkręcić. Tam było strasznie ciemno, więc na czworakach, ostrożnie, zacząłem przemierzać

pomieszczenie wzdłuż ściany. Nie wiem, czego szukałem... Okna może, innych drzwi. Ale nic tam nie było, tylko te ściany i żwir. I ciemność. I wtedy w kącie nadziałem się ręką na coś ostrego. – Podniósł obandażowaną rękę. – To były grabie. Leżały tam oparte o stertę żwiru. Najpierw nie wiedziałem, na co się nadziałem, a ręka bolała mnie tak okropnie, że nie byłem w stanie szukać dalej. Dopiero potem zacząłem powoli na oślep badać tę kupkę żwiru, powoli posuwając się naprzód, żeby znowu się nie skaleczyć. Wtedy odkryłem, że to były grabie. Na tej kupie leżała jakaś szmata, więc obwiązałem rękę, bo krwawiła, zabrałem te grabie i wróciłem po omacku do drzwi. Pomyślałem, że zaatakuję ich, jak wejda... Że ich zabiję albo oni będą musieli zabić mnie. Wszystko było lepsze, niż zostać tam dłużej. Ale potem przyszło mi do głowy, że mogę spróbować podważyć drzwi. Wsadziłem grabie w miejsce między drzwiami a futryną i nacisnąłem całym ciężarem ciała. Nie wiem, skąd wziąłem siły... ale... po którejś próbie zamek poddał się i drzwi odskoczyły. Byłem w jakimś innym, ogromnym pomieszczeniu. Ruszyłem przed siebie. Wyszedłem na zewnątrz. Zacząłem biec. – Jasper przerwał, przełknął głośno. Wydawał się spokojniejszy, ale gdy mówił, jego dłonie znów zaczynały drżeć.

– Więc wiesz mniej więcej, gdzie byłeś przetrzymywany? – zapytał ostrożnie Tomek.

Chłopak pokręcił głową. Przymknął powieki i splótł ciasno dłonie, jakby chciał je powstrzymać przed drzeniem.

– Nie. Nie pamiętam. Było ciemno. Biegłem i biegłem. Wiem, że było pusto. Nie mam pojęcia, gdzie byłem. Z daleka widziałem drogę, światła i samochody, ale wszystko było zamazane, a ja trzymałem się z dala. Bałem się, że oni... oni mnie zobaczą.

– Wtedy zdecydowałeś się ukryć tutaj? Skąd wiedziałeś, że fabryka jest zamknięta?

– Niezupełnie zdecydowałem. W którymś momencie rozpoznałem zabudowania i wiedziałem, że jestem na obrzeżach miasta. Nie wiedziałem, że fabryka jest zamknięta, nie myślałem o tym. Zobaczyłem, że nie ma maszyn.

Obszedłem teren. Na tyłach leżały graty, po których wspiałem się, żeby przejść przez siatkę. Okna na parterze były zabite, ale znalazłem to jedno...

Tomek pokiwał głową. Reszty się domyślał.

– Ile czasu tu byłeś sam?

– Nie wiem... jedną noc i dzień. Chyba...

– Jasper, zdajesz sobie sprawę, że nie możesz tu zostać. Musimy kogoś zawiadomić...

Chłopak podniósł na niego oczy, które tym razem oprócz przerażenia pełne były stanowczego buntu.

– Jeśli komuś powiesz, ucieknę stąd, słyszysz? Oni wiedzą, gdzie mieszkam. Przyjdą po mnie. Albo po mamę. Tutaj nikt mnie nie znajdzie...

– Pomyśl o twojej mamie! Ona nie wie, że żyjesz, że nic ci nie jest... – zaczął Tomek.

– I tak jest lepiej!

– Jasper, nie możesz tu zostać na zawsze!

– Nie na zawsze! Tylko do czasu, aż ich znajdą! – W głosie chłopaka pobrzmiwało desperackie błaganie.

Tomek pokręcił głową.

– A jeśli nie znajdą? Oni nic nie mają, poza waszym zdjęciem pod klubem... z kobietą...

Jasper odwrócił wzrok i zacisnął popękane wargi.

– Powiem ci, co wiem. Ty ich musisz znaleźć – powiedział cicho.

– Co? – Tomek uniósł się prawie z miejsca. – Jasper, to jest sprawa dla policji.

– Sam mówisz, że nie było mnie dwa tygodnie, a oni nie znaleźli prawie nic.

– Jeśli im powiesz... – Tomek znowu próbował.

– Jeśli im powiem, to wszyscy się dowiedzą, wszyscy... włącznie z nimi! – W żarliwości, z jaką chłopak do niego mówił, Tomek powoli rozpoznawał Jaspera, którego znał. – Nie ruszam się stąd, dopóki nie zostaną złapani!

Zamilkł, a Tomek zwiesił głowę, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie. Nie mógł się znów w to pakować. Nie powinien. Nigdy nie zapomniał, co wydarzyło się, gdy ostatnim razem próbował ratować kogoś na własną rękę, i jak wysoka była cena, którą zapłacił. Nagły ciężar wspomnień, do których nie wracał od tylu lat, przytłoczył go i na chwilę odebrał oddech, jakby ktoś pchnął go bez ostrzeżenia pod powierzchnię wody.

– Jasper... Nie mogę ci pomóc... – powiedział stłumionym głosem, nie podnosząc głowy. To była jedyna słuszna decyzja. Jedyna bezpieczna opcja. Wyjął telefon z kieszeni i wyciągnął go do chłopaka. – Albo ty zadzwonisz po pomoc, albo zrobię to ja. Nie ma innego wyjścia.

Jasper oplótł ramionami kolana i kołysał się powoli, nie patrząc na wyciągniętą w jego stronę komórkę.

– Okej – powiedział Tomek. Cofnął dłoń, żeby wybrać numer w telefonie, ale w tym momencie Jasper wyrwał go z jego palców i z rozmachem rzucił o przeciwległą ścianę. Urządzenie trzasnęło o mur i spadło na podłogę.

Tomek otworzył usta, ale nie odezwał się ani słowem.

– Tydzień – powiedział Jasper nagle. Podniósł głowę i utkwiał swoje niebieskie oczy w Tomku. Patrzył na niego nieustępliwie. „Jakby od tej decyzji zależało jego życie”, pomyślał Tomek i zdał sobie sprawę, że tak mogło w istocie być. – Tylko o tyle proszę. Tydzień. Jeśli w ciągu tygodnia nie uda ci się odkryć, kto mi to zrobił... sam pójdę na policję.

Tomek myślał o Lii. O jej twarzy, na której każda nieprzespana noc była wryta ostrym nożem strachu i niepokoju. Jak miał jej to zrobić? Jak miał zataić przed nią wieści o synu? Ale Jasper był tu bezpieczny, ukryty przed światem, przed Lią, ale również przed tymi, którzy czyhali na jego życie.

– Opowiedz mi o tej kobiecie – powiedział w końcu. Wdzięczność oraz ulga w spojrzeniu chłopaka były niemal namacalne.

Przez moment Jasper nie był w stanie mówić. Z jego gardła wyrwał się krótki dźwięk przypominający szloch. Skinął głową.

– Poznaliśmy się na Facebooku. To ona odezwała się do mnie. Zobaczyła mój komentarz pod postem i wysłała wiadomość. Najpierw rozmawialiśmy o grach... Potem trochę o wszystkim... Ona opowiadała o klubie, muzyce, imprezach. Zaproponowała, że załatwi mi wejście. Ale musiałem trzymać to w tajemnicy.

– Ale przecież Koen był z tobą?

Jasper skinął głową.

– Bo ja nie zgodziłem się od razu. Nie wiem, jakoś... Może miałem przecucie... Zresztą potrzebowałem jakiejś przykrywki, żeby wyjść z domu. W końcu ona powiedziała, żebym przyszedł z Koenem... – Jasper nagle przerwał i podniósł przerażone oczy na Tomka. – Co z nim? Czy on też...?

Tomek pokręcił głową.

– On ma się dobrze. To od niego dowiedziałem się w końcu, gdzie byliście.

Jasper skinął, a jego ramiona uniosły się i opadły w ciężkim pełnym ulgi oddechu.

– Weszliśmy z nią do klubu. Koen był napalony na to, co tam sprzedają. Chciał koniecznie czegoś spróbować.

– Ona dała wam pigułki?

Jasper przytaknął i zacisnął wargi.

– Wyszliśmy na zewnątrz, na tyły budynku. I to było ostatnie, co pamiętam.

– Wiesz coś więcej o tej kobiecie? Jej imię? W jakim była mniej więcej wieku? Może zdradziła ci jakieś szczegóły o sobie? Jak wyglądała?

Chłopak kręcił głową.

– Nie wiem... była starsza, ale młodsza niż mama. Chyba. Ładna, szczupła... Miała długie jasne włosy, ale to mogła być też peruka. Nie widziałem dobrze twarzy, miała ten kaptur i... – Jasper potarł twarz dłońmi, które nagle znów zaczęły drżeć. – Mirtis.

– Słucham? – Tomek nagle poczuł chłód, który wypełził z jego własnych trzewi.

– Tak się przedstawiła. Mirtis.

– Jesteś pewien? – Tomek pochylił się ku chłopakowi, który spojrzał na niego lekko zdumiony.

– Tak, jestem... Znasz ją? – zapytał niepewnie.

Tomek zaprzeczył powoli.

– Nie. Ale to słowo... Po litewsku oznacza „śmierć”.

Patrzyli na siebie w napięciu.

– Ale ty przecież jesteś z Polski – powiedział nagle Jasper, w jego głosie pobrzmiwał nagle mały bezbronny chłopiec.

– Z tej części Polski, gdzie wielu mówiło po litewsku... – odparł Tomek w roztargnieniu.

Został na noc w fabryce i do późna patrzył, jak Jasper wierci się we śnie męczony koszmarami. Jego samego również nękały wizje, przed którymi nie można się było schronić w tych starych brudnych murach. Wspomnienia, odległe i mętne jak głębokie wody, których dna nie da się dojrzeć, mary teraźniejszości, skulone pod kocem i jęczące we śnie, i widma tego, co musiał zrobić, majaki przyszłości odgrywane w głowie, jak zdarta płyta, powtarzająca w kółko tę samą melodię.

25

Kiedy Kees Herder otworzył drzwi mieszkania, w jego nozdrza wdarł się apetyczny aromat przypraw. Miał za sobą kiepski dzień. Czuł się sfrustrowany i niespokojny. Zajrzał do kuchni, gdzie Freya, kołysząc biodrami, stała nad parującym garnkiem z drewnianą łyżką w dłoni. Obejrzała się przez ramię, gdy do jej uszu dobiegł hałas w holu.

– Cześć, rycerzu. – Uśmiechnęła się szeroko, widząc go, i wyciągnęła ku niemu ramiona. Objął ją. – Jak tam groźne smoki? – spytała, gdy wreszcie ją puścił, i zajrzała do garnka.

Freya uwielbiała gotować. Miała całą kolekcję książek kucharskich pełnych egzotycznych przepisów z całego świata. Zwykle mawiała, że przygotowanie tych posiłków i smakowanie ich było jak podróż do miejsca, gdzie są jadane i uwielbiane. Freya miała w sobie tyle apetytu na życie i jedzenie, że Kees nieraz patrzył na nią z podziwem.

– Do którego miejsca na ziemi się dziś wybieramy? – spytał i wskazał na garnek, celowo unikając odpowiedzi na jej pytanie o pracę.

– Indonezja!

Powiesił kurtkę w korytarzu i wrócił do kuchni. Zajrzał jej przez ramię, gdy uniosła pokrywkę, i zobaczył gęstą ciemną breję. Roześmiała się, widząc jego

minę.

– To nasi rawon. Zupa z wołowiną. Ten kolor to przez orzeszki keluak. Nie martw się, nie próbuję cię otruć.

Zupa miała bardzo intensywny zapach i mimo podejrzanego wyglądu bardzo mu smakowała. Jadł, słuchając Frei, która opowiadała o swoim dniu, wplatając w historię zabawne anegdotki i uwagi. Przyjechała do niego na okres świąteczny, bo musiał pracować, i chociaż martwił się, że będzie siedziała sama w jego mieszkaniu, ona zdawała się bez trudu znajdować sobie zajęcie. W końcu zawiesiła głos i przyjrzała mu się bacznie.

– Miałeś kiepski dzień, co? – spytała, przechylając głowę lekko na bok. – I nie masz ochoty o tym rozmawiać? Mogę coś zrobić, żeby poprawić ci nastrój?

Otworzył usta, ale to, co miał zamiar powiedzieć, nawet w jego głowie brzmiało kiczowato i głupio. Jego kiepski nastrój poprawiał się już w chwili, gdy ona była w promieniu kilku metrów, gdy czuł zapach jej włosów, lśniących fal, które niczym ciemny wodospad spływały na jej ramiona, gdy jego czy spotkały jej roziskrzone spojrzenie, gdy brzmienie jej głosu jak echo dobiegało jego uszu. Nie mógł jej przecież tego tak po prostu powiedzieć. Zamiast tego nagle poważnie popatrzył na nią i rzekł:

– Wprowadź się tutaj.

Uniosła brwi i odsunęła się lekko od stołu.

– Kees... – powiedziała miękko i ciepło, jakby mówiła do płaczącego dziecka.
– Nie możesz podejmować takich decyzji pod wpływem chwili.

– To nie jest... – zaczął szybko, ale przerwała mu, unosząc dłoń.

– Porozmawiajmy o tym jutro, dobrze? Albo lepiej za tydzień. Jak opadną emocje.

Uśmiechnęła się promiennie i zanurzyła łyżkę w zupie. Wiedział, dlaczego tak zareagowała, i nie miał jej tego za złe. Spotkali się, kiedy Kees miał poczucie, że jego życie, choć teoretycznie stał u jego progu, właśnie się skończyło. Rozpoczął naukę w Akademii Policynjnej w Drachten, odciął się od przyjaciół, rozstał się

z dziewczyną, którą kochał, i próbował usilnie zapomnieć o pielęgnowanych niegdyś marzeniach. Kim był bez łyżew, hokejowego kija i koszulki z numerem? Spotkali się w kafejce, gdzie pił piwo z nowo poznanymi kolegami, którzy głośno komentowali mecz hokeja rozgrywany na ekranie zawieszzonego na ścianie telewizora. Siedział milczący i wpatrzony w ruch na ekranie z zębami zagryzionymi tak mocno, że szczęki mu zdrętwiały. Żaden z obecnych studentów akademii nie znał się tak naprawdę na hokeju. Kees wstał od stolika i z kuflem w dłoni oddalił się w stronę baru, gdzie zajął miejsce na wysokim stołku tak, by telewizor pozostawał bezpiecznie poza zasięgiem jego wzroku.

– Nie jesteś fanem hokeja?

Za barem stała Freya z głową lekko przechyloną na bok. Podsunęła mu kartonową podkładkę pod szkło i wróciła do opłukiwania kufli i lampek do wina, wciąż zerkając na niego z uśmiechem.

– Wręcz przeciwnie – mruknął chłodno i wpatrywał się w naczynia, żeby dać jej do zrozumienia swój brak zainteresowania rozmową.

Nie była nachalna i nie nagabywała go więcej. Kręciła się za barem, obsługując klientów, napełniając szkło, wydając resztę. Za każdym razem jednak, gdy podnosił oczy znad swojego piwa, jego wzrok mimowolnie zaczynał śledzić jej sylwetkę, taneczny krok, zgrabne ruchy.

Wkrótce ujrzał dno i zamierzał wstać, by pożegnać się z grupką ludzi, z którą przyszedł, gdy postawiła przed nim nowy świeżo zapełniony kufel.

– Na koszt firmy. – Uśmiechnęła się.

Zawahał się.

– Jak w amerykańskim serialu? – spytał z nieukrywanym sarkazmem.

– Nie całkiem. Będę musiała sama za to zapłacić – odparła i przyjrzała mu się uważniej.

– Nie trzeba, dziękuję – powiedział niemalże rozzłoszczony. Nie chciał niczyjej litości i nie było jego zamiarem jej wzbudzanie.

Uniosła brwi, ale nie sprawiała wrażenia urażonej.

– Szkoda. – Wzruszyła ramionami z lekkim uśmiechem. – Przydałoby mi się jakieś towarzystwo.

Stał już obok barowego stołka. Szkło z bursztynowym płynem odbijało światło. Freya zajęła się kolejnym klientem i zdawała się nie zwracać już na niego uwagi. Usiadł ponownie i objął palcami chłodne wilgotne szkło. Gwar kafejki działał na niego odprężająco z każdym łykiem zimnego piwa.

– Co za ruch w środku tygodnia – westchnęła, gdy obsłużyła kolejnych klientów i wróciła do opłukiwania szkła. Poczuli się nagle niezręcznie. Nie miał ochoty na pogawędki o niczym. W ogóle nie miał ostatnio ochoty z nikim rozmawiać. Najwidoczniej jego brak reakcji zupełnie jej nie przeszkadzał, bo kontynuowała: – Zwykle jest spokojniej. Nawet lubię, kiedy jest taki ruch, ale jakoś nie dziś. Jesteś pierwszym fanem hokeja, który nie ogląda hokeja na lodzie. – Podniosła wzrok znad szklanek i uśmiechnęła się szeroko. Jej ciemne oczy błyszczały figlarnie. – Albo twoja ulubiona drużyna przegrywa? Komu kibicujesz?

Wzruszył ramionami.

– Ja nie...

– W takim razie jesteś również pierwszym fanem hokeja na lodzie, który nie ma ulubionej drużyny. Interesujące...

Ustawiała mokre szkło w równych rzędach. Jej długie palce były zwinne i szybkie, a spojrzenie od czasu do czasu przemykało badawczo po pomieszczeniu, jakby chciała nad wszystkim trzymać pieczę. Miała na sobie długi czarny fartuch zawiązany wokół bioder i czarną bluzkę, której rozpięte górne guziki odsłaniały lekko dekolt.

– Białe Wilki – powiedział, patrząc w kufel.

– Och, Amsterdam. Ale... oni dziś nie grają? – odparła. Szkło brzęknęło w jej dłoniach.

Pokręcił głową, upił spory łyk piwa i patrząc wprost przed siebie na szklane półki zastawione wszelkiego rodzaju trunkami, powiedział powoli i wyraźnie:

– Grałem dla nich.

Odstawiła kufel i wytarła dłonie w ręcznik, który przerzuciła potem przez ramię.

– Byłeś dobry? – spytała, jakby chodziło o posiłek, a nie o jego stracone życie.

Skinął, czując dziwny ścisk w żołądku. Stanęła naprzeciw niego i oparła łokcie o blat, pochylając się w jego kierunku.

– Numer siedemnasty – powiedziała i choć próbował unikać jej spojrzenia, te słowa sprawiły, że utkwiał wzrok w jej ciemnych oczach.

Otworzył nawet usta, żeby zareagować, ale w tym momencie do baru podeszli klienci i Freya oddaliła się, żeby ich obsłużyć. Kiedy się obróciła, miejsce, które zajmował Kees, było puste.

Do kafejki wrócił parę dni później w porze popołudniowej. Poza jakąś parą pochyłoną nad filiżankami kawy lokal był pusty. Kees odetchnął głęboko i ruszył w stronę baru, za którym Freya odwrócona plecami ustawiała szkło. Zajął miejsce na wysokim stołku i przez chwilę obserwował ją w milczeniu. Jej długie włosy związane były w niedbały kok, ale czarna bluzka i kelnerski fartuch były nieskazitelnie czyste i idealnie wyprasowane. Obróciła się, jakby w końcu wyczuła jego obecność. Jej skupioną twarz rozjaśnił ciepły uśmiech.

– Numer siedemnasty... – powiedziała, dając mu do zrozumienia, że nie zapomniła ich rozmowy.

Chrząknął i starał się uśmiechnąć albo chociaż zebrać się na odwagę, żeby powiedzieć coś sensownego. Ponieważ jednak milczał, to ona odezwała się znowu:

– Klienci, którzy wracają, to duży komplement dla lokalu. – Obróciła się i kontynuowała ustawianie szkieł.

– Ja wróciłem dla ciebie – powiedział nagle zgodnie z prawdą.

Powoli odstawiła na półkę lampkę do wina trzymaną w dłoni, a potem odwróciła się ku niemu. Nie podeszła jednak, stała jedynie i patrzyła na niego przenikliwie, jakby oczekiwała wyjaśnień.

– Zachowałem się jak... – zaczął zażenowany. Jej oczy utkwione w jego twarzy były jak słoneczne światło, raziły go, zmuszając do odwrócenia wzroku. – Nie

znam nawet twojego imienia, ale... Byłaś miła, a ja niepotrzebnie nieuprzejmy. Nie miałem zamiaru... Chciałem przeprosić.

– Okej – powiedziała i wróciła do ustawiania szklanek, wprawiając go tym w lekkie osłupienie.

– Mam na imię Kees – rzucił, próbując podtrzymać rozmowę, choć tak naprawdę nie wiedział, czego konkretnie oczekuje.

– Wiem. Kees Herder, numer siedemnasty w drużynie Białych Wilków – odparła, wciąż jeszcze stojąc do niego tyłem.

– Nie powiesz mi, jak ty masz na imię? – spytał.

– Dlaczego? Przyszedłeś przeprosić. Przeprosiłeś. Przeprosiny zaakceptowane.

Była jesień i za oknami kafejki powoli szarzało. Z głośników sączyła się przyjemna dla ucha melodia, przyciszone głosy pary siedzącej przy stoliku w rogu przypominały modły lub zaklęcia, szkło pobrzękiwało w smukłych dłoniach Frei, a ponad barem unosił się nęcący ziołowy zapach.

– W trakcie meczu doznałem kontuzji. Tak poważnej, że przekreśliła moje szanse na karierę w hokeju. A to było wszystko, czego chciałem. – Nie miał zamiaru jej niczego opowiadać, a już na pewno nie zamierzał rozgrzebywać przeszłości. Ale słowa same złożyły się w zdania, a te wypłynęły z jego ust.

Podeszła do niego, między nimi blat baru błyszczał czystością. Podniósł na nią wzrok i nim zdążył się powstrzymać, dodał głosem lekko ochrypłym od wstrzymywanych emocji:

– A teraz chcę tylko wiedzieć, jak masz na imię.

Uniosła lekko brwi.

– Nie mogę być plastrem na niezaleczone rany – powiedziała w końcu.

– Wiem – odparł. Nagle poczuł się zmęczony i zagubiony.

Freya wróciła do swoich zajęć, a on opuścił kafejkę parę minut później.



– To co? Powiesz mi, jak minął ci dzień? – Zamoczyła kawałek bagietki w resztkach zupy i wepchnęła go do ust.

– Źle – mruknął i odsunął pusty talerz. – Ta cała sprawa z zaginionym chłopakiem nie daje mi spokoju.

– Tym nastolatkiem? – dopytywała. – Jest jakiś postęp?

– Niby tak. Dzięki anonimowej informacji dowiedzieliśmy się, gdzie chłopak był po raz ostatni widziany. I z kim.

– Wspominałeś coś... Gdzie to było? Jakaś dyskoteka, tak?

– Klub Bunkier. Kolega chłopaka wreszcie to potwierdził. Pojechałem tam, ale okazuje się, że pracownicy mają zakaz udzielania informacji na temat bywalców i zdarzeń zachodzących w klubie. Wdałem się w niepotrzebną dyskusję z ochroniarzem.

– To chyba nie powinien być problem? W końcu chodzi o zaginioną niepełnoletnią osobę? Chyba dostaniesz jakiś nakaz czy coś w tym rodzaju?

Kees zagryzł zęby na wspomnienie rozmowy ze swoim szefem, do której doszło parę godzin wcześniej.

– W biurze wezwano mnie do pokoju szefa. Był wściekły, że poszedłem do klubu bez konsultacji z nim. Udzielił mi ostrej reprymendy i ogólnie narzekał, bo matka chłopaka nagłośniła sprawę i publicznie oskarża policję o brak współpracy i niedbałość, ignorowanie ważnych informacji oraz dyskryminację w kwestii podejmowania akcji poszukiwawczych dotyczących zaginięć. Do tego wszystkiego matka tego kolegi, Koena, postanowiła złożyć na mnie oficjalne zażalenie z powodu, jak się wyraziła, niejasnych metod przesłuchiwania nieletnich.

– Poczekaj... Czegoś tutaj nie rozumiem... Jak to pracownicy klubu nie mogą rozmawiać z policją? Czy to jest w ogóle zgodne z prawem?

– Mają to w umowie o pracę.

– To nie może być legalne!

– Okazuje się, że jest. Klauzula obejmuje wszelkie zdarzenia, których pracownik jest świadkiem na terenie lokalu w godzinach pracy. Jeśli pracownik

zostanie poproszony o zeznania, ma obowiązek poinformować najpierw właściciela klubu. Zeznania odbywają się zawsze po konsultacji z prawnikiem właściciela klubu i w jego obecności. Ten właściciel to jakaś gruba ryba. Podobno jego prawnik skontaktował się z szefem i możesz sobie wyobrazić, że ten nie był ukontentowany.

Freya pokiwała głową.

– Wygląda na to, że dostało ci się po prostu za wykonywanie swojej pracy.

Wzruszył ramionami. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. Czuł się poirytowany. Siedzieli przez chwilę przy stole, po czym Freya wstała i zaczęła zbierać talerze. Kees zapatrzył się w okno, za którym powoli w zapadającym mroku zaczął prószyć drobny śnieg. Tak jak tamtego wieczoru, gdy wrócił do kafejki, w której pracowała Freya. Od ich ostatniego spotkania minęły prawie trzy miesiące. Była sobota, początek lutego. Po tygodniach deszczu chwycił mróz i trzymał tak uparcie, że kanały pokrył gruby lód, a każda prognoza kończyła się analizą szans na organizację wyścigu łyżwiarskiego Elfstedentocht. Kees musiał jechać wolno, ulice były oblodzone i nie wszędzie posypane solą. Jego uwagę przykuły dzieci jeżdżące na łyżwach po kanale. Zaparkował auto na poboczu ulicy i wysiadł. Stał na moście zawieszonym nad kanałem i oparł łokcie o balustradę. Obserwował dzieci, ich upadki i chwiejne próby utrzymania równowagi na zakręcie, słuchał szurania płóz po lodzie i wdychał lodowate powietrze. I niespodziewanie poczuł, że myśl o wejściu na lód nie sprawia mu już bólu. Wrócił do domu, wygrzebał z szafy łyżwy i wsiadł z powrotem do auta. Zatrzymał się w pierwszym napotkanym miejscu, gdzie kanał zmienił się w lodowisko. Zrzucił buty i naciągnął łyżwy. Płózy były nadal ostre, choć przeleżały w szafie tyle czasu. Wszedł na lód i poczuł, że powierzchnia nie stawia oporu i niemalże unosi go i zmusza do ruchu. Spędził pół dnia na mrozie, przemierzając kanały. Dopiero gdy popołudnie powoli zaczęło zmierzać ku wieczorowi, zdjął łyżwy z zeszywniałych od zimna stóp i udał się do mieszkania, by się ogrzać i coś zjeść. Kiedy wyszedł znów na okryte mrokiem ulice, prószył już śnieg. Wszedł do kafejki, gdzie wszystkie stoliki były zajęte, nawet te stojące na zewnątrz, dookoła których tłumnie gromadzili się bywalcy

lokalu. Kees przez parę minut stał w drzwiach i z dystansu obserwował wesołe zamieszanie przy barze. Wokół niego panował gwar. Miejsce, które zajmował tu wcześniej dwukrotnie, nie było wolne. Odwaga powoli go opuszczała, a bukiet czerwonych róż, który trzymał w dłoni, wydał mu się idiotycznym pomysłem. Ruszył jednak w stronę baru. Odwróciła wzrok ku niemu, jak gdyby wyczuła jego obecność. Skończyła obsługiwać klientów, po czym zamaszystymi ruchami zaczęła wycierać blat.

– Podać ci coś? Kawę, piwo, a może... plaster? – Spojrzała na niego przelotnie.

Kees zagryzł zęby. Czuł się, jak tuż przed chwilą, w której wyjeżdżał na lodowisko z hokejowym kijem w dłoni. Wszystko się jeszcze mogło zdarzyć. Mógł wygrać lub przegrać. Lub doznać okropnej kontuzji, która łamie nie tylko nogę, ale też życie. Pochylił się nad blatem i chwycił jej dłoń, z której wyjął ścierkę. Położył różę na błyszczącym blacie.

– Już nie potrzebuję plastra – powiedział mocno.

Uwolniła dłoń z jego silnych palców i rzuciła okiem na kwiaty.

– Nie mam teraz czasu. – Wskazała ruchem głowy na zapełnioną kafejkę. Kees zdał sobie sprawę, że gra została zawieszona. To nie było ani tak, ani nie.

– W porządku – odparł. – Piwo w takim razie.

Spędził tam cały wieczór. Tym razem nie miał zamiaru wyjść. Sącył piwo i wodził wzrokiem za dziewczyną, której wspomnienie nie opuszczało go od długich tygodni. Od czasu do czasu zerkąła na niego, jakby spodziewała się, że już zniknął. Dochodziła północ, gdy lokal opustoszał i Freya wraz z dwójką kolegów zaczęła sprzątać pomieszczenie. Kees pomagał, stawiając krzesła na stoliki, znosząc resztę szkielek na blat. Freya nie mówiła nic i zaakceptowała bez słowa jego pomoc. Kiedy wreszcie wyszli na zewnątrz, ulice były ciemne i pokryte cieniutką warstewką śniegu. Czuł w powietrzu, że mróz odpuszczał. Stanęli naprzeciw siebie.

– Nie znasz mnie – odezwała się pierwsza.

Wzruszył ramionami, choć wiedział, że ma rację. Nie znał jej i nie miał pojęcia, skąd brał się ogień, który w nim rozpala. Patrzyła na niego lekko zmrużonymi

oczyma.

– Jestem głodna – powiedziała po chwili. I Kees poczuł się tak szczęśliwy, jak w chwili gdy płozy niosły go po lodzie.



Nie mógł skupić myśli na filmie, który włączyli. Freya leżała pod kocem. Czuł jej ciepły ciężar na swoim ramieniu.

– Ale dostałeś pozwolenie od szefa na przesłuchanie tych pracowników? – spytała nagle, wyrywając go z niezbyt optymistycznych myśli.

– Nie.

– Jak to? Przecież ten chłopak był tam widziany po raz ostatni! To chyba oczywiste, że policja powinna to sprawdzić.

– Oczywiście dla mnie i dla ciebie. I dla matki chłopaka. Komendant twierdzi, że nie ma potrzeby robić szumu, w klubie nic się nie zdarzyło, w końcu jeden z chłopców opuścił go o własnych siłach. Według niego sprawa narkotyków, które dała chłopcom ich tajemnicza towarzyszka, nie ma nic wspólnego z klubem, kobieta nie była jego pracowniczką. Do tego twierdzi, że informacje podane przez chłopaka mogą być wyssane z palca. Skoro kłamał wcześniej, może kłamać i teraz. Mamy skupić się na szukaniu Jaspera, a nie na robieniu rozgłosu wokół lokalu.

Freya słuchała go w milczeniu.

– To jest prawie niewiarygodne... Czy waszym zadaniem jako policji nie jest sprawdzanie wszelkich poszlak i docieranie do prawdy za wszelką cenę?

Kees wzruszył ramionami.

– Sama wiesz, co się dzieje w mediach. Policja albo jest oskarżana o to, że nie robimy wystarczająco dużo, albo o to, że akurat zrobiliśmy za dużo i naruszyliśmy czyjeś prawa. Tak źle i tak niedobrze – powiedział gorzko.

– I co dalej? Masz jakiś plan?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Jedyne nadzieje w tym, że pojawią się jakieś nowe informacje. Matka chłopaka założyła stronę internetową i rozpętała prawdziwą burzę. Podejrzewam, że przez przypadek narobiła klubowi złej sławy i wkurzyła właściciela, ale dzięki temu pojawiły się nowe poszlaki. Mam przynajmniej zielone światło na zdobycie wszelkich możliwych nagrań z kamer na trasie, którą prawdopodobnie wracałby do domu Jasper. Może faktycznie coś zdarzyło się w drodze do domu. Jeśli jednak nie będzie go na nagraniach, może uda mi się udowodnić, że nigdy nie wybrał się w drogę do domu, i sprawa wróci do klubu.

– A ta dziewczyna? Ta, z którą widziano chłopaka po raz ostatni? Mówiłeś, że było nawet zdjęcie...

– Tak, zrobione przed budynkiem lokalu. Niestety nie da się jej zidentyfikować na podstawie tej fotografii, a kolega Jaspera nie potrafił tak naprawdę nic o niej powiedzieć. Nie zapamiętał nawet imienia. Istnieje szansa, że rozpozna ją ktoś z bywalców klubu. Jak na razie jej tożsamość pozostaje nieznana.

Milczeli parę minut, wpatrując się w ekran.

– Mogę tam iść. Rozejrzeć się.

– Hm? – Nie zrozumiał.

– Do tego klubu. Mogę tam pójść, skoro ty masz zakaz zbliżania się. Ja nie jestem z policji.

– Freya – zaczął. – To nie jest gra, ten chłopak naprawdę zaginął.

– Właśnie!

Pokręcił stanowczo głową.

– Nie mieszaj się do tego. Nie wiadomo, co tam się stało.

Freya wtuliła się w niego ciaśniej i skupiła na filmie. Kees sięgnął po telefon i wszedł na stronę dotyczącą poszukiwań Jaspera de Rooija. A potem powoli i z uwagą zaczął czytać każdy post i każdy komentarz.

26

B były święta. Joanna, wzdychając ciężko, próbowała przebrnąć przez zakorkowane ulice centrum. Powinna po prostu objechać miasto, ale nie znała go na tyle dobrze, by ryzykować wpadkę. Czuła się najbezpieczniej, gdy zbliżała się do barki Tomka tą samą dobrze znaną uliczką. Zastanawiała się, jak on spędzi Boże Narodzenie, co będzie robił, z kim. A może będzie samotny, jak ona? Tyle dni próbowała podążać jego śladami, ale ile tak naprawdę wiedziała o jego życiu? Radio pękało od świątecznych piosenek, ale myśli Joanny były daleko od świąt, daleko od tego dziwnego miasta, daleko od kobiety, którą się stała. Wracały do tamtego lata, jak ćma wraca do kaleczącego ją płomienia, do tamtych dni, soczyście zielonych i nęcąco błękitnych, tak odległych, a jednak wciąż tak żywych. Kolory niektórych wspomnień nigdy nie bledną.



Dworzec Warszawa Centralna był zatłoczony i gwarny. Musiały przeciskać się i stać w długiej kolejce do kasy, tylko po to, by potem z biletami w dłoni i ogromnymi torbami biec na złamanie karku na odpowiedni peron, gdzie czekał już podstawiony pociąg. Nie było mowy o tym, by usiąść w wagonie, wszystkie były przepełnione. Były zatem skazane na wąski korytarzyk i własne torby zamiast

i tak niezbyt wygodnych siedzeń drugiej klasy. Wracały na wakacje do domu po ciężkiej sesji egzaminacyjnej, zmęczone, ale dumne. Miały odpocząć, odetchnąć, ale jak twierdziła Julia, przede wszystkim dobrze się bawić. Do domku nad jeziorem przyjeżdżał jej chłopak i grupka znajomych ze studiów. Julia zorganizowała wszystko sama, mimo wyraźnego sprzeciwu rodziców. Ten rok z dala od nich sprawił, że nabrała pewności siebie i korzystała z wolności, na ile to było możliwe. Joanna z zaskoczeniem obserwowała przyjaciółkę, która z łatwością weszła w rolę studentki w stolicy. Podczas gdy Joanna z trudem nadążała za tempem, które narzucała nie tylko uczelnia, ale też to miasto, głośne, wielkie, ruchliwe, Julia zdawała się chłonać wszystko jak wysuszona gąbka. Dziewczęta pomagały sobie w nauce, ale Joanna czuła, że w porównaniu ze studentami pochodzącymi z dużych miast miały zaległości, niedociągnięcia i wciąż musiały nadrabiać. Julia wydawała się tego nie zauważać. Spędzały ze sobą mnóstwo czasu, w akademiku w pokoju Joanny lub w pokoju Julii w wynajętym niedaleko uczelni mieszkaniu. W miarę jak upływały miesiące, coraz częściej pojawiali się wokół Julii studenci, a w jej pokoju unosił się zapach marihuany i potu.

Joanna zaczęła więc unikać wizyt i skupiła się na nauce. Pierwszy list do Tomka wysłała dopiero w Boże Narodzenie, gdy dowiedziała się, że nie wraca na święta. Czuła, że powinna napisać wcześniej, ale wyjazd na studia był jak skok na głęboką wodę i Joanna miała wrażenie, że musiała od nowa nauczyć się nie tylko pływać, ale też oddychać. Trzy razy zaczynała od początku, potem tydzień nosiła w książce niedokończony list, niezdecydowana, co tak naprawdę chciała napisać albo raczej, co powinna napisać. W myślach jej słowa układały się w zdania, a te w długie akapity pełne tęsknoty, wspomnień i nowych wrażeń. Chciała mu opowiedzieć anegdoty ze studenckiego życia, chciała mu wyznać w sekrecie, że zdarzało się jej płakać w poduszkę tak, by nie obudzić współlokatorek, chciała mu napisać, że dwa razy nie starczyło jej pieniędzy na zakupy. Zamiast tego list, który w końcu wsunęła do koperty, był krótki i pozbawiony emocji. Joanna zdała sobie sprawę, że nie pamiętała, jaki dokładnie odcień błękitu mają jego oczy i że on na pewno tak samo jak ona zapomniał, że mieli się do siebie często odzywać. Mimo to

gdy po świętach recepcjonistka w akademiku wręczyła jej grubą kopertę z niemieckim znaczkiem, Joanna jak w amoku pognęła do pokoju, rzuciła w kąt torbę z książkami i zaszyła się na małej wysepce swojego łóżka, a potem, wciśnięta w ścianę, drżącymi dłońmi rozerwała papier. Pisał dużo. O pracy, pływaniu, oszczędzaniu na prawo jazdy i auto, którym z Niemiec miał jechać jego nowo poznany kolega z Białegostoku. Widziała dokładnie, w którym miejscu przerywał, by wrócić do pisania kolejnego dnia. Czasem zmieniał się kolor atramentu, czasem litery zbiegały się, tworząc razem starannie spisane wyrazy, innym razem domyślała się, że pisał w pośpiechu. Gdzieś z rogu kartki patrzyła na nią jednym brązowym okiem plama po kawie. I chociaż ani razu nie użył takich słów jak tęsknota, Joanna wyczytała ją spomiędzy linijek.

Wysiadły z pociągu potłuczone i zeszywniałe od niewygodnej pozycji, w której musiały wytrzymać długie godziny. Po Julię przyjechali rodzice, po Joannę przysła starsza siostra i razem targały bagaże do domu, tylko po to, by je rozpakować, uprać to, co konieczne, i znów zapakować. Następnego ranka jechały autobusem do domku nad jeziorem. Joanna miała jedynie kilka dni wakacji. Siostra załatwiła jej dorywczą pracę w warzywniaku na dwa miesiące, za co Joanna była jej wdzięczna. Potrzebowała pieniędzy, żeby przeżyć w zbyt drogiej na jej możliwości Warszawie, a prosić mamy o pomoc nie chciała.

Wszystko zdawało się jej mniejsze, gdy wyjeżdżały z miasteczka kolebiącym się autobusem. Nawet dystans, który musiały pokonać od przystanku do domu ukrytego między drzewami, skurczył się i wkrótce stała na zalanej słońcem plaży. Zrzuciła klapki i powoli ruszyła w stronę diamentowo lśniącej wody.

– Asia! – Julia zbiegła po schodach domku. W jej dłoni zadzwoniły klucze. – Chodź! Tu jest strasznie nudno. Reszta zjawi się dopiero późnym popołudniem, nie będziemy tu przecież tkwić bez sensu cały dzień.

Joanna nie miała nic przeciwko pozostaniu na cichej prywatnej plaży. Z zalem obejrzała się za siebie i ruszyła na Julię. Pod wiatą, gdzie normalnie Sawiccy parkowali auto, okryta płachtą stała zupełnie nowa śnieżnobiała łódka z silnikiem

zaburtowym, zakupiona z pieniędzy, które zarobili z wynajmu domku letniskowego.

– Och! Piękna! – wykrzyknęła Joanna ze szczerym zachwytem. – Twój rodzice nie mają nic przeciwko? – spytała, gdy przyjaciółka zrzuciła płachtę i otworzyła kłódkę łańcucha, który zabezpieczał łódkę. – Umiesz tym kierować?

Julia pociągnęła za uchwyt stelaża z kółkami, na którym umocowana była łódź, i pojazd powoli ruszył.

– Rety, Aśka! – Julia sapnęła ciężko. – Pomóż mi lepiej, zamiast odgrywać detektywa!

Razem zaciągnęły łódkę w stronę wody i wkrótce zakołysała się na tafli. Julia przywiązała linkę do pomostu i zaczęła z namysłem oglądać silnik, mamrocząc coś do siebie. Chwilę później silnik warknął i Julia triumfalnie wyrzuciła ramiona w górę.

– Ahoj, przygodo! – wykrzyknęła i gestem nieznoszącym sprzeciwu wskazała Joannie miejsce w łodzi.

– Julka, czy to jest dobry pomysł? – Zawahała się.

– To jest rewelacyjny pomysł! – wykrzyknęła przyjaciółka, jakby nie zauważyła lekkiego niepokoju w oczach Joanny.

Joanna ostrożnie weszła do łodzi i usiadła na wskazanym miejscu. Łódź zakołysała się delikatnie. Julia odwiązała linkę, motor warknął.

– Dokąd chcesz płynąć? W głąb jeziora? – spytała Joanna.

Julia wyduła wargi.

– A co jest ciekawego na środku jeziora? Płyniemy na plażę w Starym Folwarku!

Joanna westchnęła. Plaża w Starym Folwarku była najbardziej obleganą z plaż nad Wigrami. Było tam schronisko turystyczne, wypożyczalnia kajaków, baza ratowników wodnych i długi pomost, a po drugiej stronie jeziora ponad ścianą drzew widniały wieżyczki różowych zabudowań klasztoru Kamedułów w Wigrach.

Łódka ruszyła z takim impetem, że Joanna musiała przytrzymać się burty. Tak jak się spodziewała, plaża była pełna ludzi. Miały kłopot z dopłynięciem do pomostu, by zacumować. Na wodach wigierskiego jeziora kołysały się pontony, kajaki, dmuchane koła. Ludzie szukali ochłody. Przy samym brzegu bawiły się dzieci. W końcu wygrzebały się na most i rozejrzały wokół. Nie miały ze sobą ani koca, ani ręczników, musiały więc usiąść na wysuszonej upałem trawie. Znalazły miejsce w cieniu pod drzewami. Julia nasunęła na oczy okulary przeciwsłoneczne i z rozkoszą obserwowała tłum prążący się w słońcu. Wkrótce Joannie też udzieliła się słodka błogość i obie opadły w trawę. Leżały obok siebie bez ruchu, z oczyma utkwionymi w bezchmurnym niebie, na tle którego ponad nimi wisały soczyście zielone gałęzie drzew. Nad taflą wody echo niosło rozmowy i śmiech, ale tuż przy ich uszach delikatne ciche bzyczenie owadów niemal zagłuszało gwar. Joanna czuła pod sobą nagrzaną słońcem ziemię i ciepłe ramię Julii tuż przy jej własnym. I przez chwilę zapomniała, że ten ostatni rok kiedykolwiek się wydarzył. Dała się ponieść iluzji, że są tu od zawsze, że nic się nie zmieniło, że nigdy nie opuściły rodzinnych stron, nie było pożegnań i poczucia rozdarcia. Przymknęła powieki i uniosła je, dopiero gdy poczuła, że Julia poruszyła się i usiadła. Patrzyła na przyjaciółkę półotwartymi oczyma, leniwie rozciągnięta w trawie. Kosmyki ciemnych włosów Julii, obcięte krócej niż zwykle, zatańczyły frywolnie wokół jej ramion. Warkocz ciemnych włosów Joanny leżał obok niej w trawie. Zmrużone oczy Julii śledziły coś w oddali z uwagą, która szybko przerodziła się w nieskrywane zdumienie. Joanna przyglądała się z zainteresowaniem gamie uczuć wypisanych na twarzy przyjaciółki, zbyt rozleniwiona, by podnieść się i zobaczyć, co tak przykuło jej uwagę. Dopiero gdy Julia niespodziewanie poderwała się z trawy i bosz rzucała w stronę wody, piszcząc przeraźliwie, Joanna usiadła.

– Jul... – zaczęła, wyciągając dłoń, do której przykleiło się parę źdźbeł trawy. Julia biegła już jednak przez plażę, zwinnie omijając rozłożone koce i ręczniki. Joanna przesunęła wzrokiem po plażowiczach, próbując ustalić, co było celem tego szalonego sprintu.

Pamiętała dokładnie, że uniosła się lekko i otrzepując z trawy i piachu, z niedowierzaniem utkwiała wzrok w męskiej postaci, idącej przez wodę w stronę brzegu. Wstała i powoli, nie spuszczać z niej spojrzenia, ruszyła ku błękitnej linii jeziora.

Młody mężczyzna szedł powoli, skupionym wzrokiem skanując nabrzeże. Jego mokra skóra lśniła złotymi kropelkami wody zmieszanej z promieniami słońca. Przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Dokładnie wtedy zauważył rozpędzoną sylwetkę Julii i znieruchomiał w osłupieniu. Dziewczyna wpadła z impetem w jego ramiona, które nie były już długie i chude, lecz krzepkie i uformowane mięśniami. Objął ją wciąż jeszcze lekko zdumiony i jakby niezdecydowany. A potem, ponad jej głową, podniósł twarz i jego oczy odszukały Joannę, stojącą niezręcznie pośród plażowego gwaru. To bez wątpienia był Tomek. Choć tak odmieniony, że nie wiedziała dokładnie, po czym go rozpoznała. Wpatrywała się w niego, szukając śladów po przyjacielu, z którym rozstała się rok temu. Julia odskoczyła i chwyciwszy jego dłoń, pociągnęła go do brzegu z szerokim uśmiechem.

– Asia... – powiedział cicho, gdy stanął wreszcie przed nią mokry i zażenowany.

– Tomek. – Jej głos brzmiał dziwnie nienaturalnie. Czuła na sobie uważne spojrzenie Julii. Chciała oderwać od niego oczy, powiedzieć coś więcej, ale zamiast tego w głowie słyszała słowa wyczytane w listach, które wymienili, słowa, których żadne z nich nie wypowiedziałyby na głos, a które o tyle łatwiej było napisać na kartce. Tylko teraz żadne z nich nie wiedziało, co z nimi zrobić. I wisały między nimi w ostrym palącym słońcu.

– To naprawdę on! – pisnęła wreszcie Julia, przerywając tym samym milczenie. – Asia, to nie duch! To naprawdę on! Co ty tu robisz? I... o matko! Jak ty się zmieniłaś!

Joanna pokiwała głową. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Wiedziały, że miał wrócić na wakacje. Miał przyjechać do domku nad jeziorem. I serce Joanny za

każdym razem drżało na myśl o tym spotkaniu po roku. Ale nie stał przed nią Tomek z jej wspomnień ani Tomek z tych listów.

– Myślałem, że będziecie w domku twoich rodziców – powiedział przepaszającym tonem. – Nie spodziewałem się was tutaj.

– Julka ukradła łódź rodziców – wyjaśniła Joanna. Odzyskała głos i próbowała nie dać po sobie poznać, że czuje się zraniona. Choć nie miała powodów, by oczekiwać, że zechce zobaczyć ją jak najszybciej. „Je”, poprawiła się szybko w myślach, „że zechce je zobaczyć jak najszybciej”.

Tomek uniósł brwi i zerknął na Julię, której twarz rozpromieniła się nieskrywaną dumą.

– Chodźmy! Pokażę ci łódź i popłyniemy do nas! – Dziewczyna wprost tryskała nerwowym podekscytowaniem. – Wieczorem przyjeżdża cała reszta! Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznasz. No, chodźmy!

– Nie mogę – odparł, wciąż jeszcze tkwiąc w tym samym miejscu.

Serce Joanny skurczyło się boleśnie. „Przyjechał z kimś”, pomyślała w trwodze.

– Dlaczego? – Entuzjazm Julii przygasł nieco.

– Bo tu pracuję. – Wskazał głową na hangar, w którym mieściła się wypożyczalnia kajaków. – Muszę wracać, ale będę wolny wieczorem. – A potem odwrócił wzrok od Julii i spojrzał na Joannę. Nagle zobaczyła błękit jeziora w jego oczach i poczuła, że jednak coś pozostało w nim niezmienione. – Dlatego nie przyjechałem do was od razu – wyjaśnił, patrząc na nią.

Julia gadała jak nakręcona całą drogę powrotną do domku. Uporały się w sam raz na czas z zaciągnięciem łodzi pod wiatę, przed przyjazdem Sawickich, którzy widać poddali się i zaakceptowali wakacyjne plany jedynej córki, bo przywieźli chleb, skrzynki z napojami, kiełbaski i schab na grilla, a nawet pakowane w styropianowe pudełka kartacze z baru w Starym Folwarku.

Słońce wisiało jeszcze nad linią drzew po drugiej stronie jeziora, gdy z drogi dobiegły podekscytowane głosy. Wkrótce obok domku rozbito dwa namioty, ktoś

zaczął rozpalać grilla. Joanna próbowała odnaleźć się w radosnym zamieszaniu, ale zamiast tego trzymała się na uboczu, z ulgą przyjmując fakt, że uwaga Julii skupiła się na Danielu, chłopaku, z którym spotykała się od paru miesięcy.

Kiedy słońce znikło za drzewami i jezioro powoli zaczęła otulać ciepła szarość, rozpalili ognisko na plaży, wrzucając do niego parę liściastych gałęzi, by dym, które wydzielały, odstraszył tnące już komary.

Tomek przyszedł piechotą z plecakiem na ramieniu i bluzą zawiązaną wokół bioder. Większość towarzystwa, zmęczona długą drogą, była już po pierwszej rundzie trunków alkoholowych i – ku zdumieniu Joanny – Tomka przyjęto jak starego znajomego. Wymienił jakieś uściski dłoni, chwilę dłużej zatrzymał się przy Danielu, z którym rozmawiał parę minut.

Oczy Julii przesuwają się od jednej twarzy do drugiej, błyszczące, pełne podniecenia i ochoty na doznania. Joanna przyglądała się sylwetkom przyjaciół, które w blasku płomieni nabierały lekko złotej barwy. Wydawało się jej, że oboje zmienili się. Tylko ona pozostała taka sama i poczuła, że jest gdzieś w tyle, że nie nadąży za nimi, nie rozumie tych zmian. Z niedowierzaniem pomyślała, jak wiele może zmienić jeden rok, zaledwie trochę ponad trzysta dni. Nawet Julia, którą przecież widywała niemal każdego z tych ponad trzystu dni, wydała się jej kompletnie inna i nie mogła pojąć, jak to się stało, że jej to umknęło. Ona sama była nadal tamtą Joanną, ale wszystko i wszyscy wokół niej byli nową wersją siebie.

Prawie wpadła w panikę, gdy Tomek wreszcie obrócił się i ruszył w jej kierunku. Chwyciła kijek leżący przy jej stopach i zaczęła odruchowo grzebać w ognisku, którego ciepłe płomienie wzbijały się ku niebu. Powoli zapadał mrok.

– Cześć. – Zrzucił plecak i opadł na trawę obok niej.

– Cześć – odparła, czując, że w gardle jej zaschło. Żałowała, że odmówiła piwa, które jej zaproponowano. Nie lubiła alkoholu ani studenckich imprez zakrapianych suto, czym się dało.

Siedzieli obok siebie w milczeniu, wpatrzeni w tańczące z gracją języki ognia.

– Asia... – powiedział nagle i wywołał skurcz w jej żołądku. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

– Co? Nie, ja...

– Nie zdążyłem ci już napisać, że zaczynam pracę w hangarze zaraz po przyjeździe. List nie doszedłby na czas. Może powinienem zadzwonić, ale pomyślałem, że przecież cię znajdę.

Tłumaczył się, jakby go o coś obwiniała. A przecież tak nie było. I cieszyła się, że tam był. Nic jej bardziej nie cieszyło, choć nie chciała przyznać się do tego przed sobą.

– Tomek, przestań – uciszyła go. – Byłam zaskoczona, po prostu.

– Czyli... Wszystko między nami jak dawniej? – upewnił się.

Podniosła na niego wzrok, ponieważ to pytanie zadawała sobie sama. Nie potrafiła na nie jednak odpowiedzieć. Skinęła więc głową.

Nad jeziorem zawisła noc, ciemna i aksamitna, pełna gwiazd, których Joanna jakoś nie potrafiła dojrzeć na warszawskim niebie okrytym łuną świateł miasta. Wszyscy zgromadzili się wokół ogniska, tłuszcz kapał z wbitych na kijki kiełbasek, stukwały butelki piwa, gwar rozmów unosił się nad ciemną taflą jeziora. Od czasu do czasu woda niosła echo ich śmiechu. Joanna czuła na sobie te oczy, tak samo ciemne teraz jak uśpione jezioro. Nie wiedziała, czy to od tego spojrzenia, czy może raczej od ognia piekły ją policzki. Musiała zaczerpnąć oddechu, wstała i ruszyła w stronę wody. Weszła na pomost, czując pod bosymi stopami deski i pierwsze wygłodniałe komary na łydkach. Usiadła na samym końcu i wpatrzyła się w ciemną toń. Część niej samej siedziała na innym pomoście, przy innej plaży, nad innym jeziorem. Czy tamto miejsce też zmieniło się, jak oni sami? Nie obróciła się, gdy poczuła, jak deski uginają się pod ciężarem kroków. Chwilę potem Tomek stanął obok niej. Zsunął spodnie. Zrzucił bluzę i podkoszulek i wskoczył do wody, opryskując ją wodą.

– Tomek! – wrzasnęła zaskoczona.

Odplynał kawałek, a potem zawrócił, zmierzając do niej.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają, Asiu – powiedział z szerokim uśmiechem i poczuła nagle, że jego dłonie obejmują jej kostki i ciągną ją w dół.

– Co ty robisz?! – Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, ale patrzył na nią z łobuzerskim błyskiem w oczach.

– Udowadniam ci coś.

Szarpnął mocniej. Siedziała na samej krawędzi, kurczowo przytrzymując się desek, i nie mając już wyjścia, zsunęła się w ciemną toń. Poczuła, jak woda, cieplejsza teraz niż powietrze, przyjęła ją zapraszająco. Nie była nigdy dobrą pływaczką, a wizja płynięcia przez czarne jezioro nie napawała jej radością. Chlapnęła na niego wodą, lekko rozzłoszczona, i obejrzała się w stronę brzegu. Byli schowani za pomostem i niewidoczni dla tych, którzy siedzieli wciąż jeszcze wokół ogniska. Tomek zaśmiał się lekko. Odplłynął kawałek dalej. Podążyła za nim, skanując taflę wody niespokojnym wzrokiem.

– Boisz się? – spytał z tym rozbrajającym jej złość uśmiechem, gdy zatrzymał się, unosząc w wodzie.

– Nie – burknęła, starając się utrzymać usta ponad taflą. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji.

Podplłynął do niej tak blisko, że nawet w wodzie czuła ciepło promieniujące z jego ciała.

– A teraz? – zapytał i objął ją ramieniem.

Wszystko wokół nich było wodą i ciemnością.

– Nie – szepnęła, gdy ich ciała zetknęły się pod powierzchnią jeziora.

– Teraz też nie? – Dłonią ujął jej twarz i przysunął ku swojej.

– Nie – skłamała.

Jego wargi były mokre i ciepłe. Miała wrażenie, że unoszą się już nie w jeziorze, lecz w powietrzu i dopiero gdy znów otworzyła oczy, ze zdziwieniem stwierdziła, że wokół nich nadal chlupocze woda i panuje noc.

– Nic się nie zmieniło, Asiu... – powiedział cicho.

Wrócili do pomostu, gdzie Asia zrzuciła mokre ubrania i z wdzięcznością przyjęła suchą bluzę Tomka. Spędzili resztę wieczoru, siedząc w ciepłe ognia, nie włączając się tak naprawdę w żadną z rozmów. Joanna zapamiętała to uczucie kompletnego oszołomienia i wzbierających pod powierzchnią jej skóry pragnień, ale równocześnie poczucie nasycenia samą jego obecnością. Nic się nie zmieniło, ale wszystko jeszcze miało się zmienić.



Joanna przebrnęła wreszcie przez centrum miasta i zaparkowała auto tak, by mogła obserwować barcę bez wzbudzania podejrzeń. Wyłączyła radio i opadła w fotel. Czuła się zmęczona. Powinna stąd wyjechać. Z ulgą przyjęła fakt, że tu na odludnej uliczce na obrzeżach miasta nikt nie zawiesił świątecznych światełek. W hermetycznej ciszy auta i w mroku, który otulił ją jak koc, słyszała jedynie własny oddech. Przez chwilę poczuła się błogo, jakby miała zasnąć, jakby wcale nie siedziała przyczajona, jak drapieżnik, który ma zaatakować.

Kiedy ciemna sylwetka opuściła barcę i ruszyła w stronę auta, Joanna uniosła się na siedzeniu i automatycznie położyła dłoń na kluczyku tkwiącym w stacyjce. Tomek wrzucił coś na tyły busa i wsiadł. Światła auta rzuciły długie pasma na ciemną ulicę. Joanna przekręciła kluczyk. Bus zjechał w boczną uliczkę. Podążyła za nim w bezpiecznej odległości, zastanawiając się, czy jedzie na świąteczne przyjęcie z pracy lub do przyjaciół. Wkrótce wyjechali na autostradę i po paru minutach znów skierowali się do miasta od drugiej strony. Joanna ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że zmierzają w kierunku starej fabryki, w której pracował Tomek. Zaparkowała przed zakrętem, wiedząc, że inaczej obecność jej auta na pewno przyciągnie jego uwagę w pustej okolicy. Wysiadła, po cichu zatraskując drzwi, i piechotą ruszyła powoli w stronę, gdzie brama strzegła wejścia na teren obiektu. Było tam niewiele światła, uliczne latarnie stały daleko od siebie, a budynek otaczał mrok. Stare kominy, dachy i zabite okna odstraszały wyglądem. Jedynie wielka tablica przy bramie wejściowej prezentowała firmę, która

realizowała swoje plany budowlane w gmachu. Joanna zbliżała się do niego powoli. Wstrzymała oddech, gdy jej uszu dobiegł odgłos kroków. Stała w mroku nagich drzew po drugiej stronie ulicy i obserwowała, jak Tomek stawia dwie spore torby na ziemi i chwilę mocuje się z kłódkami i łańcuchem. Wszedł na teren fabryki i zamknął za sobą bramę. Po chwili zniknął w mroku. Kiedy upewniła się, że jest w środku, podeszła, jednak kłódka była zatrzaśnięta. Powoli ruszyła wzdłuż ogrodzenia. Co tutaj robił w bożonarodzeniowy wieczór? Pracował? Przecież prace wyraźnie wstrzymano na okres świąteczny. Sprawdzał, czy wszystko było odpowiednio zabezpieczone? To po co były mu te torby? Przejmujący chłód zaczął wkradać się pod jej płaszcz. Doszła do miejsca, gdzie ogrodzenie biegło tuż przy wodach kanału. Mogła wspiąć się na siatkę, ale jej sztywne od zimna dłonie nie nadawały się do wspinaczki. Bała się spaść z wysokiego ogrodzenia lub narobić hałasu. Powoli i ostrożnie wróciła do bramy, a potem wzdłuż ogrodzenia ruszyła w przeciwną stronę. Już prawie zrezygnowała i miała wrócić do samochodu. To wtedy zobaczyła pod ścianą stertę skrzynek, desek, gruzu. Piętrzyła się tuż pod oknami niedbale zabitymi deskami. Gdyby udało się jej przedostać przez ogrodzenie, mogłaby wdrapać się po tej stercie do najmniejszego okna zabitego jedną deską i pozbawionego szyby. Postanowiła przyjechać tu, gdy będzie pewna, że jest sama, i spróbować dostać się do środka. Tymczasem wróciła do auta i włączyła ogrzewanie. Nie zamierzała odjechać. Coś było nie tak, inaczej niż dotąd, coś działo się za bramą tego budynku i Joanna postanowiła mieć się na baczności, wyostrzyć zmysły jeszcze bardziej. Nikt inny nie wiedział lepiej niż ona, do czego Tomek jest zdolny.



Musiał pracować w hangarze z kajakami następnego dnia rano i poprosił ją, żeby mu towarzyszyła. Zgodziła się chętnie. W ten sposób mogli nadrobić ostatni rok. Był parzący upał i w hangarze panował zaduch. Już od wczesnych godzin zaczęli zjeżdżać plażowicze. Joanna pomagała Tomkowi wydawać wiosła i kamizelki, razem wynosili kajaki na plażę i wyciągali z wody te, które wracały. Joanna

wywieszała kamizelki do suszenia, liczyła wiosła, Tomek spisywał w zeszycie dane wypożyczających sprzęt. Pracowali ciężko, ale w międzyczasie rozmawiali dużo i Joanna uległa złudzeniu, że faktycznie nic się nie zmieniło. Tomek opowiadał jej o pracy w Niemczech, o strasznych warunkach, w jakich mieszkają polscy pracownicy, o niesprawiedliwym traktowaniu, ale również o basenie w małym miasteczku, do którego jeździł tak często, jak to możliwe, by pływać i zapominać, o aucie i egzaminach na prawo jazdy. Ona opowiadała mu o nauce, Warszawie, o zagubieniu. Gdy zamykali wreszcie drzwi hangaru, spoceni i zmęczeni, Joanna miała wrażenie, jakby nigdy się nie rozstali. Do domku Julii szli piechotą brzegiem jeziora, w cieniu drzew, które porastały zbocze.

– Przeze mnie nie odpoczniesz nawet w weekend, a przecież od poniedziałku musisz zacząć pracę w tym warzywniaku.

Wzruszyła ramionami.

– Nie szkodzi. Inaczej zanudziłabym się na śmierć.

– Julka nie dałaby ci się ponudzić! – Roześmieli się oboje.

Kilka minut przemierzali wąską ścieżkę w milczeniu. Pięła się po stromym brzegu porośniętym trawą i drzewami. Ich konary, wystające gdzieś pod piachem, tworzyły coś w rodzaju schodków. Tomek obrócił się i podał Joannie rękę, żeby pomóc jej bezpiecznie zejść w miejscu, gdzie ścieżka znów schodziła w dół. Z wdzięcznością przyjęła pomoc i ostrożnie stawiając stopy, pokonała strome zejście. Chciała ruszyć dalej wzdłuż wody, ale przytrzymał jej dłoń. Przyciągnął do siebie, czemu poddała się bez oporu, podobnie jak pocałunkom, które nie przypominały już tego subtelnego zetknięcia warg z poprzedniego wieczoru.

Niedzielę spędzili, znów pracując w hangarze. Plaża był przepełniona, a upał nie do zniesienia. Mnóstwo ludzi szukało ochłody w wodzie, kajaki i łódki schodziły jak ciepłe bułeczki. Joanna niestrudzenie wydawała kamizelki i wiosła. Późnym popołudniem właściciel wypożyczalni sprzętu kajakowego poklepał Tomka po ramieniu i oznajmił, że może zrobić sobie wolne na resztę dnia i odpocząć. Zebrali więc suche kamizelki ratunkowe, ułożyli niepotrzebne wiosła

i ruszyli w drogę do domku, gdzie spędzili resztę popołudnia, wylegując się w trawie i delektując wolnym czasem. Zbliżający się wieczór nie przyniósł ochłodzenia. Powietrze zrobiło się ciężkie i parne. Najpierw słyszeli ciche jeszcze grzmienie, złowrogi pomruk dochodzący z tak daleka, że nie byli w stanie przewidzieć, jak bardzo był niebezpieczny. Dopiero potem na horyzoncie niebo zaczęło przybierać barwę ciemnego granatu. Julia zerknęła niespokojnie to w stronę drogi, to w niebo.

– Co jest, Julka? Czekasz na kogoś? – spytał ją wreszcie.

– Daniel poszedł do Starego Folwarku po piwo.

– Piechotę?

Skinęła głową powoli.

– Wyszedł ponad godzinę temu. To spory kawałek. Nie wiem, czy wróci przed burzą. – Wskazała ruchem głowy ciemniejszy horyzont.

Tomek podniósł się z trawy.

– Może został tam na piwo. Taki upał, że na pewno był zmęczony po długim spacerze.

– Wiem... Pewnie zaraz wróci...

Powietrze było duszne, mimo że słońce znikło już za linią drzew na drugim brzegu jeziora. Kolejny pomruk zbliżającej się burzy przetoczył się ponad jeszcze gładką taflą jeziora.

– Wiesz, gdzie konkretnie poszedł po to piwo? – spytał Tomek.

Julia wzruszyła ramionami. Była teraz bardziej naburmuszona niż zaniepokojona.

– Nie wiem. A niech sobie wraca w czasie burzy. Kretyn... – mruknęła.

Tomek westchnął i podniósł się z ziemi. Otrzepał spodnie i ruszył w kierunku reszty towarzystwa. Wrócił po chwili i przykucnął obok Julii i Joanny.

– Jarek pojedzie autem do Starego Folwarku. Sprawdzi bar i sklep w wiosce. Ja popłynę łódką wzdłuż brzegu. Może wraca w ten sposób. Trochę dalej jest druga plaża. Tam też jest bar i mała wypożyczalnia kajaków. Może poszedł tam.

– Popłynę z tobą. – Joanna podniosła się, a zaraz za nią Julia.

– Ja też.

Wyciągnęli łódź spod wiaty i zepchnęli na wodę. Tafla jeziora zaczęła marszczyć się pod pierwszymi podmuchami wiatru. Wsiedli całą trójką. Motor warknął i łódź ruszyła. Trzymali się najbliżej brzegu, jak to możliwe, ale Daniela nie było widać na ścieżce, którą można było dostać się do domku letniskowego Sawickich. Dopłynęli do pustej już plaży. Drzwi wypożyczalni hangaru były zamknięte.

– Tam dalej jest druga plaża – powiedział Tomek i minął pomost, oglądając się jeszcze uważnie za siebie.

Popłynęli dalej. Powietrze stało się chłodniejsze, a oślepiające światło słońca ustąpiło szarości.

– Co oni, do cholery, robią? – Tomek zwolnił nagle. Joanna odwróciła się w stronę, w którą patrzył. W oddali na środku ciemniejącego już jeziora kołysał się kajak z pasażerami. Tomek skierował łódź w tamtym kierunku. Kiedy dopłynęli bliżej, Joanna rozpoznała kajak i pasażerów, którym tamtego dnia przed południem sama wydała kamizelki. Mężczyzna i kobieta siedzieli w kajaku, a na dziobie okrakiem jasnowłosy chłopczyk. Joanna nie zapamiętała imienia, jedynie szczerbaty zawadiacki uśmiech.

– Halo! – Tomek zwolnił i unióśł do góry dłoń. – Idzie burza! Musicie się zbierać!

Wyłączył silnik i łódź kołysała się teraz obok kajaka. Mężczyzna machnął na nich, choć Joanna nie była pewna, czy w geście powitania, czy bardziej odpędzania. Upił łyk z puszki piwa i uśmiechnął się drwiąco.

– Zanim się zacznie, zdążymy do brzegu. Trzeba się trochę ochłodzić!

– Zaczyna wiać! Chłopiec musi założyć kamizelkę! – poinstruował ich Tomek.

– A ty co, z policji? – rzucił mężczyzna i pociągnął znowu spory z łyk z puszki.

– Za gorąco, żeby się parzył w tym gumowym wdzianku.

– Niech przynajmniej wejdzie do kajaka! To nie jest bezpieczne! – Tomek próbował zwrócić się do kobiety, widząc, że nic nie uzyska u mężczyzny.

Zerknęła na niego z dezaprobatą, ale machnęła ręką na dziecko.

– Chodź tutaj, bo ten pan się niepotrzebnie denerwuje – powiedziała z przekąsem. Chłopczyk na czworakach przeszedł do wnętrza kajaka wypełnionego pustymi puszkami po piwie.

– Wracajcie do brzegu. Hangar jest już zamknięty, ale jeśli zostawicie kajak pod drzwiami, policzę wam za wynajem tylko za jeden dzień. – Joanna słyszała głos Tomka, uprzejmy, lecz napięty jak struna.

– Dobra, zaraz – rzucił mężczyzna.

Tomek nie odparł już nic. Silnik ich łodzi warknął. Oddalili się w stronę, gdzie mieściła się druga plaża. Podpłynęli do brzegu i wciągnęli łódź na piasek. Coraz agresywniejsze podmuchy wiatru zwiastowały zbliżający się deszcz. Biegiem ruszyli przez plażę, za nią rozciągała się droga, a kawałek dalej stał bar, którego światła widzieli, wbiegając na asfalt.

Wpadli do środka ścigani coraz donośniejszym pomrukiem grzmotu. Zastali jednak puste stoliki. Za barem stała znudzona kobieta grubo po pięćdziesiątce.

– Dzień dobry! – Julia rzuciła się w stronę baru. – Proszę pani, szukam chłopaka, taki dość wysoki, ciemne włosy, ciemne oczy, przystojny... Mógł tu być ze dwie godziny temu...

– Dziecko drogie, a co ja jestem, wróżka? Może był, kto by to spamiętał!

Julia westchnęła i obróciła się z bezradną miną do Tomka i Joanny.

– I co teraz?

– Wracamy – zdecydował Tomek.

Wyszli przed bar dokładnie w chwili, gdy z nieba zaczęły spadać pierwsze ciężkie krople deszczu. Julia stała niezdecydowana, wpatrując się w drogę. Nagle zrobiło się ciemniej niż zwykle o tej porze. Ponad nimi huknął grzmot.

– Julia! Musimy się pospieszyć! Nic mu nie będzie, pewnie Jarek go znalazł! – Tomek machnął na nie dłonią i biegiem ruszyli do łodzi.

– Trzymajcie się! Będzie kołysać! – Uśmiechnął się lekko, widząc przerażoną minę Joanny. – Boisz się? – spytał figlarnie, odpalając silnik.

– Nie – odparła, próbując się uśmiechnąć.

Łódź faktycznie kołysała, jakby jezioro się wściekło i chciało ich przewrócić. Widoczność była kiepska z powodu zasłony ulewnego już deszczu i mroku, który od czasu do czasu przecinał błysk błyskawicy.

To Julia dojrzała w ciemności kajak.

– Hej! Czy to nie ci ludzie?! – krzyknęła. Kosmyki ciemnych włosów przykleiły się do jej policzków i czoła. Wskazała dłonią w stronę plaży z wypożyczalnią kajaków. Miejsce, gdzie się znajdowała, można było rozpoznać tylko dzięki światłu lampy zamontowanej nad dużymi drzwiami hangaru.

– Cholera... – Tomek skierował łódź w tamtą stronę. Zakołysała się niebezpiecznie przy zmianie kierunku. Joanna poczuła ścisk strachu w żołądku.

W kajaku siedziała jedynie kobieta, przechylała się niebezpiecznie przez burtę, krzycząc coś do mężczyzny w wodzie.

– Mówię ci, że tam! – usłyszeli, gdy byli wystarczająco blisko i Tomek wyłączył silnik. – Boże, tam gdzieś! No tam! Boże!

Jej alarmujący głos był niemal zagłuszany przez wiatr i deszcz.

– Chłopczyk... – powiedział cicho Tomek, choć Joanna nawet po latach w swoich wspomnieniach bardziej widziała ruch jego ust, niż słyszała głos. Nim się zorientowała, podniósł się i tak jak stał, wskoczył do wody, znikając pod ciemną, wzburzoną taflą jeziora.

– Tomek! – krzyknęła przerażona Joanna. W panice lustrowała powierzchnię wody spienionej falami i uderzającym w nią ulewnym deszczem. Od czasu do czasu widziała twarz Tomka, który wynurzał się, by zaczerpnąć tchu. Mężczyzna z kajaka, wciąż jeszcze unoszący się w wodzie, przytrzymał się łódki i sapał ciężko.

– Gdzie? Gdzie to się stało?! – krzyknął Tomek, wynurzając się po raz kolejny.

Kobieta, płacząc, wskazała mu miejsce parę metrów od kajaka, choć Joanna widziała, że wahała się.

Dojrzała go dalej, niż się spodziewała. Nie nurkował już, płynął jedynie w ich stronę i zdała sobie sprawę, że widzi drugą twarz tuż obok jego własnej.

– Julia, pomóż mi, przesuń się. – Joanna zrobiła miejsce w łodzi i gdy Tomek podpłynął do burty, wyciągnęła ramiona po dziecko, ale bezładne ciało było cięższe, niż oczekiwała. Tomek uniósł je z ogromnym wysiłkiem i dopiero wtedy dziewczętom udało się je przejąć i ułożyć na dnie łodzi. Tomek wdrapał się do środka. Dyszał ciężko.

– Płyn! – poinstruował Julię głosem nieznoszącym sprzeciwu. Silnik łodzi warknął. Tomek pochylił się nad dzieckiem i choć miejsca było mało, zaczął je reanimować, nie zważając na pozostawionych w tyle rodziców. Łódź z impetem zaryła w dno. Tomek podniósł dziecko i wyniósł je na brzeg, układając na piasku.

– Zawołam pomoc! Pobiegnę do schroniska! Tam mają telefon! – krzyknęła Julia i pędem ruszyła przez okrytą mrokiem plażę.

Joanna patrzyła w panice, jak Tomek raz po raz uciska małą klatkę piersiową i pochyla się, by wpompować kolejną porcję powietrza w płuca. Było ciemno, deszcz zacinał tak mocno, że miała wrażenie, iż biczuje jej skórę. Co jakiś czas podmuch wiatru huczał nad nimi, niebo rozjaśniała błyskawica, po której następował grzmot, a mimo to miała wrażenie, że słyszy tylko ciężki oddech Tomka klęczącego w piachu. Od strony wyjścia z plaży znów nadbiegła Julia, a za nią dyrektor schroniska i właściciel hangaru z kajakami.

– No, proszę cię... – usłyszała szept Tomka.

Z jego włosów na małą, jakby uśpioną twarz dziecka kapała woda. Mokry podkoszulek lepił się do jego ciała, które drżało niekontrolowanie. Gdzieś w tle słychać było cichy płacz kobiety, która nadbiegła od strony wody. Jeden z mężczyzn ukląkł obok Tomka.

– Ile to już trwa? – zapytał, a kiedy ten nie zareagował i kontynuował reanimację, mężczyzna obrócił się w stronę Joanny. – Jak długo?

Popatrzyła na niego bezradnie i poczuła wzbierającą falę rozpacz. „Za długo”, pomyślała.

Mężczyzna położył dłoń na ramieniu Tomka i tak pozostał, aż do pojawienia się ambulansu. Ratownicy medyczni z karetki przejęli reanimację, otaczając leżące w piasku dziecko i pozostawiając Tomka klęczącego obok w strugach deszczu. Wytarł nos wierzchem dłoni. Dyszał wciąż jeszcze, jego ramiona unosiły się i opadały ciężko. Właściciel hangaru z kajakami próbował udzielić ekipie medycznej informacji na temat zdarzenia. Zadawano mu krótkie pytania pomiędzy czynnościami reanimacyjnymi. Joanna nie była w stanie powiedzieć, jak długo to trwało. Może tyle, ile mrugnięcie powiekami, a może godzinę. Nagle zobaczyła, jak jeden z ratowników pochylonych nad dzieckiem kręci powoli głową.

Joanna uniosła dłonie do ust, jakby chciała stłumić krzyk.

– Za późno. Chłopczyk nie żyje – usłyszała. Wiatr uniósł w niebo przerażający jęk rozpacz, który wyrwał się z płuc kobiety. Siedziała w piachu kilka metrów dalej, jakby bała się podejść bliżej. Ojciec dziecka stał obok niej.

Joanna spojrzała na Tomka. Klęczał nadal w strugach deszczu. Pochylił głowę, a potem podniósł się powoli. Widziała, jak drżały jego mięśnie, nie wiedziała, czy z zimna, czy z wysiłku. Powoli ruszył w stronę rodziców chłopca. Nim się zorientowała, jego ruchy stały się błyskawiczne i w mgnieniu oka rzucił mężczyznę na piasek. Padły pierwsze ciosy.

– Ty głupcze! Ty pieprzony pijaku! Zabiję cię! – warczał Tomek ponad bezsilną sylwetką na piachu, która jak bezwolna kukła podrygiwała przy każdym uderzeniu.

– Jezus Maria! Tomek! – wrzasnęła i rzuciła się, próbując go powstrzymać, ale uderzał nieprzerwanie. Deszcz rozmazywał krew na jego dłoniach. Joanna rozejrzała się bezsilnie. Do mocującej się pary podbiegli mężczyźni. Z trudem odciągnęli Tomka od ojca chłopca, który jęczał, próbując podnieść się z piachu.

Joanna patrzyła w przerażeniu na Tomka, który nadal rzucał się jak wściekły pies w stronę jego sylwetki.

– Pijany! On jest, kurwa, pijany!

W mroku i biczących ich nadal ulewnych strugach Joanna wzrokiem odszukała postać Julii, jakby chciała się upewnić, czy z nią wszystko w porządku. Przyjaciółka nie patrzyła na nią. Przemoczona i nieruchoma, stała parę metrów dalej. Jej spojrzenie było wbite w Tomka. Oczy błyszczące zachwytem i fascynacją. Było w tym spojrzeniu coś, co sprawiło, że Joanna odwróciła twarz. Wzrokiem odprowadziła ratowników, którzy z dzieckiem na noszach kierowali się w stronę zaparkowanej nieco dalej karetki. Po latach nadal słyszała w głowie tamto pytanie zadane samej sobie. Kogo tak naprawdę chciał uratować Tomek? Tamto dziecko czy... siebie?

Właściciel wypożyczalni odwiózł ich do domku letniskowego. Zostawili motorówkę Sawickich pod hangarem. Siedzieli okryci kocami, wciśnięci w tylne siedzenie, milczący. Cała reszta czekała nerwowo w domku, włącznie z Danielem i Jarkiem. Ania rzuciła się ku nim, gdy weszli.

– Całe szczęście! Myśleliśmy, że coś wam się stało! – Objęła drżącą nadal z zimna Julię ramieniem. – Ale zmokliście! Kto was przywiózł?

Tomek minął ich bez słowa, ignorując pytania i spojrzenia. Wyjął z lodówki piwo i wlał w siebie parę łapczywych łyków. Z mokrych ubrań nadal kapała woda.

– Daniel... – Głos Julii był słaby. Joanna czuła na sobie zaciekawione spojrzenia, oczy lustrujące ich sylwetki. – Dam Tomkowi jakieś twoje ubrania, dobrze? Wszystko jest mokre – powiedziała i jej głos załamał się lekko.

– Julia, co się stało? – Daniel przytrzymał ją za ramiona.

– Nic, tylko... – powiedziała, unikając jego spojrzenia. – Muszę się przebrać.

Zerknęła na Joannę, która stała nadal przy drzwiach, zeszywniała z zimna i emocji, i ruszyła wąskimi stromymi schodkami na górę. Daniel przyniósł Tomkowi swoje ubrania i kiedy wszyscy byli wreszcie wysuszeni, atmosfera lekko się zmieniła. Ktoś wyjął z jakiejś szafy starą grę *Monopol* i przy sporych ilościach piwa, które Jarek i Daniel przywieźli ze sobą, rozłożono planszę na środku podłogi. Za oknami nadal szalała burza, którą zagłuszały wybuchy śmiechu i okrzyki ostrej rywalizacji. Joanna udawała, że śledzi postępy w grze, tak naprawdę jednak

obserwowała Tomka, który siedział w kącie, otwierając kolejne piwa ze wzrokiem wbitym przed siebie. Owinęła się ciasniej kocem i wsunęła w fotel. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, więc wołała milczeć. Powinna była podejść. Być przy nim. Ale coś w jego nieprzeniknionych oczach dawało jej do zrozumienia, że w nim samym również toczy się burza.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, lecz gdy obudziła się, za oknami świtało. W szarości budzącego się dnia świat wydawał się spokojny i odprężony, jakby napięcie opadło po wczorajszej nawałnicy. Joanna przetarła oczy i rozejrzała się po pokoju, którego podłoga była usłana śpiworami. Wszyscy spali w domku letniskowym. Nie odnalazła jednak Tomka. Po cichu podniosła się i balansując między śpiącymi sylwetkami skulonymi na ziemi, ruszyła w stronę schodów. Na górze mieściły się dwie małe sypialnie. Jedną zajmowała na ten weekend Joanna, drugą Julia i Daniel. Tomek musiał spać w jej pokoju. Postanowiła zabrać po cichu swoje rzeczy. Był poniedziałek, o ósmej zaczynała pracę w warzywniaku, a musiała jeszcze dojść do przystanku w Starym Folwarku, żeby złapać autobus. Sięgnęła do klamki sypialni, którą zajmowała, i najciszej, jak potrafiła, otworzyła drzwi. W pomieszczeniu panował mrok, mimo że za ciasno zaciągniętymi zasłonami powoli budził się dzień. Zebrała po omacku swoje rzeczy, zerknąwszy na sylwetkę skuloną pod okryciem, i opuściła pokój. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i obróciła się, by zejść schodami. Drzwi sypialni obok otworzyły się i stanął w nich Tomek. Miał na sobie ubrania z wczorajszej nocy. Podkoszulek, choć suchy, był wygnieciony i brudny. Jego oczy były ciemne pod ściągniętymi brwiami. Na jej widok odmalowało się w nich przerażenie. Zatrzymał się raptownie. Joanna otworzyła usta zdumiona jego widokiem, a potem odwróciła głowę i spojrzała na zamknięte drzwi swojej sypialni, jakby spodziewała się, że stamtąd wyjdzie jego brat bliźniak. Rozumiała już jednak bardzo dobrze, kto zajmował jej pokój. Podniosła na niego oczy z wypisanym w nich pytaniem, na które odpowiedź zobaczyła tuż za nim. Na wąskim łóżku spała Julia. Niedbale narzucone na nią okrycie odsłaniało jej nagie opalone ramiona i jasną skórę piersi. Jej ciemne włosy były rozrzucone po poduszce. Joanna chciała coś powiedzieć, otworzyła nawet

usta. Zrobiło się jej zimno i gorąco jednocześnie. Postąpiła krok w stronę schodów, ale dłoń Tomka złapała ją za ramię.

– Asia... Proszę cię... – Jego szept nabrzmiał desperacją i błaganiem.

– Zostaw mnie – powiedziała powoli i wyraźnie. – Zostaw mnie.

– Ale... – zaczął.

Nie dała mu skończyć. Wyrwała ramię spod jego palców i łykając gorzkie łzy, opuściła domek letniskowy, by nigdy więcej nie postawić w nim stopy.



Joanna myślała, że uśnie. Ciepło panujące w aucie wreszcie wniknęło w jej zziębnięte ciało i pomogło odprężyć się. Czas mijał, lecz bus Tomka stał nadal zaparkowany pod fabryką. Głowa ciążyła jej, a cisza kołysała i uspokajała. Wspomnienia unosiły się w niej jak drobinki kurzu w promieniach słońca.

– *Mevrouw!* – Donośne pukanie w szybę auta wyrwało ją z głębokiego snu. Zaraz po nim na jej twarz padła struga światła z latarki, od której automatycznie osłoniła oczy dłonią. Mrużąc powieki, spojrzała w stronę okna, za którym uprzejma twarz policjanta patrzyła na nią z niepokojem. Zadał jej jakieś pytanie po holendersku.

Otworzyła szybę.

– Przepraszam, nie mówię po holendersku – wymamrotała po angielsku.

– Wszystko w porządku? – padło pytanie. – Żle się pani poczuła?

Pokręciła głową, próbując znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie sytuacji.

– Nie, nie...

– Moglibyśmy zerknąć na pani dokumenty.

– Oczywiście! – Sięgnęła po portfel do torby i wtedy jej oczy padły na bezpiecznie zapakowany aparat fotograficzny, który zawsze miała przy sobie. Podała dokument policjantowi i wskazała ręką na aparat. – Przyjechałam tu fotografować gwiazdy.

– Tutaj? – zdziwił się i popatrzył na nią nieufnie.

– Tak. W mieście nie są dobrze widoczne przez te wszystkie światła. Tu na obrzeżach lepiej je widać. Niestety naszły chmury i postanowiłam poczekać w aucie, bo jest strasznie zimno. I zasnęłam. Tak mi głupio...

Policjant uśmiechnął się i oddał jej dowód osobisty, uprzednio zanotowawszy nazwisko.

– Każdemu może się zdarzyć. Proszę na siebie uważać. Dobranoc!

Policjant pożegnał się, wszedł do auta zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i odjechał. Joanna odetchnęła, po czym przeklęła parę razy. Bus Tomka zniknął, a ona nie była w stanie powiedzieć, czy zauważył jej obecność, czy ją rozpoznał i czy to nie on wezwał policjantów.

Nie wiedział nawet od czego zacząć. Jak znaleźć tajemniczych porywaczy, których motywów nie znał? Jak ze strzępów informacji złożyć skomplikowane puzzle? Skąd przyszło mu do głowy, żeby godzić się na taki układ? W każdej chwili mógł pójść na policję, powiedzieć im, gdzie przebywa chłopak. Mógł pójść do Lii, ocalić ją od strachu i bólu. Tymczasem Tomek siedział na krześle wystawionym na podest barki, na której mieszkał, i patrzył na spokojne wody kanału, na kaczki i łycki pływające wokół oraz czapkę stojącą nieruchomo na przeciwległym brzegu. One nie miały żadnych problemów. Mogły w każdej chwili rozłożyć skrzydła i odlecieć lub odpłynąć, dokądkolwiek chciały.

Minęły święta Bożego Narodzenia, których Tomek w ogóle nie zauważył. Prawda była taka, że było mu to na rękę. Dowoził Jasperowi jedzenie, kupił mu najtańszy telefon na kartę, żeby mogli być w kontakcie. Próbował wyciągnąć z chłopaka jakiegokolwiek informacje, ale Jasper nie pamiętał wiele więcej poza tym, co już mu powiedział tamtego pierwszego wieczora. Kiedy próbowali zalogować się na jego konto na Facebooku, okazało się, że zostało wykasowane. Podobnie jak konto mailowe i każde inne miejsce, gdzie Jasper kiedykolwiek się logował. Nie było mowy, by mogli dotrzeć do jakichkolwiek informacji.

– Powinniśmy dać znać twojej mamie, że żyjesz... – powtarzał Tomek, myśląc o Lii.

– Nie. Zdradzi nas. Ściągnie ich tutaj znowu. Wiem to.

– Jasper...

– Nie! – Stanowcza i pełna zgrozy odpowiedź padała za każdym razem. – Znajdź ich. Inaczej nigdy stąd nie wyjdę. Nigdy.

Siedział skulony jak przerażone zwierzę, nieufny, przy każdej próbie podjęcia bliższego kontaktu gotowy do ataku, który był jedyną dostępną opcją obrony. Tomek zostawał z nim najdłużej jak to możliwe bez wzbudzania podejrzeń. W świąteczny wieczór, idąc w stronę busa, zobaczył auto osobowe zaparkowane nieco dalej. Nie mógł w mroku dojrzeć, czy było puste, i nie wiedział, jak długo tam stało. Wsiadł i po chwili namysłu zadzwonił na policję. Strach Jaspera nie mógł być bezpodstawny i Tomek nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby chłopakowi coś się stało. Coś jeszcze poza tym, co już musiał przejść. Coś, co było spowodowane niedopatrzeniem Tomka. W rozmowie z posterunkowym skłamał, że na terenie fabryki pozostawiono cenny sprzęt budowlany i w czasie wieczornej krótkiej kontroli na terenie budynku zobaczył auto w opustoszałej zwykle okolicy. Obiecano mu wysłać kogoś najszybciej jak to możliwe w celu sprawdzenia sytuacji. Kiedy następnego dnia Tomek wrócił do fabryki, z ulgą stwierdził, że wszystko pozostawało w nienaruszonym stanie, tajemnicze auto zniknęło, a Jasper siedział bezpieczny w swojej kryjówce.

Tomek zszedł z podestu i wsiadł do busa. Dochodziła dziesiąta rano. Ruszył spod barki i skierował się do centrum. Życie w mieście leniwie rozkręcało się po świętach. Zaparkował w podziemnym parkingu tuż obok budynku Lii. Parę minut później stał z nią twarzą w twarz.

– Thomas? Wejdz, wejdz – pospieszyła go i nim zdążył się przywitać, ruszyła szybkim krokiem w głąb mieszkania. Przez moment wahał się zaskoczony. Spodziewał się zastać ją w gorszym stanie.

– Napijesz się czegoś? – usłyszał dobiegający z garderoby głos Lii. – Weź sobie coś z kuchni!

Staął niezdecydowany na środku pokoju z torbą termosów obiadowych w dłoni. Stół był zavalony papierami, dwa laptopy stały obok siebie z widoczną na ekranie stroną dotyczącą zaginięcia Jaspera. Podeszedł do nich i pochylił się. Na jednym z nich otwarta była mapa miasta, na której ktoś czerwoną linią zaznaczył trasę, wzdłuż której w niektórych miejscach widniały niebieskie chorągiewki. Lia weszła do pokoju. Wyglądała zupełnie inaczej niż ostatnio. Lekki makijaż maskował zmęczenie, czyste włosy były zaczesane w kok, miała na sobie dzinsy i błękitny kaszmirowy sweter z obszernym golfem.

– Już jestem, przepraszam, że musiałeś czekać.

– Nic nie szkodzi... Przywiozłem ci jedzenie. Pomyślałem, że... – Wskazał ręką na pudełka z żywnością, które postawił na blacie kuchennym.

– Dziękuję. Nie zmarnuje się. Nie mam czasu myśleć o gotowaniu, ale jeść muszę.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał, widząc kurtkę rzuconą na sofę i kozaki na jej stopach.

– Tak – potwierdziła i wskazała na bałagan na stole. – Zorganizowaliśmy poszukiwania Jaspera. Za pół godziny pod klubem Bunkier zbierze się mnóstwo ludzi. Jest sobota, okres między świętami a Nowym Rokiem, idealny dzień, większość ma wolne. Są też ludzie, którzy zaoferowali swoje łodzie i będą przeszukiwać kanały wzdłuż tej trasy. – Lia pokazała wyświetloną na monitorze mapkę.

– Poczekaj... więc ty myślisz, że Jasper... – Tomek zaczął powoli. Obserwował Lię, gdy kręciła się po pokoju, pakując torbę. Była energiczna i skoncentrowana.

– Ja nic nie myślę – odparła chłodno, nie odwracając się. Wsunęła do torby plik wydruków i butelkę wody. – Ja po prostu chcę znaleźć mojego syna.

Jej głos załamał się lekko, ale szybko pozbierała się i podniosła na niego wzrok.

– Nie oczekuję, że przyłączysz się do poszukiwań. Nauczyłam się już, że więcej pomocy otrzymam od obcych ludzi niż od najbliższych, o policji nie wspominając – powiedziała gorzko. Otworzył usta, chcąc zareagować, ale ona mówiła dalej: – Nie będę tu siedzieć i czekać, aż ktoś mi pomoże. Rozesłali jego zdjęcie, jakby był zaginionym kotkiem, i tyle. Zignorowali najważniejszą poszlakę i tylko dlatego, że była anonimowa i przekazana mi, a nie na szanowne ręce policji. A kiedy okazało się, że ten szczeniak Koen kłamał, puścili go po prostu do domu. Dzwoniłam do jego matki, ale jej nie interesuje los mojego syna. Miała czelność mi wyrzucać, że Koen ma kłopoty przez Jaspera. Do tego policja spieprzyła sprawę z klubem. Mówią, że mają związane ręce. Tak naprawdę jest tam tylko jeden człowiek, który coś robi w sprawie mojego syna. Reszta to biurokratyczni urzędnicy bez serca. Ale to nic, już załatwiłam sprawę z klubem. Zgłosiło się kilka osób, które na mój koszt do niego pójda, rozejrzą się i będą wypytywać. Ktoś musiał widzieć coś więcej. I ja znajdę tego kogoś, za wszelką cenę. A teraz przepraszam cię, ale muszę już wychodzić.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi wypisanego w nich wyzwania. Chciał coś powiedzieć, ale stał jedynie oniemiały i świadomy tego, że jeśli otworzyłby usta, nie mógłby powstrzymać słów, które jak wezbrana woda chciały się z nich wydrzeć. Nie miał już pewności, czy mówiąc jej prawdę, ryzykowałby jej bezpieczeństwo i życie, czy raczej kłamiąc, ryzykuje życie i bezpieczeństwo Jaspera. Niczego nie był już pewien. Milczenie wydawało się najlepszym wyjściem. Skinął więc głową i podążył za nią do drzwi wyjściowych. Zeszli razem na dół i gdy wyszli, lodowaty podmuch wiatru uderzył go w twarz. Stał chwilę zupełnie otumaniony poczuciem winy.

– Lia... – Zatrzymał ją, gdy ruszyła w stronę parkingu, otulając się ciasniej kurtką. Obróciła się i spojrzała mu w oczy. – Lia, Jasper na pewno żyje. Jestem pewien, że niedługo... – powiedział w końcu cichym głosem, a wiatr uniósł jego słowa.

– Gdyby żył, wróciłby do domu. Wróciłby do mnie. Nie musisz mnie pocieszać. Jestem przygotowana na najgorsze. Jedyne, czego nie mogę dłużej

znieść, to czekanie i niepewność. A teraz wybacź, naprawdę muszę już iść. Gdzieś tam jest mój syn...

Nie dosłyszał reszty zdania, którą porwał podmuch wiatru. Lia odwróciła się i odeszła szybkim, zdecydowanym krokiem. Tomek stał jeszcze chwilę przed drzwiami budynku z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie kurtki. Po drugiej stronie placu stało auto. Mógł się mylić, ale był prawie pewien, że to samo, które widział w pobliżu fabryki, kiedy poprosił o patrol. Próbował nie patrzeć w tamtym kierunku, nie dać po sobie poznać, że je zauważył, ale zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Zaparkował pod centrum ogrodniczym. Wyłączył radio, które wyło całą drogę. Chciał zagłuszyć własne myśli. Bezskutecznie. Musiał kupić trociny do prostej toalety kompostującej, którą zbudował na potrzeby Jaspera. Zauważył, że korzystanie z wiadra krępuje chłopaka, a chciał ograniczyć każdy dyskomfort, którego doznawał. W budynku fabryki nie było wody, odpływy nie działały, miał więc ograniczone pole działania. Wystarczyło parę drewnianych płyt do obudowania wiadra i deska klozetowa. Potrzebował jedynie trocin i kociego żwirku, które wciągały wilgoć i wchłaniały zapach. W dziale dla zwierząt wrzucił duże torby na sklepowy wózek i skierował się w stronę kasy, mijając akwaria i klatki. Przy jednej z nich zauważył pracownika sklepu, który bezskutecznie próbował złapać kanarka do małego kartonu. Tomek zatrzymał się i obserwował poczynania młodego mężczyzny. Za nim stała para klientów w oczekiwaniu na swój nowy nabytek. Ptak trzepotał skrzydełkami w szaleńczym locie po klatce, robił uniki i wymykał się niemal w ostatniej chwili. Tomek oderwał wzrok od widowiska i ruszył między rzędami półek, pchając przed sobą wózek. Chwilę potem usłyszał za sobą wzburzone okrzyki i kątem oka dostrzegł żółty drobny kształt pod sufitem. Podniósł głowę i wzrokiem podązał za kanarkiem, który rozpostarł skrzydełka i radośnie zataczał koła po hali, zbliżając się do oszklonych drzwi, przez które wpadało światło dzienne. Pracownicy sklepu ruszyli do biegu, jeden z nich z siatką na długim kijku. Tomek podbiegł do drzwi, które rozsunęły się,

i stanął w nich, powstrzymując je od ponownego zamknięcia. Ptak zatrzepotał skrzydłami, a potem wyleciał na zewnątrz i szybko zniknął za linią drzew.

– No i co pan zrobił, do jasnej cholery? – Pracownik sklepu dopadł go i nie ukrywał swojej dezaprobaty. – Zwariował pan? Przecież to ptak hodowlany! Jest środek zimy! On nie przeżyje na wolności!

Tomek popatrzył na niego, jak gdyby dopiero go zauważył.

– Tutaj też nie przeżyje. Ale tam umrze wolny.

Mężczyzna pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Będzie musiał pan zapłacić!

Tomek wcisnął mężczyźnie w rękę trzydzieści euro, co znacznie przekraczało cenę kanarka, i opuścił pośpiesznie sklep, pozostawiając swoje własne zakupy. Wsiadł do auta i oparł głowę na kierownicy. Czuł napór niepokojących, ciemnych wspomnień, które obezwładniły go nagle, jak gdyby otwierając tamte drzwi do wolności i wypuszczając ptaka, wpuścił jednocześnie wszystko, co do tej pory pozostawało szczelnie zamknięte. Miał wrażenie, że dozna napadu paniki pod wpływem kłębiących się w jego głowie myśli. Walnął pięścią w kierownicę z bezsilności, po czym ruszył z piskiem opon sprzed centrum ogrodniczego.

Do fabryki jeździł dopiero po zapadnięciu zmroku. Przywoził zapasy jedzenia i wodę w butlach, czyste ubrania i ładowarkę przenośną do telefonu Jaspera, którą podłączał w domu, bo w fabryce nie było prądu.

– Patrz. – W holu obok pomieszczenia, gdzie znajdowała się kryjówka Jaspera, Tomek ustawił prowizoryczną toaletę oraz wiaderko z trocinami i żwirkiem, po które musiał jechać do innego centrum ogrodniczego. Jasper postąpił parę kroków w stronę holu, niepewnie rzucając oczyma po ciemnym pomieszczeniu. Wyglądał trochę lepiej, rany i otarcia zbladły, rozcięcie na dłoni goiło się ładnie, brał coraz mniej środków przeciwbólowych, a kręgi pod oczami zaczęły jaśnieć. Wiadro, którego używał do tej pory, stało tuż przy drzwiach, bo chłopak odmawiał wyjścia z pomieszczenia. – Porządna toaleta i do tego bezzapachowa.

– Dziękuję. – Słowa Jaspera brzmiały szczerze i Tomek uzmysłowił sobie, że to był pierwszy raz, gdy chłopak podziękował mu w ten sposób. – Ale... można to postawić bliżej drzwi? – poprosił cicho i znów schował się w pomieszczeniu.

Tomek przesunął prowizoryczną toaletę i wrócił do chłopaka. Pomógł mu rozpakować pudełka z jedzeniem. Sam ugotował posiłki. I tak nie miał co robić w święta, więc spędził je głównie w kuchni. Potem podgrzewał porcje i pakował w termosy obiadowe.

– Co to jest? – Jasper pochylił się nad otwartym pudełkiem. Aromat jedzenia wypełnił pomieszczenie.

– Gołąbki w pomidorowym sosie. Są pyszne, spróbuj – zachęcił chłopaka, obawiając się, że ten zaraz mu powie, że woli hamburgera i frytki. Ale Jasper wziął do ręki widelec i bez słowa skargi wsadził do buzi pierwszy kęs.

– Dobrze! – Uśmiechnął się niepewnie. Nawet za tym uśmiechem przyjemności krył się strach, który był jak chroniczna choroba. Nie odpuszczał ani na chwilę. – Sam to ugotowałeś? Czy to jest polskie jedzenie?

Tomek skinął głową.

– Tak. Sam ugotowałem. Specjalnie dla ciebie. I tak, to jest tradycyjny polski obiad. Drugą porcję zawiozłem twojej mamie... Widziałem się z nią dzisiaj... – powiedział cicho i obserwował reakcję Jaspera. Chłopak odłożył widelec do termosu, ale nie powiedział nic. – Jasper, twoja mama myśli, że nie żyjesz.

– To nawet lepiej.

– Ona nie przestaje cię szukać...

– Dobrze. Skoro ona nie może mnie znaleźć, to oni też nie.

– Jasper, za tydzień zaczną się prace w fabryce... Nie będziesz mógł chować się tutaj na zawsze, a ja nie jestem detektywem. Nie mam pojęcia, gdzie zacząć...

– To musisz się pospieszyć – odparł butnie chłopak i w aroganckim błysku w jego oczach Tomek zobaczył ślad Jaspera sprzed porwania.

Został z Jasperem do późnych godzin wieczornych. Najpierw jak co dzień znów wałkowali temat porwania. Tomek pytał, Jasper odpowiadał. Zwykle do momentu,

gdy frustracja i irytacja brały górę nad cierpliwością.


– Nie pamiętam! – Zaciskał dłonie w pięści i wciskał je w oczy. – Mówiłem ci już, że to wszystko, co wiem. Nic więcej! Rozumiesz? Nic więcej!

Tomek spisywał notatki z każdej rozmowy, a potem porównywał je do tych z poprzedniego dnia, próbując wyłuskać jakiś dodatkowy pominięty szczegół, niespójność, cokolwiek, co przybliżyłoby choćby o krok do rozwiązania zagadki. W tym czasie Jasper oglądał film na komórce Tomka. I przez chwilę twarz chłopaka rozluźniała się, kiedy leżał zawinięty w śpiwór i kołdrę, schowany przed światem, bezpieczny i na te parę chwil koszmar dwóch tygodni odsuwał się w gęstą mgłę zapomnienia. Przed wyjściem Tomek sprawdził stan grzejnika, włożył nowe baterie do lampy i latarki, zebrał brudne rzeczy i naczynia. Nie wspomniał Jasperowi o tajemniczym aucie, nie chciał, by chłopak bał się jeszcze bardziej, choć czasem zdawało mu się, że nie było to możliwe. Przypomniał mu jednak, żeby zabezpieczył drzwi tak, jak się umówili. A potem pożegnali się i Jasper został sam.

Kiedy Tomek wyjechał sprzed fabryki, było już późno. Odjeżdżając, rozglądał się dokładnie, ale nie zobaczył już samochodu. Zamiast jednak skierować się na barkę, wyjechał za miasto. Jasper pamiętał mniej więcej, od której strony dotarł do starych zabudowań, i Tomek postanowił spróbować pójść tym śladem. Chłopak twierdził, że większość czasu trzymał się z dala od ruchu drogowego, ale nie potrafił powiedzieć, jak długo biegł, nim dotarł do miasta. Tomek zaparkował przy nieczynnej już stacji benzynowej, za którą rozciągały się pola i niezabudowane tereny. Jasper twierdził, że w czasie ucieczki nie mijał żadnych domów ani osiedli. Tomek nie wiedział, jak dokładnie chłopak zapamiętał otoczenie w stanie szoku. Zerknął po raz kolejny na mapę miasta na swojej komórce, próbując określić, od której strony jeszcze otaczały je łąki lub pola. Prawda była jednak taka, że Fryzja pełna była gospodarstw rolnych i zielonych terenów. Czasem jadąc autostradą, można było po obu stronach drogi patrzeć ponad płaskie równiny, aż po horyzont daleko w dali. Westchnął i potarł zarost dłonią. Musiał gdzieś zacząć, więc równie dobrze mógł zacząć tam. Chwycił latarkę, włączył nawigację na komórce i ruszył w ciemnościach oświetlanych jedynie wąską stróżką światła. Wrócił do auta

półtorej godziny później, zziębnięty i kompletnie zniechęcony. Nie miał pojęcia, w którą stronę iść, kluczył więc bez sensu. Szedł przed siebie, aż napotykał jakąś przeszkodę, na przykład rów melioracyjny, która zmuszała go do zmiany kierunku. Był zmęczony i z wdzięcznością włączył ogrzewanie w aucie. Tak się dłużej nie dało. Nie było najmniejszych szans, że uda mu się coś znaleźć. A nawet jeśli, co potem? Musiał powiedzieć prawdę, przynajmniej Lii. Miała prawo wiedzieć. Szczególnie jeśli coś jej groziło, a Tomek nie był już w stanie sam ocenić, na ile realne było czyhające niebezpieczeństwo. Miał wrażenie, że w jego zmęczonej głowie budzi się do życia jakaś paranoja, w wyniku której nawiedzają go zwidy i demony. Jutro, zdecydował, jutro powie Lii prawdę.

Odczekał chwilę, aż jego sztywne z zimna ciało rozgrzało się trochę, i ruszył w drogę do domu. Dopiero gdy wysiadał przed barką i zbierał rzeczy zabrane z fabryki, zorientował się, że leży między nimi przenośna ładowarka do telefonu Jaspera. Westchnął i zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Jeśli do jutrzejszego wieczora chłopakowi rozładuje się bateria, nie będą mieli ze sobą kontaktu. Tomek unikał odwiedzania fabryki w dzień. Nie chciał przyciągać uwagi. Nie mógł też ryzykować. Jeśli coś się wydarzy, a Jasper nie będzie w stanie dać mu znać, to wszystko mogło skończyć się jeszcze gorzej. Wsiadł do busa i odjechał spod barki. Postanowił objechać parę uliczek w okolicach fabryki, by upewnić się, że tajemniczy pojazd nie stał gdzieś w pobliżu. Kiedy wjeżdżając w drogę prowadzącą w stronę zabudowań fabryki, zauważył znajome auto stojące na poboczu w cieniu nagich drzew, poczuł niepokój. Zwolnił, żeby w mdłym blasku rzadko stojących latarni móc przyjrzeć się pojazdowi, ale był pusty. Tomek rozejrzał się wokół i zgasił światła. W mroku podjechał pod budynek i z obezwładniającym przerażeniem ujrzał nieznany mu bus zaparkowany pod samą bramą fabryki. Zatrzymał auto, po czym opuścił je najciszej i najszybciej, jak to było możliwe, i rzucił się biegiem w stronę otwartej bramy.

 Lia Kornmann stała nad samym brzegiem kanału. Czubki jej butów zbiegały się perfekcyjnie z betonową krawędzią, za którą w dole spokojnie patrzyło na nią odbite w ciemnej wodzie jej własne oblicze. Wiał lodowaty wiatr. Szukali już parę godzin. Tłum ludzi, który pojawił się przed klubem, zaskoczył Lię. Młodszy, starsi, kobiety, mężczyźni, nastolatki całymi grupami, ludzie z psami, ludzie z wykrywaczami metalu oraz ogromnymi magnesami, których używano do wyławiania metalowych rzeczy z kanału. Rozdawała zdjęcia Jaspersa i mapę z trasą. Informowała o miejscu spotkania, gdzie na szukających będzie czekała przyczepa z cateringiem, którą Lia wynajęła, by zaopatrzyć wolontariuszy w ciepłą herbatę i zupę. Wśród zebranych dojrzała twarz Hiske.

– Nie musiałaś... – Lia podała jej wydruki.

– Oczywiście, że musiałam. Chciałam – powtórzyła z naciskiem.

Lia skinęła głową.

– Ruszamy za kwadrans.

Stały obok siebie, czując się trochę niezręcznie. Lia miała wrażenie, że Hiske próbowała nie okazywać swojego współczucia, jakby miało ono obrazić szefową. W końcu jednak odezwała się sponad papierowego kubka herbaty, która musiała już dawno wystygnać.

– Falco też jest tutaj?

Lia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Falco uważa, że organizacja poszukiwań to zadanie dla policji i że mogę wyrządzić więcej złego niż dobrego, jak będę się we wszystko wtrącać.

– Ale masz jakieś wsparcie? Mam na myśli... emocjonalne?

– Nie jest mi potrzebne – powiedziała z lekką irytacją, ale szybko zmieniła ton. Jej przyjaciółka i współpracowniczka nie zasługiwała na takie traktowanie. – Thomas przywozi mi jedzenie.

Hiske uśmiechnęła się nagle.

– To bardzo miłe. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że nie widziałam go tutaj... – powiedziała niepewnie.

– Ma jakieś inne sprawy. Zresztą... nie wiem. Nie widzimy się prawie wcale. To nie jego syn i nie jego problem...

Ktoś spontanicznie przejął rolę dowodzącego i po chwili Lia zobaczyła, jak tłum dzieli się na grupki, z których każda rusza w odstępach pięciu minut. Na rozwidleniu ulic grupy rozstawały się, żeby przeszukać trasę jak najdokładniej. W miejscach, gdzie droga biegła nad kanałem, towarzyszyły im sunące powoli wzdłuż trasy łodzie. Ktoś zaprosił hobbystyczną organizację nurków, którzy zaczęli przeszukiwać wodę w miejscach, gdzie był do niej dostęp z ulicy. Lia szła za tłumem. Nie czuła już palców u stóp z zimna. Kiedy zatrzymali się na postój w umówionym miejscu, Lia stanęła nad brzegiem kanału i wpatrzyła się w swoją własną twarz odbitą w wodzie. Parę metrów dalej, przy moście, trzech nurkowie znów zniknęli pod powierzchnią. Miała wrażenie, że nie chcieli się poddać, i odczuwała przemożną wdzięczność za ich niestrudzoną pracę i zaangażowanie, i jednocześnie wstręt do siebie samej, że nie miała odwagi, by wskoczyć do tej lodowatej wody i szukać, aż do utraty tchu. Patrzyła na czubki swoich butów na krawędzi. Jeden krok dzielił ją od tej decyzji. Jeden krok. Lia poruszyła się niespokojnie, jakby każda komórka jej ciała ciągnęła na dno. Gdzieś tam był jej

syn. I jeśli miała go nigdy nie odnaleźć w tym przeklętym mieście, równie dobrze mogła zniknąć pod taflą wody tylko po to, by być bliżej niego, by nie czuć już tego nieustannego bólu i strachu, od którego jej twarz nie przypominała już kobiety, którą była. A może byłaby egoistką, poddając się tak łatwo? Lia przypomniała sobie, jak w wywiadzie udzielonym dla jej gazety matka zaginionej Lois Bakker powiedziała: „Ja wiem, że ona nie żyje, czuję to, matka zawsze wie”. Ale Lia nie wiedziała i winiła się za to. Dlaczego nie czuła? Dlaczego nie potrafiła powiedzieć, czy jej syn żył? Wiedziała jedynie, że jeśli nie wrócił do niej, to nie z własnej woli. Nie mógłby jej czegoś takiego zrobić. Jeden z nurków wynurzył się obok kołyszącej się lekko na wodzie łodzi i Lia poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Ale nurek pokręcił głową i zniknął pod taflą, pozostawiając po sobie kręgi, które rozeszły się po powierzchni wody. Jak to możliwe, że nie mogli go odnaleźć? Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a lodowaty podmuch zakłuł w oczy, które zaszyły łzami. Ile jeszcze dni mogła żyć w tej niepewności? Ile była w stanie wytrzymać? Pochyliła się lekko w stronę wody, jakby ostatnia wola walki została przełamana, ale czyjaś dłoń złapała ją za ramię i przytrzymując stanowczo, odciągnęła w tył.

– Pani Kornmann? Wszystko w porządku? – usłyszała za sobą i rozpoznała głos młodego policjanta. Odwróciła się i napotkała wbite w siebie jego zaniepokojone spojrzenie.

– Pan tutaj? – spytała, próbując ukryć zmieszanie.

– Tak – przytaknął. – Dołączyłem po drodze do jednej z grup. Znam tę trasę dobrze, ale zawsze można coś przeoczyć.

Policjant zerknął na stojącą obok Lii Hiske, jakby wahał się, czy może kontynuować rozmowę w jej obecności. Lia zauważyła to i przedstawiła ich sobie.

– To Hiske, moja przyjaciółka i współpracowniczka. – Kees skinął głową w ramach powitania. – A to Kees Herder – Lia zwróciła się do Hiske. – Jedyna osoba w policji naprawdę zaangażowana w poszukiwania Jaspera.

Hiske uśmiechnęła się ciepło do młodego mężczyzny.

– Bardzo mi miło, ale to nieprawda – zaprzeczył. – Jutro będę miał dostęp do nagrań z kamer, o które poprosiłem. Zaznaczyłem na mapie miejsca, gdzie są umieszczone. – Podał jej wydruk trasy, którą sama przygotowała, z niebieskimi wykrzyknikami w kilku punktach.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Rozumiem, że dacie mi znać, jeśli pojawią się jakieś nowe informacje?

Kees Herder skinął.

– Jest coś jeszcze... – zaczął niepewnie. – Nasz informatyk zajął się laptopem Jaspera.

– Znalazł coś? – Lia podniosła wzrok znad mapy.

– Nic. Ale nie to jest najbardziej niepokojące. Okazało się, że wszystkie konta internetowe Jaspera zostały wykasowane. Jego skrzynka mejlowa, profil na Facebooku, Instagramie, konto na forum o grach komputerowych. Wszystko zniknęło.

– Jak to? Przecież jeszcze parę dni temu przeglądałam jego profil... – Lia sięgnęła po telefon komórkowy schowany w kieszeni kurtki i drżącą z emocji i zimną dłonią zaczęła wpisywać imię syna w wyszukiwarce portalu. – Nie ma... Jak to możliwe?

Kees pokręcił głową.

– Nie wiem. Nasz informatyk próbuje odzyskać tyle, ile to możliwe, ale obawiam się, że wiele to nie da. Być może coś zostało zapisane w pamięci i historii wyszukiwarki internetowej na laptopie Jaspera. Zwróciliśmy się o wykaz połączeń telefonicznych z numeru telefonicznego Jaspera. Jeśli chłopak nadal ma telefon przy sobie i używa go, możemy go w ten sposób zlokalizować.

– Za późno. Zabraliście się do tego po prostu za późno, a teraz ktoś usunął wszystko, a wy nie macie pojęcia kto – powiedziała ostro.

– Być może... Ale... Jest jeszcze jedna opcja...

Lia spojrzała na niego pytająco.

– Być może Jasper sam usunął konta. Może z jakiegoś powodu on nie chce być znaleziony? Żeby wykasować profil, trzeba się zalogować, a więc konieczna jest znajomość hasła...

– Ale to oznaczałoby... – Lia odwróciła się w stronę łodzi, przy której wypłynął jeden z nurków – że mój syn żyje...

– Tego nie możemy być pewni.

Kees Herder powiedział coś jeszcze, ale Lia Kornmann nie słyszała już jego słów. W jej sztywnym z zimna ciele pojawiło się małe i słabe źródło ciepła. Gdzieś w tle donośny głos rozdzielał grupy do dalszych poszukiwań. Nurkowie wychodzili z wody, by się ogrzać i zjeść zupę.

– Proszę mi jutro dać znać, jeśli na nagraniach z kamer pojawi się mój syn. A teraz przepraszam, ale musimy ruszać dalej.

Było już ciemno, gdy Lia stanęła przed drzwiami budynku, w którym mieszkała. Przez chwilę bezskutecznie szukała w torbie kluczy, czując narastającą irytację i łzy piekące pod powiekami. Godzinę wcześniej, gdy zapadał zmrok, w jednej z grup nastąpiło poruszenie. Ktoś otrzymał telefon. Skontaktowano się z Lią. Coś zostało znalezione i potrzebna była jej obecność. Hiske, która cały dzień trzymała się blisko Lii, dając jej jednak przestrzeń i nie napadając natarczywie swoją troską, zaoferowała się zabrać ją na podaną w wiadomości ulicę znajdującą się w zupełnie innej części miasta. Nim przybyła na miejsce, tonącą w mroku ulicę wypełniały już światła radiowozu. Lia wysiadła z auta. Ktoś robił zdjęcia nad wodą kanału. Błyskała lampa obiektywu. Najpierw nie mogła dojrzeć, co fotografowano. Grupka ludzi osłaniała skutecznie widok. Gdy ją zauważono, głosy umilkły i postacie rozstały się. Na ulicy leżał rower. Jedno koło było wykrzywione, szybki światła zbite.

– Nie byliśmy pewni, czy to ten sam, ale wygląda jak ten na zdjęciu. Dla pewności powiadomiliśmy policję i zadzwoniliśmy od pani. To miejsce nie leży na wyznaczonej trasie, ale szukających było tak wielu, że rozbiliśmy niektóre grupy

i poszerzyliśmy zakres poszukiwań... – Mężczyzna, który do niej podszedł, zasypał ją informacjami.


Lii wystarczyło jedno spojrzenie na rower. Wiedziała od razu. Poczuła ramię Hiske, które otoczyło ją i przytrzymało, ale otrząsnęła się z niego. Skinęła głową, po czym obróciła się i odeszła. Jeśli była w niej jeszcze jakaś resztką nadziei, to widok roweru Jaspera wyciągniętego z wody po drugiej stronie miasta zgasił ją skutecznie.

Jej zziębnięte i pozbawione czucia palce natrafiły wreszcie na klucze ukryte w zakamarku torby. Nim zdążyła jednak przekręcić je w zamku, usłyszała za sobą kroki, a zaraz potem usłyszała zabarwiony dziwnym akcentem głos.

– Lia Kornmann?

Obróciła się i w świetle ulicznej lampy zobaczyła drobną kobiecą postać odzianą w długi czarny płaszcz. Nie rozpoznała twarzy, na którą lodowaty wiatr zwiewał kosmyki ciemnych włosów. Oczy kobiety patrzyły na nią niepewnie. Postąpiła krok w jej stronę. Lia poczuła nagle, że cokolwiek kobieta przyszła jej powiedzieć, ona nie była w stanie ani nie chciała tego usłyszeć.

29

 Tamtego lata Joanna wygrzebała stary aparat fotograficzny taty. Albo pracowała, albo fotografowała, włóczęc się po mieście i okolicy. Swoje upokorzenie i żal chowała za obiektywem aparatu. Wmawiała sobie, że wcale nie unika Julii, która po powrocie z wyjazdu z rodzicami często zachodziła do ich domu, zwykle nie zastając Joanny. Wreszcie zaczęła przychodzić do warzywniaka, gdzie Joanna pracowała.

Wkrótce lato minęło i znów siedziały obok siebie w zatłoczonym osobowym do Warszawy, tym razem ciche i zmieszane. Stolica była wdzięczną modelką. Pozowała chętnie do zdjęć i Joanna zatracala się w pogoni za nowymi ujęciami, miejscami, odkrywając magię zakątków i uliczek. Kiedy została zaproszona na urodzinowe przyjęcie wspólnej koleżanki, długo wahała się, czy iść. Nie miała jednak dobrej wymówki, a impreza odbywała się piętro niżej w akademiku. Była pewna, że spotka tam przyjaciółkę, kiedy jednak mijały godziny, a Julia nie pojawiała się, Joanna zaczęła ostrożnie wypytywać solenizantkę o to, czy Julia została zaproszona.

– No jasne. Tylko ona chyba jest chora, i to już od dłuższego czasu. Nie wiedziałaś? A ja myślałam, że się przyjaźnicie.

Joanna opuściła przyjęcie niezauważona, wsiadła do autobusu i pół godziny później stała w studenckim mieszkaniu przyjaciółki. Julia miała na sobie pomietą pizamę, a jej szara cera i podkrążone oczy nie pozostawiały wątpliwości co do stanu zdrowia. Postawiła na biurku dwie szklanki herbaty, ale nie tknęła swojej. Próbowaly rozmawiać, ale Joannie zdawało się, że zdania rozpadają się na cząstki i sypią jak piasek. Wyszła do ubikacji, by odetchnąć od wiszącego między nimi napięcia. Gdy wróciła, Julia siedziała na tapczanie z nogami podkulonymi pod siebie i głową opartą na kolanach. Kiedy podniosła twarz, Joanna zauważyła, że przyjaciółka płakała.

– Julia? Co się dzieje? Coś się stało? Źle się czujesz? – Zaniepokojona wsunęła się na tapczan obok przyjaciółki.

Julia schowała twarz i milczała przez parę minut.

– Unikasz mnie – powiedziała.

– Nie, ja... – Joannie trudno było skłamać, ale nie potrafiła powiedzieć prawdy.

– Wiesz, że ja zawsze byłam zazdrosna?

– Zazdrosna? – Przez chwilę Joanna nie miała pojęcia, o czym konkretnie Julia mówi. Jej głos był stłumiony, twarz wciśnięta w kolana. Ciemne włosy osłaniały ją jak woal.

– Tak. O ciebie i Tomka.

– Nie rozumiem... – Joanna poczuła narastającą panikę. Tomek był ostatnią rzeczą, o której chciała rozmawiać. Nie potrafiła nawet wypowiedzieć jego imienia bez tej bolesnej kulki w gardle. – Przecież... zawsze byliśmy we trójkę: ty, ja i on...

– Ale on zawsze lubił ciebie bardziej. To do ciebie napisał rok temu.

– Tak, ale... ja napisałam pierwsza... – Joanna się broniła. Niespodziewanie zdała sobie sprawę, że tłumaczy się, jakby zrobiła coś złego.

– Asia, ja widziałam, jak on na ciebie patrzył, kiedy wrócił. I znowu poczułam tę zazdrość... – Julia podniosła na nią zapłakane oczy, w które Joanna patrzyła z przerażeniem. Miała uczucie, że ta rozmowa prowadzi do jakiegoś ciemnego

zaułka, gdzie czyha niebezpieczeństwo. Julia schowała twarz w kolanach. Joanna chciała ją objąć, ale wtedy usłyszała jej cichy stłumiony głos.

– Jestem w ciąży...

– W ciąży...?

Joanna poczuła, jak jej ciało sztywnieje, a ramiona, które chwilę wcześniej chciały objąć drżące ciało Julii, leżały ciężkie i nieruchome na jej kolanach, niezdolne do żadnego ciepłego gestu.

– To dziecko Daniela? – spytała i czekała na odpowiedź jak na wyrok.

– Nie, Daniel zawsze używa...

– Okej – przerwała jej i obie zamilkły. Joanna dała sobie czas, żeby słowa Julii dotarły do niej.

– Więc... – zaczęła drżącym od emocji głosem, gdy znaczenie tego, co usłyszała, dotarło do niej, jak dewastujący wszystko po drodze huragan. – Przespałaś się z nim, bo... byłaś zazdrosna?

– Wiem, jestem taka głupia. – Julia zaczęła szlochać z twarzą wciśniętą w kolana. – Boże, jaka ja jestem głupia... A teraz jeszcze to...

Joanna ocknęła się i wstała z tapczanu. Na sztywnych nogach ruszyła w stronę drzwi. Julia podniosła twarz.

– Wychodzisz? Asia...! Nie możesz mnie teraz zostawić!

– Mogę. – Joanna starała się, by jej głos brzmiał chłodno i nie załamał się od wstrzymywanych łez.

– Ale... to ty dopiero co powiedziałaś, że zawsze trzymamy się razem! I wychodzisz teraz, kiedy najbardziej cię potrzebuję?!

Joanna obróciła się. Twarz Julii umazana tuszem i łzami była wykrzywiona desperacją, złością i bólem.

– Wszystko się zmieniło, Julka.

– Myślisz, że o tym nie wiem?! – Julia uniosła się z miejsca, a jej głos był teraz jak tamta burza na jeziorze. – Od razu wyciągasz wnioski, że to moja wina! Nie pomyślałaś, że to on? Że on wszystko zniszczył?! Ja też byłam przerażona tamtej

nocy po tym wszystkim, co zaszło na jeziorze! Potrzebowałam, żeby ktoś mnie przytulił, okej?! To on mnie wykorzystał! Może Tomkowi wydawało się, że może mieć nas obie?! A teraz popatrz na mnie! On wyjechał, ty odchodzisz, a ja...! Co będzie ze mną? I z tym?! – Wzburzona wskazała dłońmi na swoje łono i Joanna nagle poczuła się głupio.

Wróciła na swoje miejsce i opadła ciężko na tapczan. Może Julia miała rację? Tomek nic Joannie nie obiecywał. Nic się tak naprawdę nie wydarzyło między nimi, a te drobiazgi urosły w jej głowie do rozmiarów romansu stulecia. Widzieli się tylko raz po tamtych zdarzeniach nad Wigrami, ale nie chciała z nim rozmawiać. Nie otworzyła też listu, który wysłał do akademika. Dowiedziała się, że tydzień po tym, jak zdał egzamin na prawo jazdy, rzucił pracę w wypożyczalni kajaków i wrócił do Niemiec.

– Zrozumiem, jeśli wyjdiesz. – Julia pociągnęła nosem, ale wzburzenie minęło i mówiła już spokojniej. – Ale mówiąc szczerze, nie wiem, jak sobie sama dam radę...

– Nie jesteś sama – powiedziała cicho Joanna i położyła dłoń na dłoni przyjaciółki. – Ja ci pomogę, ale... Julka... musisz mu powiedzieć.

– Co? Nie! – Julia uniosła się i pokręciła zdecydowanie głową. – Nie waź się mu powiedzieć. On tam pracuje, żeby zebrać kasę na studia. Żeby zbudować przyszłość. A to... to nie jest przyszłość, jakiej on chce... Obiecuj mi, że mu nie powiesz! Damy sobie radę we dwie! Ty i ja! Razem! Obiecuj, że mu nie powiesz! Obiecuj!

Julia patrzyła żarliwie w jej oczy. Joanna skinęła. A potem przyjaciółka wyrwała rękę spod jej palców i rzuciła się w stronę ubikacji, skąd chwilę potem dobiegł Joannę odgłos torsji.



Czekała, aż opuści budynek. Dopiero gdy upewniła się, że ruszył w stronę podziemnego parkingu, wysiadła z nieprawidłowo zaparkowanego na ruchliwym

placu auta i podeszła do drzwi, za którymi jakiś czas temu zniknął Tomek. Rozejrzała się wokół, po czym wyjęła z kieszeni kartkę i spisała nazwiska mieszkańców. Nie miała pojęcia, kogo odwiedził Tomek, ale zamierzała się dowiedzieć. Odjechała z placu, podążając za wytycznymi nawigacji w komórce. Kwadrans później zaparkowała pod centrum budowlanym, gdzie zaopatrzyła się w rękawice, obcęgi, latarkę. Najwięcej kosztowały ją specjalne nożyce dźwigniowe do przecinania prętów. Wróciła do centrum i w jednym ze sklepów odzieżowych zakupiła ciepłe ubrania, włącznie z czarną kurtką i czapką. Kiedy była gotowa, zostawiła samochód na parkingu i usiadła w jednej z kafejek. Zamówiła spóźniony lunch, lampkę wina i kawę, po czym z kartką w dłoni zaczęła wpisywać w wyszukiwarkę nazwiska mieszkańców budynku przy placu, na którym stała fontanna z posągami Merkurego. Najpierw obawiała się, że nawet sprawdzając dokładnie każdą z osób, nie będzie w stanie się domyślić, kogo odwiedził Tomek, ale kiedy wpisała w wyszukiwarkę L. Kornmann, jej serce zamarło. Drżącą dłonią odstawiła filiżankę i pośpiesznie zaczęła przeglądać strony, które wyświetliła wyszukiwarka. Kwadrans później Joanna Sandorska zapłaciła za niedojedzony lunch i pośpiesznie udała się do samochodu. Resztę dnia spędziła w lodowatym chłdzie, wędrując ulicami miasta i próbując podążać za grupą ludzi uczestniczących w poszukiwaniach zaginionego ponad dwa tygodnie wcześniej syna redaktorki naczelnej popularnego czasopisma „Chic”. Joanna rozpoznała twarz chłopca. To jego widziała z Tomkiem ponad dwa tygodnie wcześniej. Długo trwało, nim wśród licznie przybyłych udało się jej odnaleźć twarz kobiety. Joanna trzymała się na uboczu, nie spuszczać wzroku z Lii Kornmann i czekając na odpowiedni moment. Kiedy jednak wśród nagłego poruszenia kobieta wsiadła do auta i odjechała niemal z piskiem opon, Joannie wydawało się, że jej szansa przepadła. Mogła zrobić tylko jedno. Wrócić pod budynek, gdzie mieszkała Lia, i czekać.

Jej cierpliwość została wynagrodzona i w końcu zobaczyła zgarbioną postać powoli zbliżającą się do wejścia. Lia Kornmann przez chwilę szamotała się z torebką. Joanna rozejrzała się. Były same. Ruszyła w stronę kobiety.

– Lia Kornmann? – upewniła się.

Kobieta obróciła się i zmierzyła Joannę zmęczonym chłodnym wzrokiem. Powiedziała coś po niderlandzku, ale widząc konsternację na twarzy Joanny, przeszła na angielski.

– Tak. Czego pani chce? – Nie próbowała nawet udawać, że ma ochotę na tę rozmowę.

Przez chwilę szorstki ton kobiety pozbawił Joannę pewności siebie. Szybko jednak pozbierała się i postąpiła krok w stronę Lii.

– Czy... Czy nazwisko Tomasz Rajter coś pani mówi?

Lia Kornmann ściągnęła brwi i powoli skinęła głową. Joanna nabrała powietrza w płuca.

– Tomasz Rajter zrujnował moje życie.

– I co to ma wspólnego ze mną?

– Pani syn zaginął, prawda? Jasper? Dwadzieścia lat temu to samo spotkało moją najlepszą przyjaciółkę. Zniknęła. I została odnaleziona... – Joanna próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

– Czego pani chce?! – Lia Kornmann przerwała jej ostro i ruszyła ku niej jak rozpędzone auto. – Co pani sobie myśli? Kto dał pani prawo naruszania mojej prywatności?! Skąd pomyśl, że interesują mnie pani historyjki? Albo że on mnie interesuje? A może chodzi o miejsce w gazecie, co? Tego pani chce? Rozgłosu? Sławy? Pięciu minut uwagi? Myśli pani, że jest pani jedyna? – Lia Kornmann wbiła wskazujący palec w klatkę piersiową przerażonej Joanny i mówiła dalej, wyrzucając z siebie słowa w nieopanowanej furii: – Nikt inny nie chce słuchać pani dramatów? A może Thomas nie chce mieć z panią nic wspólnego? Może ma pani patologiczną potrzebę mieszania w ludzkich życiach, co? Niech pani sama załatwia swoje sprawy! Proszę mi dać spokój i proszę nie wymawiać imienia mojego syna! Jeśli zobaczę panią tutaj jeszcze raz, zadzwonię na policję, rozumie pani?!

Joanna odzyskała władzę w nogach, którą przez chwilę ograniczył wywołany strachem paraliż. Takiej reakcji się nie spodziewała. Poderwała się do biegu

i zatrzymała dopiero przy aucie, gdzie oparta o chłodną karoserię wybuchła płaczem. Czuła się upokorzona i bezbronna. Otworzyła bagażnik. Obrzuciła wzrokiem zakupione rzeczy, zerknęła na godzinę wyświetloną na telefonie komórkowym i wytarła oczy wierzchem dłoni. Była głodna i zmarznięta, ale to nie miało znaczenia. Musiała skończyć to, co zaczęła. Nie mogła się teraz wycofać tylko dlatego, że ktoś był niemiły, albo z powodu drobnego dyskomfortu. Z parkingu pojechała prosto do fabryki. Zatrzymała auto spory kawałek dalej i piechotą podeszła do budynku. Kiedy wyszła na główną ulicę prowadzącą do budynku, z daleka zobaczyła bus Tomka. Nie była zaskoczona. Co wieczór zostawał w fabryce do późnych godzin. Wiedziała, że będzie musiała czekać. Powoli podeszła, jak najbliżej mogła. Ruszyła zdecydowanie wzdłuż ogrodzenia na tyły budynku. Chciała znaleźć odpowiednie miejsce, by odczekać, aż mężczyzna opuści budynek. Musiała być niewidoczna, ale nie mogła przegapić momentu, gdy odjedzie. Po jakimś czasie wreszcie usłyszała zgrzyt bramy i brzęk kluczy, a zaraz potem trzaśnięcie samochodowych drzwi i warkot silnika. Dla pewności ostrożnie przemierzyła kawałek drogi wzdłuż ogrodzenia, by między gałęziami krzewów zobaczyć światła busa, odjeżdżającego spod zabudowań. Joanna odczekała chwilę i wróciła do auta. Najpierw pojechała do hotelu, żeby włożyć cieplejszą odzież, po czym wyruszyła ponownie w stronę fabryki. Recepcjonista uśmiechnął się przyjaźnie. Mówiła mu, że jest fotografką, i ostrzegała, że będzie uciążliwym gościem, który w różnych porach wychodzi i wraca, więc nie zdziwił się, gdy ją zobaczył ubraną na czarno.

– Sowy. – Wzruszyła ramionami i wskazała na plecak, insynuując, że zawiera aparat fotograficzny. – Nie chcę polować w dzień – powiedziała, odwzajemniając jego zafascynowany uśmiech.

Zaparkowała auto na tej samej bocznej drodze. Wyjęła z bagażnika plecak ze sprzętem, nasunęła czapkę na głowę i pieszo przemierzyła dystans, który dzielił ją od zabudowań fabryki. Trzymała się pobocza gęsto porośniętego drzewami i krzewami. Na tle ciemnego nieba nieczynne betonowe kominy fabryki pięły się ku chmurom jak wyciągnięte po ratunek ramiona, a zabite deskami okna niczym

zasłonięte niewidzące oczy trwały nieruchome. Dotarła do miejsca, gdzie za siatką pod betonową ścianą budynku wielka sterta gruzu i gratów tworzyła pagórek, po którym mogła się dostać do niedbale zabitych okien. Zdjęła plecak i usiadła skulona, opierając się plecami o ogrodzenie. Mogła zacząć od razu, ale najpierw chciała się upewnić, że teren jest bezpieczny. Jak każdy dobry fotograf była do tego przyzwyczajona: do czekania na odpowiednią chwilę, na to jedno idealne ujęcie warte godzin wytrwałości i cierpliwości, bólu i niewygody. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu, który zapomniała wyciszyć. Przeklęła cicho i w pośpiechu wyjęła komórkę z kieszeni kurtki. Aparat prawie wyślizgnął się z jej rąk. Na wyświetlaczu zobaczyła imię Patrycji. Westchnęła ciężko i odrzuciła połączenie. Kilka minut później otrzymała wiadomość o kolejnym już nagraniu na poczcie głosowej, które jej agentka zostawiała za każdym razem, gdy dzwoniła, a dzwoniła regularnie. Joanna odsłuchiwała nagrania i kasowała. Nie miała głowy do wyjaśnień. A poza tym, jak miałyby to wszystko wyjaśnić?

Wsunęła wyciszony telefon do kieszeni kurtki i powoli zaczęła przecinać siatkę tuż przy samej ziemi. Zadanie nie było łatwe, jej dłonie były sztywne z zimna mimo skórzanych rękawiczek. Próbowwała robić jak najmniej hałasu i przeciąć ogrodzenie w taki sposób, by potem zamaskować dziurę. Siatka była jednak zardzewiała, a ostre odcięte pręty raniły jej palce przez materiał rękawiczek. Od czasu do czasu robiła pauzę i nasłuchiwała w ciemnościach. Miała ze sobą latarkę, ale bała się jej używać, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi.

W końcu udało się jej przeciąć tyle ogrodzenia, że utworzyła się spora luka. Joanna schowała nożyce i przesunęła najpierw plecak, żeby mogła sama przeczołgać się na drugą stronę. Obejrzała stertę gratów i gruzu, która miała być jej schodami do okna. Musiała zaryzykować lub szukać innego sposobu. Nie wiedziała, co lub kogo zastanie w środku, była więc ostrożna i cicha. Powoli zaczęła wspinać się w stronę okien. Co jakiś czas czuła, że stopy obsuwają się jej niebezpiecznie, ale poza tym pagórek zdawał się wystarczająco stabilny. Dotarła do małego prostokątnego okienka zabitego dwiema deskami. Czy da radę się przez nie przedostać? Zsunęła z ramion plecak i wyjęła z niego obcęgi. Musiała zdjąć

rękawiczki, bo nie była w stanie podważyć gwoźdźcia i uchwycić go tak, by móc pociągnąć. Stała tak niestabilnie, że z trudem mogła znaleźć oparcie. Z ogromnym wysiłkiem udało się jej w końcu usunąć jeden z gwoździ, ale wiedziała już, że nie było to tak łatwe, jak wydawało się z tamtej strony ogrodzenia. Zabrała się właśnie do kolejnego gwoźdźcia, gdy usłyszała nadjeżdżające auto. Przywarła do ściany, choć wiedziała, że tu, gdzie stała, nie była widoczna z miejsca, gdzie znajdowała się brama. Zacisnęła palce na obcęгах, jakby stanowiły broń, i nasłuchiwała. Trzasnęły drzwi. To musiał być Tomek. Dlaczego przyjechał? Może wracał tu co noc? Szybko jednak zdała sobie sprawę, że nie słyszy brzęku kluczy, jedynie trzask, jakby coś metalowego pękło. Chwilę potem dał się słyszeć kolejny trzask i skrzypnięcie drzwi. Joanna czekała z bijącym sercem. Mijały minut głębokiej, przerażającej ciszy, w której żałowała, że kiedykolwiek przyszedł jej do głowy ten niedorzeczny plan. A potem starymi murami budynku wstrząsnął krzyk, krótki i urwany tak szybko, że gdy umilkł, Joanna nie potrafiła powiedzieć, czy naprawdę go słyszała. Trwała wczepiona drżącymi palcami w zimny mur. Bała się zostać i bała się uciekać. Spojrzała w dół, próbując ocenić, jak najszybciej i najbezpieczniej mogła zejść. Gdy do jej uszu dobiegł szum silnika, zdała sobie sprawę, że pod budynek fabryki podjeżdża kolejne auto. Trzasnęły drzwi i echo przyniosło odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł ku zabudowaniom. Poczła narastającą panikę. Odsunęła się od ściany i postąpiła naprzód. Poczła, jak coś obsuwa się pod ciężarem jej ciała. Straciła równowagę i nie mając się czego chwycić, upadła, a potem zsunęła się niekontrolowanie w dół wzdłuż ściany, pociągając za sobą część tego, co tworzyło pagórek. Wpadła w jakiś rów między murem fabryki a gratami i gruzem. Próbowała się podnieść albo przekreślić, ale jej ruch spowodował, że sterta ożyła i w ułamku sekundy graty ze szczytu obsunęły się. Joanna zakryła twarz dłońmi. Coś stoczyło się i zatrzymało na jej nodze. Spuściła dłonie i ze zgrozą zobaczyła, że jej stopę przywalił kawał betonu. Zdała sobie sprawę, że została uwięziona. Ból przeszył jej kostkę, promieniując aż do kolana. W tle usłyszała odjeżdżające auto, a potem zapadła długa ogłuszająca cisza,

w której Joanna słyszała jedynie rytm swojego serca i chrzęst gruzu, który obsuwał się powoli.

30



padł do budynku fabryki z bijącym sercem. Kłódka u drzwi była przecięta, podobnie jak ta przy łańcuchu, który zabezpieczał bramę. Niemal od razu po tym, jak wszedł do wnętrza, otoczył go mrok. W szoku, którego doznał, widząc otwartą bramę, nie pomyślał o zabraniu latarki, ale nie było już czasu, by wracać do busa. Po omacku i w zupełnej ciszy przemieszczał się w kierunku pomieszczenia, gdzie znajdowała się kryjówka Jaspera. Wkrótce zobaczył wąską smugę światła padającą spomiędzy otwartych drzwi i poczuł, jak oblewa go zimny pot. Szybko przemierzył dzielący go od pokoju dystans.

– Jasper? – szepnął, otwierając drzwi szerzej.

Pomieszczenie było jednak puste. Nosiło wyraźne ślady walki. Po podłodze wałały się przedmioty, których używał chłopak, przewrócona butelka leżała w kałuży wody. Pościel, śpiwór i koce, pod którymi zwykle leżał, zbroszone były krwią. Nie było wątpliwości, że Jasper nie opuścił tego miejsca z własnej woli.

Tomek zastygł w kompletnym paraliżu. Wtedy usłyszał szelest. Gdzieś we wnętrzu budynku coś się poruszyło. W starych pustych murach budynku dźwięki roznosiły się spotęgowane echem. Bez chwili namysłu Tomek chwycił latarkę, walającą się po betonowej podłodze pośród innych przedmiotów, i ruszył w stronę, skąd dobiegł go szelest. Omiatał strumieniem światła ciemne kąty i zakamarki.

Znał budynek już całkiem nieźle, wiedział, że za dużą halą z kolumnami i stropem mieści się korytarz, a za nim schody prowadzące na piętro. Jedną część fabryki stanowiła obszerna sala, drugą małe pomieszczenia sanitarne i biurowe, sterownia oraz magazyny. Próbował wyteżać słuch. Poruszał się pod ścianą hali, większość pomieszczeń była już pozbawiona drzwi, które usunięto razem z resztą niepotrzebnego gruzu. Kontrolował każdą przestrzeń. Nagle był pewien, że od strony schodów do jego uszu dotarł cichy, stłumiony jęk. Ruszył tam najszybciej i najciszej, jak to możliwe, już bez zaglądania do mijanych pomieszczeń. Był już prawie przy rogu, za którym schody pięły się na piętro. Miał wrażenie, że słyszy ciężki oddech. Nim jednak postawił ostatnie kroki w obranym kierunku, zdał sobie sprawę, że oddech, który słyszał, dobiega z za jego pleców. Poczł tępy ból, a potem wszystko okryła ciemność, która wessała go jak próżnia.

Obudził go niemowlęcy płacz, dobiegający z daleka, stłamszony, jakby ktoś siłą chciał uciszyć dziecko. Tomek próbował się poruszyć, ale jego ciało zdawało się zbyt ciężkie i skrępowane, by mógł wykonać jakikolwiek ruch. Musiał się podnieść, odszukać płaczące niemowlę, nie mógł jednak unieść powiek. Czuł, że stało się coś złego. Jego umysł był otumaniony, kończyny zdrętwiały, a mimo to wiedział, że jeśli nie wstanie na czas, coś okropnego wydarzy się tuż obok.

Ocknął się na zimnej betonowej podłodze i szybko zorientował, że dostał czymś po głowie. Odczekał chwilę, starając się ocenić swoją sytuację i otrząsnąć się z mar. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ani nie miał pewności, czy intruzi opuścili już budynek. Gdzieś dalej leżała latarka, która musiała wypaść mu z ręki, kiedy upadł. Smuga światła, jak promień słońca, sączyła się wzdłuż podłogi. Poprzez ból, który rozsadzał mu czaszkę, próbował skoncentrować myśli i zmusić wszystkie zmysły do wyteżonej pracy. Gdy do jego uszu nie dotarło nic poza głuchą ciszą, spróbował się podnieść, wspierając o ścianę. Dłonią skontrolował tył głowy. Krwawił, ale niezbyt obficie. Sięgnął po latarkę i zataczając się, na sztywnych nogach krok za krokiem ruszył do pomieszczenia Jaspera. Stał w otwartych drzwiach. Pokój był ciemny. Przesunął smugę światła po pozostawionym przez intruzów na podłodze bałaganie, szukając wskazówki, śladu,

czegokolwiek, choć nie sądził, by coś po sobie pozostawili. Miał się już obrócić i odejść, gdy światło padło na ścianę. Widok zaparł mu dech w piersiach, a krew na chwilę stężała w tętnicach. Rozszerzonymi przerażeniem oczyma Tomek odczytał krwawy napis na betonowym murze. ZAPŁACI. Poczul, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz, i bezskutecznie próbował opanować drżenie rąk, gdy wybierał numer alarmowy w telefonie komórkowym. Miał wrażenie, że trafienie w odpowiednią cyfrę na wyświetlaczu było wyczynem ponad jego możliwości.

– Nazywam się Tomasz Rajter i chcę zgłosić przestępstwo.

Było po trzeciej nad ranem, gdy dotarł do centrum miasta. Nie trudził się odpowiednim parkowaniem busa. Zostawił go tuż pod drzwiami budynku. Wcisnął przycisk domofonu kilkakrotnie. Musiał oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Rana z tyłu głowy nadal krwawiła, dokuczały mu mdłości i zawroty.

– Słucham? – odezwał się zaniepokojony głos Lii Kornmann.

– Lia, to ja, Tomek. Thomas. Wpuść mnie – poprosił, a gdy drzwi zostały odblokowane, wspiął się z trudem na piętro.

Stała już w progu swojego apartamentu. Nie wyglądała na śpiącą, jedynie zmęczoną i zrezygnowaną. Otuliła się ciasniej szlafrokiem. Jej oczy z ciemnymi kręgami śledziły go badawczo spod ściągniętych brwi. Dopiero gdy przed nią stanął, zobaczyła krew i wyraz jej twarzy zmienił się od razu.

– Boże, co ci się stało? – zapytała, przepuszczając go w drzwiach.

– Nieważne – odparł krótko i zaczął krążyć po pokoju jak zwierzę w klatce. Weszła za nim do salonu, ale trzymała się z daleka, jakby bała się, że ją zaatakuje. Odwrócił się do niej i stanął, przytrzymując stołu. – Lia, musisz mi w tej chwili powiedzieć o tych wszystkich ludziach, którzy ci kiedykolwiek grozili, których artykuły odrzuciłaś, ludziach, których zwolniłaś... – mówił szybko w jakimś amoku. – Nie mamy sporo czasu. Przypomnij sobie! – ponaglał ją natarczywie.

Ona sama poruszała się jak we mgle. Tabletki uspokajające sprawiały, że wszystko było lekko rozmazane i niewyraźne.

– Słucham? Nic nie rozumiem. Po co miałabym to robić? O co chodzi? Co się stało? Czy ktoś cię napadł?

Podniósł na nią rozdrażniony wzrok. Czuł narastającą niecierpliwość.

– Lia, Jasper zniknął... – zaczął, podchodząc do niej. Wyciągnął dłoń, jakby chciał jej dotknąć, pocieszyć ją.

– Boże, czy ty dopiero teraz zdałeś sobie z tego sprawę?! – Podniosła głos.– Myślisz, że nie liczę dni i nocy, godzin, minut, sekund? Że nie słyszę jego głosu w ciemnościach? Co jest z tobą nie tak?! Po co tu przyszedłeś? Może jesteś pijany?!

Złapał ją mocno za ramiona.

– Nic nie rozumiesz! On zniknął po raz drugi. Był ze mną! Został zabrany z kryjówki!

– Co...? Co ty...?

Tomek zobaczył, jak twarz Lii zmienia się nagle, jakby sobie coś przypomniała. Mięśnie jej ramion pod jego palcami rozluźniły się, a wzrok przez chwilę utkwiał nieruchomo w jego oczach.

– Lia, skup się, do jasnej cholery! – krzyknął, potrząsając nią, jakby chciał ją obudzić lub przywołać do porządku. – Musisz przeszukać dane... – zaczął, ale ona patrzyła na niego, jakby jego słowa nie docierały do niej.

– Ta kobieta...

– Była jakaś kobieta? Zwolniłaś ją? Odrzuciłaś jej artykuł? Im chodzi o ciebie, Lia. Nie ma innego wytłumaczenia...

– Ta kobieta w drzwiach powiedziała, że to ty. Że zrujnowałaś jej życie. Że przez ciebie zaginęła jej przyjaciółka.

Puścił ją zmrożony tym, co usłyszał. Przez chwilę stali w milczeniu, mierząc się przerażonymi spojrzeniami. Wszystko wokół pociemniało. Przypomniał sobie kobiecą postać w przesmyku budynków, która zdawała się go obserwować, gdy czekał na Koena, tajemnicze auto w okolicy fabryki i pod budynkiem, gdzie mieszkała Lia. Nagle zdał sobie sprawę, że musiał się pomylić. To nie Lia miała

zapłacić, lecz on. A ponieważ nie mógł już odpokutować grzechów z przeszłości, musiał popełnić nowe, by pokuta już go nie ominęła. Ta kara musiała być przeznaczona dla niego. I była tylko jedna osoba gotowa ją wymierzyć, choć nie mógł uwierzyć, że była w stanie zrobić to w taki sposób. Nie mógł uwierzyć, że mogła go znaleźć. Nie mógł uwierzyć, że... Nim jednak myśli zdołały przyjąć formę, Lia rzuciła się na niego z siłą, o którą jej nie podejrzewał. Zachwiał się pod jej ciężarem. Biła i drapała na oślep, krzycząc wściekle.

– Co zrobiłeś z moim synem?!

Próbował osłaniać się przed ciosami. Wymierzyła mu siarczysty policzek, od którego łzy zapiekły pod powiekami. Rozległ się dźwięk dzwonka domofonu i Lia spojrzała na niego zdumiona. Oparł się całym ciężarem ciała o stół, żeby nie stracić równowagi.

– To policja. Powiedziałem im, że tu mnie znajdą.

Joanna tkwiła uwięziona między zimnym murem a kawałem betonu i kupą gruzu, która osuwała się powoli, naciskając coraz wyraźniej na jej nogę. Wsadziła dłoń do kieszeni kurtki i z przerażeniem stwierdziła, że nie ma telefonu. Musiał wysunąć się, gdy upadła. Było zbyt ciemno, by na stercie gruzu dojrzeć jakikolwiek przedmiot. Zaczęła więc po omacku dłońmi przeszukiwać teren tak daleko, jak sięgały jej ramiona. Skoncentrowała wszystkie siły. Sięgnęła za siebie ręką, wyginając się niewygodnie, by stworzyć odrobinę więcej przestrzeni między jej plecami i murem. Gdzieś tam tkwił chyba telefon. Wyczuła go palcami i chwyciła. Z ulgą wypuściła powietrze. Komórka miała odrapany wyświetlacz, ale nadal działała.

Drżącą dłonią wybrała numer do Niemiec zapisany na kartce papieru nierównym pismem Tomka. Stała przy telefonie na karty w budynku poczty. Był jesienny deszczowy dzień i Warszawa zdawała się płakać razem z nią.

– Tomek? – W tle słyszała gwar rozmów. Nie była pewna, czy to on odebrał. To, co miała zrobić, było tak bardzo wbrew jej naturalnym instyktom, że

słuchawka w jej dłoni wydawała się jej jadowitym wężem, którego ścisnęła, wiedząc, że w końcu on wbije w nią zęby pełne trucizny.

– Asia...? – powiedział tak miękko, że jej serce ścisnęło się w skurczu nieopisanej tęsknoty, szybko jednak przywołała się do porządku. Jego głos brzmiał znajomo i obco jednocześnie. Usłyszała w nim ulgę, jak gdyby jej telefon wybawił go od niebezpieczeństwa. – Boże, jak ja się cieszę, że cię słyszę! Tyle razy chciałem zadzwonić, uwierz mi... Chciałem wytłumaczyć ci, ale nie miałem odwagi, myślałem, że mnie nienawidzisz... Asia, ja...

– Tomek, musisz wracać – przerwała mu szybko, nim powiedział o jedno słowo za dużo, słowo, które sprawiłoby, że rzuciłaby słuchawką albo uległa emocjom. – Julia jest w ciąży – powiedziała chłodno, zaciskając dłoń na słuchawce.

Odpowiedziała jej nabrzmiała zaskoczeniem cisza.

– Jak to...? A Daniel? Czy Julia...? – Po chwili Tomek próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił skończyć żadnego z rozpoczętych zdań.


– Nie, Tomek. To twoje dziecko.



Nie miała przestrzeni, żeby próbować się wydostać, a każdy ruch mógł być tym błędnym, który ściągnie na nią resztę cegieł, desek i innych gratów. Starła się powoli i ostrożnie sięgać ramionami i zdejmować to, co mogła, żeby odblokować nogę. Bała się jednak narobić hałasu, więc w końcu oparła głowę o zimny mur i skupiła myśli.

– Kurwa... – szepnęła i łzy zapiekły pod powiekami, gdy poczuła rwący ból w kostce.

Było jej zimno i bała się tego, co działo się za murem we wnętrzu starej fabryki. Bała się, że zaraz ją znajdą, i jednocześnie bała się, że nigdy nikt jej tutaj nie znajdzie. Rękawem kurtki wytarła łzy spływające na policzki i mokry nos. Ścisnęła telefon skostniałą z zimna dłonią. Do kogo miałyby zadzwonić? Była sama. Tylko ona i zimny jak jej serce mur, skrywający równie przerażające obrazy.



W murach kościoła było zimno. Mimo że święta minęły, po obu stronach ołtarza pięły się obwieszane bombkami choinki, a jeden z bocznych ołtarzy został przerobiony na stajenkę. Joanna szła poboczem na sztywnych nogach. Jedyne parę pierwszych ławek było zajętych, resztę kościoła okrywał mrok. Zatrzymała się na chwilę i obróciła w stronę w stajenki, gdzie w małym żłóbku leżał porcelanowy noworodek, nieruchome błękitne oczka utkwione miał gdzieś w przestrzeń. Joanna poczuła, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz. Gdy była dzieckiem, przychodziła tu z babcią. Lubiła dźwięk organów, od którego mury zdawały się trząść, i zapach kadzideł, z których unosił się dym jak wieczorna mgła nad taflą jeziora. Tu została ochrzczona, tu odbył się pogrzeb ukochanego ojca, tu chowała się przed zimnem i tu szukała pocieszenia, choć gdyby ktoś spytał, czy wierzyła w Boga, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Ruszyła w stronę ołtarza, przed którym ustawiono dwa krzesła i klęcznik. Joanna wpatrzyła się w postacie zajmujące to honorowe miejsce. Julia miała na sobie prostą białą suknię. Jej ciemne włosy upięte w misterny kok spowijał biały welon. W dłoniach trzymała bukiet róż. Co jakiś czas nerwowo oglądała się za siebie. Gdy siedziała, wypukłość jej brzucha była jeszcze bardziej widoczna i nie pozostawiała żadnych złudzeń. Miejsce obok zajmował Tomek, nieruchomy, z pochyloną głową i dłońmi splecionymi na kolanach. Joanna podniosła wzrok na obraz wiszący nad ołtarzem na śnieżnobiałym tle między dwoma złotymi kolumnami. Przyjrzała się po raz kolejny portretowi kobiety patrzącej na zebranych, na jej błękitne szaty odsłaniające czerwoną suknię, na jej jasne długie włosy i światło promieniujące z jej postaci stojącej wśród chmur, na jej łagodne oblicze otoczone dziecięcymi twarzyczkami aniołów. Oczy kobiety z obrazu zdawały się obejmować spojrzeniem wszystkich i choć Joannie zdawało się kiedyś, że jej usta układają się w delikatny uśmiech, teraz widziała jedynie smutek. Odwróciła wzrok. Zajęła miejsce w pierwszej pustej ławce i pochyliła głowę. Wiedziała, że Julia szuka jej przerażonym wzrokiem, ale tym razem ona nie mogła znieść jej widoku. Organy huknęły i zebrani podnieśli się z siedzeń

z głośnym szuraniem. Tylko Joanna pozostała na swoim miejscu, jakby utknęła w tej ławce i nie była w stanie się poruszyć. Wtedy wydawało się jej, że to był najstraszniejszy dzień w jej życiu, lecz najgorsze miało jeszcze nadejść.

Po ślubie, który wymogli i opłacili Sawiccy, Joanna, Julia i Tomek wrócili do Warszawy w trójkę. Po narodzinach dziecka Julia miała dostać dziekanę. Tomek znalazł pracę przy ocieplaniu bloków. Joanna rzuciła się w wir nauki, a gdy zamykała książki, chwyciła aparat i schowana za obiektywem rejestrowała świat wokół niej, jak gdyby wcale do niego nie należała.



Dochodziła trzecia w nocy, gdy w murach fabryki rozległ się jakiś dźwięk. Joanna poczuła zimny pot na plecach. Skrzypnęły drzwi i po chwili do jej uszu dobiegły oddalające się kroki, a zaraz potem warkot silnika. Auto odjechało i Joanna odetchnęła z ulgą. Dopiero po minucie zdała sobie sprawę, że ponad uśpionym miastem echo niesie odgłos wyjących syren. Nie miała wątpliwości, że zbliżają się w kierunku starej fabryki. Wiedziała, że w starych murach musiało stać się coś złego i że wkrótce zostanie tu znaleziona. Zaczęła wierzgać w panice. Jej zdrętwiałe z zimna i bezruchu ciało odmawiało współpracy, dłonie nieprzyjemnie obsuwały się po ostrych krawędziach sterty, na której siedziała, gdy rozpaczliwie próbowała się uwolnić. Ucisk na nogę wzmógł się, ale nie poddawała się. Musiała się wydostać. Cegły i gruz zaczęły obsypywać się i staczać po kupie złomu w dół. Wyjęła z kieszeni telefon i poświeciła nim wokół. Trochę dalej przy ścianie zobaczyła fragment cienkiej metalowej rury. Schowała telefon i wyciągnęła ramię, ale rura była poza jej zasięgiem. Żeby przesunąć się w jej stronę, musiałyby boleśnie wykręcić nogę, tkwiącą pod kawałem betonu. Odgłos syren zbliżał się szybko. Joanna zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech lodowatego powietrza. To była jej ostatnia szansa. Wyciągnęła się najdalej jak to możliwe i obróciła w stronę ściany. Jedną dłonią podparła się na nierównym podłożu, a drugą na oślep sięgnęła w stronę rury. Po jej policzkach popłynęły łzy, gdy uwięzioną nogę przeszył ból. Jej

palce odnalazły zimną, ostrą metalową krawędź. Joanna skupiła wszystkie siły. Ostrożnie palcami uchwyciła rurę i powoli przysuwała w swoją stronę. Nie mogła jej puścić. Jeśli przedmiot stoczy się po stercie gruzu, straci ostatnią szansę na wydostanie się. Wreszcie zacisnęła dłoń na metalowej rurze. Poświęciła telefonem na fragment betonu, który przyciskał jej nogę. Wciskała rurę w różne miejsca wzdłuż nogi, by wreszcie odnaleźć najbardziej stabilne. Między nagimi drzewami widziała błyskające światła policyjnych aut, nadjeżdżających od strony miasta. Jej serce waliło mocno, łzy spływały po policzkach, choć miała wrażenie, że nie czuje już bólu, jedynie obezwładniający strach. „Teraz”, pomyślała. Z wyczuciem podważyła rurą kawał betonu i poczuła, jak ucisk na nogę zmniejsza się. Siedząc, nie mogła użyć całego ciężaru ciała, by pokonać wroga. Spróbowała raz jeszcze, jednocześnie pociągając bolącą nogę ku sobie. Poczuła, jak ostry brzeg betonu rozdziera jej skórę. Nacisnęła mocniej i wreszcie z trudem wyciągnęła nogę, podkurczając ją pod siebie. Puściła rurę, która stoczyła się w dół. Joanna zaszlochała cicho, a potem obtarła rękawem oczy i nos. Siedząc, zsunęła się po gruzie, po czym próbowała wstać, ale pokiereszowana noga odmawiała współpracy. Joanna podniosła z ziemi rurę i podpierając się nią, podeszła do ogrodzenia. Musiała przeczołgać się przez dziurę, którą wycięła w ogrodzeniu. Wydostała się na drugą stronę. Policyjne auta i karetka pogotowia podjechały pod zabudowania. Joanna rzuciła się do ucieczki, kulejąc i podpierając się kawałkiem rury. Dysząc ciężko, dotarła do auta i płacząc, wsiadła do środka. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że gdzieś na kupie złomu pod fabryką został plecak ze sprzętem, który kupiła, i upuszczone rękawiczki. Przeklęła cicho i szlochając, odjechała bez włączania świateł.

32

Kees Herder patrzył na betonową ścianę szeroko otwartymi oczyma, choć obudził się zaledwie dwadzieścia minut wcześniej. Nie był na służbie. O incydencie powiadomili go dyżurujący koledzy, z których większość opuściła już miejsce zdarzenia po tym, jak zdali mu relację z zajścia. Reszta przeszukiwała teren fabryki. Wezwana ekipa techniczna zabezpieczała pozostawione ślady. Kees jednak nie mógł oderwać wzroku od czerwonych liter namazanych na ścianie. Czuł, jak wzbierają w nim mdłości. Drżące od napięcia dłonie schował głęboko w kieszenie kurtki. Policyjne lampy rzuciły ostre światło na pomieszczenie. Miał wrażenie, że rażą go w oczy. Wyszedł z pomieszczenia, minął prowizoryczną toaletę i ruszył ku drzwiom. Stanął na zewnątrz i nabrał w płuca zimne powietrze. Potem ruszył wzdłuż murów budynku, świecąc sobie pod nogi policyjną latarką. Dochodziła piąta nad ranem i Kees miał wrażenie, że śni jakiś bardzo realistyczny koszmar. Kilka metrów dalej natknął się na usypaną kupę złomu i gruzu. Poświecił wzdłuż niej do góry. Okna ponad nią były zabite. Ruszył dalej i prawie minął gruzowisko, gdy zdał sobie sprawę, że od drugiej strony sterta wygląda na naruszoną. Przesunął po niej smugą światła. I wtedy zobaczył czarny plecak tkwiący między cegłami. Biegiem ruszył do środka, by zaalarmować ekipę techniczną.

Było w pół do szóstej, gdy wysłał wiadomość do Frei, żeby nie czekała na niego ze śniadaniem. Dojechał na posterunek, gdzie jak go powiadomiono, przebywał podejrzany w sprawie oraz matka zaginionego chłopaka. Jeszcze nim dotarł na piętro, jego uszu dobiegł podniesiony kobiecy głos, który rozpoznał od razu. Lia Kornmann stała pośrodku korytarza naprzeciw komendanta.

– Może powinien pan w takim razie pracować w księgarni, a nie w policji? Co mnie to obchodzi, że jest niedziela?! Porywacze mają też wtedy wolne?! Nie robicie kompletnie nic! Niech pan lepiej zacznie szukać mojego syna! Słyszysz pan?! Jeśli coś mu się stanie, jeśli coś jeszcze mu się stanie, jeśli go nie znajdziecie na czas... Przysięgam, rzucę was na pożarcie medialnym lwom! Nie zostawię na was jednej suchej nitki! Pozwę was do sądu, pana. – Wymierzyła palec w pierś komendanta. – I całe to biuro!

Kiedy usłyszała kroki w korytarzu, odwróciła się w kierunku Herdera, który ku nim zmierzał. Młody policjant miał wrażenie, że jej rozwścieczone spojrzenie złagodniało na jego widok. Zostawiła komendanta i podbiegła do niego.

– Gdzie pan był, na litość boską? Oni mi nic nie mówią! Thomas siedzi tam pod nadzorem, ale odmawiają mi możliwości rozmowy z nim. Mój syn... – Jej głos załamał się lekko i widział, że powstrzymywała szloch uwięziony w gardle. – Mój syn został porwany... Błagam pana...

Kees wziął ją za ramiona, delikatnie, ale stanowczo.

– Dzień dobry. Rozumiem, że jest pani przerażona. Byłem właśnie na miejscu zdarzenia. Chciałem sam wszystko zobaczyć. Są pewne ślady, które musiały zostać zabezpieczone. Jeśli da mi pani minutę, dowiem się, jak toczą się sprawy tutaj, i poinformuję panią o kolejnych krokach, ale musi się pani uspokoić.

Kątem oka widział swojego szefa, który patrzył na niego chmurnym spojrzeniem.

– Nie, pan nie rozumie! Nie ma czasu! Tam podobno była krew... – Musiała nabrać powietrza w płuca, żeby wstrzymać napływające do oczu łzy. Policjant

patrzył, jak zmagala się z emocjami, do których wybuchu nie chciała dopuścić. – Tam była krew! Jasper może być ranny! Liczy się każda minuta. Musicie...

Kees czuł, że jej ciało drży pod powierzchnią jego dłoni. Uchwycił ją trochę mocniej.

– Pani Kornmann – powiedział, starając się bardzo, żeby jego głos brzmiał spokojnie. – Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć Jaspera... – Skłamał, ale to wystarczyło, by jej ciało rozluźniło się trochę. – A teraz przepraszam, ale muszę... – Wskazał ruchem głowy na czekającego na niego parę kroków dalej komendanta. Lia skinęła głową.

Podszedł do szefa. Ten ruszył korytarzem, wyraźnie dając Keesowi do zrozumienia, że ma iść za nim. Czuł, że nie czeka go przyjemna rozmowa. Rozpoznawał tę długą i głęboką zmarszczkę między jego brwiami, która nadawała mu wygląd lwa gotowego do ataku.

– Ty zajmowałeś się sprawą? – Komendant odezwał się pierwszy.

– Tak, razem z... – odparł Kees, choć wiedział, że pytanie było retoryczne, zważywszy, iż szef nie mógł zapomnieć reprimendy, której udzielił mu parę dni temu odnośnie do zajść w klubie Bunkier.

– Dlaczego partner matki porwanego nie został sprawdzony wcześniej? – padło ostre pytanie wymierzone w Keesa jak zabójcza broń.

– Nie było podstaw, by poświęcać mu uwagę. Do tej pory to było zaginięcie, nie było powodu, by sądzić, iż chodzi o porwanie. Sam pan mówił...

– Nie było podstaw? – Mężczyzna przerwał mu szybko. – Facet pochodzi z bloku wschodniego, już samo to powinno ci zapalić czerwoną lampkę... – zaczął przez zęby.

Kees zamilkł. Wolał uniknąć scysji. Ale oskarżenie go o niechlujne wykonywanie obowiązków za bardzo go zabolalo.

– W tym kraju nie oceniamy ludzi na podstawie ich narodowości. Thomas Rajter jest legalnie zatrudniony w renomowanej firmie, gdzie jest szanowanym pracownikiem odpowiedzialnym za duże projekty. Płaci podatki, jest właścicielem

barki oraz auta typu bus, które ma na bieżąco wszelkie przeglądy – wyrecytował. Jego przełożony słuchał go z zastygłą twarzą.

– Sprawę przejmuje wydział śledczy – powiedział krótko.

Kees Herder patrzył na swojego przełożonego z nieukrywanym zaskoczeniem.

– Proszę wybaczyć, ale... matka porwanego chłopca już od dawna uważa, że nie zajęliśmy się śledztwem odpowiednio i nie zareagowaliśmy dość szybko, że nie szukaliśmy intensywnie i nie braliśmy jej obaw poważnie. Jeśli odsunie nas pan od sprawy, potwierdzi pan jedynie jej przypuszczenia.

– Słuchaj, chłopcze... jak się nazywasz?

– Herder. Kees Herder.

– Słuchaj, Kees. Zabawa w policjantów i złodziei się skończyła. Tu nie chodzi o mandat za przekroczenie prędkości, tylko o porwanie.

– Znamy okoliczności zaginięcia, jak nikt inny – zaczął Kees.

– Świetnie – przerwał mu. – Przekażcie wszystko kolegom z wydziału. – Po czym wszedł do swojego biura, przed którego drzwiami się zatrzymali.

Kees stał jeszcze chwilę ze wzrokiem wlepionym w zamknięte drzwi. Obraz krwawych liter wypisanych na betonowej ścianie wciąż jeszcze unosił się przed jego oczyma. Przymknął na chwilę powieki, żeby pozbyć się makabrycznych wizji, a potem ruszył zdecydowanie do pomieszczenia, gdzie przetrzymywano podejrzanego.

– Są już ci ze śledczego? – spytał warującego przy drzwiach kolegę.

– A skąd! Oni pracują od ósmej trzydzieści. No i jest niedziela...

– I co, on tam będzie tak siedział jeszcze dwie godziny?

– Najwidoczniej. Nie wiem. Podobno zostali wezwani natychmiast. Ale kiedy dojadą...

– Ktoś z nim już rozmawiał?

– Ci wezwani na miejsce zdarzenia. I pracownicy karetki. Dostał opatrunek, bo ma rozbitą głowę.

– Nie chce gadać?

– Wręcz przeciwnie. Właśnie chce. Powiedział, jakim autem odjechali porywacze, więc na wszelki wypadek rozesłaliśmy zawiadomienie...

– Jak to na wszelki wypadek...?

– No, gdyby się okazało, że mówił prawdę. Szef twierdzi, że to ściema, gość porwał chłopaka, a ten mu się wymknął.

Kees otworzył drzwi.

– Nie, nie, nikomu nie wolno... – Umundurowany kolega próbował go powstrzymać.

Kees posłusznie odsunął się od drzwi, choć każdy nerw w jego ciele drgał od napięcia. Nachylił się do młodego policjanta.

– Zanim ci ze śledczego przyjadą, będzie za późno... Widziałeś miejsce zdarzenia?

Rozmówca pokręcił przecząco głową.

– A ja tak. Daj mi trzy minuty. Nie będę go przesłuchiwać. Tylko na niego spojrzę, muszę wiedzieć, czy to on...

– A jak ktoś się dowie...?

– Kto? Przecież nikomu nie powiesz. A on nie ma zielonego pojęcia, kim jestem.

Kees czuł krew pulsującą do głowy. Miał ochotę popchnąć chłopaka i dostać się do pomieszczenia.

– No dobra, ale pospiesz się...

Klepnął go po ramieniu i pociągnął za klamkę. Kątem oka zobaczył, jak młody policjant natychmiast przesuwa się i staje plecami do zatrzaśniętych drzwi.

W pokoju panowała absolutna cisza. Przy stole siedział mężczyzna. Jego krótko ostrzyżone włosy nosiły pierwsze oznaki siwizny, podobnie jak lekki zarost. Kees oszacował, że był po czterdziestce, choć zmęczenie odmalowane na twarzy podejrzanego mogło dodać mu trochę wieku. Wokół głowy obwiązano bandaż podtrzymujący opatrunek, a zakrwawiona kurtka wisiała na krześle, na którym

siedział. Kiedy Kees wszedł do pokoju, mężczyzna podniósł na niego pełne oczekiwania spojrzenie.

Kees zajął miejsce naprzeciwko niego na jednym z obrotowych foteli, stojących przy prostym stole.

– Powiedziano mi, że chce pan mówić. Rozumiem, że holenderski nie jest problemem?

Mężczyzna skinął.

– Pana adwokat jeszcze nie dotarł na miejsce. Ta rozmowa nie będzie wliczona w standardowe przesłuchanie, a jej treść nie będzie użyta w oficjalnych raportach. – Kees miał nadzieję, że podejrzany się nie zorientował, że go okłamał. Policja miała prawo przesłuchać przetrzymywanego w godzinach nocnych, choć godziny te nie mieściły się w ustalonych prawem ramach czasowych zatrzymania, które obejmowały sześć godzin, nie wliczając w to godzin od północy do dziewiętej rano. Zależało mu jednak na uzyskaniu informacji.

– Niepotrzebny mi adwokat. – Tomasz Rajter przerwał mu szybko. – Czy jest już jakiś ślad? Wiadomo coś?

Kees przyjrzał się uważnie mężczyźnie. Miał mało czasu. Za mało. I za dużo ryzykował. Nie dysponował może wieloletnim doświadczeniem i nigdy nie prowadził sprawy o takim kalibrze, ale każda komórka w jego ciele mówiła mu to samo: ten mężczyzna nie porwał Jaspera de Rooija. A jednak chłopak został znaleziony w fabryce, gdzie pracował podejrzany. Tyle że na miejscu nie było żadnych śladów sugerujących, że chłopak był tam przetrzymywany siłą. Wszystko wskazywało natomiast na to, że go stamtąd siłą zabrano.

– Nie mogę udzielać żadnych informacji. Jak na razie jest pan jedynym podejrzany...

Mężczyzna spojrzał na niego. Kees nie zauważył śladu strachu w jego oczach, jakby ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Marnujecie czas. Prawdziwi porywacze odjechali, kiedy ja byłem nieprzytomny. Chcecie mnie zamknąć? Proszę bardzo. Ja się nigdzie nie wybieram.

Ale zacznijcie szukać chłopaka! – Jego ton zmienił się na niemal błagalny.

– Panie... Rajter, co Jasper da Rooij robił w fabryce, w której firma budowlana, gdzie jest pan zatrudniony, rozpoczęła pracę?

– Chował się. Znalazłem go tam, gdy pewnego wieczoru przyjechałem sprawdzić stan budynku. Był brudny, ranny i przerażony. Twierdził, że uciekł z miejsca, gdzie go przetrzymywano.

– I pan postanowił udzielić mu schronienia, nie zawiadamiając o tym nikogo?

– Jasper był przekonany, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nie tylko jemu. Bał się o Lię...

– Ma pan na myśli Lię Kornmann, matkę porwanego. – Kees przerwał mu krótko.

– Tak. – Tomasz Rajter skinął. – Błagał mnie, żebym mu pomógł, żebym zachował w tajemnicy miejsce jego pobytu do czasu, aż...

Mężczyzna urwał i Kees spojrzał na niego wyczekująco.

– Do czasu, aż porywacze zostaną schwytani – dokończył cicho.

– I jak miało się to niby stać?

Tomasz Rajter milczał. W szybcie w drzwiach Kees widział zniecierpliwione spojrzenie kolegi.

– Miałem zamiar jej powiedzieć. Dzisiaj. Miałem jej powiedzieć prawdę.

– Lii Kornmann?

– Tak. Wiedziałem, że sam nie dam rady ich znaleźć. Nie miałem nawet pojęcia, czego ani kogo szukać. Musiałem skończyć zgrywać bohatera i przyznać się do błędu na czas, zanim... Mówiłem to już tym policjantom. Byłem w fabryce przez przypadek. Zapomniałem podać Jasperowi ładowarkę... Zobaczyłem auto, potem drugie... A potem wszystko stało się bardzo szybko. Ten napis na ścianie... Jak tylko się ocknąłem, pojechałem do Lii i tam okazało się, że...

Znowu urwał i odwrócił wzrok.

– Pan się domyśla, kto stoi za porwaniem Jaspera da Rooija? – Kees zadał pytanie ostrożnie, ignorując wlepione w niego poirytowane spojrzenie za szybką

w drzwiach.

Tomasz Rajter milczał. Zaciskał dłonie do białości.

– Wczoraj wieczorem Lię odwiedziła kobieta. Twierdziła, że mnie zna, że zrujnowałem jej życie, że... – Urwał i pochylił głowę. – Ta kobieta... To mogła być tylko jedna osoba – powiedział zdecydowanie.

– Proszę mówić dalej.

– To jedyna osoba, która przychodzi mi do głowy. Ale... to prawie niemożliwe. Nie widziałem jej od prawie dwudziestu lat. Nie wiem, skąd miałyby znaleźć się w Holandii i jak miałyby mnie odszukać.

– A jednak to ją pan podejrzewa?

– Tak. Jasper twierdził, że jeden z porywaczy był kobietą.

– Potrzebne mi nazwisko.

– Joanna Sandorska.

– Zrobił to pan? Zrujnował pan jej życie?

Tomasz Rajter podniósł wzrok i oczy mężczyzn się spotkały. Gdzieś w samym rdzeniu kręgosłupa Kees czuł, po prostu czuł, że Tomasz Rajter mówi prawdę. Również chwilę później, gdy powoli skinął.

– Tak. Ale nie mogę uwierzyć, że Joanna, że ona mogłaby... – zaczął, a jego głos był nabrzmiały od emocji, jakby przeszłość dotykała go mocniej niż koszmarna terażniejszość. Zebrał się w sobie i spokojniejszym tonem powiedział: – W ostatnich dniach miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Jakieś auto stało w okolicy fabryki, potem widziałem je pod apartamentem Lii. Poprosiłem nawet o patrol policyjny, może pan to sprawdzić

Kees skinął i odnotował w głowie zdarzenie.

– Więc jest pan przekonany, że to z pana powodu Jasper został porwany?

– Nie wiem, nie wiem. – Tomasz Rajter potarł twarz dłońmi. – Najpierw myślałem, że chodzi im o Lię.

– Miał pan jakiś powód, by tak myśleć?

– Napis – powiedział w napięciu, jakby jego również prześladował obraz krwawych liter. – To, co napisano na tej ścianie, przypomniało mi o czymś, co powiedział Jasper. Mogę coś wyjąć z kieszeni kurtki?

Kees skinął głową. Mężczyzna obrócił się i po chwili na blacie stolika położył kluczyki.

– Do mojego firmowego busa. Stoi pod budynkiem Lii. W schowku leży notatnik. Zapisalem wszystko, co Jasper zdołal sobie przypomniec. Robilem notatki. Zachowalem to, co mial na sobie, gdy go znalazlem w fabryce. W workach na smieci w pomieszczeniu obok kryjowki. Pewnie juz to znalezliscie, przeszukujac budynek.

Kees patrzył na kluczyki, ale nie poruszył się. Zerknął niepewnie w stronę drzwi, ale zobaczył tylko tył głowy kolegi. Wiedział, że jeśli weźmie teraz te kluczyki, popełni straszny błąd, który może kosztować go jego ledwo rozpoczętą karierę zawodową. Powinien zostawić to tym ze śledczego. W głowie szumiała mu krew i echo słów szefa. „Zabawa w policjantów i złodziei się skończyła”. Zagryzł zęby. Sięgnął po kluczyki i powiedział spokojnie:

– Sprawdzimy wszystkie informacje.

Tomasz Rajter skinął głową z wdzięcznością. Za drzwiami nastąpiło jakieś poruszenie i do uszu Keesa dobiegły głosy. Podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

– Jest jeszcze coś. – Tomasz Rajter zatrzymał go, nim Kees sięgnął do klamki.

– Tak?

– Ta kobieta... Ta, której zdjęcie z Jasperem pod klubem Bunkier zostało umieszczone w internecie... Przedstawiła się jako Mirtis.

Kees ściągnął brwi.

– Tak twierdził Jasper.

– Więc mamy imię...

Tomasz Rajter pokręcił głową.

– Pan nie rozumie. Pochodzę ze wschodniej Polski, z miasteczka tuż przy granicy z Litwą. Mirtis to nie imię. Po litewsku *mirtis* oznacza śmierć.

Kees wbił wzrok w mężczyznę. Rozmowy za drzwiami wzmożyły się. Wyszedł na korytarz i stanął twarzą w twarz z policjantami z wydziału śledczego, jak mniemał. Mieli poważne, szare twarze noszące oznaki niewyspania. Kees zamknął za sobą drzwi, czując na sobie przerażone spojrzenie młodego kolegi, i nonszalanckim tonem powiedział:

– Zatrzymany jest do waszej dyspozycji.

A potem odwrócił się i ruszył korytarzem odprowadzany spojrzeniami trójki policjantów.

Wsiadł do auta i ruszył przez pogrążone w mroku grudniowego poranka miasto. Odnalazł firmowy bus Tomasza Rajtera i zgodnie z jego wskazówkami w schowku odkrył notatnik, w którym wiele stron było zapisanych nierównymi literami. Niektóre zdania były podkreślane. Wrócił pod budynek fabryki. Ekipa techniczna kończyła prace. Wrócił do miejsca, gdzie leżał zgubiony plecak, który zabezpieczono już jako dowód. Poinformowano go o świeżej krwi odkrytej na betonowym kawałku gruzu na stercie. Świecąc latarką, przyjrzał się miejscu po raz kolejny. Siatka ogrodzenia przecięta tuż przy ziemi wskazywała na to, że ktoś próbował przedostać się tędy na teren budynku lub z niego uciec. Skoro porywacze mogli wejść do budynku głównym wejściem, dlaczego mieliby próbować tej niezbyt dogodnej drogi? Tomasz Rajter był według własnych zeznań nieprzytomny, mieli więc również wystarczająco dużo czasu, by opuścić zabudowania. Chyba że Rajter kłamał? Albo mówił prawdę, ale na miejscu zdarzenia poza nim i porywaczami był ktoś jeszcze... Kees poświecił latarką na gruzowisko i zabite okienko. Dopiero wtedy zauważył, że brakowało gwoździa z jednej strony. Może ktoś próbował wdrzeć się do fabryki, usłyszał hałas, doznał kontuzji na niestabilnej stercie złomu i uciekł w popłochu. Równie dobrze mogli to być złodzieje stali, często odwiedzający tego typu miejsca. Kees wrócił do pomieszczenia, które było kryjówką Jaspera. Z echem słów Rajtera w głowie po raz kolejny przyjrzał się pozostawionym rzeczom, próbując omijać spojrzeniem krwawy napis na ścianie. Jego uwagę zwrócił zupełnie nowy wyłamany łańcuch

drzwiowy, który zamontowany był od wewnątrz. Gdyby Rajter siłą przetrzymał tu chłopaka, zamontowałyby zamek po zewnętrznej stronie drzwi.

– Czy wśród rzeczy znaleziono może telefon? – spytał jednego z pracujących jeszcze policjantów, przypominając sobie słowa Rajtera o ładowarce.

– Tak. Zabrano go już.

– Wiadomo, do kogo należał?

– Nie. Aparat na kartę, ale zawartość zostanie sprawdzona.

Kwadrans po siódmej Kees wsiadł znów do auta i ruszył w drogę do domu. Freya nadal spała. Kees zamknął drzwi do kuchni i włączył laptop. Kees usiadł przy stole. W wyszukiwarce wpisał podane przez Rajtera imię i nazwisko kobiety.

Kiedy godzinę później Freya weszła do kuchni, przecierając oczy i ziewając, dzbanek w ekspresie do kawy był pusty, a Kees siedział nadal przy stole ze wzrokiem wbitym w komputerowy ekran. Usiadła naprzeciw niego z łagodnym uśmiechem.

– Chyba miałaś ciężką noc... – zaczęła.

Popatrzył na nią, jakby pojawiła się znikąd. Był zmęczony i naelektryzowany myślami jednocześnie. Miała na sobie luźny turkusowy podkoszulek i jedwabne granatowe spodnie od piżamy. Włosy opadały na jej plecy i mimo że dopiero się przebudziła, pachniała ledwo wyczuwalnie polnymi kwiatami i łąką, jakby ten zapach uwalniał się z jej ciała z oddechem. Kees utkwił w niej spojrzenie. Był niedzielny leniwy zimowy poranek. Freya w gruncie rzeczy była sama jak niedzielny poranek, pełna przyjemnych doznań, ciepłego światła i błogich momentów. Co robiła w jego kompletnie popieprzonym życiu?

Kiedy wpadasz w poślizg na lodzie, jest już za późno na wyhamowanie. Można nauczyć się technik bezpiecznego upadania, rozkładania ciężaru ciała w czasie zetknięcia z powierzchnią, tak by zniwelować efekty upadku i zmniejszyć ryzyko kontuzji. Kiedy upadasz, to, w jaki sposób upadniesz, jest jedynym, co jeszcze możesz kontrolować. Ale nawet wtedy na efekty upadku wpływ mają również inne czynniki, jak choćby prędkość, z którą poruszałeś się po lodzie, czy też obecność

przeszkód lub innych osób w pobliżu. Więc możesz stracić równowagę, poślizgnąć się, zderzyć z powierzchnią w najbardziej dogodny i redukujący szkody sposób i nadal skończyć tragicznie. Kees wiedział o tym bardzo dobrze. Nie mógł zrobić nic więcej, by zapobiec fatalnemu zakończeniu swojej kariery w hokeju na lodzie. Tym razem jednak nie wpadł w poślizg i mógł winić jedynie siebie samego.

– Kees? Dlaczego mi się tak przyglądasz? – Freya usiadła naprzeciw niego przy kuchennym stole.

– Popełniam najgorszy błąd w moim życiu – powiedział do Frei i na dowód swojej winy przesunął w jej stronę notatnik Tomasza Rajtera.

33

Joanna nie pamiętała, jak dotarła do hotelu. Czuła, że stopa puchła w zastraszającym tempie, co znacznie utrudniało prowadzenie auta. Przy każdym ruchu przeszywał ją ból. Kiedy wysiadła na parkingu przed budynkiem hotelu, musiała przytrzymać się samochodowych drzwi, żeby nie stracić równowagi. Nie była pewna, czy ktoś ją widział, nie była pewna, czego świadkiem była ani czy była bezpieczna. Kulejąc, rzuciła się w stronę wejścia do hotelu, gdzie niemal od razu stanęła twarzą w twarz z młodym recepcjonistą. Obrzucił ją przerażonym spojrzeniem i skoczył ku niej, zadając całe mnóstwo pytań, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Joanna próbowała wydostać się z podtrzymujących ją ramion i uciec do pokoju, ale posadził ją na jednym z foteli w sali recepcyjnej i oddalił się, po czym wrócił z płynem do odkażania ran i opatrunkiem. Podciągnął nogawkę do góry i zdjął jej but. Polał ranę płynem. Joanna poczuła piekący ból.

– Przepraszam – powiedział i szybko założył opatrunek. – Co się stało?

– Upadłam. Potknęłam się. – Próbowała na szybko wymyślić logiczną historyjkę. – Nie patrzyłam pod nogi, tylko w obiektyw. To nie pierwszy raz.

– Może lepiej z tym pojechać do szpitala? To podadzą pani szczepionkę przeciw tężcowi... – zaczął.

– Nie, nie! – powiedziała szybko i podjęła próbę podniesienia się z fotela. Recepcjonista popatrzył na nią badawczo. – Ryzyko zawodowe. W Polsce mówimy „do wesela się zagoi”. Proszę się nie martwić. – Joanna starała się, by jej głos brzmiał lekko i przekonująco zarazem.

– To może chociaż zrobię pani ciepłą herbatę? Przyniosę do pokoju. Bo jest pani zimna jak lód.

– Holenderska pogoda nie sprzyja moim fotograficznym zamiarom. – Uśmiechnęła się blado. Zaciskała palce na poręczach fotela, żeby nie widział, jak drżą. – Bardzo chętnie napiję się czegoś ciepłego, dziękuję.

Recepcjonista pomógł jej dostać się do pokoju i obiecał wrócić za chwilę z herbatą. Hotel pogrążony był w sennej ciszy. Joanna weszła do pokoju i zdjęła kurtkę. Czuła się brudna i sztywna ze strachu i bólu. Parę minut później rozległo się pukanie do drzwi. Siedziała na łóżku i żeby nie nadwyreżać bolącej stopy, krzyknęła jedynie „proszę”. Młody mężczyzna wniósł do pokoju tacę z herbatą, ciastem, kartonem soku pomarańczowego i szklaneczką jakiegoś trunku, który pachniał mocno alkoholem i ziołami. Postawił tacę na stoliku przy łóżku, obok położył woreczek z lodem i czysty opatrunek.

– Na tę spuchniętą kostkę i gdyby trzeba było zmienić bandaż – powiedział.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale chciała tylko, żeby już wyszedł i zostawił ją w spokoju.

– Proszę dopisać to do mojego rachunku, dobrze?

– Nie ma mowy! To na mój koszt. A teraz przepraszam, ale muszę wracać na dół. Proszę odpoczywać i gdyby czegoś pani jeszcze potrzebowała, wystarczy zadzwonić.

Joanna zamknęła za nim drzwi na klucz i gdy tylko odgłos jego kroków na korytarzu oddalił się, osunęła się na podłogę i rozplakała na dobre. Wstrzymywane emocje wstrząsały jej ciałem i miała wrażenie, że zanim dojdzie do siebie, rozpadnie się na drobne kawałki. Wreszcie podniosła się z podłogi i zdjęła z siebie brudne ubrania, które upchnęła na dno szafy. Weszła pod prysznic, krzywiąc się,

gdy gorąca woda spłynęła na opatrunek, pod którym świeża rana nadal lekko krwawiła. Stała w strumieniach wody, wśród kłębow pary i czuła, jak jej sztywne z zimna i przerażenia ciało powoli się rozgrzewa. Próbowwała przekonać siebie samą, że nic się nie stało, nikt nie wie, że tam była, a w plecaku nie było nic, co wskazywałoby na jej obecność. Cokolwiek stało się w tej fabryce, ona była tu bezpieczna.

Zmieniła opatrunek na suchy i siedząc na łóżku, przyłożyła woreczek z częściowo rozpuszczonym już lodem do spuchniętej kostki. Jednym haustem wlała w siebie mocno ziołowy trunek, od którego jej gardło zapłonęło żywym ogniem, i popiła zimną już herbatą. Siedziała na łóżku, w kółko przewijając w głowie jak taśmę zdarzenia z ostatnich godzin. Co konkretnie słyszała? Po co, na Boga, tam poszła? Co robiła w tym dziwnym kraju? Dlaczego goniła za przeszłością? Co to miało jej dać? Niczego nie mogła zmienić. Po co mieszała się w to wszystko?

Otuliła się kołdrą, ale mimo że w pokoju panowało przyjemne ciepło, było jej zimno i nie mogła opanować ani drżenia, ani niepokoju. Sięgnęła po laptopa. Otworzyła przepełnioną wiadomościami skrzynkę pocztową. Jej kariera fotograficzna, która właśnie osiągnęła absolutny szczyt, spadała z niego z łomotem. I z jakiego powodu? Dlaczego? Dlaczego poświęcała nawet to, na co tak ciężko i uporczywie pracowała dla omamów z przeszłości, których nie była w stanie dogonić? Przejrzała tytuły maili, nie trudząc się odczytywaniem ich treści. Dopiero gdy natrafiła na wiadomość od mamy, otworzyła załącznik i jej oczom ukazało się pierwsze klasowe zdjęcie Joanny z podstawówki. Siedziały obok siebie na ławeczce w pierwszym rzędzie. Ona i Julia. Obie odziane w granatowe szkolne fartuszki. Włosy Joanny były zaplecione w cienkie warkoczyki zakończone kokardami, ciemne luźne kosmyki okalały drobną twarz Julii. Spod grzywki patrzyły utkwione w obiektyw bystre oczy. Joanna zbliżyła twarz do monitora, jakby chciała spojrzeć przyjaciółce naprawdę w oczy. Poczła przejmującą tęsknotę za czymś, czego odzyskać już się nie da. Po raz kolejny tej nocy popłynęły gorące łzy. Gdy wreszcie przymknęła spuchnięte powieki, gdzieś na granicy snu i jawy

w jej zmęczonej głowie mała dziecięca twarzyczka deformowała się makabrycznie, przekształcała w bolesnych grymasach, zmieniała. W końcu oczy małej dziewczynki z jej wspomnień stały się oczyma dorosłej kobiety, w które Joanna patrzyła, nim usnęła.



– Julka, musisz odpocząć. Ja to skończę, a ty się połóż. Spróbuj zasnąć – nalegała uparcie, z troską przyglądając się przyjaciółce. Oczy Julii zdobiły ciemne kręgi, jej policzki zapadły się, za to brzuch urósł i sterczał, tworząc krągłą barierę między Julią a resztą świata. Joanna z niedowierzaniem obserwowała te przemiany. Miała wrażenie, że rosnące w łonie przyjaciółki dziecko dosłownie wysysało z niej energię.

– Nie, nie chcę. – Julia postawiła garnek z zupą na gaz. Robiła wrażenie, jakby każdy najmniejszy ruch sprawiał jej trudność i kosztował wiele wysiłku. – Potem znów nie zasnę w nocy.

Był marzec. Za oknem kawalerki, w której mieszkali Tomek i Julia, kapał deszcz. Odwilż. Ostatnie resztki śniegu roztopiły się i z brązowej brei zmieniły w ciemnoszare kałuże. Joanna próbowała jak najczęściej zaglądać do Julii, która zrezygnowała już z zajęć na uczelni. Zaliczyła jedynie zimowy semestr i po sesji złożyła wiosek o urlop dziekański. Powoli i niepostrzeżenie z każdym mijającym tygodniem ciąży, z każdym przybywającym jej gramem Julia wycofywała się z kontaktów i zapadała w dziwny marazm. Joanna często zastawała ją siedzącą na tapczanie ze wzrokiem utkwionym za okno. Zapytana, co robi, Julia wskazywała dłonią na parapet, na którym brązowo-szary wróbel wydziobywał wysypane przez nią okruszki. Joanna zrobiła ptakowi parę zdjęć. Nie odlatywał, gdy podchodziła z aparatem do okna. Julia twierdziła uparcie, że to ten sam ptak przylatuje na jej parapet, i wpatrywała się w niego z rozbrajającą czułością i nieopisaną tęsknotą. Joanna wątpiła w to jednak szczerze, choć przytakiwała, by nie urazić przyjaciółki

i zrobić jej przyjemność. Czasem robiła zdjęcia Julii, ale ilekroć potem przeglądała odbitki, nie potrafiła w dziewczynie z fotografii rozpoznać przyjaciółki.

– To poleż trochę, widzę, że ci stopy znowu puchną. – Joanna podniosła się z krzesła przy małym kuchennym stole, na którym stała niedopita herbata. – Ja dopilnuję tej zupy.

– Nie chcę leżeć – odparła jak nadąsane dziecko.

– Prawie zapomniałam. Mam coś dla ciebie! – Joanna wyjęła z torby odbitki zdjęć. Bardzo krytycznie przejrzała wszystkie wykonane zbliżenia i wybrała trzy najlepsze. Położyła je na stole. Julia pochyliła się nad nimi z dłonią na krzyżu. Jej duży brzuch dotykał krawędzi stołu. Palcami przejechała po fotografiach. Na jednej z nich oczy ptaka jak czarne perły zdawały się wpatrywać w obiektyw. Palce Julii zatrzymały się na tym zdjęciu.

– Nie mamy imienia – powiedziała cicho i Joanna przez chwilę myślała, że przyjaciółce chodzi o wróbla. Zerknęła na brzuch. Nie potrafiła jeszcze wyobrazić sobie, że pod tą napiętą do granic możliwości skórą mieściła się żywa istota.

– Macie jeszcze czas. Zresztą dziecko po narodzinach potrzebuje opieki i miłości, imię to drugorzędna sprawa. – Joanna próbowała nie patrzeć na Julię. Zwykle celowo i skutecznie unikała rozmów o dziecku i nie chciała pytać o pomysły na imię ani ich słuchać.

Julia pokiwała głową i obróciła się do kuchenki. Zamieszała zupę. Stała tam wątła i tak chuda, że od tyłu, gdy nie widać było nabrzmiałego brzucha, wyglądała, jakby ta ciąża była kompletną iluzją. Joanna poczuła ścisk w sercu.

– O której wraca Tomek? – Smak jego imienia w jej ustach był cierpki.

– Nie wiem. Pewnie późno. Ciągle pracuje. Wraca. Je obiad. Ogląda telewizję. Kładzie się spać.

Tomek pracował przy ocieplaniu bloków. Joanna widziała go może dwa razy od chwili ślubu. Przychodziła do ich kawalerki tylko, gdy była pewna, że jego tam nie ma.

– Pracuje dużo, bo pewnie nie chce brać pieniędzy od twoich rodziców.

– Może – odparła Julia bez przekonania.

– To może zapytaj go dziś wieczór o to imię dla dziecka? Jak wszystko będzie gotowe i decyzja zostanie podjęta, poczujesz się lepiej.

– Pytałam. Powiedział, że jest zmęczony i wszystko mu jedno.

Joanna odwróciła twarz w stronę okna. Czuła narastającą złość, choć nie była w stanie powiedzieć, czy była zła na Tomka, na Julię, czy po prostu na siebie samą. Wraz z gniewem pojawiało się zawsze jego nieodłączne bliźniacze rodzeństwo: poczucie winy.

– Jesteś pewna, że nie chcesz sobie poleżeć? – zapytała czule.

– Przecież mówię, że nie. Aśka, daj mi już spokój. Ja nie jestem dzieckiem. Ja będę miała dziecko.

– Tak, ale... To może obejrzymy coś razem? – zaproponowała.

– Nie mam ochoty. Zresztą nie mogę się na niczym skupić. I mam jeszcze dużo do zrobienia.

Tak mówiła często, ale prawda była taka, że Joanna rzadko widziała, by Julia coś robiła poza przygotowaniem obiadu, i to najczęściej z pomocą Joanny.

– Wolisz, żebym już sobie poszła? – Starła się, by jej głos brzmiał ciepło.

– Idź, przecież wiem, że masz swoje sprawy.

Wydawało się jej, że słyszała w głosie przyjaciółki cień pretensji.

– Przyjdę jutro, dobrze?

Julia skinęła głową, a Joanna zebrała swoje rzeczy i ruszyła ku drzwiom w ciemnym, ciasnym korytarzyku. Zerknęła jeszcze na karton z nadal niezłożoną kołyską. Odwróciła się, ale Julia patrzyła już w okno, jakby nie zdawała sobie sprawy, że Joanna jeszcze nie wyszła.

Wróciła następnego dnia uzbrojona tym razem nie w obiektyw, lecz w śrubokręt i młotek pożyczone od kolegi z akademika. Posłusznie wypła herbatę, którą zrobiła jej Julia, a potem otworzyła karton z kołyską.

– Co robisz?

Julia rozłożyła na podłodze części dziecięcego łóżeczka.

– Przygotowuję kołyskę. Usiądź sobie. Możesz patrzeć, popijając herbatę.

Julia nie protestowała. Opadła na tapczan i w milczeniu obserwowała poczynania Joanny.

– Masz już coś uprane? – spytała Joanna znad desek.

W odpowiedzi Julia pokręciła głową.

– Dzwoniłam do mamy. Musisz wszystko wyprać i wygotować. Mama podała mi nazwę tego proszku przeznaczonego dla noworodków. Już kupiłam. Pomogę ci. Najpierw tetrowe pieluszki, potem ubranka i poszewki. A wózek gdzie schowałam? Do piwnicy?

Wrzuciła pieluszki do pralki, a potem wróciła i z uwagą pochyliła się nad instrukcją. Powoli skręcała śrubki i godzinę później kołyska stała obok tapczanu, a fakt, że niedługo będzie w niej spało dziecko, stał się nagle bardziej rzeczywisty i kłujący w oczy. Joanna zagotowała wodę i wrzuciła do niej pieluszki. Tego dnia została do wieczora. Rozwiesiła wyprane i wygotowane rzeczy, ugotowała ziemniaki, usmażyła kotlety, wyczyściła łazienkę i wyszła, obiecując, że wróci następnego dnia po zajęciach na uczelni. Często opuszczała wykłady, żeby zajrzeć w ciągu dnia do przyjaciółki. Robiła zakupy lub próbowała wyciągnąć z domu Julię, która sprawiała wrażenie, jakby utknęła w czterech ciasnych ścianach kawalerki. Wieczorami Tomek wracał z pracy i nie chciała składać im wtedy odwiedzin.

Zastała Julię na tapczanie ze wzrokiem utkwionym w okno. Pranie już wyschło, zebrała więc wszystko i złożyła pieczołowicie. Potem zmusiła Julię do zapakowania torby do szpitala. Julia z niemal widocznym obrzydzeniem patrzyła na bieliznę i koszulę nocną wielkości prześcieradła, które Joanna starannie prasowała i składała do torby.

– Które ubranka chcesz zabrać dla maleństwa? – Dokładała starań, by jej głos nie drżał, kiedy wymawiała to ostatnie słowo. Myśl o tym dziecku napawała ją bólem.

Julia wzruszyła ramionami. Stała przy parapecie, patrząc na małego wróbla, który entuzjastycznie podskakując, wydziobywał zostawione tam przez nią okruszki.

Joanna stłumiła westchnienie, po czym podeszła do małej komody, w której ułożyła rzeczy dziecka. Wysunęła jedną z szuflad i z poczuciem zgrozy przejechała palcami po malutkich kaftanikach i śpioszkach w neutralnych kolorach. Powinna była coś sama kupić, jakiś prezent, może ubranko albo misia. Nigdy jednak nie potrafiła się przełamać. Wyjęła komplet z żyrafą i włożyła go do torby. Zasunęła zamek i postawiła torbę w korytarzu. Potem stanęła niezręcznie. Nie oczekiwała podziękowań, ale jakiegokolwiek miłe słowo byłoby na wagę złota.

– Mam jutro zajęcia. Pójdę już – powiedziała w końcu i z ciężkim sercem wyszła na klatkę schodową. Obiecywała sobie, że następnego dnia kupi coś dziecku i przyniesie Julii, żeby ją rozweselić. Może misia, którego posadzą w kołysce. Jednak w środku nocy w akademickim pokoju Joanny rozległ się alarmujący dźwięk telefonu.



Najpierw myślała, że jej się śni, ale telefon nie milkł, a natrętny dźwięk coraz wyraźniej przedzierał się przez gęstą otoczkę snu.

– Halo? – Joanna wyciągnęła dłoń po słuchawkę, nie unosząc powiek i brodząc nadal w ciepłych oparach sennych mar.

– *Mevrouw Sandorska*, mój kolega uprzedził mnie, że miała pani męczącą noc i nie należy pani przeszkadzać, ale policja jest w tej chwili w drodze do pani pokoju. To podobno bardzo pilne i nie może czekać...

Joanna momentalnie otworzyła oczy i odłożyła bez słowa słuchawkę. Rozległo się pukanie do drzwi. Poderwała się zbyt szybko i ból w nodze przypomniał jej natychmiast, gdzie była i co się wydarzyło poprzedniej nocy. Rozejrzała się wokół z przerażeniem. Jak to możliwe, że policja ją tu odnalazła? Może byli tu w jakiejś

innej sprawie? Czy coś w pozostawionym przy fabryce plecaku mogło ją zdradzić? Pukanie do drzwi rozległo się ponownie, tym razem donośniej.

– Moment! – krzyknęła w stronę drzwi zachrypniętym głosem. Chwyciła z fotela pierwsze lepsze spodnie i naciągnęła, przytrzymując się nocnego stolika, żeby nie stracić równowagi. Kręciło się jej w głowie i czuła narastającą panikę. Opuchlizna na stopie nieco zeszła, ale Joanna wciąż jeszcze miała kłopot z chodzeniem. Kulejąc lekko, podeszła do drzwi. Przeczesiła dłonią włosy i pociągnęła za klamkę. W jakimś dziwnym marazmie spodziewała się zobaczyć przed sobą ekipę antyterrorystyczną, tymczasem stał przed nią młodziutki policjant w policyjnej kurtce i czapce z daszkiem nasuniętej na czoło. W dłoni trzymał przygotowaną legitymację policyjną, którą zaprezentował natychmiast.

– Dzień dobry. Joanna Sandorska? – wymówił jej imię i nazwisko z lekkim wahaniem. – Nazywam się Kees Herder. Jestem z policji. Możemy porozmawiać? To pilne.

Odsunęła się i wskazała dłonią, by wszedł. Obawiała się, że jeśli otworzy usta, drżenie głosu ją zdradzi. Widziała, że rozejrzał się po bałaganie w pokoju, a kiedy weszła powoli za nim, starając się nie kuleć, zerknął na jej nogę.

– Przepraszam za ten nieporządek, nie spodziewałam się nikogo – odezwała się wreszcie. – Pozwoli pan, że usiądę, dopiero się obudziłam.

Skinął głową i sam zajął miejsce na krześle przy niewielkim stoliku pod ścianą. Joanna spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Nie zdawała sobie sprawy, że tak długo spała. Zdarzenia z ostatniej nocy powracały do jej pamięci, zalewając ją raz po raz falą strachu, która odbierała oddech. Miała kłopot z zachowaniem spokoju i pragnęła napić się kawy, by otrzeźwić zmysły.

– Ciężka noc? – spytał i jego przenikliwe oczy wbite w nią sprawiły, że poczuła się wzięta na celownik.

– Tak. Chciałam fotografować w nocy, ale potknęłam się w ciemnościach i musiałam wracać do hotelu pokonana.

Pokiwał głową i omiółł spojrzeniem zawartość nocnego stolika. Joanna powędrowała oczyma za jego wzrokiem.

– O czym konkretnie chciał pan rozmawiać? Bo chyba nie chodzi o mandat za przekroczenie prędkości?

– Z uzyskanych przeze mnie informacji wynika, że moi koledzy w czasie nocnego patrolu spisali pani dane. Podobno spała pani w aucie na obrzeżach miasta w okolicy zabudowań fabryki, gdzie w tym momencie prowadzone są prace budowlane. Czy to prawda?

Joanna przytaknęła. Jego angielski był perfekcyjny. Zawsze zaskakiwało ją, że w tym kraju wszyscy bez problemu posługiwali się drugim językiem.

– Mogę zapytać, co pani tam robiła?

Kees Herder miał piękne piwne oczy otoczone ciemnymi gęstymi rzęsami. Mrużył je, przyglądając się jej. Nie umknęło jej uwadze, że mięśnie jego zuchwy napinały się za każdym razem, gdy kończył pytanie i czekał na jej odpowiedź. Miała poczucie, że coś o niej wie i jedynie czeka na odpowiedni moment, by użyć tego przeciw niej.

– Zdjęcia. Już to wyjaśniłam tamtym policjantom – odparła, unikając jego spojrzenia. – Zasnęłam w aucie, czekając, aż wiatr przegoni chmury. Nie da się robić takich fotografii w mieście z powodu oświetlenia. Dlatego byłam na obrzeżach miasta. Czy to jest nielegalne? – spytała i tym razem podniosła na niego wzrok, mając nadzieję, że udając arogancką, zyska więcej.

– Nie. Tylko dziwnym zbiegiem okoliczności w budynku, w którego okolicy pani parkowała, doszło do tragicznych wydarzeń.

– W tę właśnie noc, gdy tam byłam? – spytała twardo, wytrzymując jego spojrzenie.

– Nie, do zdarzeń doszło ostatniej nocy. Przypadkowo akurat tej nocy, podczas której przydarzył się pani wypadek. – Zerknął znacząco na jej nogę. – Jestem pewien, że nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli zapytam, gdzie konkretnie tym razem robiła pani fotografie i o której wróciła do hotelu. Oczywiście wszystkie

te informacje możemy potwierdzić dzięki hotelowym kamerom. – Tu zawiesił głos i popatrzył na nią wyczekująco.

– Nie pamiętam, o której wróciłam. Było późno i byłam zmęczona. Nie znam miasta zbyt dobrze. Wyjechałam na obrzeża, szukając miejsc, gdzie polują sowy.

– Sowy... – Uśmiechnął się lekko i pokiwał głową. Mięśnie jego szczęki drgnęły znowu. – Piękne ptaki. Może mógłbym zobaczyć kilka z tych fotografii?

Igrał z nią jak kot, który bawi się myszą z czystej przyjemności, wiedząc, że za moment ją pożre. Była tego pewna. Czuła krew pulsującą w głowie i suchość w gardle.

– Zgubiłam aparat – skłamała w panice.

– Może przypadkiem zgubiła pani również czarny plecak?

Joanna doznała wrażenia, że coś ciężkiego leżało na jej piersiach, uniemożliwiając oddech. Czuła się dokładnie tak jak ostatniej nocy, gdy jej noga utknęła pod kawałem betonu, spod którego nie mogła się uwolnić. Milczała.

– Czy nazwisko Tomasz Rajter coś pani mówi?

Tym razem nie mogła opanować dreszczy, które jak elektryczny szok wstrząsnęły jej ciałem. Może został tam zamordowany, za tą zimną ścianą fabryki, podczas gdy ona siedziała uwięziona tak blisko i tak daleko jednocześnie. W głowie szukała odpowiednich słów.

– Tomasz Rajter – powtórzył imię i nazwisko, nie spuszczał z niej wzroku.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytała wreszcie, walcząc z emocjami.

– Prawdy – odparł i po raz pierwszy jego głos brzmiał nieco łagodniej i cieplej.

Podniosła na niego wzrok. Był taki młody jak Tomek, gdy to wszystko się wydarzyło. Jak mogła oczekiwać, że ktokolwiek w tym wieku potrafiłby unieść taki ciężar? Jak mogła wymagać, by potrafił zrobić wszystko, jak należy? Jak mogła żądać, by powstrzymał nieuchronne? Poczowała łzy napływające do oczu i pokiwała głową.

– Tak, to nazwisko coś mi mówi.

– Tomasz Rajter twierdzi, że panią zna, jak również, że ma pani dobry powód, by szukać na nim zemsty.

Joanna poczuła, jak jej rozdygotane ciało drętwieje, jakby nagły dotyk lodu zamroził je na bryłę.

– Jak to...? Twierdzi...? – wykrztusiła.

– Tomasz Rajter jest tymczasowo zatrzymany w związku z podejrzeniem o udział w porwaniu małoletniego syna swojej partnerki Lii Kornmann.

– Więc on... myśli, że to ja...? – Podniosła się z krzesła. Ból przeszył jej nogę. Skrzywiła się mimowolnie.

– Czy była pani ostatniej nocy na terenie wspomnianej fabryki?

Joanna opadła na krzesło. Nie było sensu dłużej kłamać.

– Tak. Ale nic nie widziałam. I nikogo nie porwałam.

– To co pani tam robiła?


– Śledziłam Tomasz Rajtera.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– Proszę zacząć od początku. – Kees Herder patrzył na nią nieustępliwie i wiedziała, że nie zamierzał wyjść, dopóki nie wyciągnie z niej wszystkiego, co do ostatniego okruszka.

34

ia Kornmann tkwiła uparcie na policyjnym korytarzu, wodząc wzrokiem za każdym mijającym ją pracownikiem komendy. Co jakiś czas wstawiała i przechadzała się, próbując zajrzeć do pokoi. Ilekroć zatrzymywała kogoś, by uzyskać jakieś informacje, proszono ją o cierpliwość. Miała ochotę wrzeszczeć i bić. Odmówiono jej również możliwości rozmowy z Thomasem, argumentując to tym, że jest przesłuchiwany. Krew szumiała jej w uszach, oczy piekły, każdy miesiąc drgał, jakby pod wpływem ogromnego wysiłku. Powstrzymywanie wzbierającej wściekłości dużo ją kosztowało. Mijały godziny, w ciągu których miała wrażenie, że czas albo zwalniał niemiłosiernie, albo pędził jak szalony, podczas gdy ona sama uwięziona w jakimś tunelu nie mogła ruszyć ani do przodu, ani cofnąć się ku wyjściu.

Kiedy wreszcie dojrzała na końcu korytarza dwóch mężczyzn, którzy wcześniej przesłuchiwali Thomasa, prawie podskoczyła i ruszyła na nich jak burzowa chmura. Dochodziło południe. Tym razem jednak nikt nie próbował jej zbyć. Zaproszono ją do pokoju, po czym jeden z policjantów podał jej kubek z kawą.

– Cukier? – spytał, jakby celem ich spotkania było wspólne wypicie kawy.

Pokręciła głową i wbiła w niego spojrzenie.

– Czy są jakieś wieści dotyczące mojego syna?

– Pani Kornmann. – Wyższy z dwóch policjantów usiadł na krześle naprzeciw niej i coś w jego głosie sprawiło, że poczuła, jak włosy stają jej dęba. – Pani Kornmann, czy wiedziała pani, że Thomas Rajter w przeszłości był podejrzany o porwanie i zamordowanie swojej żony Julii Rajter?

Lia padła na kolana nad muszlą klozetową w policyjnej toalecie i zwymiotowała. To był jakiś koszmar. Nie zważając na higienę i resztki zdrowego rozsądku, położyła ręce na deskę klozetową i oparła na nich czoło. Dlaczego to się musiało jej przydarzyć? Jak to możliwe? Dlaczego jej syn? Dlaczego ona? Powoli podniosła się z kolan, które nadal drżały, jakby odmawiały uniesienia ciężaru ponad siły. Otarła usta i wyszła z kabiny. Nad umywalką wisiało lustro, z którego na Lię patrzył wrak kobiety. Założyła za uszy kosmyki potarganych włosów. Odkręciła wodę i ochlapała nią twarz, próbując usunąć przy tym resztki tuszu spod oczu. Wypłukała usta i zakręciła kran. Papierowym ręcznikiem otarła resztki wody i ponownie spojrzała w lustro. Co miała robić? Z korytarza dobiegł ją znajomy donośny i arogancki głos. Jej były mąż głośno i wyraźnie domagał się natychmiastowego podjęcia akcji poszukiwawczych.

Kiedy tylko były mąż kątem oka wyłapał jej sylwetkę, jego wściekłość zmieniła kierunek.

– I ty twierdziłaś, że jazda skuterem po ulicach Amsterdamu jest niebezpieczna! Jesteś śmieszna! – Rzucił w nią słowami jak kamieniami. – Ty, która zaprosiłaś do swojego domu mordercę i porywacza! Ty! Ty naraziłaś naszego syna na prawdziwe niebezpieczeństwo! I gdzie byłaś, gdy zaginął? Z kim spałaś?

Lia otworzyła usta, żeby odeprzeć atak, ale zrozumiała, że to nie miało sensu. Minęła go i ruszyła korytarzem w kierunku wyjścia. Pragnęła świeżego powietrza.

– Lia! Do jasnej cholery! – słyszała za sobą rozwścieczony głos Falco, który nagle zagłuszył szum w jej uszach.

Postąpiła jeszcze parę kroków. Miała wrażenie, że ściany korytarza przysuwają się do siebie, zacieśniają i w końcu zmiażdżą ją. Zrobiło się jej ciemno przed oczyma, jakby czarny dym unosił się znad podłogi i powoli okrywał wszystko.

Poprzez jego opary dojrzała jeszcze sylwetkę zmierzającą szybko w jej stronę i ciepły głos dotarł do jej uszu przez coraz bardziej piskliwy szum.

– Pani Kornmann...?

Podniosła wzrok i zaniepokojone piwne oczy były ostatnim, co zdołała zobaczyć, nim zemdląca.

Kiedy się ocknęła, leżała na małej sofie w jakimś pokoju biura policji. Przez chwilę patrzyła w sufit, po czym obróciła głowę. Kees Herder siedział obok sofy.

– Jak się pani czuje? – spytał, gdy jej oczy padły na jego twarz.

– Dobrze – odparła, choć uważała samo pytanie za idiotyczne. Próbowала się podnieść, ale ją powstrzymał.

– Powoli! Proszę odczekać chwilę. Musi pani coś wypić i zjeść.

Posłusznie opadła na oparcie sofy, zła na siebie i na całą sytuację. Młody policjant przysunął do sofy stolik, na którym stały talerz ze słodkimi bułeczkami, kubek z bulionem i herbata, do której wsypał dwie łyżeczki cukru.

– Ja nie słodzę – mruknęła.

– Zalecenie lekarza – odparł nieporuszony.

– Proszę nie marnować na mnie czasu, nic mi nie jest. Proszę iść szukać mojego syna.

Spojrzał na nią badawczo.

– Moi koledzy nieustannie pracują nad sprawą pani syna. Jak coś pani zje i wypije, przekażę pani nowe informacje, dobrze?

Sięgnęła po jedną z bułeczek i odgryzła kawałek.

– Zadowolony? – Podniosła się powoli do pozycji siedzącej. Jej głowa była ciężka i sprawiała wrażenie pustej. Lia nie mogła zebrać myśli. Kees podał jej papierowy kubek z herbatą, z którego upiła spory łyk i poczuła, jak ciepło rozchodzi się po jej ciele. – Myślałam, że to pana sprawa? – zapytała.

– Ta kobieta, która odwiedziła panią wczoraj wieczorem... – zaczął, ignorując jej pytanie. – Odnalazłem ją. Właśnie składa zeznania.

Lia ściągnęła brwi. Przez chwilę szukała w głowie twarzy, którą mogłaby dołączyć do tego, co powiedział.

– Skąd pan...? – Przyglądała mu się uważnie.

– Tomasz Rajter. Od niego dowiedziałem się o waszej rozmowie. To również on podał mi jej nazwisko.

– Ale... co ona ma wspólnego z tym wszystkim?

– Sporo, jak się okazuje. Proszę jeść, inaczej nic już nie powiem.

Lia odgryzła kolejny kęs bułki i popiła go ciepłą herbatą. Nagle przypomniała sobie zdarzenia z chwili przed utratą przytomności.

– Falco... – westchnęła. – Falco powiedział...

Poczuła znajomy szum w głowie.

– Spokojnie. – Kees pochylił się ku niej zaalarmowany. – Proszę oddychać i wypić jeszcze tej herbaty.

Wykonała polecenie i gdy wzbierająca w jej głowie mgła opadła, powiedziała:

– Thomas był tamtej nocy ze mną. Tamtej nocy, gdy Jasper zniknął. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie... Nie miałam pojęcia o jego przeszłości, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy sobie nie wybaczę, że...

– Pani Kornmann. – Kees próbował jej przerwać.

– Powiedzieli mi, że tam była krew. Dużo krwi. Czy to znaczy, że... że mój syn nie żyje? – zadała to najbardziej palące ją pytanie, gdy szczegóły rozmowy ze śledczymi powoli wróciły do jej pamięci.

– Nie sądzę. Gdyby porywacze mieli go zamordować, nie przejmowałiby się targaniem ze sobą ciała. Zostawiliby go tam. Musi nadal żyć, skoro go zabrali. I musi być jakiś powód, że nadal żyje. Widać porywacze jeszcze nie osiągnęli swojego celu – odparł spokojnie i poważnie.

Lia widziała, że nie próbował jej pocieszyć. Jego słowa nie były pustymi frazesami. Mówił to, co naprawdę myślał. Była mu za to wdzięczna, bo rozmowa z jego poprzednikami zgasiła każdy najmniejszy nawet płomyk nadziei. Miała tyle pytań, wątpliwości, niejasności.

– Ci policjanci mówili, że Thomas był podejrzany o... – Lia doznawała mdłości na samą myśl o tym, co wtedy usłyszała. Słowa nie chciały przejść jej przez gardło. – Ta kobieta, która podeszła do mnie wieczorem... Boże... Jak mogłabym być taka głupia? Naiwna? Nic dziwnego, że ci policjanci traktowali mnie, jakby to była moja wina. Sama to na siebie ściągnęłam... Na Jaspera... Boże...

Lia nie zwykła była mówić obcym ludziom o swoich uczuciach ani dzielić się emocjami. Tym razem jednak jej zbroja legła w gruzach, a skołatane myśli w zmęczonej głowie wirowały nieustannie. Zaczynała odczuwać sympatię do tego młodego mężczyzny.

– To nie jest pani wina. I nikt nie ma prawa czegoś takiego insynuować. Czy zaproponowano pani pomoc psychologiczną?

– Słucham? Ja nie potrzebuję pomocy, mój syn jej potrzebuje!

– Tak, ale kiedy wróci do domu, musi zastać panią silną i gotową być jego wsparciem.

Lia podniosła na niego zażawione oczy. Miała ochotę objąć go i przytulić za to jedno słowo, które wypowiedział. „Kiedy” zamiast „jeśli”.

– To ja wpuściłam Thomasa to naszego domu. Ja! Mężczyznę, o którego przeszłości nie miałam pojęcia! Podejrzanego o uprowadzenie, morderstwo... Boże... – Położyła dłoń na ustach, jakby tym gestem mogła powstrzymać wzbierający szloch. – Dlaczego Thomas zrobił mi coś takiego? Dlaczego?

– Myślę, że to nie on – powiedział, pochylając się ku niej.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Ale...

– Wiem, co powiedzieli pani ci z wydziału śledczego. Ta kobieta nazywa się Joanna Sandorska, jest Polką, tak jak Rajter. Śledziła go od trzech tygodni. Z jej wyjaśnień wynika, że Tomasz Rajter mówi prawdę. Z tego, co powiedziała, wynika, że ma również zbiór zdjęć, które robiła w ostatnich tygodniach. Materiały są już w posiadaniu policji i będą dogłębnie zbadane. Kto wie, może na jednej

z fotografii będzie jakaś wskazówka. Albo przynajmniej potwierdzenie niewinności Tomasza Rajtera.

– Jak to niewinności? Przecież on miał Jaspera...

– Tak, on udzielił chłopcu schronienia, ale nie mamy żadnych podstaw myśleć, że pani syn był tam wbrew swojej woli.

– A ta kobieta? Dlaczego go śledziła?

W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich komendant. Był postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce, z zadbaną twarzą o ostrych rysach. Jego szare oczy zmierzyły młodego policjanta chłodnym spojrzeniem.

– Herder, proszę na słowo – powiedział krótko i skinął głową w stronę Lii, zerkając na nią przelotnie, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że ją zauważył, ale nie ma czasu na uprzejmości. Bruzdy wyryte w jego policzkach i czole nie pozostawiały żadnych złudzeń co do jego nastroju.

Młody policjant zacisnął usta w wąską kreskę, zmrużył oczy, ale podniósł się posłusznie. Nim jednak ruszył ku drzwiom, pochylił się ku niej i powiedział cicho, ale wyraźnie:

– Nie przestanę szukać. Obiecuję. – Po czym opuścił pokój.

Lia zrozumiała prawdziwe znaczenie jego słów dopiero, gdy mimo zamkniętych drzwi dobiegł ją twardy głos komendanta:

– Chyba wyraźnie powiedziałem, że odsuwam cię od tej sprawy. Wydział śledczy przejął poszukiwania, więc nie rozumiem, dlaczego dowiaduję się, że przesłuchiwałeś podejrzanego i mieszasz tam, gdzie w ogóle cię nie powinno być? Naprawdę ci się wydaje, że oni nie dotarliby do tej Sandor?

– Sandorskiej – poprawił go Kees.


– Za kogo ty się uważasz, chłopcze? Jeśli nie było dla ciebie jasne, że mówiłem poważnie, to teraz będzie. To jest ostatnie ostrzeżenie. Kolejne będzie oznaczało zawieszenie w obowiązkach, rozumiesz? Wracaj na swoje boisko i przestań zgrywać superbohatera. Zostaw poważne sprawy tym, którzy mają doświadczenie.

Jeśli jeszcze raz usłyszę, że płaczesz się śledczym pod nogami, to zadbam o to, żebyś do końca życia stał na skrzyżowaniu. Zrozumiano?

Lia nie dosłyszała odpowiedzi młodego policjanta, ale miała nadzieję, że nie narobi sobie więcej kłopotów. I że dotrzyma swojej obietnicy.

Kiedy wieczorem tego samego dnia wysiadła z taksówki przed budynkiem, w którym mieścił się jej apartament, miała wrażenie, że w jej ciele nie ma już ani krzty sił witalnych. Wspięła się schodami, otworzyła drzwi, weszła do środka, po czym zamknęła je za sobą. Przeszła parę kroków po omacku tylko po to, by osunąć się na kolana na środku pokoju, niemal dysząc z wysiłku. W otaczających ją ciemnościach Lia Kornmann zaczęła się żarliwie modlić.

35

 Tomasz Rajter siedział nadal w pokoju przesłuchań. Pośladki zdrętwiały mu od plastikowego krzesła, ciało było sztywne z braku snu, a środki przeciwbólowe, które dostał, przestały działać i rana z tyłu głowy zaczęła znów pulsować bólem. Mijały godziny, w czasie których posłusznie odpowiadał na powtarzane wciąż od nowa pytania.

Nie po raz pierwszy w życiu spędzał czas w pokoju przesłuchań. I choć od ostatniego razu dzieliło go niemal dwadzieścia lat, wspomnienia były nagle świeże i nakładały się realistycznym hologramem na teraźniejszość.

– Proszę nam jeszcze raz wytłumaczyć, jak to się stało, że postanowił pan nie informować nikogo o tym, iż zaginiony Jasper van de Rooij przebywał pod pana opieką? – Słowo „opieka” w ustach policjanta brzmiało jak obelga i nie pozostawiało wątpliwości, co próbował insynuować.

– Już mówiłem. Miałem świadomość, że to był krok w złym kierunku, ale chłopak bardzo się bał o swoje życie, o życie Lii... Jak widać, nie bez powodu...

– I zaufał panu? – W głosie policjanta pobrzmiwała ironia. – Z tego co nam wiadomo, pana relacja z zaginionym nie była ciepła i bliska.

Tomasz próbował stłumić westchnienie.

– Nie przyszedł do mnie. Chował się w fabryce, gdzie go przypadkiem znalazłem – powtórzył jednak cierpliwie.

Dobrze wiedział, że będą uparcie zadawać te same pytania, żeby przyłapać go na jakiejś niejasności. Odpowiadał raz za razem, mimo zmęczenia. Zgodnie z prawdą, która nawet w jego własnych ustach brzmiała nagle niedorzecznie. Tylko jeden fakt zachował dla siebie i nie miał pojęcia dlaczego. Kiedy zapytano go o kluczyki do firmowego busa, najpierw otworzył usta, żeby przypomnieć im, że mieli go już w posiadaniu. A potem popatrzył na mężczyznę przed nim. Naprawdę mu się przyjrzał, próbując ocenić, jakie były szanse, że ten arogancki, przekonany o swojej wszechwiedzy facet naprawdę da radę odnaleźć Jaspera, siedząc tu i zalewając go wodospadem pytań. Przypomniawszy sobie postać młodego policjanta, jego nieustępliwe spojrzenie, w którym były jakaś zaciętość i desperacja. Tomasz nie miał pojęcia, w co konkretnie pakował się tamten młody człowiek, ale jeśli miał komuś zaufać, wybór był nagle prosty. Powiedział śledczym, że zgubił klucz w ferworze wydarzeń, a zapasowy leżał na barce. Podał im dokładne miejsce, po czym dodał, że nie muszą mieć nakazu sądowego i mogą przeszukać barkę i busa z jego błogosławieństwem. Policjanci wyszli i gdy wrócili, zaczął się prawdziwy koszmar, którego nadejścia zresztą Tomasz i tak się spodziewał.

– Panie Rajter, proszę nam teraz dla odmiany opowiedzieć o swojej żonie, Julii Rajter.

To imię wypowiedziane na głos w tym anonimowym pokoju, tak daleko od miejsc, gdzie niegdyś jego życie legło w gruzach, wywołało w nim tak silne poczucie dysonansu, że przez chwilę miał wrażenie, jakby ktoś siłą wepchnął jego głowę pod powierzchnię wody. Łapczywie wessał powietrze do płuc i przetarł oczy wierzchem dłoni, próbując zmusić zmęczone oczy do wyostrzenia obrazu, który zacierał się, jakby sam Tomasz coraz bardziej należał do hologramu przeszłości niż tego, co działo się tu i teraz.

– Co się stało? Nie przypomina pan sobie kobiety, z którą się ożenił? – Głos śledczego był teraz ostry jak brzytwa. Zamaszystym ruchem cisnął na stół zdjęcie. Tomasz skupił na nim spojrzenie. Nie był w stanie rozpoznać zmasakrowanej

twarzy, ale wiedział, że należała do Julii. Jej widok sprawił, że wpadł w panikę. Odskoczył od stołu, odsuwając krzesło nagłym niekontrolowanym ruchem. Rąbnęło w podłogę tuż za nim. Stał na drżących nogach, czując pulsowanie w miejscu, gdzie napastnik uderzył go w głowę. Śledczy, ten, który zadawał pytania, przyglądał mu się wnikliwie z lekkim ironicznym uśmiechem. Ktoś otworzył drzwi i stanął w nich umundurowany policjant.

– Wszystko w porządku? – zapytał nerwowo.

– Oczywiście. Rozmawiamy o starych dobrych czasach. Panie Rajter, usiądzie teraz grzecznie przy stole, prawda? – Na jego twarzy wykwitł fałszywy uśmiech.

Fotografia pokrwawionej i pokiereszowanej twarzy Julii nadal leżała na stole. Tomasz musiał zagryźć zęby i opanować wzbierające mdłości, żeby móc podnieść krzesło i przystawić je ponownie do stołu. Ręce i kolana drżały mu nadal, kiedy siadał. Zamknięto drzwi. Śledczy oparł dłonie o blat stolika i nachylił się ku Tomaszowi, który próbował nie patrzeć na zdjęcie leżące przed nim.

– Dosyć tych zabaw, Rajter. Teraz porozmawiamy sobie na poważnie. Dziwnym trafem Jasper de Rooij jest już drugą ofiarą bezpośrednio związaną z panem. A może między tą zbrodnią sprzed niemal dwudziestu lat a porwaniem chłopaka są jeszcze inne ofiary, o których nie mam pojęcia...? Po nawiązaniu współpracy z policją w Polsce skontaktowaliśmy się z niemiecką policją, gdzie pracował pan lata temu. Kto wie, czego dowiemy się od nich. A może sam nam opowiesz?

Tomasz czuł, jak ciężar wspomnień uciska na jego klatkę piersiową. Zwinął dłonie w ciasne pięści, żeby opanować drżenie.

– Julia była moją żoną. Ale to nie ja ją zabiłem – powiedział powoli.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni poczuł w ustach to imię. Było jak tajemne hasło otwierające pancerne drzwi, za którymi kryła się przeszłość. Nic już nie mógł poradzić, były otwarte.



– Tomek, Tomek, obudź się. – Przez mgłę snu słyszał ściszony głos Julii, alarmujący i nabrzmiały lękiem.

Próbował go zignorować i spać dalej, ale jej dłoń potrząsnęła jego ramieniem. Jęknął poirytowany i uniósł powieki, zerkając na wyświetlacz zegarka. Spał niecałą godzinę od ostatniej pobudki spowodowanej płaczem dziecka.

– Tomek... – Głos Julii był teraz błagalny i niemal na granicy paniki. – Słyszałeś to? Ktoś tam jest...

Podniósł się na łokciach i westchnął. W ciemnościach próbował rozróżnić kształty. Wytężył słuch, ale jedyne, co dobiegło jego uszu, to rozlewająca się wokół cisza, w której pragnął dryfować.

– Nic nie słyszę. Połóż się spać – odparł i opadł na poduszkę, próbując naciągnąć na siebie kołdrę.

Przymknął oczy i czekał, aż sen wróci. Gdzieś blisko słyszał szybki, nierówny oddech Julii. Obrócił się i popatrzył na nią. Siedziała wyprostowana z szeroko otwartymi oczyma utkwionymi w ciemność. Tomasz westchnął i podniósł się ponownie.

– Połóż się, ja sprawdzę, co tam jest – powiedział dla świętego spokoju i po cichu wysunął się z łóżka.

Kawalerka nie miała wielu kątów. Zajrzał do kuchni i łazienki, otworzył drzwi na klatkę schodową. Wszędzie panował spokój, wszystko okrywał mrok. Tomek wrócił do łóżka, w którym Julia nadal siedziała sztywna z przerażenia.

– Mówiłem ci, żebyś się położyła. Sprawdziłem każdy kąt. Nikogo nie ma, wszystko jest w porządku – powiedział i okrył się ciasno kołdrą.

Obudził go donośny płacz dziecka. Uniósł ciężkie powieki. Spał znów niespełna godzinę i czuł, że podniesienie się z łóżka było ponad jego siły. Cekał, aż Julia wstanie do dziecka, miały jednak długie minuty, a płacz przybierał na sile. Tomasz zsunął nogi z łóżka i usiadł na skraju, próbując dojść do siebie. Kołyska stała pod oknem. Podeszedł do niej i podniósł syna. Kołysał go delikatnie, patrząc za okno, za którym powoli szarzało. Zerknął na łóżko. Julia leżała zwinięta ciasno jak

embrion. Wyglądała, jakby spała, ale Tomasz nagle nie był w stanie powiedzieć, czy nie udawała. Nie mógł uwierzyć, że budził ją wyimaginowany szelest, a wrzask własnego synka przesypiała.



– Zaczniemy jeszcze raz. – Śledczy pochylił się ponownie nad skuloną sylwetką Tomasza.

– Czy mógłbym prosić o szklankę wody? I paracetamol? – Tomasz czuł, jak jego kręgosłup drętwieje z każdą minutą. Miał ochotę położyć się płasko na biurowej wykładzinie pokrywającej podłogę. Rana na głowie pulsowała bólem.

– Dobrze, dobrze, za moment. Najpierw musimy omówić całą sytuację raz jeszcze.

Śledczy rozsiadł się na krześle obok swojego milczącego kolegi i było jasne, że rozpoczęła się nowa faza przesłuchania z użyciem jeszcze łagodnych i dobrze kamuflowanych technik znęcania się, jak odmawianie wody czy wyjścia do ubikacji.

Drzwi otwały się z rozmachem, a na twarzy młodego policjanta, który w nich stanął, wymalowane były zaskoczenie i ekscytacja.

– Przywieziono kobietę – zaczął, a jego oczy świeciły podnieceniem.

– No i...? – Śledczy przerwał mu ostro.

– Ona chce zeznawać w sprawie tego zaginionego chłopaka. I Rajtera – dodał trochę ściszym głosem, jakby myślał, że w ten sposób siedzący w pomieszczeniu Tomasz go nie usłyszy.

Funkcjonariusz podniósł się z krzesła.

– Jak kto? Sama się zgłosiła? – Ruszyli już w stronę wyjścia.

– Nie, przywiózł ją jeden z policjantów pracujących nad zaginięciem chłopaka.

36

Joanna Sandorska, pseudonim artystyczny Jo Ann Sandor, lat czterdzieści, Polka, fotograf artysta. – Śledczy przeczytał jej dane mrukliwym głosem, ale jego oczy mierzyły ją ostrym i pełnym napięcia spojrzeniem.

Skinęła głową. Wszystko, co wiedziała, opowiedziała policjantowi, który zabrał ją z hotelu. Czekał, aż się ubierze i obmyje twarz. Była przerażona. Adrenalina buzowała w jej głowie. W aucie młody funkcjonariusz powiedział jej, że będzie musiała powtórzyć to samo raz jeszcze w biurze policji. Nie rozumiała, dlaczego było to konieczne, ale mówił do niej głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zacznijmy od początku. Co robiła pani na terenie starej fabryki w środku nocy?

Joanna wiedziała, że nie było już sensu grać aroganckiej ani kręcić. Popatrzyła mężczyźnie prosto w oczy.

– Śledziłam Tomasza Rajtera.

– Świetnie. – Uśmiechnął się, odsunął krzesło i zajął miejsce naprzeciw niej. – Chętnie usłyszemy, co takiego pani odkryła i dlaczego zdecydowała się pani śledzić mężczyznę zatrzymanego w sprawie porwania Jaspera de Rooija.

– Tomek nie... Tomasz Rajter nie mógł porwać tego chłopca – powiedziała, choć sama nie była już pewna. Niczego: ani przeszłości, ani teraźniejszości.

Przyszłość zdawała się ciemną plamą na mapie życia. Joanna czuła się winna. Nagle miała świadomość, że to było dominujące uczucie w jej życiu, towarzyszyło jej wszędzie i zawsze, a w pokoju przesłuchań nabrało rozmiarów góry lodowej.

– Wyciąganie wniosków i ocenianie proszę zostawić nam, dobrze? Czy jest pani świadoma, że zatrzymany nie po raz pierwszy występuje w sprawie o porwanie i morderstwo? – Kiedy Joanna milczała, mówił dalej. – Zabawne, że pani próbuje go chronić... Bo on wskazał panią jako osobę potencjalnie mającą powód, by porwać chłopca.

– Co? – Joanna podniosła zdumione oczy na śledczego.

– Jako motyw podał chęć zemsty.

Joanna zacisnęła usta.

– Co tak naprawdę łączy panią z Tomaszem Rajterem?

– Wszystko – odparła, pochylając głowę.



Joanna rozpakowała zakupy i postawiła je na niewielkim kuchennym stole. Przyniosła produkty potrzebne do przygotowania obiadu oraz świeże drożdżówki, które ułożyła na talerzu. Zabrała je do pokoju, gdzie Julia z bladą jak ściana twarzą siedziała na rozłożonym tapczanie pośród poduszek, zmiętolonej kołdry i koca. Mimo że dochodziła pierwsza po południu, miała na sobie cienką nocną koszulę, przez którą wyraźnie prześwitywał zarys nabrzmiąłych piersi. W powietrzu unosił się delikatny zapach pudru dla dzieci i potu. Choć za oknem dobiegał końca ciepły, słoneczny maj, było ono zamknięte, a zasłony zasunięte i Joanna miała wrażenie, że w małej kawalerce panowała niekończąca się szara jesień. Usiadła obok przyjaciółki i podsunęła jej kubek herbaty wraz z talerzem ze słodkimi bułeczkami.

– Zabierz to. Nie mogę tego jeść, przecież wiesz. Potem znowu dostanie kolki i będzie płakał godzinami. – Mówiąc to, patrzyła w okno, jakby kierowała te słowa do kogoś, kto stał za nim.

Joanna posłusznie odstawiła talerz.

– Wypij chociaż herbatę. Koperkowa. Moja mama mówi, że pomaga na kolki – poprosiła.

Przyglądała się Julii ze szczerą troską. Liczyła na to, że jej forma i nastrój poprawią się, kiedy dziecko wreszcie się urodzi. Za każdym razem gdy Joanna na nie patrzyła, przypominała sobie wielogodzinny poród, do którego nie wpuszczono ani jej, ani Tomka. Zastanawiała się, czy Julia myślała o tym samym, patrząc na małą twarzyczkę. Kiedy wreszcie pozwolono im zobaczyć Julię, Joanna miała wrażenie, że z ciała przyjaciółki wyszło nie tylko dziecko, ale również jakaś część niej samej, która nie przeżyła porodu. Miała nadzieję jednak, że wraz z opieką nad maleństwem wrócą jej siły witalne i błysk życia w oczach. Ale nawet teraz, dwa miesiące później, widziała w nich bezmierną pustkę.

– To nie ja mam kolki – mruknęła Julia.

– Tak, ale... – Joanna zaczęła niepewnie. – Mama mówi, że jak karmisz piersią, to...

Zamilkła, widząc skrzywioną twarz przyjaciółki. Bywała tu często. Choć miała świadomość, że rzadziej, niż powinna, ale coraz trudniej było jej znieść ciężką atmosferę panującą w domu i niemal nieustanny płacz dziecka. Wiedziała, że Julia nienawidziła karmić piersią, widziała jej krwawiące sutki i podrapany małymi paznokietkami dekolt. Dziecko płakało, gdy było głodne, i płakało, gdy było najedzone. Joanna próbowała przekonać przyjaciółkę, by ta próbowała spać w tych krótkich odstępach czasu, gdy mały zasypiał, ale Julia mówiła, że czuła się jedynie gorzej, budząc się co chwila.

– Odpocznij sobie, ja wstawię pranie. – Joanna podniosła się i rozejrzała po pokoju.

Wszędzie leżały kupki odzieży i dziecięcych ubranek lub zwinięte zużyte pampersy. Zaczęła zbierać rzeczy, próbując unikać zaglądania do kołyski, w której leżało dziecko. Jego widok nadal sprawiał, że czuła się niezręcznie, choć była jego matką chrzestną. Tylko przez obiektyw aparatu mogła patrzeć na nie bez uczucia ścisku w brzuchu. Sawiccy naciskali na wczesny chrzest, choć Joannie wydawało

się, że jedynym powodem była potrzeba pretekstu, by przyjechać do Warszawy. Po porodzie Julia nie chciała nikogo widzieć i odrzucała ich propozycje odwiedzin lub prosiła przyjaciółkę, by ta odebrała telefon. Joanna trzymała dziecko w ramionach tylko podczas chrztu.

Z rękoma pełnymi brudnych ubrań weszła do małej łazienki, gdzie usiadła na podłodze i zaczęła segregować odzież przed włożeniem do pralki. Kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi, była pewna, że wrócił Tomek. Skrzywiła się mimowolnie. Nie chciała go widzieć. Postanowiła dalej robić swoje. Chwilę później rozległ się płacz dziecka. Joanna włożyła do pralki białe pranie, wsypała proszek i wcisnęła przycisk. Płacz nie ustawał, co zresztą nie było dziwne. Wrzuciła pozostałą odzież do kosza na brudną bieliznę i wyszła z łazienki. Ku jej zaskoczeniu w pokoju nie zastała nikogo poza zawodzącym coraz bardziej dzieckiem. Zajrzała do kuchni. Otworzyła drzwi na klatkę. Julia zniknęła.

– Nie... Nie... – Joanna stała na środku kawalerki. Płacz dziecka wibrował w jej uszach i pulsował w głowie.

Podeszła do kołyski i podniosła powoli dziecko, przyciskając je do siebie. Kwiliło jeszcze chwilę, prężąc się, a potem umilkło. Joanna chwyciła klucze i szybko opuściła mieszkanie. Nie czekała na windę. Ostrożnie, przytrzymując główkę dziecka, zeszła z siódmego piętra. Wyszła na zalane słońcem osiedle i rozejrzała się wokół. Nie miała pojęcia, gdzie szukać, ruszyła więc przed siebie. Zajrzała do warzywniaka i osiedlowego marketu, przeszła skwerek między blokami, gdzie matki z wózkami siedziały na ławkach, by w końcu wyjść na główną ulicę, przy której mieścił się przystanek.

– Julia!

Od razu ją zobaczyła. Stała wyprostowana w cienkiej nocnej koszuli i sandałach na przystanku po drugiej stronie ruchliwej ulicy. Joanna chciała do niej pobiec, ale dziecko znów zaczęło płakać. Dziewczyna zdawała się ignorować nawoływania Joanny i płacz synka. Patrzyła w jakiś bliżej nieokreślony punkt. Kiedy wreszcie Joannie udało się przejść bezpiecznie przez ulicę i dotrzeć do przyjaciółki, ta prawie wsiadła do autobusu.

– Julia, co ty wyrabiasz?! – Joanna chwyciła ją za rękaw i powstrzymała przed wejściem do pojazdu. Kierowca rzucił im lekko zdziwione i zaintrygowane spojrzenie.

Dopiero wtedy oczy Julii znów zrobiły się przejrzyste i skupiły na twarzy Joanny.

– Poszłam wyrzucić śmieci... – powiedziała. Wyjęła synka ze zdrętwiałych ramion Joanny i ruszyła w drogę powrotną, jakby nic się nie wydarzyło.

– Jak to śmieci? Na przystanku autobusowym? Dokąd chciałaś jechać? Jezu, Julia, co się z tobą dzieje?

– Przepraszam, mało sypiam. Coś mi się pomieszało – powiedziała tonem pełnym wyrzutu. Joanna zamilkła. Wróciły do domu, gdzie Julia nakarmiła synka, a Joanna, udając, że zajmuje się czymś w kuchni, czekała na powrót Tomka. Zmusiła Julię do wzięcia kąpieli, obiecując, że w tym czasie będzie uważała na dziecko. Wstawiła drugie pranie, przygotowała kotlety i mizerię. I czekała.

– Musimy porozmawiać – powiedziała szeptem, jak tylko wszedł. Wyglądał na zmęczonego. Dał się wyprowadzić na klatkę. Milczał, zaskoczony.

– Czy ty... nie zauważyłaś, że Julia dziwnie się zachowuje?

– Mało śpi. Tak na marginesie, podobnie jak ja. Tylko ja nie marudzę i nie urządzam scen uzalania się nad sobą. – Wzruszył ramionami.

Joanna uniosła brwi. W głosie Tomka wyczuła wyraźnie cień agresji.

– Ale z nią się coś dzieje... Dzisiaj wyszła bez uprzedzenia, zostawiając mnie samą z dzieckiem. Poszła tak, jak stała, w koszuli nocnej...

Tomek uśmiechnął się ironicznie.

– Może po prostu nie powinnaś robić za darmową nianię i przyzwyczajając jej do luksusu, że ciągle ktoś coś za nią robi?

– Słucham? – Joanna czuła nagły gniew.

– Wiesz, co dolega Julii? Brak uwagi. Dokładnie tak. Widać robi wszystko, żeby znów być w centrum, a ty jak zwykle dajesz się wciągnąć w jej gierki – powiedział szorstko.

– Ja się daję wciągnąć? Jak zwykle? O czym ty mówisz?! – Joanna próbowała nie podnosić głosu, ale każda komórka jej ciała krzyczała.

– Myślisz, że ją znasz? – Tomek pochylił się ku niej, w podkrążonych oczach dostrzegła błysk złości. – Zawsze ją wybielałaś i idealizowałaś.

– Co?! Ja nie...

– Ale to jest prawdziwa Julia. Może powinnaś z nią zamieszkać, żeby się przekonać. Ona nie lubi konkurencji, a teraz wszystko skupia się na dziecku...

– Tomek, jak możesz tak mówić?!

– Idź do domu, Aśka. Damy sobie radę. Julia sama tego chciała, niech teraz pije, co nawarzyła.

Wszedł do mieszkania, zostawiając ją na klatce. Wzięła swój plecak z korytarza i zbiegła schodami.

Nie zamierzała wracać. Nigdy więcej. Wytrzymała trzy dni. Zapukała do drzwi kawalerki we wczesnych godzinach popołudniowych, wiedząc, że Tomka nie będzie jeszcze w domu. Nikt nie otworzył i już miała odejść, ale zza drzwi dobiegł ją cichy płacz dziecka, jakby było zmęczone i nie miało siły płakać głośniej. Zapukała jeszcze raz, ale i tym razem nikt się nie odezwał. Nacisnęła dla pewności na klamkę. Ku jej zaskoczeniu drzwi były otwarte. Weszła powoli i od razu poczuła nieprzyjemny zapach. Julia spała zwinięta na tapczanie, w tej samej nocnej koszuli. Zasłony były ciasno zaciągnięte. W pokoju panował zaduch. Joanna podeszła do kołyski, gdzie mały wciąż popłakiwał. Miał na sobie kaftanik, na którym widoczne były sztywne i suche już plamy po mleku, które mu się ulało. Pampers był pełen. Joanna podniosła dziecko i otworzyła okno, przez które wpadło świeże, ciepłe powietrze pierwszego czerwcowego dnia. Potem potrząsnęła Julią.

– Obudź się! Mały płacze! Nie słyszałaś go?

Julia powoli podniosła się. Miała przetłuszczone włosy i pachniała nieświeżo.

– Ogarnij się, ja go wykąpię, bo cuchnie.

Zabrała dziecko do łazienki. Nalała wody do małej plastikowej wanienki i trzy razy sprawdziła, czy woda nie jest za ciepła lub za zimna. Jej dłonie drżały, gdy

zdejmowała kaftanik z małych ramionek. Mały był brudny i nadal popłakiwał, co sprawiało, że było jej jeszcze trudniej opanować lęk, że coś mu przypadkiem zrobi. Podniosła go powoli i pochyliła się nad wanienką, ale nim zdążyła zanurzyć małe ciało w wodzie, usłyszała za sobą głos Julii.

– Utopisz go! – zawołała ostrzegawczo.

Obejrzała się za siebie.

– Co? Nie. Będę ostrożna, nie martw się. Muszę go wykąpać, był cały brudny! Kiedy ostatnio przygotowałaś mu kąpiel?

– Utopisz go – powtórzyła Julia, tym razem jednak takim tonem, jakby stwierdzała fakt. – Utopisz go. Jak tamtego chłopczyka. A potem będziesz sypiać z Tomkiem.

Serce Joanny pominęło jedno uderzenie z szoku spowodowanego jej słowami.

– Julia... na Boga... O czym ty mówisz? – Patrzyła na jej wychudzoną wyprostowaną sylwetkę w drzwiach łazienki, na zapadłe podkrążone oczy, nagle żywe, bez śladu zaspania.

– Może już z nim sypiasz?

– Julia, opanuj się, na litość boską! Nic mnie nie łączy z Tomkiem! – wykrzyknęła, aż dziecko poruszyło się nerwowo w jej ramionach.

Julia uniosła brwi, na jej twarzy odmalował się nagle przebiegły uśmiech, jakby wiedziała coś, czego nie wiedział nikt inny.

– Wszystko. Wszystko cię z nim łączy – powiedziała. A potem wróciła do pokoju, co Joanna przyjęła z ulgą. Kiedy chwilę później kąpała dziecko, woda w waniencie mieszała się z jej łzami.



– Proszę nam jeszcze raz powiedzieć, jak dowiedziała się pani o zaginięciu Jaspéra de Rooija.

– Już wam mówiłam – odparła zmęczona i na granicy łez. – Śledziłam Tomasza Rajtera. Widziałam, jak wchodził do tego budynku. Spisałam i sprawdziłam

nazwiska na domofonie. Znalazłam w internecie informacje o Lii Kornmann i jej zaginionym synu i...

– I w jakiś sposób połączyła pani fakt porwania de Rooija z Tomaszem Rajterem. Dlaczego?

Joanna pochyliła głowę. Otworzyła usta, po czym je zamknęła. Dlaczego? Dlatego, że był winny, czy dlatego, że ona sama była równie winna?

– Dlaczego?! – Śledczy ryknął i trzasnął pięścią w stół tak, że Joanna podskoczyła i zagryzła zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Bo bardzo chciałam, żeby tak było – odparła po chwili zduszonym głosem.

37



Tomasz Rajter szedł miastem w stronę przedmieścia, gdzie mieściła się jego barka. Zarekwirowano jego busa, przeszukano miejsce zamieszkania. Wypuszczono go o dziewiętnastej tylko dlatego, że przyznano mu wreszcie adwokata, który zażądał zwolnienia. Zatrzymano go na dodatkowe sześć godzin na potrzeby śledztwa, ale zdaniem adwokata policja zebrała już wszelkie konieczne informacje i nie miała podstaw przetrzymywać go dłużej ani dowodów na to, że był podejrzany o ciężkie przestępstwo. Miał pozostać w mieście do dyspozycji policji. Kiedy opuszczał biuro policji, na korytarzu dopadł go Falco de Rooij. Rzucił się na niego z impetem i przycisnął do ściany. Tomasz nie podejrzewał tego mężczyzny w drogim garniturze o taką siłę. Próbował uwolnić się ze stalowego uścisku, ale był zbyt zmęczony i sztywny przez wielogodzinne siedzenie i ból głowy.

– Co zrobiłeś z moim synem?! Co zrobiłeś z moim synem?! – Głos Falco brzmiał jak warczenie psa.

Ktoś odciągnął napastnika i Tomek wessał powietrze w płuca. Dyszał ciężko. Złość Falco obróciła się teraz ku policjantowi, który próbował go uspokoić.

– Wypuszczacie go?! Zwariowaliście kompletnie?! Podam was do sądu i jeden po drugim skończycie kariery! Kto jest odpowiedzialny za tą niedorzeczną decyzję?!

Tomasz słyszał za plecami wściekły krzyk ojca Jaspera i uspokajające słowa policjanta, gdy opuszczał budynek.

Ulice były ciemne, ale panującą ciszę wieczoru i mrok co jakiś czas rozrywał huk fajerwerków. Zbliżał się sylwester i jak co roku mieszkańcy miasta tracili tysiące euro dla paru sekund przyjemności. Tomasz co jakiś czas podnosił wzrok i zerkał w kierunku, z którego dobiegały wybuchy. Ale nawet one nie mogły zagłuszyć głosu, który słyszał w swoje głowie. „Co zrobiłeś z moją córką?! Co zrobiłeś z moją córką?!”



Obudził go dźwięk fajerwerków, dobiegający z daleka. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero po paru minutach wróciła mu świadomość. Okna kawalerki były otwarte. Wpadał przez nie przyjemny powiew po upalnym dniu. Gdzieś nad Wisłą świętowano noc kupały. Tomasz otworzył oczy i czekał, aż przywykną do ciemności. Nagle zdał sobie sprawę, że słyszy coś jeszcze. Próbował rozpoznać dźwięk. Podniósł się i po omacku przeszedł przez pokój do kuchni. Julia siedziała w mroku na podłodze. Rozkładała sztucce na beżowym linoleum.

– Co ty wyrabiasz? Obudzisz małego, a zasnął pół godziny temu!

Miał wrażenie, że nie słyszała jego głosu. Zapalił światło i zmrużył oczy. Dopiero po chwili zobaczył, że na podłodze leżały jedynie noże. Julia podniosła na niego spojrzenie. W jej twarzy rysował się jakiś niezdrowy wyraz zadowolenia.

– Julka... Co ty robisz? – Przykucnął w drzwiach i wyciągnął do niej dłoń.

– Oni wrócą po dziecko. Muszę być gotowa – powiedziała i zaczęła liczyć noże, jakby to było coś niezwykle ważnego.

Tomasz wypuścił powietrze z płuc. Brak snu doprowadzał go do szaleństwa. Mały budził się co godzinę, wrzeszcząc wniebogłosy, i Tomasz coraz częściej kładł go obok siebie tylko po to, by móc drzemać chwilę dłużej. Bał się wtedy zasnąć głębiej, a jeśli już usnął, wybudzał go każdy ruch dziecka. Piekły go zmęczone

oczy, a poziom irytacji rósł zbyt szybko. Nie miał cierpliwości zajmować się jeszcze nią.

– Jezus Maria, Julka... weź się w garść! O co ci tym razem chodzi? Znowu coś ci się przyśniło? – spytał, choć wyglądała, jakby wcale jeszcze nie spała.

– Oni wrócą – powtórzyła z taką pewnością, jakby był to fakt ogólnie znany.

– Kto, kurwa? – Tomasz miał ochotę podnieść ją z tej podłogi i szarpnąć.

– Ci ludzie z kajaka – odparła i popatrzyła na niego. – Nie pamiętasz?

Jej oczy błyszczały.

– Jacy ludzie? Z jakiego znowu kaja... – Urwał, bo nagle zrozumiał, o czym mówiła.

Wstał i podszedł do niej. Pochylił się i jednym szybkim ruchem zgarnął noże z podłogi i wrzucił z impetem do szuflady. Uniosła się na kolanach, łapiąc go za rękę.

– Nie! Oddaj! – zaprotestowała żarliwie.

Wyszarpnął rękę z jej palców tak gwałtownie, że zachwiała się i uderzyła głową w krawędź stołu. Jęknęła z bólu. To go jedynie bardziej rozwścieczyło.

– Dość! Rozumiesz? – syknął i ujął ją za przedramię, podciągając do pionu. – Pójdiesz teraz spać i skończysz z tymi dziwactwami, rozumiesz? Nikogo na to nie nabierzesz. Nikogo to nie obchodzi.

W pokoju rozległ się płacz dziecka. Tomasz westchnął i zacisnął palce ciasniej wokół ramienia Julii.

Tamtej nocy obudził się ponownie. Ciemne niebo przeciął błysk i zaraz potem do jego uszu dobiegł pomruk czerwcowej burzy. Firanki tańczyły wściekle pod wpływem porywistych podmuchów wiatru, wpadającego przez otwarte okna. Podniósł się, żeby je zamknąć. Dopiero wtedy zauważył, że miejsce Julii na tapczanie jest puste. Westchnął i zamknąwszy okna, ruszył do kuchni. To wtedy zerknął do kołyski i krew odpłynęła mu z twarzy i kończyn. W kołysce leżał jedynie niebieski kocyk i pluszowy miś, którego kupiła Joanna.

– Julia?!

Drzwi wyjściowe były szeroko otwarte. Łazienka była pusta. Na klatce schodowej panował mrok. Zajrzał do kuchni, ale tam również zastał jedynie ciemność. Wybiegł na schody, próbując nasłuchiwać kroków. Z bijącym sercem wrócił do mieszkania i wybrał numer do akademika Joanny.

– Julia zniknęła – powiedział, gdy odebrała. – Zabrała dziecko.



Wcisnął dłonie głęboko w kieszenie kurtki i skręcił w pustą drogę, biegnącą wzdłuż wód kanału. W oddali, w mdłym świetle latarni widział zarys swojej barki. W tamtej chwili chciał ukryć się przed światem, choćby pod powierzchnią ciemnej toni. Był wycieńczony, głodny i głowa bolała go do granic możliwości. Wszedł na podest i wyjął z kieszeni klucze, lecz nim zdążył umieścić je w zamku, tuż za nim coś zaszeleściło i skrzypnęła deska. Dźwięk podziałał jak zastrzyk adrenaliny. Tomek obrócił się, zamachnął i wymierzył celny cios. Nieproszony gość zachwiał się pod siłą uderzenia i złapał za szczękę.

– Policja – powiedział, po czym uniósł dłonie w górę, manifestując swoje dobre intencje. – Kees Herder.

Dopiero teraz Tomasz rozpoznał wysoką postać w czapce z daszkiem.

– Jezu, ale mnie pan przestraszył... – Tomasz poczuł, że poziom adrenaliny znów opada, przyprawiając go o zawroty głowy.

– Przepraszam, nie miałem takiego zamiaru.

– Jeśli ma być pan moim ogonem, to z całym szacunkiem, ale spieprzył pan robotę. – Tomasz odwrócił się i przekręcił klucz w drzwiach. – Czy ma mnie pan dowieźć z powrotem do biura?

Zapalił światło i jego oczom ukazał się widok godny pożałowania. Policjanci przeszukali barkę, która wyglądała teraz jak po wybuchu bomby. Nie miał głowy myśleć o sprzątnięciu. Musiał się czegoś napić i coś zjeść. Kees Herder nieproszony wszedł za nim.

– Jestem tu prywatnie – powiedział. – W pewnym sensie.

Tomasz podszedł do lodówki.

– Domyśliłem się. Pana koledzy nie mieli pojęcia o treści naszej rozmowy ani o notatniku, prawda?

Kees Herder nie sprawiał wrażenia, jakby przejął się słowami Tomasza. Postawił na stole papierową torbę, a obok niej położył notatnik i kluczyki do busa, który zarekwirowała policja.

– Powinno być jeszcze ciepłe. – Wskazał ruchem głowy na papierową torbę, a Tomasz, nie zważając na dobre maniere i nie myśląc o celu wizyty policjanta, zajrzał do torby i z wdzięcznością wciągnął zapach frytek i hamburgera. Włączył ogrzewanie, wyjął z lodówki dwa piwa, które postawił na stole, po czym zrzucił kurtkę i zajął miejsce, wskazując krzesło naprzeciw policjantowi.

– Ja nie piję, dziękuję – powiedział młody funkcjonariusz.

– Nie musi pan, proszę sobie przyłożyć do wargi. Nie mam lodu.

Kees podniósł dłoń do ust. A potem zerknął na zakrwawione palce. Z papierowej torby wyjął chusteczkę i wytarł pękniętą wargę, a potem przytknął do niej zimną butelkę. Tomasz rozpakował jedzenie. Przez chwilę jadł, popijając piwo.

– Musimy znaleźć tego chłopca. – Kees Herder odezwał się, gdy Tomasz wytarł dłonie w papierową chusteczkę i sięgnął po drugą butelkę piwa.

– My? – Tomasz uniósł brwi. – W tej chwili policja myśli, że to ja stoję za porwaniem.

– Wiem. Dokładnie dlatego nie mają szans, by dotrzeć do prawdziwych porywaczy. Tylko pan rozmawiał z Jasperem. Czas ucieka.

Tomasz upił spory łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni. Był zmęczony i chciał choć na chwilę przymknąć oczy, ale dźwięk imienia chłopaka był jak bolesna szpileczka, której nie da się zignorować.

– Znalazł ją pan? – Tomasz zadał to pytanie, nie patrząc na młodego mężczyznę.

– Kobietę, o której pan mówił? Tak. – Kees skinął głową.

– Tutaj? – Podniósł na niego zaskoczone spojrzenie. – Joanna jest tutaj?

Kees ponownie przytaknął.

– Tak. Rozmawiałem z nią.

– Więc... miałem rację... – Tomasz potarł dłońmi twarz. – Czy ona...?

– Nie, ona nie miała nic wspólnego z porwaniem. Ale była na terenie fabryki, gdy porywacze się tam pojawili. Śledziła pana. Już od dłuższego czasu.

Tomasz poczuł się nagle nienaturalnie pobudzony. Kees mówił dalej.

– Cokolwiek jest między wami do wyjaśnienia, musi poczekać. Przyszedłem prosić o pana pomoc. Musimy odnaleźć tego chłopca. Wiem, że to pan przycisnął kolegę Jaspera i podał anonimową informację na temat ostatniego miejsca pobytu chłopaka. Pan jest jedyną osobą...

– Tak, wiem... – Tomasz przerwał mu, splótł dłonie i pokiwał głową. – Wiem – powtórzył twardo. – Jaki jest plan?

Kiedy Kees Herder zobaczył numer na wyświetlaczu swojej komórki, poczuł ścisk w żołądku. Było późno i zaczął odczuwać brak snu. Tomasz Rajter postawił na stole kolejny dzbanek mocnej kawy. Potarł oczy. Policja zarekwirowała jego laptopa, musieli więc pracować z telefonami. Czytali wszystkie komentarze. Spisywali fakty, zrobili linię czasową, na której zaznaczali wszystkie znane im informacje.

– Słucham. – Kees odebrał komórkę, jednocześnie kiwając głową, gdy Rajter wskazał na jego pusty kubek. Kawa i adrenalina to było jedyne, co trzymało ich jeszcze na nogach.

– Herder, masz się stawić w biurze najszybciej, jak to możliwe.

– O co konkretnie chodzi? – Nie podobał mu się ton dyżurującego kolegi, zbyt oficjalny i szorstki.

– O sprawę de Rooija.

– To chyba nie o mnie ci chodzi, bo ja mam oficjalny zakaz wtrącania się w... – zaczął, ale przerwano mu.

– Herder, to jest wiadomość od szefa. Masz się stawić natychmiast.

Rozłączył się i popatrzył na Rajtera, który przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Jedź, ja będę kontynuował.

Wymienili się numerami telefonów i Kees opuścił barcę.



– Siadaj.

Komendant nie patrzył na niego, wskazał mu jedynie krzesło przed swoim biurkiem. Wyglądał jak zawsze. Jak wielka gradowa chmura zwiastująca sztorm. Kees próbował szybko wymyślić, jaki mógł być powód jego obecności tutaj. Ktoś go widział na barce?

– Myślałem, że wyraziłem się jasno – powiedział w końcu szef, odsuwając na bok jakieś papiery i podnosząc posępny wzrok na Keesa. – Co ty sobie, kurwa, chłopcze, myślisz? Naoglądałeś się za dużo seriali kryminalnych? To nie jest, kurwa, film. A babranie się w dowodach i wchodzenie w drogę śledczym nie uczyni z ciebie bohatera.

Kees otworzył usta, ale szef nie dał mu dojść do słowa.

– Co, kurwa, robiłeś w busie Rajtera? – zapytał, bardziej warcząc, niż artykułując słowa. – Wiem, że tam byłeś, zanim zarekwirowaliśmy pojazd. Pytam po raz kolejny: po co się tam powlokłeś i co stamtąd zabrałeś?

Kees Herder poczuł, że grunt osuwa mu się pod nogami. Jak to możliwe, że komendant wiedział o busie? Nie mógł powiedzieć prawdy. Milczał więc z zębami zagryzionymi tak ciasno, że zeszywniała mu szczęka, próbując w panice wymyślić jakieś wytłumaczenie.

– Herder, kurwa... nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę...

– Nie byłem w busie – powiedział w końcu.

– Czyżby? Po tym, jak wieczorem podaliśmy do opinii publicznej pierwsze wiadomości, otrzymaliśmy anonimowy telefon... Z informacją, że widziano cię wsiadającego do firmowego busa Rajtera pod apartamentem Lii Kornmann.

Zalała go fala lodowatego chłodu wywołującego całkowity paraliż. Przez chwilę nie mógł nawet złapać oddechu.

– Anonimowy telefon...? – wydobył z siebie wreszcie stłamszony głos. Musiał się pozbierać, i to szybko.

– Tak, kurwa, Herder. Ktoś cię widział. I to na tyle dokładnie, by rozpoznać twoją twarz i busa. Czy ty, kurwa, zdajesz sobie sprawę, że sabotujesz śledztwo, przez które prasa siedzi nam na karku, bo matka zaginionego narobiła w internecie rumoru i przy okazji złej sławy miejskiej policji?! Co ty, kurwa, kombinujesz? Więc pytam po raz kolejny i ostatni, kurwa, co tam robiłeś, skąd miałeś kluczyki i co stamtąd zabrałeś?!

Kees nabrał powietrza w płuca, jakby właśnie miał wykonać samobójczy skok w przepaść, na której dnie czekały spienione fale. Zmusił się do zachowania spokoju.

– Ten ktoś się pomylił. Byłem przy busie i zaglądałem do środka, ale nigdy nie wsiadłem. – Próbował wytrzymać rozwścieczony wzrok komendanta.

– Po co, kurwa? Po co się tam plątałeś?

– Byłem ciekawy... – zaczął Kees.

– Dość! – Komendant pochylił głowę. – Legitymacja. – Wyciągnął dłoń.

Kees prawie zerwał się z krzesła. Powstrzymał się siłą woli i wcisnął stopy w podłogę.

– Ale...

– To nie jest przedszkole, Herder. Ostrzegalem cię.

Oddał legitymację drżącą dłonią i opuścił pokój, niosąc formularz. Nawet nie patrzył na jego treść, składając podpis. Trzymał go jak wyrok śmierci. Musiał zdać rzeczy i opuścić biuro.

– Kiepsko, stary... – mruknął jeden z kolegów, przyjmując rzeczy i podpisany dokument. – Chyba zalazłeś komuś za skórę...

– Co masz na myśli? – Kees był zmęczony i nie mógł się skupić.

– No zastanów się, skąd ona знаła twoje nazwisko?

– Kto? – Kees ściągnął brwi i słuchał nagle uważnie, jakby zapomniał, po co był w tym pokoju.

– Kobieta, która dzwoniła. Wiedziała dokładnie, jak się nazywasz, kiedy widziała cię przy tym busie. Mniejsza o to, po co tam łąziłeś. A może wcale cię tam nie było? Niektórzy mówią, że ktoś cię próbuje wpędzić w kłopoty, celowo odsunąć od sprawy, związać ręce, rozumiesz?

Kees patrzył na niego oniemiały. Policjant mówił dalej, jakby reakcja kolegi nie zwróciła jego uwagi.

– Przecież to się kupy nie trzyma, no nie? Po co miałbyś tam łązić? Ale szefowi nikt nic nie powie. Jest wściekły jak osa, bo robią z nas w mediach miazgę.

Kees opuścił pokój, jeszcze nim policjant skończył mówić. Jego serce waliło jak oszałałe, w głowie mu szumiało. Wyszedł na lodowaty chłód. Wsadził dłoń do kieszeni i przypomniał sobie, że właśnie oddał kluczyki do policyjnego samochodu, a jego prywatne auto stało pod domem. Obrócił się i z rozmachem kopnął w betonową ścianę budynku, aż prąd bólu przebiegł wzdłuż nogi do kręgosłupa.

– Kurwa...

Ruszył szybkim krokiem, który wkrótce zmienił się w bieg.



W mieszkaniu było ciemno. Zrzucił kurtkę i wszedł do kuchni, gdzie przez chwilę próbował zebrać myśli. Chodził od ściany do ściany, jak dzikie zwierzę w niewoli. Pot na jego plecach ostygł i spływał zimnymi strużkami.

– Kees? – usłyszał nagle ciepły głos Frei. Myślał, że śpi. Nie wiedział, która dokładnie jest godzina. Myślał, że ma trochę więcej czasu. Zatrzymał się i obrócił do niej. Stała w drzwiach kuchni. Zapaliła światło i jego blask oślepił go przez chwilę.

– Co się stało? – Patrzyła na niego przestraszona. Był spocony i miał spuchniętą wargę, z której znowu ciekła krew. Nie spał od tylu godzin, że głowa pulsowała mu przy każdym ruchu, a oczy piekły.

– Nikt poza tobą nie wiedział – powiedział powoli.

– Słucham? – Spojrzała na niego przerażona, jakby nagle dojrzała gdzieś potencjalnie śmiertelną ranę.

– Tylko ty wiedziałaś o busie i notatniku... – powtórzył, nie spuszczać z niej wzroku.

– Kees... O czym ty mówisz? – Podeszła bliżej i wyciągnęła do niego dłoń, ale cofnęła się, jakby miała go zranić lub zarazić czymś okropnym.

– Dlaczego mi to zrobiłaś? – spytał. W jego zmęczonych myślach rozległo się echo słów, które usłyszał tego dnia. Głos Lii Kornmann zabrzmiał jak gong. „Dlaczego on mi to zrobił?”

– Ale co? Kees, o co ci chodzi? Proszę, porozmawiajmy.

– Wynoś się.

– Słucham?

– Wynoś się! – powiedział głośniej.

– Kees... Błagam cię... Nic z tego nie rozumiem... Jest środek nocy... Porozmawiamy rano. Jesteś zmęczony...

– Wynoś się! – krzyknął.

Kees Herder myślał, że nic nie może boleć bardziej niż zmiażdżone płożą łyżew kolano i stracona przyszłość. Mylił się. Odwrócił twarz, żeby ukryć łzy.

Opuściła kuchnię. Opadł na krzesło i słuchał jej szlochu, gdy pakowała swoje rzeczy. Parę minut później trzasnęły drzwi i został sam. Zgasił światło, jakby nie mógł znieść widoku ścian, w których jeszcze przed chwilą mieściło się jego życie, a które teraz obróciły się w ruinę. Siedział sam w ciemnościach w pustym mieszkaniu. Zastygł w bólu. Z otępienia wyrwał go dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu pojawił się numer Rajtera. Przetarł rękawem wilgotne oczy i odebrał.

– Chyba coś znalazłem.

39

Kiedy Joanna Sandorska opuściła wreszcie komendę, było już ciemno i ona sama czuła, że ta ciemność wniknęła do jej wnętrza. Wiał przeraźliwie zimny wiatr, który jak ostre szpileczki lodu zdawał się zadawać jej ból. Była wyczerpana. Powoli usiadła na najniższym stopniu schodów przed wejściem i pozwoliła, by podmuchy uderzały w nią boleśnie. Zasługiwała na ten ból. Grupka chłopców przebiegła ulicą. Rzucili na ziemię kilka petard, które wybuchły. Joanna podskoczyła z zaskoczenia. Parę metrów dalej chłopcy zachichotali i ich kroki oddaliły się szybko. Nie wiedziała nawet, w którą stronę ma pójść, żeby udać się do hotelu albo złapać taksówkę. Wstała i powoli ruszyła przed siebie.



Najpierw biegła, ale szybko dostała zadyszki, a klucie w boku uniemożliwiło jej dalszy bieg. Szła więc najszybciej, jak mogła. Ciemne niebo rozciągnięte nad Warszawą przecinał co jakiś czas ostry blask błyskawicy. Duszne powietrze powoli studziły coraz silniejsze porywy wiatru. Joanna czuła, że burza była krok za nią. Tomek miał zawiadomić policję i sprawdzić Dworzec Centralny, a potem dojechać do Joanny. Wbiegła do budynku dworca Warszawy Wschodniej. Rozejrzała się po hali. Musiała sprawdzić perony. Miała silne przeczucie, że jeśli Julia miała dokądś

pójść, to właśnie tutaj. Może już wsiadła do jakiegoś pociągu lub autobusu. Joanna odmawiała myśli o gorszych możliwościach. Czowała, że Julia chciała uciec, że coś ją ciągnęło. Z tego dworca odjeżdżały zawsze do domu i tu wysiadały, wracając. Dopadła schodów prowadzących na peron pierwszy i po chwili stała na obskurnym pustym peronie. Pobiegła wzdłuż torów do jego końca. Rozejrzała się w panice i wtedy w mdłym świetle lamp dojrzała kobiecą postać, spacerującą dwa perony dalej.

– Julia! – Głos Joanny zagłuszył pomruk burzy i szum wiatru. Gdzieś w oddali usłyszała zbliżający się pociąg. Zerwała się do biegu.

Wbiegła schodami i zdyszana wpadła na peron. Julia stała w świetle lamp. Wiatr szamotał jej nocną koszulę i targał ciemne włosy. W jednej ręce trzymała dziecko, w drugiej nóż. Joanna podeszła do niej powoli.

– Julia... – powiedziała cicho, próbując ukryć emocje i opanować zadyszkę. – Julia, co ty robisz?

Przyjaciółka spojrzała na nią, jakby dopiero ją zauważyła, i uśmiechnęła się lekko.

– Asia, gdzie twój plecak?

– Co? – Joanna poczuła, że przerażenie i rozdzierający smutek zaciskają się wokół jej płuc jak metalowa obręcz.

– Znowu będzie burza. – Julia uniosła twarz ku niebu, jakby rozkoszowała się światłem słońca. Nagle jej twarz stężała i wbiła spojrzenie w Joannę. Pierwsze ciężkie krople deszczu zaczęły spadać na ich skórę. Julia powiedziała cicho: – Pamiętasz tamtą burzę?

Joanna skinęła powoli. Była na granicy rozpacz i szloch, który uwiązał w jej gardle, uniemożliwiał jej odpowiedź. Wyciągnęła dłonie ku dziecku w ramionach Julii, ale ta przycisnęła je mocniej do siebie, a potem obróciła się i ruszyła wzdłuż torów, niebezpiecznie blisko krawędzi.

– Julka, zatrzymaj się! Proszę cię! Porozmawiajmy o tym spokojnie w domu, dobrze?

– Muszę się pospieszyć. – Julia mówiła bardziej do siebie. – Muszę się pospieszyć.

Joanna próbowała dotrzymać jej kroku. Za nimi usłyszała nagle stanowczy głos Tomka.

– Julia!

Obróciła się. Stał przy schodach, zdyszany, tak jak ona z przerażeniem wypisanym na twarzy. Jego głos zabrzmiał jak budzik, który wyrwał Julię z dziwnego makabrycznego snu. Zatrzymała się i obróciła do Tomka.

– Wracamy do domu! – powiedział i ruszył ku nim.

Pokręciła głową.

– Nie! Nie uratowałeś tamtego chłopca! – zawołała ponad szumem wiatru. Cofała się krok po kroku. – Teraz przyjdą, żeby zabrać to dziecko!

– Jezus Maria, Julia... Czy ty kompletnie zwariowałaś?! – krzyknął i popatrzył na nią z niemal widocznym obrzydzeniem. Julia cofnęła się jeszcze o krok i stała teraz tuż przy krawędzi peronu. Serce Joanny zamarło. W oddali widziała zbliżające się światła pociągu.

– Ty mnie nawet nie kochasz. Ani mnie, ani tego dziecka! – powiedziała Julia przez łzy.

Joanna widziała narastającą złość na twarzy Tomka, który postąpił parę kroków ku nim.

– To o to ci chodzi?! – krzyknął. Deszcz zaczął ostro zacinać i Joanna z niepokojem zerknęła na dziecko w ramionach Julii, które zaczęło wiercić się i kwilić. Miała wrażenie, że zaraz wypadnie z jej rąk.

– Nikogo nie uratujesz! – Julia wyciągnęła ku niemu nóż. – Nikogo!

– Nie mogłem go uratować! Rozumiesz? Był za długo pod wodą! Julia, proszę cię... – Wyciągnął ku niej dłoń. Nóż w jej ręku drżał. Byli już mokrzy. Kolejny grzmot rąbnął ponad nimi i jego huk wstrząsnął niebem. Jakiś bezdomny, mamrocząc coś pod nosem, ruszył ku wyjściu, zerknąwszy na nich bez większego zainteresowania. Dziecko zaczęło płakać przeraźliwie. Tomek opuścił dłoń. Joanna

widziała, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada w ciężkich oddechach, jakby zmagał się z ogromnym wysiłkiem. Na moment jego oczy przesunęły się z Julii na Joannę. Popatrzył na nią zrezygnowany i pokonany, a potem obrócił się ku Julii. – Kocham cię. Chodźmy do domu. Dobrze? – powiedział w końcu.

Julia przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem skinęła i Tomek powoli podszedł do niej, wyjął nóż i dziecko z jej ramion, a potem ruszył ku schodom prowadzącym do hali głównej, nie obejrzawszy się za siebie.

Następnego dnia wszyscy troje siedzieli w lekarskim gabinecie. Joanna trzymała dziecko. Lekarz zważył je i zbadał, po czym mruknął jedynie, że wszystko jest z nim w porządku. Dopiero potem skupił uwagę na Julii, która zapytana o to, jak się czuje, milczała uparcie, by w końcu powiedzieć jedno słowo.

– Zmęczona.

Lekarz pokiwał głową i odparł beznamiętnie:

– To normalne.

– Ona nie śpi – powiedziała Joanna, czując narastającą irytację. – Nie je.

– Gdyby nie jadła, nie miałyby pokarmu – powiedział lekarz. – Nie ma wyspanych matek niemowląt.

– Ale ona... – zaczęła rezolutnie Joanna, ale jej oczy napotkały wbity w nią wzrok Tomka, który wyraźnie próbował ją powstrzymać. – Ona dziwnie się zachowuje. Nie okazuje uczuć dziecku, a jednocześnie bardzo się o nie boi. Ona nie jest tylko zmęczona, jest wychudzona i wyczerpana.

Lekarz pokiwał głową i tym razem przyjrzał się uważniej Julii, unikającej jego wzroku. Chwilę później wręczył im receptę.

– To pomoże jej odpocząć i dojść do siebie. Będzie dużo spać, więc ktoś musi być przy niej cały czas. Niestety te leki nie idą w parze z karmieniem piersią.

– Ja nie mogę... – zaczął Tomek, ale Joanna przerwała mu szybko.

– Ja się zajmę nią i dzieckiem do czasu, aż sytuacja się unormuje.

– Nie możesz. A studia?

– Jest czerwiec. Już po sesji. I tak nie mam planów na wakacje – skłamała.

Wrócili do domu w milczeniu. Tomek zrobił sobie kanapkę i bez słowa wyszedł do pracy. Był kolejny parny czerwcowy dzień. Joanna otworzyła okna, ale zaciągnęła zasłony. Pomogła Julii zdjąć ubrania i umyć się. Podała jej czysty podkoszulek i bieliznę, zmieniła pościel. Julia nie chciała jeść. Joanna wmusiła w nią parę kęsów kanapki i dopiero wtedy Julia zażyła lek. Zasnęła pół godziny później, zostawiając Joannę samą z dzieckiem i bałaganem.

Nagle jej dni stały się zapełnione nieznaną jej dotąd rutyną, czynnościami, które powtarzały się jak w kalejdoskopie. Opieka nad dzieckiem, Julią i kawalerką, gdzie żyli nagle we czworo, pochłonęła ją całkowicie. Julia spała dużo po lekach i zdawało się, że dziwne zachowania były epizodem, o którym starali się zapomnieć. Nie była weselsza, ale spokojniejsza i na prośbę Joanny jadła regularnie. W końcu Joanna uległa złudnemu wrażeniu, że mogli tak trwać dalej.

Najcięższe były noce, gdy mały płakał, a przygotowanie butelki zdawało się trwać wieki. Czasem płakał nawet po tym, jak go nakarmiła. Kładła go wtedy obok siebie na materacu. Pewnej nocy próbując go uspokoić i uśpić, zaczęła śpiewać pierwszą piosenkę, której słowa i melodia przyszyły jej do głowy.

Hej, żeglujże, żeglarzu, całą nockę po morzu.

Hej, żeglujże, hej, żeglujże, całą nockę po morzu.

Dziecko umilkło i w mroku nocy jego oczy jak dwa przejrzyste bliźniacze jeziora wpatrywały się w twarz Joanny. Poczowała na sobie jeszcze jedno spojrzenie i podniosła wzrok. Julia okryta kołdrą leżała na boku. Jej bezdennie smutne oczy wpatrywały się w Joannę, która śpiewała dalej, i wkrótce cichy głos przyjaciółki dołączył do jej własnego.

Jakże ja mam żeglować,

Gdy na świecie ciemna noc.

Zapal drzazgę albo dwie,

Przyżeglujże ty do mnie,

*Żeglarzu, hej! Żeglarzu, hej!**

Kiedy Julia zasypiała w ciągu dnia, Joanna zabierała dziecko na spacer i przechadzała się po osiedlu, kiwając głową do innych mam, których twarze zaczęła rozpoznawać. Siadała na ławce przy skwerku z małym placem zabaw i obserwowała inne dzieci. Czasem zabierała ze sobą aparat i robiła zdjęcia śpiącemu dziecku.

– Są takie słodkie, kiedy śpią. – Kobieta, która zajęła miejsce na ławce obok niej, kołysała wózek z nieco starszym niemowlakiem. Zerknęła na drugie dziecko na huśtawce. – Masz tylko jedno?

Joanna otworzyła usta, żeby zaprotestować, a potem skinęła głową, uznając, że tłumaczenie obcej kobiecie zbyt zawikłanej sytuacji nie ma sensu.

– Poczekaj, aż podrośnie. Jak ci się wydaje, że teraz jest ciężko, to się grubo mylisz. Nim się obejrzysz, buzia mu się nie będzie zamykała i będziesz musiała mieć oczy dookoła głowy.

Joanna uśmiechnęła się lekko, bardziej z grzeczności niż z potrzeby serca.

– Jak ma na imię? – spytała kobieta.

– Adaś – powiedziała Joanna i popatrzyła na śpiące w wózku dziecko, które uśmiechnęło się przez sen, jakby usłyszało własne imię wypowiedziane po raz pierwszy z dumą i czułością.

Wróciła do kawalerki tuż przed Tomkiem, na tyle wcześnie jednak, by odgrzać przygotowany obiad.

– Wezmę go od ciebie za chwilę, tylko się opłuczę, dobrze? – powiedział, w pośpiechu zjadając posiłek.

– Nie trzeba, ja...

– Asia, ty też musisz odpoczywać. Wystarczy, że zamiast wakacji siedzisz tutaj uwięziona.

– Nie jestem uwięziona. Julia zrobiłaby to samo dla mnie.

Tomek odwrócił się do niej i otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Wieczorem naląła wody do małej wanienki i podała dziecko Tomkowi, żeby je wykąpał. Potem stała w drzwiach małej ciasnej łazienki i patrzyła, jak mały z główką ułożoną na pieluszce zanurzonej w wodzie radośnie kopie, rozpryskując wodę. Ostatnio mniej płakał i dłużej spał, a gdy się budził, rozglądał się z ciekawym wzrokiem. Woda chlupnęła na podkoszulek Tomka.

– Łobuz – mruknął z szerokim uśmiechem. Joanna miała poczucie, że jest świadkiem jakiegoś intymnego momentu, którego częścią nie powinna być. Chciała wyjść. Tomek przytrzymał zębami brzeg materiału przy szyi, a potem sięgnął dłonią do karku i jednym zwinnym ruchem zdjął podkoszulek. Joanna poczuła uścisk w sercu. Zawsze tak śmiesznie ściągał T-shirt, kiedy siedzieli nad jezioro. Nagle uderzyła ją myśl, że zaledwie rok temu byli zupełnie innymi ludźmi. Byli wolni, szczęśliwi, wszystko się mogło jeszcze zdarzyć, a serce Joanny pełne było nadziei. Dziś stali w ciasnej kawalerce, uwikłani w jakąś sieć zdarzeń, z której żadne z nich nie mogło się wydostać.

– Podasz mi oliwkę? – spytał, więc zamiast wyjść, sięgnęła po buteleczkę.

Przygotowała ręczniki i poduszkę do przewijania na pralce, żeby Tomek mógł wyjąć dziecko z kąpiel, a potem patrzyła, jak pochylał się nad nim, a mięśnie jego ramion napinały się w sposób, który sprawiał, że odwracała wzrok. Kiedy mały był ubrany, przygotowała butelkę mleka i siedząc na materacu, na którym spała ostatnie noce, karmiła dziecko. Z rozczuleniem patrzyła na małe usta i przejrzyste oczy utkwione w jej twarzy, na piąstki, które powoli rozluźniały się. Poczwała obecność Tomka i skierowała spojrzenie w jego stronę. Stał w progu, patrząc na nich dwoje, jakby nagle zobaczył coś, co umknęło jego uwadze wcześniej. Joanna spojrzwała na śpiącą Julię i odwróciła wzrok. Wkrótce w kawalerce zapanowała cisza. Joanna jak co wieczór zajęła się wyparzaniem butelek i zmywaniem naczyń. Tomek wszedł do kuchni i zamknął po cichu drzwi, żeby nie obudzić śpiących matki i dziecka. Wyjął z lodówki piwo.

– Chcesz? – spytał. Miała wrażenie, że po raz pierwszy od tamtej nocy, po raz pierwszy od dłuższego czasu, był rozluźniony. Skinęła, więc sięgnął po kolejną butelkę i usiadł przy małym stoliku w ciasnej kuchni. Zza otwartego okna dobiegał

ich świergot ptaków. Do pomieszczenia wpadał blask zachodzącego słońca. Gdyby zamknęła oczy, Joanna mogłaby nawet udawać, że nadal są nad jeziorem. Ale nie byli. Wytarła ręce i usiadła naprzeciw niego przy stole. Upiła spory łyk piwa.

– Wydaje się, jakby to było sto lat temu – powiedział nagle, nie patrząc na nią. Pokiwała głową. Nie musiała pytać, co miał na myśli.

– Tomek... Nie mogłeś uratować tego chłopczyka. – Już od tak dawna chciała mu to powiedzieć. Chciała, żeby usłyszał to od niej, żeby wiedział, że tak właśnie myśli.

– Gdybym kazał im wracać od razu... – zaczął cicho.

Pokręciła głową.

– To nie była twoja wina.

Podniósł na nią spojrzenie, które pociemniało nagle, choć przez okno wpadał pomarańczowo-różowy blask zachodu.

– Ale to wszystko tak – odparł, ruchem głowy wskazując na pokój za zamkniętymi drzwiami kuchni.

Joanna zacisnęła wargi.

– To już nie ma znaczenia – odparła w końcu. Nagle nie chciała o tym myśleć. – Idę poczytać książkę.

Resztę wieczoru spędzili tak, jak co dzień, on wpatrzony w ekran małego telewizora z dźwiękiem wyciszonym niemal maksymalnie, ona z książką. Wkrótce za oknem zapadł zmrok i Joanna usnęła skulona na wąskim materacu tuż pod ścianą. Wybudzała się zwykle jeszcze, nim Adaś zaczynał płakać na dobre. Tamtej nocy jednak spała twardo i gdy się obudziła, Tomek niósł już małego do kuchni, by przygotować mu porcję mleka. Na palcach ruszyła za nim.

– Przepraszam... – powiedziała i automatycznie zaczęła wsypywać proszek do butelki. Proporcje znała już na pamięć. – Powinnam była się obudzić...

– To nie twoja odpowiedzialność – odparł, kołysząc kwilące dziecko.

Nie odpowiedziała. Chwilę później podała mu butelkę. Siedzieli w ciemnej kuchni, patrząc na Adasia, który zachłannie opróżniał zawartość. Tomek wyłapał

jej spojrzenie, gdy siedziała z głową wspartą na dłoni.

– Czasem nie mogę oderwać od niego wzroku – przyznała.

Uśmiechnął się lekko. Wkrótce podniósł się i zaniósł śpiące dziecko do pokoju. Joanna wstała chwilę później. Czuła się zawieszona między dwoma wersjami rzeczywistości, choć wiedziała, że tylko jedna była prawdziwa. Miała już opuścić kuchnię, gdy w drzwiach stanął Tomek. Jego oczy były przejrzyste i jasne w panującym wokół mroku. Nie protestowała, kiedy objął ją ramieniem ani kiedy przyciągnął ją do siebie. Joanna znów poczuła nadchodzącą zniecka burzę, inną niż jakakolwiek burza do tej pory. Całował ją zachłannie i mocno. I każdy kolejny pocałunek utwierdzał ją w przekonaniu, że tak miało być zawsze. Sięgnęła dłonią niżej, ale powstrzymał ją, nim wsunęła palce pod materiał jego spodni od piżamy.

– Asia... – powiedział miękko i ciepło. – Czy ty... Czy ty to kiedykolwiek wcześniej...?

Pokręciła głową, nim dokończył pytanie. Pocałował ją w czoło. Jego oddech był gorący, a klatka piersiowa pod jej palcami unosiła się ciężko i szybko.

– Nie chcę, żeby to było w ten sposób – powiedział w końcu.

– Ale ja chcę. – Próbowała wyswobodzić dłoń z jego uścisku. – Ja chcę...

– Nie, nie...

– Tomek, proszę cię... – Jej pierś rozpierała mieszanka wstydu, pragnienia i żalości.

– Nie chcę, żeby cię bolało... – powiedział cicho. – To nie jest odpowiednie miejsce...

Złość. Joanna poczuła nagłą falę złości. Wyrwała się z jego objęć i podeszła do okna.

– Czy ty naprawdę myślisz, że to akurat będzie mnie najbardziej bolało? – W jej oczach błysnęły łzy, ale nie czuła smutku. Czuła się upokorzona.

Stał przed nią z tym wyrazem twarzy, w którym było niemal tyle samo bólu, ile w niej samej. A potem objął ją i uniósł, sadzając na stole. Powoli zsunął jej bieliznę i pochylił się ku niej, opierając gorące czoło na jej czole.

– Przepraszam – powiedział, choć nie wiedziała, czy przepraszał za ból, który już jej zadał, czy za ten, który miał jej zadać. W tym momencie wsunął się w nią mocno i szybko.

Ból przeszył jej ciało, choć z zaskoczenia, że był tak intensywny, nie wydała z siebie nawet najcichszego dźwięku. Wczepiła się w niego i przymknawszy powieki, dała się ponieść rozkoszy, która tak bardzo ją raniła. Gdy otworzyła oczy, ponad ramieniem Tomka zobaczyła Julię stojącą w drzwiach kuchni.

– Boże – szepnęła w panice, ale Julia odwróciła się, jak gdyby ich nie zauważyła, i odeszła. Kiedy wpadli do pokoju, spała okryta kołdrą mimo gorąca panującego w całej kawalerce.

Tamtej nocy Joanna już nie zasnęła. Słuchała oddechu Adasia i patrzyła na ścianę, przy której spała.



Taksówka zatrzymała się w ostatniej chwili, kiedy Joanna już myślała, że minie ją po prostu jak trzy poprzednie. Wsiadła z wdzięcznością i podała kierowcy nazwę hotelu, a potem odwróciła twarz ku szybie i patrzyła na przesuwane się przed jej oczyma budynki i ulice. Nagle nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego tu jest. Telefon w jej torbie zaczął wibrować, ale nie miała siły po niego sięgnąć, zignorowała go więc i oparła czoło o chłodne szkło.



Powinna była zauważyć, że Julia była mniej senna. Za bardzo jednak starała się ukryć własne zmieszanie i wstyd. Próbowwała wmówić sobie, że ta noc się wcale nie wydarzyła. Cały dzień dokładała starań, by udawać zajętą. Zmusiła Julię do krótkiego spaceru, ale nawet po nim przyjaciółka nie zasnęła. Tomek miał zrobić zakupy po pracy i wrócić później, więc Joanna sama przygotowała kąpiel Adasia.

– Utopisz go – usłyszała za sobą głos Julii i zeszywniała. Obróciła się z Adasiem w ramionach. Julia stała w drzwiach. Jej oczy patrzyły przenikliwie na

Joannę.

– Julka... Przecież wiesz, że nie zrobiłabym Adasiowi krzywdy. – Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie, a wzrok skupiał się na twarzy przyjaciółki, a nie na nożu, który tamta trzymała w opuszczonej wzdłuż ciała dłoni.

– Utopisz go – powtórzyła Julia i postąpiła krok w stronę Joanny.

– Julka, proszę cię... Już go odkładam. Popatrz. – Joanna powoli odłożyła dziecko na przewijak i sięgnęła do wanienki. – Wyleję wodę, dobrze? To nic mu się nie stanie. Żadnej wody.

Julia przechyliła głowę lekko na bok. Kosmyk ciemnych włosów opadł na jej policzek. Było w jej oczach coś przerażającego i Joanna cofnęła się o krok, gdy przyjaciółka podeszła jeszcze bliżej.

– Utopisz go. Tak jak tamtego chłopczyka. A potem będziesz się pieprzyć z Tomkiem. – Joanna poczuła łyzy piekące pod powiekami i strach, który jak ostry lodowy sopel przeszył jej ciało. Nie miała żadnej drogi ucieczki. Stała przy pralce, na której leżał przewijak. Jedną dłonią próbowała zabezpieczać Adasia, żeby nie spadł, drugą wyciągnęła ku Julii.

– To był wypadek, Julia – powiedziała cicho, choć nie wiedziała już sama, czy mówi o tamtej wakacyjnej burzliwej nocy sprzed roku, czy o tej ostatniej.

W ułamku sekundy Julia zamachnęła się i ostrze noża przecięło skórę na dłoni Joanny, która w szoku krzyknęła i cofnęła rękę, próbując osłonić się przed atakiem. Kątem oka zobaczyła w drzwiach sylwetkę Tomka. Złapał Julię od tyłu, wyrwał z jej dłoni nóż i siłą wyciągnął ją z łazienki.

– Utopisz go! Utopisz go! – wrzeszczała Julia, nagle opętana jakąś furją.

Joanna obróciła się i chwyciła Adasia w ramiona. Zaczęła szlochać, przyciskając go mocno do siebie. Po paru minutach krzyk Julii ucichł i chwilę potem w drzwiach łazienki stanął Tomek. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Skąd ta krew? – Rzucił się ku niej, a kiedy nie mogła odpowiedzieć, szlochając tak, że całe jej ciało drżało, powtórzył alarmującym głosem: – Asia,

skąd ta krew?!

Pokazała mu rozciętą dłoń, drugą ręką przytrzymując Adasia, który zaczął płakać. Tomek chwycił ręcznik i próbował zatamować krwawienie.

– Tomek, gdzie jest Julia? – spytała przez łyzy.



W hotelowym lobby powitała ją znajoma twarz młodego recepcjonisty, który opatrzył jej nogę poprzedniej nocy. Był późny wieczór, ale kilkoro gości wciąż jeszcze siedziało w barze. Z głośników płynęły stare amerykańskie świąteczne piosenki, wypełniając przestrzeń sentymentem. Zdała sobie sprawę, że był prawie sylwester. Weszła do środka na drżących nogach, lekko kulejąc. Zobaczył ją i z uprzejmym uśmiechem podał klucz starszej parze, życząc im dobrej nocy w płynnym niemieckim. Potem podszedł do niej z zaniepokojoną miną.

– Dobry wieczór, pomóc pani dostać się do pokoju?

Pokręciła głową.

– Wiem, że już późno, ale czy mogę kupić coś mocniejszego?

– Oczywiście. – Skinął głową. Wszedł z nią do barowego wnętrza, odsunął dla niej krzesło przy wolnym stoliku.

– Co mogę pani podać?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Coś mocnego.

Podszedł do baru i usłyszała, jak zamówił podwójną whisky, po czym sam doniósł zamówienie i postawił przed nią szklaneczkę z trunkiem.

– Na mój koszt. I proszę nie protestować. – Zajął miejsce na wolnym krześle, zerkając w stronę recepcji. – Słyszałem, że szukała pani policja – powiedział, a potem uśmiechnął się, kiedy wykrzywiła usta, popijając whisky.

Skinęła głową i podniosła na niego wzrok.

– Powinien pan trzymać się ode mnie z daleka.

– Co się stało? – spytał ze szczerą troską.

– Boże... Zrobiłam ze swojego życia taki bałagan... – powiedziała i zaczęła płakać.



Mimo wieczornej pory nadal było jasno, gdy dotarli na ostry dyżur. Joanna tuliła Adasia, a Tomek trzymał Julię, której opór zelżał. Tomek rozpiął pasek, którym związał jej dłonie dopiero po tym, jak zatelefonowali do szpitala i byli gotowi do wyjścia. Ubierając Adasia, Joanna z przerażeniem patrzyła na skępowaną przyjaciółkę i stężała od powstrzymanej złości twarz Tomka. Znajomy lekarz czekał już na nich. Wprowadzono ich do wyłożonego białymi kafelkami pomieszczenia z biurkiem i szpitalnym łóżkiem. Mężczyzna zbadał najpierw Julię, potem obejrzał dłoń Joanny. Tym razem nie próbował im wmawiać, że wszystkie świeżo upieczone matki tak się zachowują. Kiedy usiadł do biurka, wszyscy troje zasiedli po przeciwnej stronie. Lekarz wdał się w krótką rozmowę z Julią. Pytał o jej imię, o dzień tygodnia, porę roku, wiek dziecka. Na dźwięk jego imienia Julia pochyliła się nad biurkiem i powiedziała stanowczo, wskazując na Joannę:

– Chciała go utopić!

Joanna otworzyła usta gotowa tłumaczyć się w panice, ale lekarz uniósł dłoń, powstrzymując ją tym gestem.

– Dlaczego pani myśli, że przyjaciółka chciała utopić pani synka?

– Żeby spać z Tomkiem. Widziałam ich – powiedziała Julia i Joanna wymieniła przerażone spojrzenia z Tomkiem, po raz kolejny otwierając usta, żeby coś powiedzieć.

Lekarz pokiwał głową i zapytał:

– To dlatego zraniła pani przyjaciółkę?

– Chciała go utopić – powtórzyła Julia. – Nikt by go nie uratował. Nikt.

Chwilę później lekarz opuścił gabinet i wrócił z dwoma pielęgniarkami, w których ręce oddał Julię. Nim wyszła, znów zaczęła krzyczeć i jej słowa oddalające się korytarzem długo jeszcze słyszeli zza zamkniętych drzwi.

– Co się z nią dzieje? – spytała Joanna.

– Pani przyjaciółka cierpi na psychozę poporodową. To zaburzenie psychotyczne, które rozwija się u niewielkiego procenta kobiet. Niestety w związku z natężeniem objawów konieczna jest natychmiastowa hospitalizacja. Chora może bowiem stanowić niebezpieczeństwo dla siebie samej, dziecka lub innych osób. – Wskazał ruchem głowy na zabandażowaną dłoń Joanny.

– Ale... to się da leczyć?

Lekarz skinął głową.

– W zależności od rodzaju objawów zostaną podane leki przeciwdepresyjne lub przeciwpsychotyczne. Będzie konieczne leczenie psychiatryczne. Po więcej informacji proszę przyjść jutro w godzinach odwiedzin. Będą państwo mogli porozmawiać z lekarzem prowadzącym.

Opuścili szpital w milczeniu.

– Musimy zadzwonić do rodziców Julii. Trzeba im powiedzieć.

Tomek zagryzł zęby, ale nie próbował jej przekonywać, że jest inaczej. Wrócili do kawalerki i gdy Adaś zasnął, Joanna z ciężkim sercem zatelefonowała do Sawickich. Zareagowali tak, jak się spodziewała.

– Będą tu jutro.

Tomek skinął głową. Siedzieli obok siebie na tapczanie, patrząc na śpiącego Adasia. Joanna chciała myśleć o czymś innym, ale pragnienie było silniejsze niż umysł. Byli sami. Mieli tylko tę jedną noc.

Kochali się na tapczanie, aż pierwsze szare jeszcze światło świtu zaczęło wpadać spomiędzy zaciągniętych zasłon. Ale dzień, który się budził, miał przynieść jedynie ciemność.

Sawicka wrzucała rzeczy Julii i dziecka do podróźnej torby. Jej furia do złudzenia przypominała tę Julii. Joanna próbowała ją uspokoić i wytłumaczyć sytuację, ale oskarżające spojrzenie Sawickiej było jak niebezpieczna broń. Tomek wpadł do korytarza zdyszany.

– Byłem w szpitalu! Sawiccy wypisali Julię na własne żądanie... – zaczął, ale słowa urwały się, gdy wszedł do pokoju.

Joanna siedziała na tapczanie z Adasiem w ramionach.

– Zabierają Julię i Adasia do domu – powiedziała przez łzy, które spływały po jej policzkach.

– Wy! Wy dwoje! To wasza wina! – Na widok Tomka furia Sawickiej zapłonęła na nowo. – Wykorzystaliście ją dla jej pieniędzy! Ja zawsze wiedziałam, jaki jesteś naprawdę! Nic dobrego nie mogło z ciebie wyrosnąć! Zniszczyłeś życie mojej córki! Zniszczyłeś ją!

Joanna patrzyła, jak Tomek cofnął się o krok, oniemiały i upokorzony. Sawicka odwróciła się do niej.

– Proszę mi dać dziecko.

Joanna spojrzała błagalnie na Tomka, którego dłonie zwinęły się w ciasne pięści.

– Tomek, zrób coś... – szepnęła błagalnie.

Sawicka wyciągnęła ramiona po dziecko.

– Myśleliście, że wam to ujdzie płazem?! – Matka Julii syczała teraz jak wąż gotowy plunąć jadem. – Myśleliście, że nikt się nie dowie? Że będziecie wysysać moją córkę z jej pieniędzy i życia i sypiać ze sobą, jakby jej nie było?! Myśleliście, że mi nie powie?! Powiedziała mi wszystko! Nie pozwolę wam skrzywdzić jej nigdy więcej, ani jej, ani dziecka!

Joanna poczuła ukłucie strachu. Miała wrażenie, że nagle stoi tam naga. I jedyne, czym mogła się okryć, to kłamstwo.

– Julia cierpi na psychozę. Wszystko, co pani powiedziała jest wytworem jej chorego umysłu. Proszę zapytać lekarza.


Oto ona. Najciemniejsza chwila jej życia. Moment zdrady. Tej prawdziwej zdrady. Dokonanej świadomie, nie pod wpływem wzburzenia. W imię miłości, która nie należała do niej. Joanna miała wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się

potem, było lawiną wywołaną tym jednym kłamstwem, które padło z jej ust i jak wąż wypełzło, kłusząc i zabijając trującym jadem.

Sawicka spojrzała na nią z obrzydzeniem. Jego smak Joanna poczuła wyraźnie. Ze wstydu, który ją ogarnął, nie protestowała, kiedy Sawicka wyjęła z jej ramion Adasia. Jego płacz rozległ się na klatce schodowej, ale chwilę później kawalerkę wypełniły cisza i ciemność, której nie mógł rozjaśnić nawet rażący blask słońca, wpadający przez otwarte okna.

* Utwór znany głównie z wykonania Maryli Rodowicz, ale oryginalnie pochodzi z Kaszub i jest datowany na XVII wiek.

40

 Tomasz Rajter przetarł zmęczone oczy i powiększył zdjęcie jeszcze raz. Na małym wyświetlaczu jego komórki trudno było zobaczyć szczegóły. W końcu zaczął się wahać, czy miał rację, czy nie na próżno wywołał alarm. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, nie wstał nawet od stołu. Młody policjant przyniósł swój laptop i opadł ciężko przy stoliku. Tomasz zerknął na jego spiętą twarz. Wyjął z lodówki piwo i postawił przed nim.

– Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował – powiedział i tym razem Kees Herder sięgnął po butelkę i wypił połowę jej zawartości w paru łapczywych łykach. – I śmierdzisz gorzej niż ja. Z całym szacunkiem – dodał Tomasz i przez moment przyglądał się młodemu mężczyźnie pochylonemu nad monitorem laptopa. – Coś się wydarzyło? Jakieś nowe informacje?

– Co konkretnie znalazłeś? – Kees najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędki. Jego głos był lekko ochrypły. Odwrócił laptopa w stronę Tomka, unikając patrzenia mu w oczy.

Tomasz wszedł na stronę poświęconą zaginięciu Jaspera i odnalazł zdjęcie. Był to jeden z pierwszych postów umieszczonych na stronie. Obrócił komputer tak, by obaj widzieli ekran. Kees ściągnął brwi i zerknął na niego pytająco.

– Co widzisz? – spytał Tomasz.

– Lois Bakker. To ostatnie zdjęcie, które zrobiła sobie samej i wysłała przyjaciółce tuż przed tym, jak zaginęła. Wszyscy to wiedzą... Co to ma wspólnego z...?

– Szal. – Tomasz wskazał palcem błękitny szal, którego fragment widać było spod kurtki młodej kobiety. Powiększył zdjęcie. – Kiedy znalazłem Jaspera w fabryce, miał ranę na dłoni owiniętą niebieską brudną szmatą. Tak przynajmniej myślałem. Że to była jakaś szmata. Jak się przyjrzyysz, zobaczysz delikatny biały wzór na materiale. – Kees zbliżył twarz do monitora. – Ten sam wzór widniał na szmacie, którą Jasper znalazł w miejscu, gdzie go trzymano, i której użył do owinięcia dłoni. Jestem pewien!

– No i co z tego? – Kees wyprostował się i popatrzył na niego sceptycznie. – To może być zupełny przypadek. Gdyby coś łączyło te dwie historie, już dawno byłyby na to jakiś dowód – powiedział twardo.

– Jasne – mruknął Tomek. – Szczególnie że policja dołożyła tylu starań, by zbadać sprawę Jaspera.

Kees zmrużył oczy i popatrzył na niego z lekkim błyskiem złości.

– O, przepraszam, zapomniałem, że tak dużo wiesz o pracy policji, zważywszy, że już po raz drugi byłeś przesłuchiwany w charakterze podejrzanego o poważne przestępstwo.

– Słuchaj, to ty przyszedłeś do mnie, nie ja do ciebie. Jeśli nie chcesz słuchać tego, co mam do powiedzenia...

Kees potarł twarz i upił spory łyk piwa, a potem odstawił pustą butelkę na stół.

– To nie ma sensu... – powiedział powoli, ale ton jego głosu zmienił się i młody policjant ponownie pochylił się nad zdjęciem. – To się nie trzyma kupy. Co łączy te dwie osoby ze sobą? To nie wygląda na ofiary seryjnego mordercy, nie ma żadnego wspólnego mianownika. Nawet tak podstawowa rzecz jak płeć się nie zgadza! Ona miała dwadzieścia pięć lat, Jasper niecałe szesnaście. Nic ich ze sobą nie łączy! Do tego Bakker nie pochodziła nawet z Leeuwarden! Z tego co pamiętam, mieszkała w... Drachten. – Tomasz widział, jak twarz śledczego stężała,

jak gdyby nagle odkrył szokującą prawdę. – Tak jak Freya... – dodał szeptem ze wzrokiem wbitym w laptopa.

– Freya? – Tomasz stracił wątek i przez chwilę nie widział, o czym była mowa.

Kees pokręcił głową, a potem popatrzył na Tomasza spod ściągniętych brwi.

– Nieważne. Bakker nie pochodziła stąd – powiedział nieustępliwie.

– Jej ciało znaleziono w Leeuwarden!

– To jeszcze o niczym nie świadczy! Jestem pewien, że nic jej z Jasperem nie łączy. A ten szal może być czystym przypadkiem!

– Sprawdź to przynajmniej. Ten szal nadal leży wśród rzeczy Jaspera, które spakowałem do worków. W jakim stanie znaleziono Bakker? Czy miała na sobie ten szal? Jeśli nie, to znaczy, że został na miejscu, gdzie była przetrzymywana. Być może w tym samym miejscu, gdzie dwa tygodnie więziono syna Lii. Jej ciało odkryto w piątek nad ranem. Jaspera widziano po raz ostatni w nocy z piątku na sobotę. – Tomasz wymieniał fakty, które teraz nawet w jego zmęczonej głowie układały się w logiczną całość. – Masz dostęp do policyjnych danych. Sprawdź to!

Kees zacisnął usta w wąską kreskę i przez moment bawił się pustą butelką.

– Nie mogę. Zawieszono mnie. Ktoś... dał mojemu przełożonemu znać, że mieszam w materiałach dowodowych.

Tomasz podniósł się i wyjął z lodówki dwie butelki piwa, otworzył je i postawił na stoliku. Kees bez słowa sięgnął po trunek i upił spory łyk.

– I co teraz?

Kees przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach, a potem odezwał się, jakby nie słyszał pytania:

– Nic ich ze sobą nie łączy, ale... – Wstał i zaczął powoli chodzić od ściany do ściany. Tomek obserwował go uważnie. – Mówiłeś, że jesteś przekonany, że porywaczom Jaspera chodzi nie o niego, ale najprawdopodobniej o jego matkę, a może o ojca. Więc jeśli, zaznaczam, jeśli te sprawy są faktycznie połączone, to trzeba sprawdzić, czy są jakieś powiązania między rodzicami ofiar.

– Najpierw trzeba potwierdzić, że Jasper faktycznie miał przy sobie szal tej kobiety. Nie masz nikogo w biurze, kto mógłby dyskretnie to sprawdzić?

Kees wyjął z kieszeni komórkę i po krótkiej rozmowie telefonicznej zebrał się do wyjścia.


– Wrócę, jak tylko uda mi się zdobyć jakieś informacje. Prześpij się czy coś. Jeśli masz rację, jeśli za porwaniem Jaspera stoi ten sam sprawca, który zamordował Lois Bakker, rozpęta się prawdziwe piekło.

– Ktoś pomoże ci w dostępie do danych? – Tomasz podniósł się z krzesła i poczuł nagle, że jego ciało nie jest już młode, lecz sztywne i zmęczone. Policjant skinął i narzucił na siebie kurtkę. – Wiesz, że ryzykujesz swoją karierę?

Kees ruszył w stronę drzwi.

– To już nie ma znaczenia – powiedział i te słowa były jak tunel czasu, który w mgnieniu oka porwał go dwadzieścia lat wstecz, gdzie zupełnie inny głos wypowiedział je w dokładnie ten sam pełen tłamszonego bólu sposób.

41

 Lia Kornmann przebudziła się jak wrak statku, który dobija do przypadkowego brzegu, uprzednio błędząc w ciemności bez celu, gdziekolwiek fale szalejącego sztormu go zanosły. Podniosła się z podłogi. Weszła do kuchni i rozejrzała się nieobecny wzrokiem. Powinna coś zjeść lub wypić, wziąć prysznic, wyszorować zęby. Wszystkie te czynności wydawały się jej jednak pozbawione sensu. Rzuciła kurtkę i torbę na kuchenny blat i ruszyła w stronę pokoju Jaspera. „Port widmo”, myślała, otwierając drzwi. Stała pośrodku pokoju i zachłannie wciągnęła nosem unoszący się zapach. Każdego dnia stawał się coraz bardziej niewyraźny, jak kolor, który bladł stopniowo. W mroku wieczoru Lia przesuwiała wzrokiem po przedmiotach i meblach, niegdyś stanowiących żywe tło życia jej syna, dziś obumarłych i nieruchomych. Schowawszy twarz w dłoniach, zrobiła jedyną rzecz, na którą było ją jeszcze stać. Zaczęła płakać.

Z niespokojnych snów obudził ją dzwonek domofonu. Podniosła głowę. Zasnęła na łóżku Jaspera z jego podkoszulkiem w ramionach. Jej ciało było sztywne i obolałe, oczy zapuchnięte, głowa pulsowała bólem. Nie miała pojęcia, która była godzina, ale otaczała ją kompletna ciemność. Musiała dać sobie chwilę,

by zrozumieć, gdzie się znajduje. Wstała i po omacku podążyła w stronę korytarza. Dzwonek domofonu rozległ się po raz kolejny.

– Tak?

– Kees Herder. Czy może mnie pani wpuścić?

Serce Lii doznało nagłego skurczu przerażenia.

– Proszę wejść. – Wcisnęła przycisk i czekała.

Była pewna, że policjant przychodził ze złymi wieściami. Zapaliła światło i zmrużyła oczy pod wpływem jego rażącego blasku. Wszystko zdawało się ranić jej wyczerpane zmysły. Momentami miała wrażenie, że jest jedną wielką nieogojącą się raną. Ciche pukanie do drzwi dało jej znać, że młody policjant dotarł na piętro. Otworzyła i omiotła wzrokiem jego sylwetkę. Uderzyło go to, że przedstawiał niemalże tak samo żaloszny widok, jak ona sama. Jego podkrążone i zaczerwienione oczy były ciemne i pochmurne, suche wargi świeżo pęknięte z zaschłą na nich krwią, odzież wymięta. Przyniósł ze sobą wątłą woń potu i piwa. Nagle Lia, patrząc w jego oczy, zobaczyła straconego syna. Chciała unieść dłoń i dotknąć jego policzka z nieogolonym, jeszcze tak młodzieńczym zarostem. Zanim jednak zdążyła to uczynić, odezwał się schrypniętym przytłumionym głosem.

– Zostałem zawieszony. Nie powinienem tu być. Zrozumiem, jeśli nie zechce pani ze mną rozmawiać.

Lia bez słowa przesunęła się i gestem dłoni zaprosiła go do środka. Zdjął z głowy czapkę z daszkiem i wsunął ją do kieszeni kurtki.

– Co pani wie o Lois Bakker? – spytał, patrząc na nią uważnie. Jego oczy były zmęczone, lecz nadal czujne.

Lia zapaliła lampkę stojącą w rogu i obróciła się ku niemu zaskoczona.

– Lois Bakker? Dlaczego pan pyta?

– Bo mam podstawy podejrzewać, że zaginięcie Jaspiera jest w jakiś sposób powiązane ze sprawą Bakker. Czy Jaspiera coś z nią łączyło?

Lia powoli usiadła na sofę.

– Nie, oczywiście, że nie! Jak to ma pan podstawy? Znalazł pan coś?

– Tak, ale... nie jestem w stanie tego jeszcze potwierdzić. To tylko poszlaka i muszę wiedzieć jak najwięcej, żeby dowiedzieć się, czy to dobry ślad. Czy panią łączyło coś z tą kobietą?

Lia nie odrywała wzroku od jego twarzy.

– Skąd to panu przyszło do głowy?! Śledziłam tę sprawę podobnie jak cały kraj i nie wiem o tej kobiecie nic poza tym, co podano do publicznej wiadomości.

– A z jej rodzicami? Łączy panią coś z nimi?

– Nie! – Lia czuła narastającą frustrację.

– Ale wywiad z nimi ukazał się w pani gazecie.

– Tak, ale to nie ja go przeprowadziłam! Ja go jedynie zleciłam! Zresztą wiele innych gazet, programów telewizyjnych i portali opublikowało wywiady z rodzicami tej kobiety.

– Czy może pani sporządzić listę osób, z którymi była pani skonfliktowana w ostatnim czasie?

Lia patrzyła na niego w milczeniu.

– Pan myśli, że Thomas miał rację? Że chodzi o mnie?

– Myślę, że w tej chwili nie możemy niczego odrzucać i musimy sprawdzić wszystko, każdy nawet najbardziej nieprawdopodobny ślad.

– Musimy? Myślałam, że pana zawieszono i szuka pan na własną rękę? – spytała i nie umknęło jej uwadze, że na moment spuścił wzrok.

– Thomas Rajter mi pomaga – powiedział w końcu.

Lia otworzyła usta. Poczowała chwilowe oburzenie, które opadło tak samo szybko, jak powstało. Podniosła się i włączyła swój laptop. Weszła na pocztę, po czym z długopisem i kartką w dłoni zaczęła pisać. Kees Herder zajął miejsce na sofie i czekał cierpliwie. Parę minut później podała młodemu mężczyźnie listę z nazwiskami.

– Nie wiem, czy to panu w jakikolwiek sposób pomoże. Nie wiem też, czy to są wszystkie osoby. Czasem ludzie nienawidzą nas skrycie. Wypisałam tych, których

zwolniłam, tych, których artykuły odrzuciłam, tych, którzy natrętnie prześladowali mnie swoimi pomysłami.

– Dziękuję. – Skinął głową i podniósł się.

– Jest pan pewny, że mu ufa? – spytała go, kiedy prawie ruszył w stronę holu.

Widziała, że wahał się, a jego piwne spojrzenie pociemniało jeszcze. Pokręcił głową.

– Nie ufam nikomu.

– On był oskarżony o porwanie i zabicie własnej żony... Ale powiedział mi pan, że myśli, że Thomas nie jest winny porwania mojego syna.

– Nie ma znaczenia, co myślę. Mogę się równie dobrze mylić. Ale to on jako ostatni widział Jaspera. Jeśli jest niewinny, to może nam pomóc. Jeśli to on jest w to zamieszany, wcześniej czy później popełni jakiś błąd i jeżeli będziemy wystarczająco blisko, zauważymy to na czas. Jego żona nie żyje, ale Jasper najprawdopodobniej tak. Dla niego nie jest jeszcze za późno. Czy to ważne, kto pomoże go odnaleźć, nawet jeśli to miałyby być sam diabeł?

Lia pokiwała głową, bo to, co mówił, miało sens.

– Powiedziano mi jednak, że Thomas nie otrzymał kary więzienia. Dlaczego?

– Zarzuty przeciw niemu wycofano z powodu braku dowodów.

– Czy to dlatego pana zawieszono? Bo pan z nim współpracuje?

Kees Herder pokręcił głową i zacisnął wargi tak mocno, że pęknięcie na jednej z nich podeszło świeżą krwią.

– Będzie pan miał jeszcze więcej kłopotów, jak to wyjdzie na jaw.

– To jest akurat nasz najmniejszy problem w tej chwili.

Lia odprowadziła go do drzwi. Kiedy przekroczył próg, kierując się w stronę schodów, zatrzymała go jeszcze na chwilę.


– Proszę coś dla mnie zrobić. – Obrócił do niej poszarzałą ze zmęczenia twarz.

– Proszę na siebie uważać.

Skinął i zbiegł na dół. Przez chwilę Lia stała w ciemności klatki schodowej, rozkoszując się dźwiękiem kroków, które do złudzenia przypominały kroki jej

syna. Zamknęła za nim drzwi. Jego zdecydowanie i nieustępliwość sprawiły, że obezwładniające ją więzy rozpachy opadły i wąty płomień nadziei rozjaśnił ciemność. Lia usiadła do laptopa i wpisała w wyszukiwarke imię i nazwisko Lois Bakker.

42

 Tomek stał pośrodku pokoju, gdy Sawicka wychodziła z kawalerki z jego synem i czuł się bezsilny wobec jej oskarżycielskich słów. Jak gdyby czas cofnął się tylko po to, by mu przypomnieć, że nadal jest wychudzonym zasmarkanym dzieciakiem, który tak naprawdę nie ma dokąd iść. Echo jej słów wisiało w pokoju jak mur, który nie pozwalał mu wybiec za nią. Pomyślał wtedy, że w ostateczności to, skąd pochodzimy, buduje nas tylko po to, by potem być tym, co nas niszczy i kruszy na drobne kawałki.

– Pozwoliłeś jej go zabrać. – Głos Joanny dotarł do niego z daleka.

Siedziała na tapczanie, jej ramiona były puste, a oczy pełne łez. Nagle zerwała się i spojrzała na pościel z obrzydzeniem i przerażeniem. Potem wybiegła na korytarz, omijając go, jak omija się niebezpieczne zwierzę.

– Asia, dokąd idziesz? – Poczł panikę, widząc ją w otwartych drzwiach wyjściowych.

– Do domu. Wracam do domu. Muszę ją przeprosić. Powiedzieć jej prawdę...

Złapał ją za ramię.

– Nie! Nie zrobisz tego! Nie widzisz, co się z nią stało! Tym razem tylko cię zraniła. Skąd wiesz, do czego jeszcze jest zdolna?

– Tomek, to my ją zdradziliśmy. To my ją oszukaliśmy. To my patrzyliśmy, jak tonie, i nic nie zrobiliśmy, bo byliśmy zbyt zajęci sobą!

Puścił jej ramię. Stali milczący w przedpokoju kawalerki.

– To wszystko nigdy nie powinno się zdarzyć – powiedział cicho, myśląc o tamtej nocy z Julią.

– Ale się zdarzyło. I teraz musimy z tym żyć – odparła i wiedział, że miała na myśli ich wspólną noc.

Obudził się w środku nocy. Był przekonany, że słyszy płacz dziecka, ale w pokoju panowały ciemność i cisza. Kołyska była pusta, tak jak miejsce na tapczanie obok niego. Jego myśli jak niespokojne wygłodniałe ptaki krążyły wokół słów Joanny. Myślał o Julii i Adasiu i o chłopczyku, którego imienia nie znał, ale którego twarz tak często wracała do niego w snach. Ileż razy wyrzucał sobie, że mógł zrobić więcej. Ile razy żałował, że nie płynął szybciej? Że nie nurkował głębiej. Że nie zmusił ich do powrotu na brzeg, nim burza rozpełtała się na dobre. Że wypił za dużo. Że nie szukał ukojenia tam, gdzie powinien. Że uwierzył w słowa, o których wiedział, że były kłamstwem, tylko po to, by odurzyć się i nie pamiętać. Że wolał być wściekły, niż czuć ból.

Zza otwartego okna wpadał chłodny powiew, studząc jego rozgorączkowany umysł. Czy popełniał znowu ten sam błąd? Czy i tym razem pozwolił jej odejść, bo nie mógł znieść konfrontacji ze wszystkim, co bolesne? Słowa Joanny wracały do niego uporczywie. „Patrzyliśmy, jak tonie, i nie zrobiliśmy nic”. Można uratować kogoś, kto tonie w wodzie, ale jak uratować kogoś, kto tonie we własnym smutku?

Wyjął z szafy dawno nieużywany podróżny plecak i wrzucił do niego kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Pół godziny później opuścił mieszkanie, nie mając pojęcia, że nigdy więcej do niej nie wróci, i zapominając, że ci, którzy toną, wciągają pod powierzchnię tych, którzy próbują ich ratować.



Obudziło go pukanie do drzwi. Zerwał się i zerknął na zegarek. Dochodziła piąta nad ranem, ale za oknami panował mrok. Otworzył drzwi i młody policjant wszedł pośpiesznie do środka. Rzucił na krzesło plecak wypełniony wydrukami. Tomasz patrzył na niego w napięciu.

– Przy ciebie Lois Bakker nie znaleziono szala, który miała na sobie na tamtym zdjęciu. – Kees Herder wyjął z plecaka dwa zdjęcia i położył obok siebie na stole. Na jednym widniała młoda kobieta ze łzami w oczach, drugi przedstawiał brudny, niegdyś niebieski materiał z dużą plamą krwi.

Stanęli obok siebie, patrząc na kopie fotografii w milczeniu.

– To ten sam szal – powiedział Tomasz, już bez cienia wątpliwości.

– Tak. Ale nadal nie wiemy, czy należał do Lois Bakker. Powiedziałem koledze, który mi pomógł, żeby zbadali tę szmatę na obecność DNA Bakker. Da mi znać, kiedy będą wyniki. Jeśli wynik będzie pozytywny, kazałem mu powiedzieć, że to on zauważył podobieństwo. Drobne wynagrodzenie w zamian za ryzyko, którego się podjął, drukując dla mnie te materiały.

Kees wskazał ruchem głowy na plecak. Tomasz potaknął.

– Skopiowałem to, co mieli. – Młody policjant zdjął kurtkę i zarzucił ją na oparcie krzesła. Wyglądał jak cień. – Ale to nie wszystko. Widziałem się z Lią Kornmann. Gdzieś na wierzchu tego stosu jest kartka, na której spisała nazwiska osób, z jakimi miała konflikty.

Usiadł i wyjął plik papierów.

– Jak ona się trzyma?

Kees pokręcił głową.

– Kiepsko. Musimy wszystko przejrzeć i spróbować wyłapać cokolwiek, co łączyłoby Jaspera z Lois albo Lię z jej rodzicami. O ile jesteśmy na właściwym tropie... Nie ma co gadać, trzeba się do tego zabrać.

– Nie. – Tomasz klepnął go po ramieniu. Coś w tym młodym mężczyźnie napawało go podziwem. Niezłomność i koncentracja, z którą podążał wybraną ścieżką, nieważne jak ryzykowną. Zdawało mu się, że czasem w jego oczach

widział odbicie mężczyzny, którym kiedyś był. Wiedział też jednak, jaką cenę trzeba nierzadko zapłacić za popełnione w dobrej wierze błędy młodości. – Ty się teraz zdrzemniesz, ja to przejrzę.

Kees spojrzał na niego sceptycznie, ale było jasne, że nie miał siły protestować.

– Tylko godzinę – mruknął, po czym minutę po tym, jak położył się na za krótką dla niego sofę, spał głęboko. Tomasz patrzył przez chwilę na jego zmęczoną twarz, następnie zaparzył dzbanek kawy i usiadł do stolika, biorąc do ręki pierwszą z wielu stron grubego pliku papierów, leżącego przed nim. Coraz trudniej było mu się skupić, choć wiedział, że czasu jest coraz mniej. Z każdą minutą szanse Jaspera malały. Wypił pół kubka gorącej kawy i poczuł, jak ciepły płyn rozchodzi się po jego ciele. Za oknem nadal panowała ciemność. Gdzieś tam, w tym mroku, była Joanna. Odnalazła go po tylu latach. Jak? Dlaczego? Czy tak bardzo chciała pomścić śmierć Julii? Wspomnienia powracały coraz częściej z siłą potężnej fali, która na chwilę odbierała mu oddech. Obrazy, głosy, zapachy. Przeszłość, którą dotąd trzymał hermetycznie zamkniętą, sączyła się do teraźniejszości jak trucizna. Zacerpnął powietrza i skoncentrował wzrok na liście nazwisk, które wypisała Lia. Niektóre z nich kojarzył, inne były mu zupełnie obce.

Ciało Lois Bakker zostało odkryte przez przypadkowego przechodnia. Leżało w krzakach, nie w głębi parku, lecz parę metrów od ulicy i ścieżki rowerowej, która biegła wzdłuż terenu. Kawalek drogi dalej mieściły się przystanki autobusowe i ruchliwe rondo. Tomasz otworzył mapę miasta na laptopie i powoli zaczął skanować otoczenie. Miejsce, w którym znaleziono ciało zaginionej kobiety, było dokładnie naprzeciwko budynku domu opieki dla ludzi upośledzonych umysłowo. Fakt ten nie umknął również policji. W aktach sprawy Bakker znalazł się wydruk listy wszystkich mieszkańców ośrodka wraz z raportami z rozmów. Przeczytał je dwukrotnie. Nazwiska jednak nic mu nie mówiły. Według patologa dokonującego autopsji zwłok przyczyną śmierci kobiety było uduszenie, dalsze badania wykazały jednak wysoką zawartość środków odurzających we krwi ofiary. Notka od patologa pod raportem głosiła, że była najprawdopodobniej nieprzytomna w chwili śmierci. Tomasz przejrzał zdjęcia wykonane przez policję na miejscu odkrycia zwłok Lois.

Musiał wstać i zaczerpnąć świeżego powietrza. Zmienił opatrunek na głowie, zażył środek przeciwbólowy i usiadł ponownie do stołu. Zerknął na młodego policjanta, który spał niespokojnie, i zabrał się do czytania raportów z rozmów przeprowadzonych z rodziną, przyjaciółmi, współpracownikami Lois Bakker. Ból z tyłu głowy powoli zelżał. Tomasz odłożył papiery i wszedł na stronę „Chic”. Odnalazł opublikowany na jego łamach wywiad z rodzicami zaginionej kobiety, a potem wpisał w wyszukiwarkę ich nazwiska. Door Struiksma, matka kobiety, prowadziła własny gabinet fizjoterapii. Od czasu rozwodu mieszkała z córką w Drachten. Ojciec Lois, Richard Bakker, urodził się i mieszkał w Groningen, gdzie pracował jako dyrektor zarządzający firmą ubezpieczeniową. Tomasz grzebał jeszcze chwilę w internecie w poszukiwaniu dodatkowych informacji, w końcu odłożył na bok strony raportu z danymi kontaktowymi rodziców Bakker i wrócił do przeglądania reszty wydruków.

43

Kees siedział w kafejce w Drachten i obserwował Freyę, która ustawiała szklanki, kufle i lampki na półkach za barem. Czuł się lekko pijany, kręciło mu się w głowie. Próbował skupić wzrok, lecz wszystko rozmazywało się dziwnie, nawet jej postać poruszająca się tanecznie między szkłem, które odbijało światło. Obraz rozciągał się i falował, jakby jego oczy były zażawione. Nagle zauważył, że na półkach stały nie szklanki, lecz słoiki. Każdy z nich zawierał części ciała, palce, uszy, czasem całe dłonie. Kees poczuł wzbierające mdłości. Chciał wstać i wyjść, jednak gdy spróbował się poruszyć, przeszył go ból. Spojrzał na swoją nogę, lecz w miejscu, gdzie powinno być jego kolano, zobaczył krwawą miazgę. Podniósł wzrok. Freya stała teraz obrócona ku niemu z lekkim uśmiechem. W dłoniach trzymała coś, co wyglądało jak wyrwana siłą część ciała, i w ułamku sekundy Kees z dławiącym przerażeniem zdał sobie sprawę, że patrzy na swoje kolano. W panice próbował zatamować krwawienie. Kiedy znów podniósł oczy, na miejscu Frei stała Lois Bakker. Płakała cicho. W dłoniach trzymała niebieski szal, którym bezskutecznie próbowała owijać krwawy fragment jego nogi. Mimo bólu Kees zerwał się z miejsca i dopiero wtedy zauważył, że na stopach ma łyżwy, a zamiast podłogi wszędzie był piach, w który płozy zapadały się głęboko,

uniemożliwiając mu ucieczkę. Wiedział, że utknął, ale bał się obrócić i spojrzeć w oczy młodej kobiecie.

Kees otworzył oczy i przez ułamek sekundy nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Podniósł się ciężko i potarł twarz, jakby próbował wymazać z niej resztki makabrycznego snu.

– Świeża kawa. – Tomasz Rajter postawił dzbanek na stole. Za oknami szarzało.

– Długo spałem? – spytał, podnosząc się i prostując zesztywniałe ciało.

– Trudno to nazwać spaniem. Przewracałeś się, jakby cię coś gryzło.

Kees obmył twarz zimną wodą i wyszedł na zewnątrz. Stał na podeście barki. Gdzieś daleko na horyzoncie powoli pojawiała się jasna linia dnia, ale woda i niebo były nadal ciemnoszare. Lodowate powietrze rozszerzało boleśnie płuca, ale wdychał je z przyjemnością. Podrażniało zmysły i budziło je do życia. Wszedł do środka i nalał sobie pełen kubek kawy.

– Znalazłeś coś?

– Nie. Myślę, że musimy nawiązać kontakt z rodzicami Bakker. Być może nazwisko Lii coś im mówi. Na pewno coś zostało pominięte.

– Albo po prostu jesteśmy w ślepej uliczce.

Tomasz Rajter westchnął.

– O której będą wyniki tego badania DNA?

– To zależy, jak poważnie potraktują poszlakę. I nie zapominaj, że jest okres świąteczny. Dziś sylwester.

– To już przeczytałem. – Tomasz wskazał na stos wydruków. – To jeszcze nas czeka.

Kees wziął do ręki papiery, które Tomasz już przejrzał, i wertował je przez chwilę. Uważnie przeczytał jego notatki dotyczące rodziców Lois Bakker.

– Zastanawia mnie, dlaczego Leeuwarden? Skoro ona pochodziła z Drachten, jej ojciec z Groningen, skąd jej ciało wzięło się tutaj? Według zeznań

współpracowników, przyjaciół i rodziny Lois nie miała planów po pracy, a już na pewno żadnych związanych z wyjazdem do Leeuwarden.

– Mogła mieć tu spotkanie z kimś, kogo obecność w swoim życiu trzymała w tajemnicy – zasugerował Kees.

– Dlaczego w tajemnicy? Bakker w chwili porwania nie była w stałej relacji. A nawet jeśli masz rację i po prostu widywała się z kimś, dlaczego nie odkryto żadnej wzmianki o ewentualnym kochanku w jej telefonie? I dlaczego jej ciało pozostawiono w tak widocznym miejscu? I do tego przed tym ośrodkiem? Czy to może mieć jakieś podwójne znaczenie, które ktoś przeoczył? – Tomasz Rajter wyrzucał z siebie pytania.

Kees pokiwał głową. Rozumiał, co Rajter miał na myśli. Pochylił się nad papierami.

– Śledczy też na to wpadli. Podejrzewali pacjentów tego ośrodka, który mieści się po drugiej stronie ulicy. Wszyscy zostali sprawdzeni. To zresztą najbardziej prawdopodobna wersja i rozumiem, że poszli w tę stronę.

Tomasz pokręcił głową.

– Być może, jeśli nie brać pod uwagę sprawy Jasperego i jej powiązań z tą kobietą. Jednak ten tok myślenia nie pasuje do naszej teorii. Jeśli Lois i Jasper zostali porwani przez tę samą osobę i nie byli celem, a jedynie narzędziem, to nie szukamy jakiegoś upośledzonego wariata.

Kees przesunął wzrok z Rajtera na wydruki i przez chwilę milczał, przerzucając papiery.

– Nie ma – mruknął do siebie.

– Czego? – Tomasz odsunął kubek z kawą, żeby zrobić mu więcej miejsca na stoliku.

– Sprawdzone wszystkich mieszkańców ośrodka. Ale co z pracownikami? Nie ma nawet listy z nazwiskami.

Kees sięgnął po laptop i po chwili wszedł na stronę internetową ośrodka. Kliknął w zakładkę *Team* i z uwagą skanował wzrokiem nazwiska wyświetlone

przy zdjęciach pracowników. Chwycił listę sporządzoną przez Lię Kornmann.

– Nic – powiedział i poczuł zwątpienie. – Może to po prostu ślepy zaułek?

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Spodziewasz się kogoś tak wcześniej? – Kees ściszył głos, zadając pytanie. Rajter patrzył na niego w napięciu, jakby myślał, że to on kogoś zaprosił.

– Thomas? To ja, Lia! – Tym razem pukaniu towarzyszył znajomy głos.

Tomasz otworzył drzwi. Kees obrócił się i jego spojrzenie na moment skrzyżowało się ze spojrzeniem Lii, stojącej w drzwiach barki. Skupił wzrok na laptopie, żeby dać tym dwojgu przynajmniej iluzję prywatności.

– Czy to ty zabrałeś mojego syna? – Do jego uszu dobiegł mocny głos Lii.

– Lia, ja...

– Po prostu to powiedz. Powiedz, patrząc mi w oczy, że to nie ty.

– To nie ja.

– Dobrze.

Kees słuchał ich rozmowy, przeglądając zakładki na stronie ośrodka. Nie miało to wiele sensu, ale nie wiedział, w którą stronę dalej iść. Lia Kornmann weszła do środka i Rajter zamknął za nią drzwi.

– Lia, pozwól mi to wszystko wytłumaczyć – powiedział cicho. – Ta kobieta, która cię odwiedziła...

– Thomas. – Głos Lii przerwał mu ostro i zdecydowanie. – Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś ze swoją żoną. Ja chcę tylko odzyskać mojego syna. I jeśli dzięki tobie szanse na jego powrót są choćby minimalnie większe... to niech tak będzie.

Kees przesuwał wzrokiem po stronie ośrodka. Klikał w kolejne zakładki, bez zaangażowania śledząc wyświetlony tekst. Oferty pracy, inne lokalizacje, organizacja, kontakt, wiadomości. W tle nadal słyszał głos Lii Kornmann.

– Cokolwiek robicie, chcę być tego częścią. Cokolwiek udało się wam znaleźć, chcę to usłyszeć. Wszystko.

– Lia, nic tak naprawdę nie mamy... – odezwał się Rajter.

Lia podeszła do stolika usłanego wydrukami i zdjęciami. Tomasz wyjął z szafki trzeci kubek i wypełnił go kawą. Kees podniósł się z krzesła. Stali teraz we troje nad rozpętanym na małej powierzchni blatu stolika chaosem.

– Powiedział pan, że podejrzewacie, iż sprawa Lois Bakker ma coś wspólnego z zaginięciem Jaspera – zwróciła się do Keesa, z wdzięcznością przyjmując podany jej przez Tomasza kubek kawy.

– Powiedziałem też, że jeszcze tego nie potwierdziliśmy.

Tomasz wyszukał fotografie i pokazał je Lii.

– Widzisz ten szal? Kiedy znalazłem Jaspera, miał zranioną dłoń obwiązaną materiałem z tym samym wzorem.

Lia patrzyła w skupieniu na zdjęcia.

– Nie rozumiem... – powiedziała. – Myślicie, że coś ich łączyło?

– Podejrzewamy, że byli przetrzymywani w tym samym miejscu. – Kees próbował nie wzbudzać złudnych nadziei, choć wiedział, że na to może być już za późno. Zresztą nie pozostało im nic poza nadzieją. – Na razie nie jesteśmy w stanie doszukać się żadnych innych powiązań między sprawą Bakker a porwaniem pani syna. Istnieje szansa, że się po prostu pomyliliśmy. Ale nic innego nie mamy.

– Skąd miał pan dostęp do tych informacji? Myślałam, że został pan zawieszony? – Spojrzała na niego.

Kees odpowiedział jej milczeniem. Lia przesunęła wzrokiem po zawałonym papierami stoliku. Jej spojrzenie zatrzymało się na ekranie laptopa. Pochyliła się. Przez moment z niedowierzaniem wpatrywała się w wyświetlony tekst z niewielkim dołączonym do niego zdjęciem.

– Co to jest? – spytała drżącym głosem. Kees poczuł lekkie napięcie. Zmrużonymi oczyma skanował zastygłą od zaskoczenia twarz Lii.

– To strona internetowa ośrodka opieki dla osób upośledzonych. Po drugiej stronie ulicy jest park, w którym odkryto zwłoki Bakker. Myśleliśmy, że może to miejsce ma jakieś znaczenie, i próbowaliśmy połączyć cokolwiek z zaginięciem Jaspera. Bezskutecznie.

Lia pokręciła głową, nie odrywając wzroku od laptopa.

– Lia? – Rajter pochylił się ku niej. – Rozpoznajesz coś?

Skinęła, opadła na krzesło przy stoliku i przez moment schowała twarz w dłoniach. Tomasz Rajter ze ściągniętymi brwiami śledził wzrokiem tekst. Jego twarz zamarła nagle.

– Kurwa... – szepnął ze wzrokiem wbitym w monitor.

– To nie ma sensu. – Lia odezwała się cicho. – To nie może być to...

Kees odwrócił laptop w swoją stronę i powoli przeczytał na głos notkę zamieszczoną obok fotografii młodego mężczyzny. „Z ogromnym smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość, że po długiej, trudnej i dzielnej walce z chorobą odszedł od nas przedwcześnie nasz Drogi Kolega Emiel Zwanenburg, wspaniały pedagog, pełen zawodowej pasji i oddania, człowiek wielkiego serca. Żonie Mecie oraz dalszej rodzinie Emiela składamy najszczerze wyrazy współczucia. Dyrektor, pracownicy oraz mieszkańcy Ośrodka Opieki w Leeuwarden”.

44



Tomasz i Lia patrzyli na siebie w pełnym trwogi milczeniu. Pierwszy po chwili ciszy odezwał się Kees Herder:

– Ktoś mnie oświeci w kwestii tego odkrycia?

Lia zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po niewielkiej przestrzeni barki.

– Nie – powiedziała stanowczo. – To niemożliwe. Nedorzeczne!

Kees spojrział pytająco na Tomasza.

– To mąż kobiety, która przez jakiś czas wydzwaniała do redakcji „Chic”. – Tomasz jeszcze raz z lekkim niedowierzaniem zerknął na nazwisko na ekranie laptopa.

Dokładnie pamiętał czas, kiedy Lia opowiadała mu o Mecie. Biedna kobieta miała chorego na raka męża, na którego drogie nierfundowane leczenie próbowała zebrać niebagatelną kwotę. Dręczyła pracowników gazety i samą Lię natarczywymi telefonami i mailami opisującymi jej miłość do świeżo poślubionego mężczyzny, którego choroba postępowała nieubłaganie. Lia na początku nie miała serca potraktować kobiety chłodno, choć nie było mowy o tym, by zdecydowała się umieścić wzmiankę o zbiorce w swojej gazecie. Zwodziła ją trochę, tłumacząc, że nie ma miejsca w nadchodzącym wydaniu, że może w kolejnym. Od czasu do czasu zlecała asystentce wymyślenie jakiejś wymówki na swoją nieobecność, licząc

na to, że kobieta w końcu da sobie spokój. W rezultacie musiała uciąć sprawę szybko i krótko, gdy telefony od kobiety stały się męczące i zaburzały jej pracę w redakcji.

– Czyli jest jakieś powiązanie między panią a tym ośrodkiem... – zaczął ostrożnie Kees.

Lia zatrzymała się nagle i popatrzyła na niego z nieukrywaną irytacją.

– I co z tego?! To przecież nie mogła być Meta Zwanenburg! Ja nawet nie wiem, jak ona wygląda! To tylko nieszczęśliwa kobieta, której mąż był ciężko chory... Miał jakiegoś nieuleczalnego raka. Nie pamiętam dokładnie.

– Czego ona od pani chciała? – dopytywał Kees.

– Jak to czego? Miejsca na łamach gazety. Artykułu czy wzmianki. Z tego co pamiętam, zbierała pieniądze na eksperymentalne leczenie, którego nie chciało pokryć ubezpieczenie. Wykupiła chyba miejsce w innych gazetach, ja się w każdym razie nie zgodziłam nic zamieszczać... Jakie to ma znaczenie? Przecież wam mówię, że ona nie miała z tym nic wspólnego! Jej chodziło o leczenie męża.

– Ludzie zabijają z dużo błahszych powodów – mruknął Kees. Tomasz poczuł na sobie jego spojrzenie.

– A jaki związek jej sprawa ma z zaginięciem i morderstwem Lois Bakker? Dlaczego miałyby ją porwać i zamordować? I jak?

– Może kogoś wynajęła? – Tomasz usilnie próbował poukładać fakty w zmęczonej głowie.

– Ale z jakiego powodu, na Boga?

– Może Lois miała romans z jej mężem?

– Z pacjentem opieki paliatywnej? Serio? – Lia popatrzyła na niego sceptycznie.

Kees usiadł nagle do stolika i przez moment przerzucał papiery, szukając czegoś, po czym z odnalezioną kartką przed oczyma zaczął wpisywać coś w wyszukiwarce. Po chwili triumfalnie przesunął laptop w stronę Tomasza. Lia podeszła powoli do stolika.

– To ojciec Lois Bakker. Jest dyrektorem firmy ubezpieczeniowej Baltas Vitae z siedzibą w Groningen. Muszę to jeszcze sprawdzić, ale jeśli mąż tej kobiety był ubezpieczony w tej firmie, to możemy być na właściwym tropie.

Tomasz ściągnął brwi.

– Baltas Vitae... – powiedział cicho. Potarł zmęczoną twarz. Czuł się jak kretyn. – *Baltas* z litewskiego oznacza biały. To stąd to imię, które podała Jasperowi, gdy rozmawiali na czacie. *Mirtis*. Czyli śmierć. To była jej odpowiedź na ich białe życie... A ja myślałem, że... – Przełknął z trudem resztę myśli, która utknęła mu w przetyku jak ostra ość. Jak mogło mu nawet przyjść do głowy, że Joanna byłaby zdolna do czegoś takiego?

Twarcz Lii stężała w nagłej świadomości, że to, co wydawało się jej niedorzeczne, mogło być prawdą. Pokręciła głową powoli.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepnęła, ale szybko zebrała się w sobie i powiedziała bardziej rezolutnym głosem: – Znam kogoś, kto może nam pomóc potwierdzić te wszystkie informacje.

Wyjęła telefon, odeszła na bok i chwilę później Tomasz usłyszał, jak z kimś rozmawia.

– Jeśli to prawda, muszę przekazać te informacje komendantowi. – Kees zacisnął usta w wąską kreskę.

Tomasz pokiwał w odpowiedzi głową.

– Marnix będzie tu za pół godziny. – Lia opadła na krzesło, wciąż jeszcze z lekkim przerażeniem zerkając na laptop.

Tomasz podniósł się.

– Sklepy już otwarte, wyskoczę po coś do jedzenia.

– Jak? Nie masz auta. – Kees sięgnął do kieszeni kurtki przewieszanej przez krzesło i rzucił mu kluczyki swojego samochodu, które Tomasz złapał, po czym spojrzał na nie niepewnie.

– Może nie powinieneś tak szybko ufać ludziom, których krótko znasz?

Kees podniósł na niego ciemne spojrzenie.

– Ostatnio bardziej ryzykowne wydaje mi się ufanie tym, których znam dobrze.



Tomasz pchnął drzwi i ostrożnie wszedł do środka. Pokój na oddziale psychiatrycznym sprawiał wrażenie brudnego, choć unosił się w nim wyraźny zapach środków dezynfekujących. Nawet biały kolor kafelków, którymi wyłożono ściany, miał dziwny szarawy odcień, jakby nad całym pomieszczeniem unosił się cień. Tomasz zamknął za sobą drzwi i poczuł, jak wszystkie włosy na ciele uniosły się od panującego w pokoju chłodu, jakby ciepło i światło letniego dnia tutaj nie docierały. Julia siedziała na metalowym łóżku. Miała na sobie białą koszulę, która sprawiała wrażenie sztywnej od wielokrotnego prania.

– Cześć – powiedział cicho, jakby obawiał się echa, które jego głos mógłby wywołać.

Kiedy podniosła głowę, przeraziła go szarość jej twarzy i przygaszone spojrzenie, kryjące się w oczach. Jej usta były suche i miał wrażenie, że lekki uśmiech, który wywołał jego widok, sprawił jej ból.

– Tomek... – powiedziała słabo i Tomasz nagle poczuł skurcz żalu. Jak do tego wszystkiego doszło? Skąd tu się wzięli? Czy mogli jeszcze coś naprawić? – Nie chcę mnie wypuścić...

– Wiem, wiem... Rozmawiałem z lekarzem. Dopiero przyjechałem. Julka, co oni ci zrobili?

Ukląkł obok łóżka i wbił przerażony wzrok w czerwone pręgi na jej nadgarstkach. Potarła je niespokojnie, gdy zauważyła, że na nie spojrział. Nagle coś w jej oczach znów zabłysło niezdrowo. Tomasz odsunął się lekko, jakby bał się, że to jego bliskość wywołuje jej niepokój.

– Adaś – powiedziała po chwili milczenia. – Zabrali Adasia. Nie pozwalają mi go widzieć...

Tomasz pochylił głowę i przytaknął.

– Sawiccy – mruknął przez zęby. – Oni cię tutaj umieścili.

– Tak będzie lepiej. Tak będzie lepiej – powtórzyła.

Tomasz podniósł się zdecydowanie. Chude palce Julii wczepiły się nagle w jego dłoń.

– Nie zostawiaj mnie... – W jej głosie słychać było błaganie.

– Julka, muszę iść po Adasia. Nie mogą nam go zabrać. Wróć po ciebie.

Jej palce jeszcze ściślej objęły jego rękę.

– Nie wychodź... Nie pozwól im mi tego wszystkiego robić...

Pochylił się do niej. Nawet chciał ją pocałować, ale nie potrafił.

– Wróć. Obiecuję – powiedział twardo, a potem wy dostał dłoń z jej zaciśniętych palców. Nie protestowała, jakby cień niemocy opadł na nią ponownie.



Sawicka odmówiła otwarcia drzwi.

– Niech pani otworzy, bo wezwę policję. Chcę zobaczyć swojego syna.

– Złożyliśmy wniosek do sądu o przyznanie nam opieki.

– Co?! Na jakiej podstawie? To jest mój syn! Proszę otworzyć!

– Jesteś nieodpowiedzialny! Nie nadajesz się na ojca! Niby skąd miałbyś wiedzieć, jak należy zająć się rodziną?! Przez ciebie Julia zwariowała! Popatrz, co zrobiłeś z jej życiem! Musieliśmy umieścić ją na oddziale! Nie jest w stanie zająć się sobą samą, a co dopiero mówić o dziecku. Zmarnowałeś jej życie!

Tomasz oparł czoło o drzwi i powoli wypuścił powietrze z płuc, żeby opanować wzbierającą wściekłość. Gdzieś z głębi domu dobiegł jego uszu płacz dziecka.

– Otwórz, kurwa, te drzwi! – krzyknął i rąbnął pięścią tak, że usłyszał metaliczny chrzęst zamka pod naporem uderzenia.

– Tomek? – usłyszał za sobą. Obrócił się zaskoczony. Przy bramie prowadzącej na podjazd domu Sawickich stała Joanna. W dłoni trzymała zapakowany prezent. – Co ty tutaj robisz?

– Chcę zobaczyć mojego syna – powiedział zaciekle i obrócił się ku drzwiom, w które zaczął walić z całych sił, aż poczuł przeszywający jego dłonie ból. –

Wpuść mnie, słyszysz?!

Z domu obok wyszli sąsiedzi.

– Zostaw nas w spokoju, bo wezwę policję! – Głos Sawickiej, choć nadal ostry, nosił teraz lekki odcień strachu.

Tomasz poczuł dłonie Joanny, odciągające go od drzwi.

– Tomek, przestań, słyszysz?! Chodźmy stąd!

Odepchnął ją trochę za mocno i dopiero wtedy zauważył, jak na niego patrzyła. Widok jej przerażonej twarzy ostudził jego wzburzone emocje. Wyrzucił z siebie powietrze w jednym głośnym westchnieniu i szybkimi zamaszystymi krokami opuścił podjazd Sawickich. Joanna położyła prezent na schodach i ruszyła za nim bez słowa. Musiała biec, by dotrzymać mu kroku.

– Tomek, zaczekaj!

– Na co? – syknął, choć to nie na nią był zły.

– Byłam w szpitalu u Julii... Nie jest z nią dobrze...

– Myślisz, że nie wiem?! – Zatrzymał się przy swoim aucie i obrócił ku niej. Wsiadł, ale przytrzymała drzwi i pochyliła się ku niemu.

– Tomek, co chcesz zrobić? Zostajesz tutaj? Gdzie będziesz spał?

– Nie będę – odparł i pociągnął drzwi, zamykając je z głośnym trzaskiem.



Błądził po okolicy. Miał wrażenie, że mógłby bez końca jechać drogą ze ścianą lasu po obu stronach. Nie chciał wracać. Donikąd. Nie tak miało być. Wszystko w nim samym było rozdarte między tym, czemu pragnęło być lojalne jego serce, a tym, wobec czego rozum oczekiwał lojalności.

Zaparkował na poboczu drogi, a potem powoli ruszył w mroku ścieżką, która prowadziła wzdłuż spadzistego, gęsto porośniętego drzewami terenu. Domek letniskowy, stojący parę metrów od jeziora, zdawał się opuszczony. Dotarł nad samą wodę i wszedł na stary chybotliwy pomost. Wokół niego unosił się zapach lata, które nigdy już nie miało być takie samo. Jego marzenia, pielęgnowane

ostrożnie w skrytości ducha, zdawały się leżeć teraz na dnie tej ciemnej wody. Wszystko się zmieniło, ale to miejsce, jak zaklęte, pozostało takie samo. Powoli zdjął ubranie i rozprostował ciało, wygiął się w łuk, czując, jak mięśnie naprężają się z wdzięcznością, i wskoczył do wody.

Następnego poranka Tomek porwał własnego synka z wózka, który Sawicka zostawiła na moment pod drzwiami piekarni. Śledził ją, czekając na odpowiedni moment, i jego cierpliwość została wynagrodzona. Nie miał w aucie fotelika dziecięcego. Położył dziecko na tylnym siedzeniu i zabezpieczył je plecakiem, po czym ruszył w stronę szpitala.



– Pytam po raz kolejny: gdzie jest moja żona? – Tomasz chwycił pielęgniarkę za ramiona i potrząsnął nią. Czuł, że jego mięśnie drżą. Nie miał czasu. – Gdzie ona jest?!

– Ma zabieg... – wyjąkała wreszcie kobieta.

– Jaki zabieg? Gdzie?!

Kiedy milczała, puścił ją i biegiem ruszył korytarzem, otwierając wszystkie drzwi, a te, które stawiały opór, pokonując mocnym kopniakiem.

– Proszę pana! Tam nie wolno... – słyszał alarmujący głos pielęgniarki.

Zamek drzwi kolejnego pomieszczenia poddał się i oczom Tomasza ukazał się przerażający widok. Julia leżała na łóżku do zabiegów. Wyglądała, jakby spała z czymś wciśniętym w jej usta, ale jej ciałem wstrząsał dreszcz. Lekarz stojący za nią przyciskał dziwne uchwyty do jej obu skroni.

– Co, do jasnej...?! – Tomasz wstrzymał oddech i objął przerażonym spojrzeniem widowisko przed nim.

– Proszę natychmiast opuścić gabinet. – Asystujący pielęgniarz ruszył ku niemu.

– Panie doktorze, on nie słuchał... – Pielęgniarka, która przybiegła tu za nim, próbowała coś wytłumaczyć prowadzącemu zabieg lekarzowi.

Tomasz poczuł się osaczony. Chwycił stojące pod ścianą krzesło z metalowymi nogami i wycelował je w kierunku pielęgniarza.

– Zdejmij z niej to wszystko w tej chwili! Słyszysz?! – krzyknął do mężczyzny w białym fartuchu, który pochylał się nad Julią.

Lekarz odłożył części aparatu. Tomasz walnął krzesłem w stojący najbliżej niego stolik na kółkach, robiąc tym dużo huk. Pielęgniarz cofnął się o krok i zerknął niespokojnie w stronę lekarza.

– Nie żartuję... Cokolwiek jej tutaj robicie, macie w tej chwili przestać. – Uniósł krzesło do góry.

– Pan nie rozumie – zaczął łagodnie lekarz i Tomasz zdał sobie sprawę, że takim tonem mówił pewnie do pacjentów oddziału psychiatrycznego. – Pana żona nie reaguje odpowiednio na leki. Terapia elektrowstrząsami...

Tomasz po raz kolejny zamachnął się krzesłem i na podłogę posypały się szkła z szafki z lekarstwami.

– Kto wydał zgodę na te tortury?! KTO?!

– Państwo Sawiccy wystąpili już do sądu z wnioskiem o ubezwłasnowolnienie córki. W moim odczuciu jest to rozsądna decyzja, zważywszy, że chora stanowi zagrożenie dla siebie i innych oraz nie jest w stanie decydować...

– Że co...? – Tomasz stał z krzesłem w dłoni, gotowy do ataku. W jego klatce piersiowej fala wściekłości i desperacji boleśnie napierała na żebra. – Odłącz ją! Natychmiast!

Lekarz powoli zaczął uwalniać Julię.

– Dostała środek zwiotczający mięśnie. Jest również uśpiona w znieczuleniu ogólnym. To chwilę potrwa, zanim pacjentka dojdzie do siebie i sama panu powie, że rozmawialiśmy z nią o konieczności przeprowadzenia zabiegu – mówił dalej.

– Dopiero co twierdził pan, że nie jest w stanie podejmować sama decyzji – syknął Tomasz. Z tyłu głowy kołatała mu myśl o Adasiu śpiącym w aucie. Odstawił krzesło i podszedł do łóżka. Podniósł bezwolne ciało Julii i przeraziło go, jaka była wychudzona i jak niewiele ważyła.

– Zabieram ją stąd. Wypisuję ją, słyszy pan? Na własne żądanie!

– Pan nie rozumie. Chora nie jest w tej chwili w stanie funkcjonować bez odpowiednio dobranych lekarstw oraz zabiegów!

– Nie pozwolę wam jej męczyć. Słyszy pan? Ani wam, ani Sawickim!

– Będziemy musieli wezwać policję... Nie może pan... – zaczął lekarz, choć Tomasz był już w drodze do drzwi, za którymi nadal stała przerażona pielęgniarka. Obrócił się jednak ku niemu i zapytał:

– Na jakiej podstawie? – Patrzył mu prosto w oczy i od razu wiedział, że lekarz nie będzie próbował go zatrzymać. – Proszę się odezwać, jak będzie pan miał ten papier z sądu. A teraz zabieram stąd moją żonę.

Pośpiesznie opuścił pokój, niosąc Julię w ramionach. To jednak nie jej wychudzone ciało mu ciążyło, lecz własne serce, jak kawałek zimnego ołowiu.



Kiedy wrócił z torbą pełną świeżego pieczywa, sera, jogurtu i poranną prasą, zastał Lię stojącą nieruchomo z papierosem w dłoni na podeście barki. Obróciła się ku niemu, słysząc kroki.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział.

– Nie wiedziałam, że byłeś oskarżony o zamordowanie własnej żony – odparła ostrym głosem i zaciągnęła się głęboko.

Skinął głową w odpowiedzi na jej ciętą ripostę. Wolał, żeby była wściekła, niż załamana. Jej uwaga nie sprawiła mu nawet przykrości. Zasługiwał na nią.

– Przepraszam, to było niepotrzebne – odezwała się po chwili, nie patrząc na niego.

Wzruszył ramionami. To on powinien przeproszać, wiedział to doskonale.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego nie powiedziałeś, że Jasper był z tobą? – To pytanie nabrzmiało bólem. Nie patrzyła na niego, jej spojrzenie błędziło gdzieś po szarej tafli wody. Przy samym brzegu powierzchnia zamarzła. Kaczki ślizgały się

po niej nieudolnie, próbując dostać się do wody. Tomasz przymknął oczy na chwilę.

– Błagał mnie. Bał się. Bał się o siebie i o ciebie...

– On jest jeszcze dzieckiem – odparła przez zagryzione zęby. – Wiesz, że nigdy ci nie wybaczę, jeśli jesteś ostatnią osobą, która widziała mojego syna żywego...?

Skinął głową, choć stała do niego tyłem.

– Wiem. Nie proszę o wybaczenie.

Zamilkli, ale Tomasz miał wrażenie, że ich rozmowa nie dobiegła jeszcze końca. Stał więc z torbą i gazetami w dłoni w lodowatym chłodzie.

– Myślisz, że to ona? Myślisz, że Meta...? – Lia urwała i dopiero po chwili dokończyła myśl. – Myślisz, że to przeze mnie? Czy to możliwe, żeby ta kobieta zabijała i porywała, bo nie dostała tego, czego chciała?

– Myślę, że ludzie czasem trafiają do bardzo ciemnych miejsc po tym, jak tracą coś, co było dla nich bezcenne.

Lia obróciła się i popatrzyła na niego, jakby tymi słowami przyznał się do morderstwa.

– To brzmi, jakbyś ją usprawiedliwiał.

– Wiesz dobrze, że tak nie jest.

– A ty? Trafiłeś kiedyś do ciemnego miejsca?

Potaknął pod jej przenikliwym spojrzeniem. To nie był czas na kłamstwa i uniki. Wiedział o tym. Wszystko wróciło, czy tego chciał, czy nie. Przeszłość była jak ruchome piaski. Im bardziej wierzgał, próbując się wydostać, tym bardziej się pogrążał.

– I co ty takiego straciłeś, że tam trafiłeś? – spytała z nutą ironii, jakby spodziewała się jakiejś błahej odpowiedzi.

– Syna – odparł po prostu.

Jej twarz stężała w zaskoczeniu. Otworzyła usta, ale w tej chwili w drzwiach barki pojawił się Kees Herder.

– O, już jesteś – rzucił na widok Tomasza, a potem zwrócił się do Lii. – Mamy coś. Emiel Zwanenburg był w istocie ubezpieczony w Baltas Vitae.

– Marnix się do tego dokopał?

– Nie. Przeczytałem po prostu maile, które Meta Zwanenburg do pani pisała na adres redakcji. Ale jest coś jeszcze. Wejdźcie.

Zerknął na gazety w dłoni Tomasza.

– Piszą już o tym w prasie? – spytał.

Tomasz skinął i pokazał mu nagłówek lokalnej gazety. „Sypiając z wrogiem. Tomasz R., partner znanej w medialnym świecie właścicielki czasopisma »Chic«, podejrzany o porwanie jej syna”. Kees zacisnął usta i pokręcił głową. Tomasz wzruszył ramionami, po czym zasiedli do stołu.

45

Joanna obudziła się, gdy za oknem szarzało. Jej głowa pulsowała bólem, a ciało było sztywne. Nie mogła sobie przypomnieć, jak dostała się do hotelowego pokoju. Męczyło ją pragnienie, ale każdy ruch sprawiał ból, próbowała więc leżeć nieruchomo. Za dużo wypła, żeby ugasić wyrzuty sumienia i ból palący od środka, jak śmiertelna choroba, która rozwijała się bezobjawowo przez wiele lat.

Podniosła się powoli i sięgnęła po butelkę z wodą stojącą na nocnym stoliku. Rozejrzała się po pokoju. Panował w nim rozgardiasz. Łapczywie wypła wodę i zaczęła zbierać odzież rozrzuconą po podłodze i meblach. Wrzucała wszystko do podróźnej torby. Chciała opuścić ten hotel, to miasto, ten kraj najszybciej, jak to możliwe. Wyjechać i nie oglądać się za siebie. Bolesne pulsowanie w głowie przybierało na sile. Próbowała znaleźć jakieś czyste ubrania. Odkręciła prysznic i weszła pod gorący strumień, mając nadzieję, że spłucze z niej wspomnienia, które jak brud zdawały się oblepiać całe jej ciało. Utknęła w jakimś chaotycznym i okropnym miejscu między tym, co zdarzyło się w przeszłości, a tym, co działo się teraz, gdzieś obok niej, a jednak na tyle blisko, by porwać ją z siłą wodospadu i wrzucić w rozjątrzone i spienione fale zdarzeń.

Usłyszała donośne walenie w drzwi. Zanurzyła się głębiej w wannie, ignorując dźwięk, ale chwilę potem rozległ się ponownie, tym razem jeszcze donośniej. Ociekając wodą, wyszła z wanny i narzuciła na siebie szlafrok.

W drzwiach stała zadyszana Sawicka. Jej twarz wykrzywił grymas wściekłości. Przepchnęła się do korytarza i wpadła do środka jak tornado.

– Co pani robi...? – Joanna owinęła szlafrok ciasniej wokół nagiego mokrego ciała.

– Gdzie oni są?! – Sawicka zaczęła sprawdzać pomieszczenia, zaglądała do każdego pokoju, pod łóżka i do szafy.

Joanna zaskoczona sytuacją patrzyła na to, nie protestując.

– Kto? O czym pani...?

– Tomek, Julia i Adaś? Gdzie oni są? Byli tutaj?

Joanna otworzyła usta, ale żadne słowo nie przeszło przez jej nagle zaciśnięte gardło.

– Zgłaszam was na policję! – Sawicka zatrzymała się wreszcie pośrodku korytarza i wymierzyła obwiniający palec w Joannę. – Zgłaszam was wszystkich! Niech się wreszcie wami zajmą!

– Nie wiem, o czym pani mówi... – zaczęła powoli, ale Sawicka nie dała jej dojść do słowa.

– Wiedziałam, że z niego będą tylko kłopoty! To było pewne! Ale ty?! Ty byłaś jej przyjaciółką! Po tobie spodziewałam się czegoś lepszego! Gdzie oni są?!

Joanna pokręciła tylko głową, nie będąc w stanie bronić się przed słowami Sawickiej. Nie miała pojęcia, czy jej niema, przecząca odpowiedź była reakcją na pytanie, czy na oskarżenia matki Julii. Powoli jednak zdawała sobie sprawę, że stało się coś złego.

– Wniosę oskarżenie na policję! To wam nie ujdzie płazem! Nie pozwolę na to!

Sawicka opuściła mieszkanie tak, jak do niego weszła, z siłą tornado. Joanna jeszcze długo słyszała echo jej złorzeczeń na klatce schodowej. Jeszcze tego samego popołudnia odwiedziło ją dwóch policjantów, od których wreszcie dowiedziała się, że Tomek porwał Adasia spod sklepu i zabrał swoją żonę Julię siłą z oddziału psychiatrycznego, grożąc personelowi użyciem przemocy. Cała trójka zniknęła i jest poszukiwana. Nawet dla dwójki przesłuchujących ją policjantów było jasne, że Joanna nie miała pojęcia ani o zajściu, ani dokąd udali się Tomek i Julia z dzieckiem. Podała policji adres ich kawalerki w Warszawie, ale tę informację otrzymali już wcześniej od Sawickich.

Późnym wieczorem zadzwonił telefon, który odebrała mama Joanny. Chwilę potem rozległo się pukanie do drzwi jej pokoju, w których ukazała się zaniepokojona twarz mamy.

– Asiu? To Tomek... – Patrzyła na córkę przenikliwym wzrokiem pełnym troski i współczucia. Jeśli ktoś wiedział, jak bardzo Joanna kochała Tomka, to była to jej mama, bez słowa obserwująca tych dwoje. – Podejdiesz do telefonu?

Joanna podniosła się i na miękkich nogach ruszyła do kuchni, gdzie zainstalowany był telefon.

– Halo? – Nie chciała, by jej głos drżał, ale załamał się już przy tym krótkim powitaniu.

– Asia? To ja...

– Tomek... coś ty najlepszego zrobił? – zapytała i poczuła, jak pod powieki napływają jej łzy. Nie wiedziała już, czy wyrzucała mu to, czego się dopuścił, czy bardziej to, że nie uczynił jej tego częścią.

– Nie było innego wyjścia. Wiesz, że nie było... – zaczął i w jego słowach wyczuła strach i desperację. Wyjeżdżamy stąd. Zabiorę ich do Niemiec.

– Tomek, nie możesz tego zrobić! – Zacisnęła palce wokół słuchawki. – Policja was szuka!

– Wiem. Dlatego nie możemy tu zostać.

– Julia potrzebuje leczenia! Nie dasz sobie rady! Co ty wyrabiasz?! – Jej głos wznosił się jak fala.

– Cokolwiek robię, nie jest dobrze, co?! – Uniósł się nagle i jego słowa nabrały ostrości. – Nigdy nie jesteś zadowolona, co? Sama mi kazałaś... – Urwał nagle, jakby przyłapał się sam na słowach, których nie chciał wypowiedzieć.

– Co masz na myśli? – spytała chłodno, czując się zaatakowana.

– To już nieważne.

– Ale...

– Nieważne! Wyjeżdżamy pojutrze.

– Tomek, gdzie jesteście? Chcę się chociaż pożegnać... – Nie była w stanie dokończyć zdania. Jej wargi drżały, a szloch wezbrał w jej piersi. To był koniec. Nic już nie dało się zrobić. Gorzej być nie mogło. Miała wrażenie, że stoi na cieniutkim lodzie i w jakąkolwiek stronę ruszy, ściągnie na siebie i innych katastrofę.

W słuchawce panowała cisza.

– Lepiej nie... Asia... – zaczął i zdała sobie sprawę, że w jego głosie słyszy powstrzymywane łzy. Wzięła głęboki wdech, by zatamować szloch, i mocnym głosem powtórzyła:

– Gdzie jesteście? Nie możesz tak po prostu wyjechać.

Podał jej adres i rozłączył się bez słowa.



Do Białegostoku dojechała pociągiem, ale z dworca ruszyła piechotą. Wolą, by jak najmniej ludzi ją tu widziało. Tomek zabrał Julię do mieszkania kolegi, z którym pracował w Niemczech. Ten nadal przebywał za granicą i jego mieszkanie stało puste. Bolały ją nogi, gdy wreszcie dotarła na osiedle wieżowców i wsiadła do windy. Wjechała na ósme piętro i odnalazła drzwi z podanym numerem. Otworzył jej Tomek. Wpuścił ją bez słowa. Apartament był odnowiony i minimalistycznie urządzone. Przypominał bardziej hotel niż mieszkanie.

W błyszczącej nowością i czystością kuchni stały nowoczesne niemieckie sprzęty, wyglądające na nigdy nieużywane. Salon składał się z czarnej skórzanej sofy, szklanego stolika i dużego telewizora. Na ścianach nie wisiało ani jedno zdjęcie czy obraz, na parapecie nie było ani jednej rośliny. Sypialnię wypełniało duże łóżko i trzydrzwiowa prawie zupełnie pusta szafa. Jedynie w kącie stały torby z odzieżą, jak niepasujący do układanki element. Julia siedziała z Adasiem w ramionach na balkonowym fotelu.

– Jak ona się czuje? – spytała Joanna, stawiając na podłodze torby z zakupami.

Tomek spojrział w stronę balkonu.

– Chyba lepiej. Jest trochę bardziej energiczna.

– Nie wiesz, jak długo to potrwa. Bez leków wszystko może wrócić.

– To co? Wolalaś, żebym ją tam zostawił? – zapytał ostro.

Pochyliła się do przyniesionych siatek.

– Moja mama ma znajomą pracującą w aptece. To są silne leki uspokajające. Na wszelki wypadek. Ale to nie to samo, co dostawała w szpitalu.

– Dziękuję. – W jego głosie pobrzmiwały niewypowiedziane na głos przeprosiny.

Joanna wyszła na balkon. Na jej widok twarz Julii rozjaśnił blady uśmiech.

– Jesteś – powiedziała zamiast powitania.

Joanna skinęła. Przez moment milczały. Joanna nie potrafiła znaleźć słów. Miała wrażenie, jakby między nimi rozlał się bezkresny ocean, przez który nie mogły się osiągnąć.

– Wzięłam aparat. Chciałam zrobić Adasiowi kilka zdjęć, zanim... – Urwała. Nie wiedziała, czy Julia zdawała sobie sprawę z planów Tomka, i bała się jej reakcji, gdyby powiedziała coś niewłaściwego.

Julia pokiwała głową i pogłaskała główkę dziecka.

– Zostaniesz na noc?

– Tak, ale jutro wracam.

– Rok temu o tej porze szalała burza, a teraz jest tak cicho, jakby nigdy nic się nie wydarzyło – powiedziała Julia, patrząc przed siebie na błękitne niebo.

Joanna patrzyła na przyjaciółkę i zdała sobie sprawę, że nie była w stanie już sama stwierdzić, kiedy przez jej usta mówiła psychoza, a kiedy słowa naprawdę należały do Julii.


– I znowu jesteśmy wszyscy razem. – Julia podniosła wzrok na Joannę. Po jej wychudłej twarzy błądził wątyły uśmiech, przypominający światełko, które mógłby zdmuchnąć najłżejszy powiew.

Joanna odwróciła wzrok. „Nie na długo”, pomyślała w odpowiedzi na słowa przyjaciółki.



Kiedy Joanna opuszczała hotel, zaczął prószyć śnieg. Wsiadła do auta i ruszyła w stronę miasta. Na drogach panował straszny ruch i zdała sobie nagle sprawę, że jest ostatni dzień roku. Musiała oddać auto, uregulować rachunek, dostać się na dworzec, dojechać na lotnisko w Amsterdamie i liczyć na to, że jest jakiś lot do Polski. Tymczasem utknęła w korku na autostradzie. Joanna poczuła się nagle jak w pułapce. Nie było żadnej drogi ucieczki.

46

 Lia patrzyła na wyświetlony na ekranie tekst wiadomości, który niegdyś skasowała ze skrzynki pocztowej, nie poświęcając mu więcej uwagi. Jej całe ciało drżało od emocji i świadomości, że ktoś karał ją, krzywdząc jej dziecko.

– Zacząłem sprawdzać po kolei nazwiska osób, które panią nagabywały w tym okresie. W ten sposób odkryłem, że ten mężczyzna jest dyrektorem szpitala, w którym przebywał Emiel Zwanenburg. Nie ma rodziny. Jego psa skradziono z jego domu, a na posłaniu zostawiono czasopismo... – Kees kliknął na załączone do wiadomości zdjęcie i wskazał palcem na monitor. – To okładka „Chic”. Żeby było ciekawiej, sprawdziłem, który to numer. Okazało się, że opublikowaliście w nim rozmowę z rodzicami Lois Bakker.

Lia westchnęła i pokręciła z niedowierzaniem głową. Jej serce zaciskała metalowa obręcz strachu i poczucia winy. Jak mogła być tak ślepa i głupia?

– Czegoś tutaj nie rozumiem... Skasowałam wszystkie te wiadomości. Jak do nich dotarliście?

– Ja niczego nie wyrzucam – wtrącił się Marnix. – Archiwizuję. Nigdy nie wiadomo.

– Więc to ty... – zaczęła, ale skinął szybko głową bez odrywania wzroku od swojego laptopa. Podniosła więc spojrzenie na Keesa. – I co dalej? Skoro wiemy, że to ona, musimy... – Lia podniosła się z krzesła.

Kees pokręcił głową.

– Szukamy jej. Po śmierci męża Meta dosłownie zniknęła z internetu i życia.

– Nie – przerwał im po raz kolejny Marnix. – Znaleźliśmy! Meta Zwanenburg sprzedała mieszkanie po śmierci męża. Za otrzymane pieniądze plus kwotę, którą wypłacono jej z ubezpieczenia na życie Emiela, kupiła stare gospodarstwo pod miastem.

Thomas Rajter pochylił się do siedzącego przy laptopie chłopaka. Wyglądał, jakby nagle coś przyszło mu do głowy.

– Masz może zdjęcie tego gospodarstwa? – spytał.

– Nie, ale można sprawdzić adres na mapie satelitarnej. Sekunda...

Cała trójka skupiła się nad monitorem laptopa, na którym Marnix wyświetlił mapę. Wpisał adres i zrobił zbliżenie. Ich oczom ukazało się zdjęcie terenu z lotu ptaka. Lia wpatrywała się w nie ponad ich głowami, wciąż jeszcze stojąc na środku pomieszczenia barki, jakby to było jedyne miejsce, w którym działała na nią siła grawitacji. Miała wrażenie, że krok w którąkolwiek ze stron był krokiem w przepaść. Marnix powiększył obraz i wskazał budynek z rozległym dachem otoczony drzewami. Stał odosobniony, sąsiedował jedynie z łąkami, których równa kratka okalała go z wszystkich stron.

– To tutaj.

Thomas pokiwał głową.

– Patrz – zwrócił się do Keesa. Palcem wskazał na coś, co wyglądało na tym ujęciu jak rząd białych krzyży. Marnix powiększył obraz po raz kolejny.

– Wiatraki... – szepnął Kees.

– Teraz jestem pewien. To tu trzymano Jaspera. – Thomas wyprostował się i popatrzył na młodego policjanta. – Czytałeś moje notatki. Pamiętasz, co powiedział.

– Że słyszał dziwny rytmiczny szum.

Thomas skinął i raz jeszcze wskazał palcem na rząd wiatraków na zdjęciu satelitarnym.

– On słyszał wiatraki.

Kees bez słowa chwycił telefon, zerknął na adres na laptopie i pośpiesznie wybrał numer. Nie zważając na alarmujący głos Keesa dokonujący zgłoszenia, Lia chwyciła kurtkę i rzuciła się w stronę wyjścia. Thomas złapał ją za ramię.

– Lia! Dokąd idziesz?

– Po mojego syna! – Wyrwała ramię z jego palców i chwyciła klamkę.

– Zatrzymaj się! Zwariowałaś? Nie widzisz, do czego zdolna jest ta kobieta? Nie rozumiesz, że to niebezpieczne?

– Tam jest mój syn! – Próbowała uwolnić się z jego ramion, które nagle zatrzasnęły się wokół niej jak ciasna klatka. – Tam jest mój syn!

Kees, który właśnie się rozłączył, pospieszył ku nim.

– Nie może pani tam iść. Nie wiadomo, co oni tam zastaną. Ani kogo. Ruszają od razu.

– Więc mamy tu siedzieć i czekać? – prawie krzyczała.

– Nie. – Młody policjant patrzył na nią twardo. – Będziemy robić to, co robiliśmy do tej pory: szukać dalej.

Jego głos, mocny i spokojny w obliczu okoliczności, był jak skała, na której Lia mogła bezpiecznie osiąść i nie dać się ponieść porywistemu nurtowi emocjonalnej rzeki. Skinęła głową i poczuła, jak obejmujące ją ramiona otwierają się.

– Wygląda na to, że wszystko było dokładnie zaplanowane i wszystko ma znaczenie. Ciało Lois Bakker nie zostało porzucone w przypadkowym miejscu. Jeśli z taką precyzją Meta wybrała miejsce, może i data nie jest przypadkowa. Po co inaczej trzymałaby dziewczynę dwa tygodnie?

Thomas i Kees popatrzyli na siebie uważnie i jakby jednocześnie podjęli decyzję, usiedli do stołu. Lia stała blada i roztrzęsiona. Nie potrafiła skupić myśli.

– Marnix, możesz załatwić numer telefonu do tego dyrektora szpitala? – spytał Kees.

Chłopak skinął głową.

– Podaj nazwisko.

– A potem znajdź wszystko, co możesz, na temat Emiela Zwanenburga.

Lia patrzyła na ich skupione twarze, na spojrzenia lustrujące przesuwaną się na monitorze laptopa tekst, na ich wysiłek i determinację, która zdawała się być niewyczerpalna. Podczas gdy ona sama była bezbronnym, bezsilnym strzępkiem. Nie była w stanie im pomóc. Nie była w stanie uratować własnego syna. I jedyne, co jej pozostało, to zaufać im.

Marnix podyktował numer, który Thomas wpisał do komórki.

– Ja z nim porozmawiam – powiedział i wyszedł na zewnątrz już z telefonem przy uchu.

– Dzień dobry, wiem, że jest wcześniej... – Lia słyszała jego głos, dobiegający zza zamkniętych drzwi.

Kees pochylił się nad laptopem. Linijka po linii skanował tekst maili, które Meta Zwanenburg wysyłała Lii. Jeszcze zanim Thomas skończył rozmowę z dyrektorem szpitala, komórka Keesa zawibrowała. Chwycił ją i odebrał pośpiesznie.

– Herder – rzucił do słuchawki głosem, który był nabrzmiąły od napięcia.

Gdy się rozłączył, przez moment milczał z palcami zaciśniętymi na telefonie. Thomas wszedł do środka i zatrzymał się w progu, jakby czuł, że pod jego krótką nieobecność coś się wydarzyło. Cała trójka wbiła spojrzenia w policjanta. Kiedy wreszcie zaczął mówić, jego głos był cichy, a jednocześnie donośny.

– Sprawdzono gospodarstwo Mety Zwanenburg. Odnaleziono miejsce, gdzie najprawdopodobniej przetrzymywany był Jasper... Znalezione pomieszczenie, w którym...

– Był...? Jak to był...? – Lia zachwiała się lekko przy tych słowach.

– Ekipa techniczna zbierze materiał dowodowy i dopiero po jego analizie będzie można potwierdzić cokolwiek. Gospodarstwo było puste. Nie było Mety, nie odnaleziono też Jaspera.

– Ale to dobrze? – Oczy Lii były pełne łez. – To dobrze?

– Nie wiem – odparł ciężko.

Thomas usiadł przy stole.

– Dopóki nie ma dowodu na to, że Jasper nie żyje, jest nadzieja. Dyrektor szpitala twierdzi, że zadzwoniono do niego w pierwszy dzień Bożego Narodzenia z działu służb drogowych miasta z wiadomością, że znaleziono ciało jego psa pod drzewem przy Raadhuisplein. Podobno była to przykra sytuacja, gdyż ciało zwierzęcia odkryła rodzina młodej pary, która tego dnia rano brała ślub w ratuszu.

Kees bez słowa odwrócił się do laptopa. Wpisał podane miejsce w wyszukiwarce w programie pocztowym. Lia stała za nim, wciąż jeszcze sparaliżowana wieściami i niezdolna do żadnej aktywności. Młody policjant westchnął i przejechał dłonią po włosach.

– „Byliśmy tacy szczęśliwi – zaczął czytać fragment maila. – Tylko my dwoje. Nikt i nic nie było nam potrzebne. Nasz ślub odbył się w pierwszy dzień świąt w ratuszu. Był piękny mroźny poranek. Mimo chłodu urzędniczka prowadząca ceremonię zgodziła się udzielić nam ślubu na placu Raadhuisplein pod ogrodzonym drzewem rosnącym przed budynkiem. Jak Adam i Ewa przy drzewie dobra i zła”.

Lia zaczęła szlochać. Nagle zdała sobie sprawę, że nieobecność Jaspera w miejscu, gdzie go przetrzymywano, wcale nie była dobrym znakiem. Kees westchnął i przez moment zastygł przy laptopie, jakby i jego ta myśl uderzyła nagle.

– Słuchaj, Lia – Thomas przerwał ciszę. – Ona najwidoczniej chciała opowiedzieć tę historię, wysyłała ci te maile, dzwoniła... Pamiętasz coś szczególnego z rozmowy z nią?

Lia podniosła na niego zapłakane oczy.

– Nie wiem, nie wiem... Nie pamiętam... Nie przywiązywałam wagi do tego, co mówiła... – Lia z trudem wydobyła z siebie głos. Miała wrażenie, że jest krucha jak szkło i rozpada się na drobne kawałeczki. – Zwykle prosiłam Hiske, żeby się jej pozbyła pod jakimś pretekstem.


– Może opowiedziała coś znaczącego Hiske? – Thomas patrzył na nią przenikliwie.

– Nie wiem! – powtórzyła. – Ona wiecznie gadała od rzeczy. Była męcząca. Nie sądzę, żeby Hiske miała cierpliwość tego wysłuchiwać.

Kees popatrzył na Thomasa.

– Zadzwoń do niej. Ja będę dalej czytać wiadomości. Musi być coś jeszcze... – powiedział.

Lia czuła, że tonie. Ich słowa docierały do niej z daleka. Było za późno. Wszystko na nic. Nie uratują go. Nikt nie przybył na czas, by uwolnić Lois Bakker. Meta Zwanenburg rozsiewała wokół siebie śmierć, jak się rozdaje rachunki do zapłacenia. A Lia przeoczyła wszelkie dostępne ślady. I gdy wreszcie dotarli do miejsca, gdzie powinni byli szukać dużo wcześniej, było już za późno. Lia czuła, jak ostatnie krople nadziei sączą się z niej powoli, i pragnęła, by wraz z nimi wyciekło z niej życie. Jeśli nie umrze teraz, to już niedługo. Ale chciała go zobaczyć raz jeszcze, choćby tylko na moment, choćby on nie mógł zobaczyć już jej, choćby to oznaczało koniec wszystkiego. Bo było już za późno. Za późno...

 Tomek wybrał numer i po chwili w słuchawce zabrzmiał uprzejmy głos Hiske, informujący, że dodzwonił się do redakcji „Chic”.

– Dzień dobry, z tej strony Tomasz Rajter... – zaczął. Starał się, by jego głos nie oddawał niepokoju, który nim targał. Cała czwórka zdawała sobie sprawę z tego, że nieobecność Jaspera w miejscu, gdzie go prawdopodobnie przetrzymywano, nie oznaczała nic dobrego. Mimo to nie pozwalał sobie na przyjęcie najgorszej wersji wydarzeń. Chciał wierzyć, że zdążą, że nie wszystko było stracone, że odkupienie grzechów jest na wyciągnięcie ręki.

– Thomas? Lii dziś nie ma w redakcji. Nie wiem nawet, czy przyjdzie... Rzadko tu bywa, sam rozumiesz... – rozpoczęła wyjaśnienia, ale przerwał jej od razu. Zastanawiał się, czy nie widziała porannej prasy, czy nie wiedziała o zajściach w fabryce.

– Nie po to dzwonię. Lia jest ze mną. Chodzi o Metę Zwanenburg.

W słuchawce zapanowała pełna konsternacji cisza, jednak Tomek nie dał Hiske czasu na zaskoczenie.

– Jakiś czas temu często dzwoniła do redakcji. Rozmawiałaś z nią?

– Tak, ale... Właściwie nie można tego nazwać rozmową, ona chciała rozmawiać z Lią, ja tylko odbierałam telefon. Czasem zamieniłyśmy parę zdań...

Ale to było dawno temu...

– O czym rozmawiałyście? Mówiła ci coś o sobie? O swoim mężu?

– Nie rozumiem, skąd te pytania. Nie pamiętam. To było już jakiś czas temu. Pewnie mówiła o mężu... Ona właściwie o niczym innym nie mówiła...

– Co mówiła? Pamiętasz coś konkretnego? To ważne.

– Nie, nie wiem, nie znam szczegółów... On był chory, potrzebował leczenia, które było kosztowne. Tylko tyle pamiętam, przykro mi. Ale chyba nie myślisz...?

– słyszał, że była zmieszana. Jemu samemu nie przyszłoby do głowy, że sprawa rozwinie się w tym kierunku.

– Gdyby coś ci się przypomniało, zadzwoń do mnie. Cokolwiek – powiedział mocno.

– Dobrze, oczywiście... Czy Lia myśli, że to Meta stoi za porwaniami? Powiedziała ci to? Skąd taki pomysł? Policja wie o tych podejrzeniach?

– Policja już przeszukuje gospodarstwo kupione przez Metę. Na razie nie wiemy nic więcej. Zadzwoń do mnie, gdyby coś ci się przypomniało.

– Dobrze. Oczywiście.

Hiske powiedziała coś jeszcze, ale Tomek już się rozłączył. Zerknął na Lię. Stała pośrodku pomieszczenia, patrząc na nich niewidzącym pustym wzrokiem, który Tomek rozpoznawał zbyt dobrze. Miał wrażenie, że jej zwykle dumna i wyprostowana sylwetka teraz kruszyła się, jakby składała się z piachu.

– Lia, usiądź – powiedział cicho.

– Musimy coś zrobić... – wydusiła z siebie, ale nie ruszyła się z miejsca. Wodziła wzrokiem po ich postaciach, jakby nie mogła uwierzyć, że siedzą nadal przy tym małym stoliku zarzuconym papierami i zastawionym laptopami, w skupieniu skanując informacje.

– Lia, robimy, co możemy... – zaczął Tomek, ale w tym momencie Kees podniósł się z takim impetem z krzesła, że z trzaskiem upadło tuż za nim.

– Miejsce, gdzie się poznali... – powiedział i spojrzał na Tomka zdrtwiałym z napięcia. – Restauracja Grote Wielen. Meta pracowała tam jako kelnerka. Czy to

nie jest...?

– Grote Wielen to jezioro pod miastem – przerwał mu Marnix. Jego palce sunęły po klawiaturze laptopa z prędkością światła i po chwili na monitorze wyświetliła się mapka i zdjęcia.

– Ty szukaj dalej, my jedziemy. Wiem, gdzie to jest. – Kees rzucił Tomkowi jednoznaczne spojrzenie. Chciał, żeby jechał z nim.

Lia chwyciła Tomasza za ramię.

– Jadę z wami.

Tomek otworzył usta, ale oczy Lii patrzyły na niego stanowczo i błagalnie jednocześnie.

– Nie wiemy, co tam... – zaczął powoli.

– Cokolwiek tam się stało... To mój syn... Muszę go zobaczyć. Cokolwiek się stało... Muszę go zobaczyć... – Jej palce ścisnęły mocno jego ramię, gdy powtarzała te słowa jak modlitwę.

Spojrzał na Keesa, który skinął głową, i w pośpiechu opuścili baręk. Tomek czuł, jak słowa Lii, niczym makabryczne echo przeszłości, podążają za nim i unoszą wszystkie włosy na jego ciele.



Obudził go płacz Adasia śpiącego obok łóżka na prowizorycznym pościeliu przygotowanym przez Joannę z niewielu rzeczy, które Tomkowi udało się kupić w drodze do Białegostoku. Podniósł się po omacku i bez zapalania światła wyszedł z dzieckiem do kuchni, gdzie jedną ręką zaczął wsypywać proszek do przygotowanej butelki. Kiedy Adaś znów usnął, Tomek wsunął się powoli pod kołdrę, próbując nie obudzić Julii. W nagrzanym gorącym lipcowym słońcem pokoju było duszno. Prawie przestraszył się, gdy jego spojrzenie napotkało szeroko otwarte oczy Julii. Patrzyła wprost na niego.

– Boisz się? – Uniósł się lekko na łokciach i próbował w mroku przyjrzeć się jej twarzy. Pamiętał jej ataki paniki i chciał im w porę zapobiec. Już był gotowy

znów wstać i sprawdzić dla niej każdy kąt, żeby poczuła się bezpiecznie, ale jej usta rozciągnął lekki uśmiech. Pokręciła głową. Poczł ogarniającą go falę czułości.

Wydawało mu się, że skorupa z psychozy i lęków powoli pękała. Gdzieś pod nią była Julia, którą znał. Tak bardzo chciał naprawić wszystko, co się wydarzyło, ale wiedział, że nie był w stanie wynagrodzić wszystkich wyrządzonych krzywd. Musiał wybierać, choć każdy wybór był równie bolesny, choć oznaczało to, że pozostawiał za sobą rany, których nigdy nie mógł już uleczyć, błędy, których nie mógł naprawić, obietnice, których nie mógł dotrzymać. Musiał wybrać i wybrał to, co było najlepsze dla Adasia.

– Chcesz, żebym zapalił światło?

– Nie, lubię, jak jest tak ciemno – powiedziała cicho. – Dopiero w ciemności można naprawdę zobaczyć siebie.

Po tych słowach serce Tomka ścisnął skurcz strachu. Próbował ocenić, czy wypowiedziała je Julia, czy były wytworem psychozy. Przyjrzał się nieco uważniej jej twarzy osłoniętej mrokiem. Bał się, że przeoczy oznaki skradającej się choroby, ale oczy Julii były nagle pełne życia i spokoju, przytomne i obecne. Patrzyły na niego bystro, tak jak kiedyś.

– Co teraz z nami będzie? – spytała, nie spuszczać z niego wzroku.

– Wyjedziemy do Niemiec. Nie znajdą nas. Damy sobie radę.

– A co z Asią? – Na dźwięk jej imienia Tomek poczuł bolesne ukłucie w klatce piersiowej. Musiał wybierać. Nie mógł odkupić wszystkich win. Odparł spokojnie:

– Ona też da sobie radę.

– To wszystko przeze mnie. – Julia odezwała się cicho i przez moment nie był w stanie zaprzeczyć albo udawać, że nie wie, o czym mówi. Bardzo chciałby wierzyć, że mógł winić kogoś innego.

– Nie, to nie twoja wina. Idź już spać, wyruszamy wcześniej rano – powiedział, żeby ją uspokoić.

Zamknęła powieki i wkrótce on sam poczuł, że ogarnia go sen, a ciężar, który nosił w sercu, na moment odpuszcza.

Nie pamiętał, dlaczego się obudził. Otworzył oczy i przez moment patrzył na cienką prześwitującą firankę poruszaną wiatrem, za którą niebo szarzało świtem. Drzwi na balkon stały szeroko otwarte. Wpadał przez nie przyjemny chłodny podmuch. Tomek z przyjemnością wdychał świeże powietrze. Leżał nieruchomo, napawając się ciszą i spokojem panującym wokół. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że miejsce obok było puste. Podniósł się, żeby zerknąć na Adasia. Dziecko spało spokojnie.

– Julia? – wyszeptał.

Wstał i powoli wyszedł na korytarz. Nie było jej w kuchni ani w łazience. Na sofie w salonie spała Joanna, w mieszkaniu panowała cisza. Za oknami niebo szarzało. Stał w środku przedpokoju. Nie mogła wyjść. Zamknął drzwi na klucz, który schował w bezpiecznym miejscu. Bał się, że znów im ucieknie. Jego oczy powoli przesunęły się z drzwi wyjściowych na otwarte okno balkonowe. Nagle był pewien, że zamknął je, zanim poszli spać. Wyszedł na pusty balkon. Przed nim w przerzedzającym się mroku nadchodzącego świtu rozciągał się widok na jeszcze uśpione i ciemne osiedle bloków. Powoli podszedł do balustrady, zacisnął pięści na metalowej zimnej krawędzi i pochylił się, by spojrzeć w dół.

Leżała na ulicy. Jej ramiona rozrzucone na boki jak skrzydła, dziwnie wykręcone nogi, ciemne włosy jak wachlarz i aureola z krwi.

Poczuł, jak podłoga drży pod nim, ale nie mógł się poruszyć. Tylko palce zaciśnięte na barierce trzymały go na nogach. Krzyk uwięziony w płucach dławił go do bólu, ale jedynym dźwiękiem, który opuścił jego zaciśniętą przerażeniem klatkę piersiową, był szept:

– Asia...

Oderwał się od balustrady i wpadł do salonu. Upadł na kolana przy sofie.

– Asia! Obudź się! Musisz stąd iść! – Potrząsnął nią.

– Co? – Podniosła się i przetarła oczy. – Iść? Dokąd?

– Wstawaj, weź swoje rzeczy i idź! – pośpieszał ją, próbując tamować łyzy i drzenie ciała. Chwycił jej buty z korytarza, torbę i sweter.

– Tomek co się stało? Dlaczego...? Zaraz... – Popatrzyła na niego i jej twarz stężała przerażeniem. – Tomek... Gdzie jest Julia?

– Asia, błagam cię, musisz stąd iść...

Rozejrzała się. Wstała powoli.

– Julia?!

Wpadła do sypialni i przyklękła przy śpiącym Adasiu. Pogłaskała przelotnie jego główkę, a potem obróciła się w stronę otwartych drzwi balkonowych. Podniosła się powoli i spojrzała na Tomka, który podążył za nią. W ostatniej chwili chwycił ją w pasie, gdy rzuciła się w stronę balkonu.

– Nie, Asia, nie rób tego!

Zaczęła wierzgać w jego drżących ramionach.

– Muszę ją zobaczyć! Muszę ją zobaczyć! – Jej głos rósł w krzyk, więc przycisnął dłoń do jej ust.

– Posłuchaj mnie – powiedział, opierając czoło o jej włosy i mówiąc wprost do jej ucha: – Nigdy cię tu nie było, rozumiesz? Nikt cię nie widział. Wyjdiesz teraz i nikomu o tym nie powiesz, słyszysz? Asia?

Nie mógł już powstrzymać napływających mu do oczu łez. Ani Joanny, która wyrwała się z jego ramion, wybiegła na balkon i dopadła balustrady. Przechyliła się ponad nią, a potem, jak gdyby coś trafiło ją boleśnie, upadła na kolana i zaczęła niekontrolowanie szlochać.

– Coś ty zrobił...? Coś ty najlepszego zrobił...? O Boże...

Siłą podniósł ją z podłogi i zabrał do korytarza.

– Musisz iść, teraz! Asia, idź stąd! – Wepchnął jej rzeczy do ręki i otworzył drzwi. – Błagam cię... Muszę wezwać policję, nikt nie może cię tu zobaczyć...

– Tomek... – Złapała go za rękę, ale uwolnił palce z jej dłoni, jakby go parzyła. Musiał ratować to, co było jeszcze do uratowania. Pokręcił głową, gdy popatrzyła na niego błagalnie, a potem wypchnął ją na klatkę i zamknął drzwi. Słyszał jej

kroki i szloch na klatce schodowej i modlił się, by nikt więcej ich nie usłyszał. Potem wybrał numer na policję, osunął się na podłogę i zaczął płakać.



Kees Herder odjechał spod barki z piskiem opon. Wsadził telefon w uchwyt i w pośpiechu wybrał numer.

– Komenda policji w Leeu...

– David! Musisz mi wysłać wsparcie na Butlan numer jeden...

– Kees? – Głos w słuchawce brzmiał niespokojnie.

– Potrzebuję wsparcia i karetkę pogotowia! Butlan numer jeden! Restauracja Grote Wielen. Natychmiast!

Ulice miasta wypełniał zwykły poranny ruch. Musieli wyjechać na obwodnicę. To była najkrótsza droga do jeziora.

– Kees, jesteś zawieszony, nie mogę ci nic wysłać.

– Chodzi o Jaspera de Rooija. Powiedz szefowi, że... Zresztą... Połącz mnie!

– Ale...

– Połącz mnie, kurwa!

Przejechali na czerwonym. Tomek siedzący na miejscu pasażera obok Keesa obserwował go kątem oka. Był pewien, że młody policjant myślał o tym samym. Psa znaleziono rano. Ciało Lois Bakker znaleziono rano.

– Herder, lepiej, żeby to było ważne...

– Potrzebne wsparcie i karetka pogotowia. Butlan jeden, to restauracja nad jeziorem...

– Wiem, co się tam mieści. Jesteś zawieszony. Mam ważniejsze sprawy na głowie... – Głos mężczyzny przypominał krótkie ostre cięcia.

– Meta Zwanenburg nie była w miejscu, gdzie przetrzymywała ofiary, ponieważ najprawdopodobniej pozbywa się kolejnego ciała...

Tomek niemal poczuł, jak na tylnym siedzeniu Lia skurczyła się pod dźwiękiem tego słowa.

– Skąd masz informacje o postępach w sprawie? Chyba jasno... – zaczął.

Kątem oka Tomek wyłapał sylwetkę Lii, która nagle przepchnęła się pomiędzy fotelami, chwyciła telefon z uchwytu i przełączając go na normalny tryb, przycisnęła komórkę do ucha, opadłszy na swoje miejsce.

– Halo, Lia Kornmann. Chcę zgłosić popełnienie przestępstwa. Potrzebna natychmiastowa pomoc. Butlan numer jeden. – Tomek obrócił się, by na nią spojrzeć, zdziwiony podejrzanym spokojem w jej głosie. Jednak natychmiast po wypowiedzeniu tych słów Lia syknęła do telefonu: – Tak lepiej? Wyślesz w tej chwili całą armię pod ten adres. W tej chwili – dodała lodowatym tonem.

Rozłączyła się i odwróciła twarz w stronę okna. Jechali obwodnicą, mocno przekraczając dozwoloną prędkość. Chwilę potem na skrzyżowaniu zjechali na wąską drogę biegnącą między obwodnicą a wodami kanału, za którymi rozciągało się osiedle willowe, a dalej rozległe łąki. Pędzili między rzędami nagich drzew. Tomek zdał sobie sprawę, że żadne z nich nie wzięło kurtki mimo panującego chłodu. Zaczynał prószyć śnieg. Droga zdawała się nie mieć końca, ale zaraz potem zobaczyli wysokie pale z niebieskimi chorągwiami. Zjechali w lewo, minęli parking i dojechali do bramy. Za nią mieściła się niewielka przystań, a w oddali budynek restauracji. Brama wyglądała na zamkniętą. Kees przeklął. Tomek wyskoczył z auta i podbiegł do ogrodzenia. Dopiero wtedy zobaczył, że łańcuch był przecięty. Leżał rzucony na bok. Pchnął bramę, która otworzyła się z jazgotem, i wskoczył do auta. Podjechali pod budynek. Przed nim aż do brzegu jeziora rozciągał się trawnik. Przewodny taras restauracji był pusty, w zatoce nie cumowały łodzie. Teren wyglądał na nieczynny. Kees i Tomek wysiedli. Lia w milczeniu siedziała na tylnym siedzeniu. Kees rozejrzał się, potem wskazał Tomkowi prawą stronę budynku i gestem dał znać, że okrążą go z obu stron. Ten skinął i Kees ruszył przez obsypany śniegiem trawnik w stronę tarasu. Tomek rzucił się biegiem drogą biegnącą między tyłami restauracji a miejscami parkingowymi wzdłuż zatoki. Pędził w stronę zabudowań szkoły żeglarskiej

mieszczącej się nad samą wodą jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim. Minął niewielkie budynki po lewej i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że za jednym z nich stoi zaparkowany szary bus, który rozpoznał od razu. Zatrzymał się i rozejrzał. Poczł zimny pot na plecach. Ruszył biegiem w stronę obiektu nad brzegiem jeziora, uważnie lustrując otoczenie. Zatoka po jego prawej wydawała się zupełnie opuszczona. Płatki śniegu opadały na jego ramiona, twarz i włosy. Powoli tworzyły cieką warstwę na podłożu. Wbiegł na teren szkoły żeglarskiej i ostrożnie okrążył budynek, zmierzając ku wodzie. Obejrzał się. Z tego miejsca nie mógł dojrzeć tarasu restauracji, ale wydawało mu się, że Kees powinien tutaj dotrzeć w tym samym czasie. Dopadł do brzegu jeziora, nadal rozglądając się wokół siebie. Zza drzew wyłonił się widok na lekko zmarszczoną lodowatym wiatrem tafłę. Wpadł na skraj długiego rozwidlającego się na dwa ramiona pomostu. Wtedy ją zobaczył.

Stała nieruchomo na samym końcu dłuższego ramienia pomostu. Śnieg prószył na kaptur jej czarnego płaszcza. Długie jasne kosmyki włosów uciekały spod niego wyrywane podmuchem wiatru i unosiły się ponad jej ramieniem jak węże gotowe zaatakować kogokolwiek, kto podszedłby bliżej. Dzielilo ich może sto metrów. Wystrzelił do przodu. Jego stopy uderzały w deski pomostu. Wzrok miał wbity w sylwetkę, która niespiesznie, jak w zwolnionym tempie, obróciła się w jego stronę. Meta Zwanenburg zsunęła z głowy kaptur. Była młoda i piękna. Na jej twarzy wykwitł uśmiech, nie złośliwy czy fałszywy, lecz uśmiech pełen autentycznego zadowolenia, jakby ucieszyła się na jego widok. Tomek miał wrażenie, że wszystko było złym snem, w którym biegł najszybciej, jak potrafił, ale nadal pozostawał w tym samym miejscu. Świat wokół zdawał się tonąć w hermetycznej ciszy. W jego uszach wybrzmiewał jedynie szum rytmicznie pompowanej krwi. Może dlatego nie usłyszał motorówki, która podpłynęła do pomostu. Meta Zwanenburg odwróciła się, zeskoczyła i łódź odpłynęła, pozostawiając za sobą wzburzone wody. Przed oczyma mignęła mu jeszcze zakapturzona postać w motorówce.

Dobiegł do krańca pomostu i dopiero wtedy zauważył ciało, które spieniona ruchem woda znów uniosła na chwilę ponad powierzchnię. Nagle wszystko uderzyło ze zdwojoną siłą. Usłyszał ryk motorówki. Plusk fal. Wycie syren w oddali gdzieś za nim. I rozpaczliwy krzyk Lii, który znad brzegu echo niosło ponad taflą. Zaczerpnął powietrza i wskoczył do wody.

Joanna wsiadła do pociągu. Nie pamiętała, jak dotarła na stację ani jak kupiła bilet. Weszła do pierwszego wolnego przedziału i wcisnęła się w siedzenie, w ramionach ściskając torbę ze swoimi rzeczami i aparatem. Czuła się jak w amoku. Widok ciała Julii wracał do niej falami, wyrywając niekontrolowany szloch z jej piersi i sprawiając, że dosiadający się pasażerowie przyglądali się jej z nieukrywaną ciekawością.

Wróciła do domu i bez słowa zamknęła się w pokoju. Wyszła dopiero, gdy do drzwi ich mieszkania zapukała policja. Powiedziano im, iż Sawiccy wniesli sprawę przeciw Tomaszowi, oskarżając go o zamordowanie córki. Twierdzili również, że współpracował z Joanną. Mama Joanny bez mrugnięcia okiem stanowczo powiedziała, iż córka nigdzie nie wyjeżdżała, więc nie mogła z nikim współpracować, i jeśli będzie trzeba, to samo zezna w sądzie. Joanna pamiętała współczujące spojrzenia dwójki policjantów stojących w ich ciasnym korytarzu. Następnego dnia pojawiła się w tym samym kościele, w którym ogrzewały się kiedyś w drodze do szkoły. Tym razem jednak nic nie było w stanie jej ogrzać. Nawet w palącym lipcowym słońcu czuła chłód. W czasie pogrzebu Sawicka płakała nieustannie, podobnie jak Adaś, którego nikt nie był w stanie uspokoić. Serce Joanny drżało i pękało. Tłumiony szloch rozrywał pierś.

Trumna z ciałem Julii stała przed ołtarzem. Wieko było zamknięte i Joanna nie mogła przestać zerkać w jego stronę, jakby miało się nagle unieść. Rozpaczliwy krzyk dziecka wypełniał kościół. Nie mogła go dłużej znieść. Wyszła z ławki na tyłach kościoła i ruszyła ku Sawickim, siedzącym w pierwszym rzędzie z zawodzącym Adasiem. Podeszła do matki Julii i wyciągnęła ramiona, by przejąć płaczące niemowlę. Sawicka jednak tylko się odsunęła, jakby ktoś ją próbował zaatakować, i popatrzyła na nią z wściekłością zapuchniętymi od płaczu oczami. Joanna westchnęła, a potem nie zważając na odprawianą przy ołtarzu mszę świętą, powiedziała głośno i wyraźnie:

– Przecież go nie porwę z kościoła pełnego ludzi. Chcę go tylko przytulić, żeby przestał płakać.

Oczy księdza na chwilę skupiły się na nich. Rozniósł się pomruk wzburzonych szeptów. Oczy Sawickiej zrobiły się okrągłe z zaskoczenia, ale nie podała Adasia Joannie. Dopiero Sawicki, jakby ocknął się amoku, westchnął poirytowany, wyjął płaczące dziecko z ramion żony i podał je Joannie, która od razu wtuliła je w swoje sztywne z bólu ciało i kołysząc delikatnie, szeptała śpiewnie w jego maleńkie ucho. Uspokoił się niemal od razu. Joanna ruszyła w stronę trumny. Wciąż jeszcze tuląc Adasia, który wycieńczony płaczem zasypiał w jej ramionach, powoli usiadła na zimnej podłodze tuż przy skrzyni z ciałem Julii i tam dotrwała do końca mszy.

Adaś pozostał jej jedynym łącznikiem z przeszłością. Sawicka nigdy więcej nie zaprotestowała, gdy Joanna przychodziła w odwiedziny. Poza nim porzuciła wszystko, co przypominało jej o Tomku i Julii. Nigdy już nie wróciła do Warszawy. Cokolwiek tam pozostawiła, było stracone na zawsze: studia, stypendium, znajomości, ulubiony sweter i niedoczytane książki.

Nigdy więcej nie zobaczyła Tomka. Słyszała, że wycofano zarzuty i wyszedł na wolność, a potem zniknął bez śladu. Nie wrócił po nią. Do niej. Do Adasia.



Joanna wjechała do centrum. Rząd aut na każdych kolejnych światłach zdawał się coraz dłuższy. Wzdychała ciężko i zaciskała palce na kierownicy. Wyłączyła radio, irytował ją hałas i potok słów, których znaczenia nie rozumiała. Pojazdy przed nią ruszyły, ale nim dotarła do świateł, znów było czerwone.

– Och, na litość boską... – szepnęła poirytowana.

Z oddali dobiegły jej uszu dźwięki syren. Zbliżały się szybko i po chwili minął ją rząd radiowozów. Za nimi pomknęły dwie karetki pogotowia. Joanna zmrużyła oczy. Podmuchy wiatru co jakiś czas podrywały do tańca proszące nieustannie płatki śniegu. Światło zmieniło się na zielone. Z piskiem opon ruszyła ze skrzyżowania w stronę, w którą odjechały policyjne auta.

49

Kees upadł pod siłą uderzenia. Przez moment stracił łączność z rzeczywistością, jakby ktoś na sekundę wyłączył prąd, ale szybko otrząsnął się z zaskoczenia. Wiedział, że został zaatakowany z tyłu. Próbował zignorować ból w czaszce. Podparł się rękoma, by obrócić się na plecy, ale dokładnie wtedy padło kolejne uderzenie. Wessał powietrze w płuca i skurczył się w sobie, gdy ból przeszył to samo kolano, którego kontuzja niegdyś złamała jego marzenia. Zakreśliło mu się w głowie. Zacisnął palce na oprószonej śniegiem trawie. A potem z ogromnym wysiłkiem przetoczył się na plecy. Gdy to zrobił, okazało się, że napastnik już zniknął. Musiał dać sobie parę sekund, by opanować szum w uszach. Podniósł się powoli i dojrzał zakapturzoną postać biegnącą w stronę wody. Ruszył za nią, kulejąc, choć zdawał sobie sprawę, że zmiażdżone uderzeniem kolano nie dawało mu szans dogonić napastnika. Zaraz potem zza mieszczącego się nieco dalej na poboczu małego pomostu ukrytego za krzewami z rykiem wypłynęła motorówka. Kees jęknął. Przejechał dłońmi po włosach, czując ciepłą, lepkać maź z tyłu głowy. Obrócił się wokół własnej osi. Zamrugał oczyma, żeby zmusić je do wyostrenia obrazu. I wtedy ją zobaczył.

Stała w oddali na pomoście w prószącym śniegu, który wirował w powietrzu. Zsunęła kaptur. Wiatr porywał jej włosy, unosząc je ponad jej ramieniem. Kees

zmrużył oczy. Jego oddech wyrywany z płuc nieregularnymi skurczami tworzył obłoczek pary. Zobaczył Tomasza Rajtera, który biegł pomostem ku kobiecej sylwetce. Nim jednak zdążył dotrzeć do krańca ramienia pomostu, podpłynęła łódź motorowa i Meta Zwanenburg zniknęła, pozostawiając za sobą wzburzone wody. Powietrze rozdarł krzyk. Kees obrócił się. Lia stała parę metrów za nim z wyrazem grozy na twarzy. Zatoczył się w stronę brzegu. Każdy krok rozpierał kolano paralizującym bólem. Podmuch wiatru sypnął mu śniegiem w twarz. Skupił wzrok. Coś unosiło się na powierzchni. Bez chwili namysłu, ignorując ból, Kees ruszył ku wodzie.

50

Przez chwilę lodowata woda wessała go w spieniony odmęt. Zmusił ciało do ruchu i uniósł powieki. Wynurzył się na moment, by zaczerpnąć tchu. Nagle padający śnieg wydał się ulewnym deszczem, poruszone motorowym silnikiem wody przypomniały mu wzburzone burzą jezioro sprzed lat. Zanurkował. Przez chwilę szukał wzrokiem małego chłopca, jak gdyby woda, w którą wskoczył, była wirem czasu, który wciągnął go zbyt głęboko. Jego spojrzenie napotkało szeroko otwarte, nieruchome błękitne oczy. Tomek otrząsnął się z paraliżujących wspomnień i wyciągnął ramiona. Uniósł spętane ciało ponad taflę wody. Zachłysnął się powietrzem, które łąpczywie wciągnął w płuca. Był tylko kawałek od pomostu. Ciągnąc ze sobą ciało i próbując utrzymać głowę Jaspera ponad powierzchnią, podpłynął bliżej i chwycił drewniany pał. Usiłował unieść bezwolne ciało lub podciągnąć się jednym ramieniem, drugim przytrzymując Jaspera. Ciało chłopaka osuwało się jednak i Tomek opuścił się znów w lodowaty odmęt, starając się wymyślić inny sposób na wydostanie się z lodowatej wody. Gdzieś w oddali wyły syreny. Usłyszał plusk poruszanej ruchem wody, z której wynurzył się Kees.

– Na trzy – powiedział, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Tomek z ogromnym wysiłkiem podciągnął się, ramieniem przytrzymując Jaspera. Kees podpłynął i ujął ciało. Policzył do trzech. Pchnął w górę i Tomek

szarpnął z całych sił. Wciągnął ciało na pomost. Oczy Jaspera były zamknięte. Jednym ruchem zerwał taśmę z jego ust i zaczął wdychać powietrze w rozwarte opuchnięte wargi.

– Nie, nie, nie... Nie znów... – powtarzał, uciskając klatkę piersiową, skanując ciało i twarz chłopaka w poszukiwaniu oznak życia. – To nie może być prawda.

Śnieg prószył na nich, od czasu do czasu podrywany podmuchem lodowatego wiatru, którego Tomasz nie rejestrował. Krople wody i łyzy kapały na mokre bezładne ciało chłopaka. Tomek pochylił się i w chwili gdy chciał wdmuchnąć swój ciepły oddech w usta Jaspera, poczuł pod dłońmi, jak klatka piersiowa chłopca nagle się unosi. Szybkim ruchem przewrócił go na bok i ułatwił mu wyrzucenie z siebie wody. Wokół nich nastąpiło poruszenie. Ktoś odciągnął go lekko od Jaspera i okrył kocem termicznym. Jasper kasłał i wymiotował jednocześnie. Tomek rozejrzał się. Wokół budynku restauracji widocznej z końca pomostu stały policyjne auta i karetki pogotowia. Trochę dalej Lia próbowała przepchać się w stronę Jaspera na wąskiej powierzchni pomostu. Wykrzykiwała jego imię, które niosło się echem ponad taflą jeziora. Ktoś próbował ją bezskutecznie uspokoić. Tomek obrócił głowę. Na krawędzi pomostu siedział Kees Herder. Ich oczy spotkały się na chwilę. Młody mężczyzna drżał. Z jego ubrań ociekała woda, lecz Tomek dopiero wtedy zauważył, że mokre, krótko ostrzyżone włosy Keesa przesiąknięte były krwią, podobnie jak materiał spodni na jednym z kolan. Podniósł się powoli i zdał sobie sprawę, że jego własne nogi również zachwiały się pod ciężarem ciała. Podeszedł do młodego policjanta i przykucnął. Ściągnął z siebie folię i otulił nią ramiona Keesa. Zanim zdążył coś powiedzieć, ten zaczął mówić pierwszy:

– Ta motorówka była tu przed nami. – Podniósł drżącą dłoń w kierunku jeziora. – Tam. Widzisz ten mały pomost po drugiej stronie i krzewy? Tam musiała być zacumowana. Nie mogliśmy jej zobaczyć z miejsca, gdzie zaparkowaliśmy. Ktoś zaszedł mnie od tyłu, gdy minąłem budynek restauracji. Tam. – Przesunął dłoń i wskazał miejsce. – Najpierw dostałem w głowę, a gdy upadłem, w kolano. Ten ktoś wiedział, w które uderzyć. – Wytarł mokrym rękawem bluzy nos i zacisnął

sine z zimna usta w wąską kreskę. – Nie mogę uwierzyć, że nam uciekła. Jakby wiedziała, że tu będziemy...

Młody policjant wyglądał na zdruzgotanego. Tomek patrzył na jego zgarbioną sylwetkę. Kees sprawiał wrażenie, jakby uginał się pod niewidocznym ciężarem, i Tomek poczuł dziwny rezonans. Przez ułamek sekundy zobaczył w nim siebie samego sprzed lat.

Pracownik karetki pogotowia pochylił się nad nimi.

– To trzeba opatrzyć – powiedział i Kees podniósł się z trudem, krzywiąc się z bólu.

Dopiero gdy obaj wstali, ich spojrzenia przyciągnęła rosła postać mężczyzny zmierzającego ku nim jak gradowa chmura. Nawet służby ratunkowe schodziły mu z drogi. Zatrzymał się na chwilę, by przepuścić ratowników niosących na noszach Jaspera, a potem ruszył do nich.

– Herder... – zaczął ostro. Jego głos brzmiał jak szczeknięcie.

– Najpierw pomoc medyczna. – Na drodze stanął ratownik.

Mężczyzna spojrział na niego posępnie, ale skinął głową. Pomost opustoszał. Ambulans z Jasperem i Lią odjechał na sygnale. Tomkowi podano drugi koc termiczny. Z karetki pogotowia, w której zmieniano stary i przemoczony opatrunek na jego głowie, Tomek obserwował Keesa. Stał przy pojeździe. Podano mu coś przeciwbólowego, ale widać było, że nie był w stanie przenieść ciężaru ciała na nogę z uszkodzonym kolaniem. Posępny mężczyzna podszedł równym krokiem i nawet z tej odległości Tomek nie miał wątpliwości, że rozmowa nie miała być przyjemna. Słyszał ostry głos.

– Na własną rękę?! Do diabła, Herder! Co ci odbiło? Ignorujesz moje wyraźne polecenia, lekceważysz zawieszenie w obowiązkach, współpracujesz z podejrzanym, przywozisz tu matkę ofiary! Mam wyliczać dalej? Tobie się wydaje, że kim jesteś? Bohaterem roku? To wszystko będzie miało dla ciebie bardzo przykre konsekwencje i jeśli ci się zdaje, że zawieszenie było szczytem moich możliwości, to się mylisz! Powinieneś trzymać się od tego z daleka! A skoro

już rozpętałeś burzę, to trzeba było czekać na wsparcie, do cholery! Przez twoje nieodpowiedzialne i nieprzemyślane kroki straciliśmy z oczu sprawcę!

– Sprawców – przerwał mu Kees. Jego głos brzmiał dziwnie spokojnie. Tomasz podejrzewał, że środki znieczulające zaczynały działać. – Było ich dwoje. To po pierwsze. Po drugie, gdybyśmy czekali na wsparcie, Jasper de Rooij leżałby teraz na dnie tego jeziora i potrzebna byłaby ekipa nurków...

– Uprzedzam cię, Herder, nie takim tonem... – zaczął mężczyzna o kanciastej srogiej twarzy i ponurych oczach, ale przerwał mu dźwięk telefonu. – Tak? – Odebrał bezzwłocznie i szczechnął prawie do słuchawki. Tomek przyglądał mu się wnikliwie. Adrenalina zaczęła opadać i zrobiło mu się zimno. Mokre ubrania sprawiały, że nie mógł się ogrzać nawet okryty kocem termicznym. – Rozumiem. Wyciągnij akta sprawy, zmobilizuj siły. Trzeba zmontować krótką informację dla mediów, że chodzi o tego samego sprawcę. Niech nie zapomną wspomnieć, że jedną z ofiar udało się ocalić, bo nas zeżrą żywcem. Śledztwo rusza ze zdwojoną siłą. Tak...

Tomek zerknął na Keesa. Jego twarz nagle stężała w napięciu, wpatrywał się w mężczyznę i Tomek zrozumiał, o czym była mowa. Wyniki badania DNA musiały potwierdzić, że szal, którym Jasper obwinął zranioną dłoń, należał do Lois Bakker. Coś mu jednak nie pasowało. Czuł, że coś pominął. Mężczyzna rozłączył się i ruszył w stronę aut policyjnych.

– Skończymy tę rozmowę innym razem, Herder. Na razie nie pokazuj się w biurze! – rzucił na pożegnanie.

Tomek uniósł się lekko. Ratownik zakładający mu opatrunek próbował go powstrzymać.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Nie szkodzi. – Tomek opuścił wnętrze karetki i podszedł do Keesa. – Co to było? Myślisz, że potwierdzono związek Jaspera z Bakker?

Kees skinął powoli.

– Czyli wiedzą dopiero teraz, że chodzi o kilka spraw, a nie jedną? Dopiero teraz to podadzą do prasy?

– Oczywiście. Nie ryzykowaliby rozgłaszania niepotwierdzonych faktów. Nie w tej sprawie. – Kees odwrócił nagle ku niemu oczy, coś w nich błysnęło, jakby wyczuł w głosie Tomka myśl, której ten jeszcze nie wypowiedział na głos.

– Kurwa – szepnął Tomek. – Kurwa... Powiedziała „porwaniami”. Jestem pewien.

– Co?

– Masz kluczyki od swojego auta? – Kees skinął głową i zaczął grzebać w kieszeni mokrej bluzy.

– Nie mogę prowadzić – zaczął. – Ale dokąd...?

– Wiem, kto ostrzegł Metę Zwanenburg. Wiem, kto z nią współpracował. Odwrócił się i wskoczył do karetki.

– Przepraszam, mogę zadzwonić? To zajmie sekundę...

Ratownik pogotowia przytaknął i wyjął z kurtki komórkę, którą podał Tomkowi. Wybrał numer i chwilę później w słuchawce odezwał się sympatyczny kobiecy głos.

– Redakcja „Chic”, Melisa Voolstra, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Melisa, Tomasz Rajter z tej strony, nie wiem, czy mnie pamiętasz...

– Oczywiście! Niestety Lii nie ma dziś w redakcji...

– A Hiske?

– Hiske miała jakieś niespodziewane problemy rodzinne i musiała wyjść...

Tomek rozłączył się, nim Melisa dokończyła zdanie. Oddał telefon ratownikowi i opuścił karetkę. Kees Herder patrzył na niego pytająco.

– Czas dokończyć to, co zaczęliśmy. Dasz radę dojść do auta? – spytał towarzysza.

Kees potwierdził i Tomek z podziwem zerknął na niego, gdy ruszył szybkim krokiem w stronę zaparkowanego samochodu, choć jego twarz pobladła z bólu.

Ponad nimi policyjny helikopter zaczął zataczać kręgi i wkrótce się oddalił.

Joanna stała w opadającym na nią śniegu i obserwowała chaos wokół niej. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Jeśli było jedno miejsce na tym globie, gdzie naprawdę nie powinna być, to właśnie tutaj. Była przesłuchiwana w tej sprawie. Podejrzewano ją o udział w porwaniu. A jednak stała tu z nogami wrośniętymi w oprószoną śniegiem trawę i patrzyła na rozpościerające się przed nią jezioro i przecinający je pomost, na którym w oddali Tomek, ociekając wodą, reanimował chłopaka leżącego bezwolnie na deskach. Modliła się, nie zdając sobie z tego sprawy. Czas zdawał się rozciągać, a pomost przybliżać, jakby był łodzią, którą prąd wody znosił w jej stronę. Opadające płatki lądowały na jej płaszczu i twarzy, gdzie zmieniały się w krople wody spływające po policzkach. Jak tamten ulewny deszcz wiele lat temu. Na pomoście rozpętało się poruszenie i Joanna zobaczyła, jak ciało chłopaka unosi się krótkim wstrząsem. Tomek pchnął je na bok, by ułatwić wymioty.

Pozostała tam, obserwując sytuację do chwili, gdy Tomek i młody policjant, który odnalazł ją w hotelu, zostali zabrani przez ratowników w stronę ambulansu. Wsiadła do auta i dopiero tam zdała sobie sprawę, że jest jej strasznie zimno. I że nie mogła odjechać. Nie mogła.

Kees z ulgą opadł na fotel pasażera. Nie czuł już nawet zimna, choć jego krodzież była przemoczona. Silny środek znieczulający, który mu podano, zaczynał działać, ale nawet poprzez jego otumaniający efekt ból przedzierał się jak mara, która przenika przez szczelnie zamknięte drzwi. Oparł się o zagłówek i na sekundę przymknął powieki.

– Jesteś pewien, że chcesz ze mną jechać? – dobiegł go głos Rajtera.

– Tak – odparł i próbował w ogarniającej go mgle posegregować myśli. Kręciło mu się w głowie i czuł narastające mdłości. – Freya... – zaczął powoli zachrypniętym głosem. Jego usta stały się nagle suche, podobnie jak gardło, które sprawiało ból przy przełykaniu.

Tomasz z piskiem opon ruszył z terenu restauracji. Przejechał przez trawnik, żeby ominąć policyjne auta zaparkowane wokół budynku.

– Freya? – W pytaniu Rajtera pobrzmiwał niepokój.

Kees zaczął się zastanawiać, jak źle wyglądał i czy uda mu się pozostać przytomnym do końca tej wycieczki.

– Jeśli ją złapiesz... W bagażniku mam pałkę...

Poczuł, jak auto się rozpędza i prędkość wpycha go głębiej w fotel.

– Kees, nie wiem, kim jest Freya. – Po krótkiej chwili konsternacji Tomasz Rajter odezwał się spokojnym głosem. – Jedziemy do domu Hiske. Jest sekretarką i przyjaciółką Lii. Kiedy zadzwoniłem do niej wypytać o Metę Zwanenburg, była zaskoczona. Może dlatego nie uważała na słowa. Zapytała mnie, czy myślimy, że to Meta stoi za porwaniami, podczas gdy nie mogła wiedzieć, że połączyliśmy sprawy Jaspera i tej młodej kobiety. Nie mogła wiedzieć, że chodzi o więcej niż jedno porwanie! Chyba że współpracowała z Metą. Kiedy usłyszała, że jesteśmy na tropie, pewnie ruszyła ostrzec Metę. Tylko ona zdawała sobie sprawę, że jesteśmy blisko!

Kees uniósł powieki i przez moment patrzył przez szybę na szybko przewijające się przed jego oczyma obrazy. Potarł dłońmi twarz, próbując przywołać się do porządku, zmusić do trzeźwego myślenia.

– Freya, moja dziewczyna, pochodzi z Drachten tak jak Lois Bakker... Wiedziała o notatniku. To ona zadzwoniła do komendanta – powiedział w końcu. – Wiedziała też, w które kolano celować.

Tomasz Rajter odwrócił na moment wzrok od drogi, którą pędzili, i Kees poczuł jego uważne spojrzenie na sobie.

– Masz na to jakiś dowód?

Kees pokręcił głową.

– Nie ma innego wyjaśnienia. Kobieta zadzwoniła do biura. Podała moje nazwisko. Poinformowała szefa, że mieszam w dowodach.

– O co chodzi z tym kolanem? – dopytywał się Rajter, wyjeżdżając na autostradę.

– Kontuzja. Grałem wtedy w hokeja w Białych Wilkach.

– Czyli każdy, kto wpisze twoje nazwisko w wyszukiwarke, odnajdzie bez trudu te informacje?

Kees zerknął na niego przelotnie.

– Te tak, ale nie każdy wie, że mieszałem w materiałach dowodowych...

– Lia pewnie wspomniała Hiske o tym, że szukasz Jaspera.

Ciążyły mu powieki. Kiedy je przymknął, przypomniał sobie sobotnie poszukiwania Jaspera i kobietę stojącą przy Lii Kornmann. Przedstawiła ich sobie. „Jedyna osoba w policji naprawdę zaangażowana w poszukiwania Jaspera”.

– Równie dobrze porywacze... porywaczki... mogły śledzić mnie po zabraniu Jaspera z fabryki i czekać pod busem, gdzie cię zobaczyły. – Rajter kontynuował, pędząc autem. – Myślę, że jest przynajmniej kilka innych opcji, żeby wyjaśnić ten anonimowy telefon do twojego szefa. Ale czasem najłatwiejszą jest oskarżyć tych, którym sami zaufaliśmy.

– Najłatwiejszym bym tego nie nazwał... – zaczął Kees.

– Nie? Przyznaj, tak naprawdę jesteś wkurwiony na siebie samego. To ty zaufałeś. Jak się siedzi po uszy w gównie, łatwo stracić ostrość widzenia. Wiem, co mówię.

– Myślałem, że jesteś budowlańcem, a nie filozofem – mruknął Kees. Podciągnął się wyżej w fotelu i jęknął, kiedy ból przeszył nogę.

Milczeli przez chwilę. Kees próbował oddychać głęboko, by opanować mdłości i zawroty głowy. Przez mgłę środków przeciwbólowych jego własne myśli dziobały go jak wygłodniałe sępy. Wyrzucił ją z domu w środku nocy. Bez wyjaśnień. Bez szansy na rozmowę. A co, jeśli się mylił? A co, jeśli faktycznie stracił ostrość widzenia?


Wjechali do miasta i Rajter zwolnił. Palcami uderzał nerwowo w kierownicę. Zaparkowali na ulicy z rzędem szeregowców po obu stronach i małymi zadbanymi ogródkami na froncie. Toczyło się tam zwykle życie. Ktoś spacerował z psem. Jakieś dzieci, śmiejąc się głośno, próbowały zebrać z chodnika cienką warstewkę śniegu i ulepić z niej kulkę. Para nastolatków przejechała na rowerach. Kilka metrów dalej jakiś mężczyzna wyjmował z bagażnika kraty z piwem, pewnie przygotowując się na pożegnanie roku. Tomasz rozejrzył się uważnie wokół.

– Skąd wiesz, gdzie ona mieszka? – Kees drżał i pocił się pod mokrymi ubraniami.

– Lia poprosiła mnie kiedyś, żebym pomógł Hiske z drobnymi reperacjami. Byłem tam może ze dwa razy. Widzisz to przejście między budynkami? Prowadzi na tyły. Tamtędy mogę w miarę dyskretnie sprawdzić, czy one tam są. Czekał tu na mnie.

Kees wysilił się na blady uśmiech.

– Nigdzie się nie wybieram – mruknął, próbując zmienić pozycję mimo narastającego bólu.

 Tomek szedł powoli wąską dróżką wyłożoną płytkami chodnikowymi między wysokimi drewnianymi ogrodzeniami ogródków na tyłach szeregowców. Odnalazł dom Hiske i przez szparę między deskami zajrzał do ogrodu, który był pusty. Zasłony w oknie salonu były zaciągnięte. Okna na piętrze puste. Może wcale ich tam nie było. Równie dobrze mogły jeszcze nie dojechać tutaj albo po prostu pojechać gdzie indziej. Powoli i ostrożnie podciągnął się i wspiął na ogrodzenie. Mokra odzież uniemożliwiała mu skutecznie łatwe poruszanie się. Czuł przejmujące zimno. Wdrapał się powoli, mając nadzieję, że nikt z mieszkańców domów leżących po drugiej stronie tego nie widzi. W ogródku Hiske między ogrodzeniem a ścianą dobudówki były śmietniki. Tomasz ostrożnie na nich stanął, a potem wspiął się na płaski dach dobudówki pokryty cienką warstwą śniegu. Wtedy usłyszał podniesione głosy. Podczołgał się najbliżej i najciszej, jak to było możliwe, do okna salonu, który znajdował się poniżej. Dokładnie wtedy, gdy zbliżał się ostrożnie do ściany budynku, jego wzrok padł na okna na piętrze. Zza szyby obserwował go chłopak. Przyglądał mu się z widocznym zaciekawieniem. Miał zespół Downa. Tomek zastygł w bezruchu. Nagle poczuł na sobie mokre zimne ubrania i przypomniał sobie, że nie miał ani telefonu, ani broni – i tak naprawdę skazany był na porażkę. Patrzył na chłopaka

w oknie i w końcu zrobił jedyne, co przyszło mu do głowy. Uśmiechnął się szeroko i unosząc się na łokciu, pomachał zamasyście. Twarz chłopaka się rozjaśniła. Uniósł dłoń w radosnym geście. Tomek podsunął się jeszcze ze dwa metry i podczołgał do samej krawędzi płaskiego dachu. Był blisko okna poniżej. Na tyle blisko, by wyraźnie usłyszeć kobiece głosy sprzeczące się w uniesieniu.

– Sama tego chciałaś! Wiedziałaś, w co się pakujesz! Nie możesz się wycofać!

– Tylko dzięki mnie dziś ci się udało. To zaszło za daleko! Możesz ryzykować swoje życie, ja nie! Ja mam dziecko!

– Nikt nie wie, że coś cię ze mną łączy. Bez ciebie nie dam rady tego skończyć...

– Nie rozumiesz, że to jest za duże ryzyko? Wiedzą, że to ty! Wszystko się wydało! Będą cię szukać i w końcu znajdą. A jeśli dotrą do mnie...

– Nie zależy mi, żeby mnie nie znaleziono! Takiej opcji nigdy nie było! Oni mieli się dowiedzieć, że to ja, ale dopiero po tym, jak skończę, co zaczęłam. Hiske, musisz mi pomóc...

– Nie, nie... Nie mogę. Musisz dokończyć sama. Mam dziecko...

– A ja nie mam nic!

– Jeszcze możesz się wycofać, uciec, zniknąć, ocalić przynajmniej siebie...!

– Ocalić? Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?! Ocalić?! Ty myślisz, że tu chodzi o mnie?

– Myślę, że straciłaś jasny ogląd sytuacji! Nie możesz mnie teraz pchać głębiej w twoje porachunki! Sytuacja wyglądała inaczej, gdy nikt nas nawet nie podejrzewał. Ale teraz ryzyko jest zbyt duże! Nie będę narażać przyszłości mojego syna...

– Ja nie mam przyszłości! Ani męża! Ani dziecka! Nic! To jest wszystko, co mi pozostało, tylko to się liczy...

Głosy oddaliły się, jakby rozmawiające osoby przeszły do innego pomieszczenia, i Tomek nie mógł już rozróżnić słów. Po chwili jednak zaczęły narastać i zdał sobie sprawę, że kobiety się zbliżają.

– Nie możesz tego zrobić!

– Pamiętasz, mówiłam ci kiedyś, że jestem zdeterminowana i gotowa na wszystko. Nie kłamałam!

– Meta! Pomyśl o moim synu, na Boga! – Błagalny głos Hiske brzmiał gdzieś bardzo blisko.

– Naprawdę myślisz, że on mnie obchodzi? Skończę to, co zaczęłam, z tobą lub bez ciebie. Jeśli mi nie pomożesz, nie omieszkam im o tobie napomknąć...

Drzwi prowadzące na tyły domu nagle się otworzyły i Tomek cofnął się przerażony. Przyłgnął płasko do dachu. Głosy były teraz tak blisko, jakby kobiety stały obok niego.

– Meta, błagam cię, na litość boską... – Przyciszone słowa Hiske pełne były rozpaczy i przerażenia.

Usłyszał szamotaninę. Próbował wyciągnąć szyję i zobaczyć, co się dzieje tak, by nadal pozostać niezauważonym. Jego uszu dobiegł jęk. Nie czekał dłużej. Wychylił się i w dole zobaczył kobiety szamoczące się ze sobą i krew kapiącą na cienką warstewkę śniegu. Hiske opadła na kolana. Meta odwróciła się, by odejść. W ułamku sekundy Tomek podjął decyzję. Podniósł się przy samej krawędzi dachu i skoczył.

54

Kees uniósł powieki. Ból atakował jak żarłoczna bestia i przyćmiewał myśli. Rozejrzał się po ulicy. Ile czasu minęło, odkąd Rajter opuścił auto? Stracił poczucie czasu. Może to było minutę temu, może nie było go już od godziny. Nic się nie działo. Wokół niego trwał zwykły codzienny ruch. Kees wessał powietrze do płuc i spróbował zmienić pozycję. Zaklął cicho i pociągnął za klamkę samochodowych drzwi. Nie czuł już mokrych ubrań ani chłodu. Ból skutecznie blokował inne doznania. Postawił zdrową nogę na chodniku i przytrzymując się drzwi, podciągnął się do góry. Fala bólu sparaliżowała go na moment. Przymknął powieki, zagryzł zęby i zmusił się do postawienia drugiej nogi. Zamknął drzwi i skierował się na tyły auta. W bagażniku miał policyjną pałkę. Tylko to, nic więcej. Gdyby go nie zawieszono, miałby broń. Każdy ruch był podszyty ryzykiem, że upadnie, a wiedział, że nie podniósłby się o własnych siłach. Wziął pałkę z bagażnika i opierając się o auto, ruszył przed siebie. Minął pojazd i próbował postawić krok w stronę ogrodzenia najbliższego budynku. Miał świadomość, że przechodzący obok ludzie patrzyli na niego z lekkim strachem w oczach. W ogródku domu, przed którym zaparkowali, starsza kobieta stała z kluczem w dłoni.

– Proszę wezwać policję – powiedział do niej i postąpił kolejny krok.

Zachwiał się jednak. Ale nie upadł. Czyjeś ramię podtrzymało go i podciągnęło do góry. Jęknął i odwrócił się zaskoczony.

– Gdzie on jest? W którym domu? – Joanna Sandorska zarzuciła jego rękę na swoje ramiona i ruszyli przed siebie.

– Nie wiem – powiedział przez zaciśnięte skurczem bólu zęby. – Dom Hiske. Tyle mi powiedział. Wszedł w tamto przejście.

Z budynku wyszła kobieta z wózkiem. Joanna pomachała do niej.

– Halo? Proszę pani! Szukamy Hiske! Mieszka przy tej ulicy. – Głos Joanny mówiący płynnym angielskim brzmiał uprzejmie, ale alarmująco.

Kobieta patrzyła na nich podejrzliwie.

– To bardzo ważne – dodała Joanna.

– Numer trzydzieści jeden. – Sąsiadka Hiske wskazała dłonią kierunek, w którym szli.

Joanna zerknęła na numer jej domu.

– Trzy numery stąd. Dasz radę? – spytała. Skinął głową i ruszyli tak szybko, jak to było możliwe.

Gdy dotarli w pobliże domu, Joanna zostawiła Keesa przy ogrodzeniu i podeszła powoli do budynku, próbując zajrzeć przez okno bez wchodzenia do ogródka. Wróciła niemal natychmiast i przytrzymując go, powiedziała:

– Są na tyłach, widziałam je, szybko... – Pomogła mu ruszyć.

Adrenalina jak najskuteczniejszy środek przeciwbólowy popłynęła wartkim strumieniem przez jego ciało. Weszli w wąskie przejście między budynkami, prowadzące do szczelnie ogrodzonych ogródków na tyłach. Zbliżając się, słyszeli wzburzone głosy kobiet. Nagle rozległ się krótki jęk. Stanęli przed drewnianą bramą. Joanna pchnęła ją bez wahania i w tym momencie na ich oczach coś zwałyło się z dachu. Cofnęła się o krok, puszczając Keesa. Poczuł, że chwieje się lekko, upuścił pałkę i oparł się wolną dłonią o drewniane ogrodzenie, żeby nie upaść. Jego palce natrafiły na coś chłodnego. Próbował ocenić sytuację. Jedna z kobiet klęczała na czworakach, widział krew na śniegu i Rajtera mocującego się z drugą, młodą

jasnowłosą kobietą, w której rozpoznał Metę Zwanenburg. Kees stanął stabilniej. Joanna postawiła krok w kierunku mocującej się pary, ale Kees powstrzymał ją gestem dłoni. Rajter obrócił się, gdy wyłapał ich postacie kątem oka, i na widok kobiety zastygł w zaskoczeniu.

Wszystko było kwestią sekund, ale w głowie Keesa czas zwolnił i rozciągnął się surrealistycznie, obrazy zamazywały się zalewane falą bólu i mdłości.

Tę chwilę nieuwagi Rajtera wykorzystała leżąca na ziemi Meta. W mgnieniu oka uwolniła z jego uścisku dłoń, w której trzymała nóż. Kees poczuł, jak jego palce oplatają cienki długi pręt oparty o ogrodzenie. Postawił chwiejny krok. Rozległ się zdławiony bólem krzyk i wszystko wokół zamarło. Nóż wypadł z uniesionej dłoni. Kees patrzył spokojnie, jak z przebitego ramienia, w którym nadal tkwił pręt, jednostajnie wypływa krew.

– Proszę zadzwonić po policję – powiedział do Joanny Sandorskiej stojącej za jego plecami.

– Przecież pan jest z policji – odparła zduszonym głosem, ale zaczęła przeszukiwać kieszenie płaszcza, by z jednej z nich wyjąć wreszcie telefon.

Tomasz Rajter podniósł się z wijącego się w bólu ciała Mety Zwanenburg. Kopnął nóż na drugą stronę ogródka. Kees patrzył na Hiske, która z rękoma obejmującymi brzuch oddychała ciężko, wciąż jeszcze zgięta wpół na klęczkach.

– Czy to ty zadzwoniłaś na policję i podałaś im moje nazwisko? – Stał resztkami sił, bez oparcia, czując, jak ból z kolana pnie się w górę niczym jadowita jaszczurka. – Czy to ty...? – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

– Mój syn... – wydusiła z siebie wreszcie. – Jest w środku... Nie chcę, żeby to widział...

– Czy to ty powiedziałaś im, że byłem w busie?

Podniosła na niego błagalne spojrzenie. Pokręciła głową.

– To nie ja... Meta dzwoniła... To wszystko Meta...

Kees słyszał za sobą głos Joanny wzywającej pomoc. Odwrócił się. Chciał coś powiedzieć. Dokądś iść. Musiał iść. Mrok zbliżył się z obu stron, jakby Kees stał

w tunelu, który nagle zatrzasnął się, i była już tylko ciemność.

55

Powiedzieli mu, żeby czekał. Ktoś przyniósł kubek gorącej kawy, ale nadal miał na sobie mokre ubrania, które w miarę upływu kolejnych minut, a potem godzin schły powoli. Złożył wyjaśnienia trzykrotnie, za każdym razem pytając każdego wchodzącego do pomieszczenia o to samo:

– Jak się czuje Jasper?

I za każdym razem otrzymywał w odpowiedzi to samo milczenie. Kiedy w końcu usłyszał dobiegający go z korytarza podniesiony głos Lii, prawie uniósł się z krzesła.

– Wchodzę do tego pokoju i spróbuj mnie powstrzymać.

Wpadła do pomieszczenia, z rozmachem otwierając drzwi.

– Dlaczego tutaj nadal jesteś? – Jej złość była teraz skierowana przeciw niemu.

– Muszę złożyć zeznania – zaczął niepewnie.

– Z tego co wiem, już je złożyłeś. Boże... Czy ty masz nadal na sobie te mokre ubrania? Dostaniesz zapalenia płuc! A kiedy tak się stanie, pozwę całe to biuro za narażanie zdrowia obywateli. – Wymierzyła oskarżycielski palec w stojącego przy drzwiach policjanta, a potem obróciła się do Tomka. – Wychodzimy.

– Nie mogę tak po prostu...

– Możesz – powiedziała ostro. – Mój prawnik już jest na miejscu. On pozakładwa resztę spraw. Zawiozę cię do domu i dopilnuję, żeby jak najszybciej oddano ci busa. Niedorzeczne, że tak się traktuje niewinnych ludzi w tym kraju.

Szedł za nią posłusznie, gdy wyrzucała z siebie wszelkie żale, idąc korytarzem.

– Lia... – Zatrzymał ją, by wreszcie doczekać się odpowiedzi na palące go pytanie. – Co z Jasperem?

Jej twarz zmieniła się nagle. Oczy napełniły łzami.

– Dobrze. Ma się dobrze. – Ścisnęła delikatnie jego dłoń. – Ma rany cięte i jest wyziębiony, będzie potrzebował pomocy psychologa, ale poza tym... żyje. Thomas, mój syn żyje.

Przytulił ją mocno i krótko. A potem ruszyli korytarzem. Opuścili biuro policji i wsiedli do auta Lii. Ruszyła sprzed budynku z piskiem opon.

– Co z Keesem?

Pokręciła smutno głową.

– Zabrali go na salę operacyjną, jak tylko trafił do szpitala. Nie chcieli mi nic powiedzieć. Myślisz, że on...? – spytała cicho.

– Nie wiem, Lia... Nie był w najlepszej formie. Dostał w głowę, a potem w kolano, które już było po kontuzji. Ale jest młody i silny.

– Nie poddał się do samego końca. Ja... myślałam, że czegoś nauczyłam się w życiu, jeśli chodzi o ocenianie ludzi. Nie miałam pojęcia, jaka byłam ślepa i głupia.

– Nie powinnaś siebie obwiniać.

Prychnęła lekko, ale nic nie odpowiedziała. Odezwała się dopiero po chwili.

– Co się stało z twoją żoną?

Tomek odwrócił twarz do okna. Przez parę sekund obserwował uliczny ruch.

– Była chora. Miała psychozę. Rodzice umieścili ją na oddziale psychiatrycznym w szpitalu. Zabrałem ją stamtąd wbrew woli jej rodziców i lekarzy. Chciałem wyjechać z kraju z nią i naszym synem. Ale wyskoczyła z balkonu, kiedy spałem.

Lia milczała przez chwilę.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– Nie było się czym chwalić – odparł.

– Musiałeś ją bardzo kochać...

Tomek odwrócił twarz ku niej. Patrzył na jej profil, na oczy skupione na drodze.

– Nie kochałem jej. Zrobiłem to, bo czułem się winny.

Lia nie spojrzała na niego. Przyjęła tę informację bez próby oceny. Nie odezwali się już. Wkrótce podjechali pod barcę. Ku jego zaskoczeniu stało pod nią zaparkowane auto. Lia zerknęła na niego pytająco. Zawahał się, nim wysiadł.

– Dziękuję – powiedział. – Czy będziesz miała coś przeciwko temu, żebym niedługo odwiedził Jaspera w szpitalu?

– Zrób to, proszę. Uratowałeś mu życie – powiedziała i jej głos załamał się lekko.

Tomek pokręcił głową.

– Popełniłem tyle błędów...

– Uratowałeś mu życie. – Lia przerwała mu i tym razem jej głos brzmiał mocno, wypełniając przestrzeń. – Odwiedź go, jak tylko odpoczniesz. Ja wracam teraz do szpitala.

– Gdyby było coś wiadomo o Keesie...

– Dam ci znać.

Tomek wysiadł i ciężkim krokiem ruszył ku barce. Joanna stała na podeście, wpatrzona w tafłę wody, a przecież musiała słyszeć jego kroki.

– Asia... – powiedział miękko, jakby nie dzieliło ich dwadzieścia lat i tysiąc zaprzepaszczonych szans.

– Uratowałeś go? Tego chłopaka? – spytała i odwróciła się ku niemu.

Była piękna. Wszystko to, co zachwycało go w niej dwadzieścia lat temu, czas, który upłynął, uwypuklił i udoskonalił. Skinął głową powoli.

– Tak.

– To dobrze – odparła, nie spuszczać z niego wzroku. Studiowała jego twarz i sylwetkę z uwagą.

– Wejdiesz? Muszę zdjąć z siebie te ubrania i... – Otworzył przed nią drzwi.

Wahała się chwilę, ale w końcu weszła do środka. Obserwował ją kątem oka, gdy przesuwiała wzrokiem po bałaganie, który pozostawili przeszukujący barcę policjanci, i po tym, który zostawili Kees i Tomek przed wyruszeniem nad jezioro. Stolik był zawałony papierami. Marnix, opuszczając barcę, wyłączył przynajmniej laptop, ale wydruki zdjęć z akt Lois Bakker leżały między raportami, kubki z niedopitą zimną kawą stały wszędzie, gdzie było miejsce, z nierozpakowanej torby z zakupami na podłogę wypadł jogurt. Wszędzie walały się przypadkowe przedmioty. Tomek włączył ekspres do kawy.

– Przepraszam, naprawdę muszę zdjąć te ubrania i wejść pod prysznic. Nie zwracaj uwagi na ten bałagan. Weź sobie coś do jedzenia.

Zostawił ją i zamknął za sobą drzwi do sypialni. Ściągnął nadal lekko wilgotną odzież i wszedł pod gorący strumień. Na moment zamknął powieki i pozwolił sobie nie myśleć o niczym. Woda parzyła jego skórę. Oddychał głęboko. Obrazy z przeszłości napływały powoli, sączyły się wraz ze strugami wody. Nagle pamiętał wszystko z ostrością kłującą go w oczy, każdy szczegół, dźwięk, zapach, wszystko, co chciał zapomnieć, było blisko, zdarzyło się ledwie wczoraj, rany rozwarły się, jakby nigdy nie były zagojone.

Wytarł mokrą skórę szorstkim ręcznikiem i narzucił czyste, suche ubrania. Poczuł, jak krew znów zaczyna krążyć w wyziębionym ciele. Kiedy wszedł do pomieszczenia, stała przy kuchennym blacie. Stolik był posprzątany, a papiery leżały na równym stosie na parapecie obok laptopa Keesa. Zakupy były rozpakowane, umyte kubki po kawie w równym rzędzie schły na suszarce, a stół był nakryty do posiłku.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Rozgościłam się. Zrobię jajecznicę, dobrze? – Rozpuszczała masło na patelni.

Stał oparty o framugę drzwi. Patrzył na jej szczupłą sylwetkę, którą podkreślały czarne ubrania, ciemne włosy miała upięte w niedbały warkocz.

– Zawsze to robiłaś – powiedział.

– Co? Jajecznice? – spytała, wbijając jajka do miski.

– Opiekowałaś się wszystkimi.

Nie odpowiedziała. I on nie odezwał się już, choć miał świadomość, że jego słowa otworzyły drzwi do przeszłości, a przeciąg, który stamtąd powiał, przynosił dziwny chłód. Mogli unikać rozmowy, ale to, co niewypowiedziane, wisiało między nimi.

Zamieszała jajecznice i rozdzieliła porcje na talerze, które postawiła na stole. Taką ją zapamiętał, zajęta, skupiona, częściej milczącą niż mówiącą.

– Zjedz coś.

Usiedli do stołu. Napełniła ich kubki gorącą kawą. Jedli w milczeniu. Nie zdawał sobie sprawy, jaki był głodny. Zerkała na niego z lekkim uśmiechem, gdy pochłaniał swoją porcję. Za oknami zapadał zmrok. Zimowe późne popołudnie. Ostatnie tego roku. Czasem ciszę przerywało echo fajerwerków, dobiegające gdzieś z daleka. Kiedy skończyli, zebrała wszystko ze stołu. Zmyła talerze i bez słowa zaparzyła świeżą kawę.

– Dziś sylwester – powiedział. – Ostatni dzień roku.

Milczała, napełniając ich kubki.

– Pamiętasz tego sylwestra u Julii...? Którego mój ojciec przespał? – Uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Ile mieliśmy wtedy lat? Szesnaście?

Skinęła głową. Usiadła znów naprzeciw niego i objęła palcami kubek. Podniosła oczy na Tomasza i przyjrzała mu się, jakby szukała czegoś w rysach jego twarzy.

– Coś koło tego. Pamiętam – powiedziała, a potem zamilkła na chwilę. Rozmawiali ze sobą ostrożnie. Widział, jak ważyła każde słowo, szczególnie to, które w końcu jedno z nich musiało wypowiedzieć. – To, co Julia wtedy zrobiła,

było kompletnie szalone... – Gdy padło, Tomek przez ułamek sekundy ugiął się jak pod uderzeniem ostrego bicia.

Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie jej słów. Podniósł głowę i spojrzał na nią spod ściągniętych lekkim zaskoczeniem brwi.

– Co masz na myśli? – Patrzył teraz na nią uważnie, a zimny wiatr przeszłości wypełnił pokój i Tomek poczuł wyraźnie, jak unosi wszystkie włosy na jego ciele.

– No, te tabletki, które wrzuciła do alkoholu i podała twojemu ojcu... – odparła nagle niepewnie.

– Asia... – Tomek pochylił się do niej ponad blatem stolika. Jego twarz pełna była niepokoju. – Przecież... To ty to zrobiłaś.

– Nie, nie. – Pokręciła stanowczo głową. – Coś ci się pomieszało. Ja bym się nigdy nie odważyła, to był pomysł Julii.

– Co? Julii? Skąd ci to przyszło do głowy? Julia nigdy by czegoś takiego nie zrobiła...

Prawie podniósł się z krzesła, nie dowierzając, że mogła to wszystko tak po prostu zapomnieć.

– Pamiętam przecież dokładnie! To były pigułki nasenne jej mamy... – Wstała z krzesła i zaczęła chodzić w kółko jak dzikie zwierzę uwięzione w klatce.

– Które ty wykradłaś!

– Nie! To była Julia! Jak zawsze! Ona zawsze ratowała nas z opałów! Pamiętam nawet, co wtedy powiedziała, że uspiła go...

– Jak psa... – dokończył i patrzył na nią teraz, nie ukrywając szoku. – Asia, ty to powiedziałaś... i to ty... ty zawsze ratowałaś nas z opałów... Julia była...

– Julia była silna i odważna. – Obróciła ku niemu pełną złości twarz, jakby jej słowa była wyrzutem i oskarżeniem jednocześnie.

– Nie. – Przeczesał mokre włosy palcami. – Nie. Julia była słaba i zależna. Ty byłaś silna, a czasem nawet szalona.

Kręciła głową, patrząc na swoje ręce, które drżały mocno. Podniósł się i chwycił jej dłonie.

– Asia, co ty wymyślasz? Jak możesz tego nie pamiętać? Czy... czy ty nie chcesz tego pamiętać?

Wyrwała dłonie z jego rąk. Czuła, że zimno wstrząsa jej ciałem, jakby próbowało z niego coś uwolnić.

– Gdyby tak było, to dlaczego wybrałbyś ją?

– Co? Ja... Asia... ja... – Opadł z powrotem na krzesło i schował twarz w dłoniach. Odezwał się dopiero po chwili cichym, stłamszonym emocjami głosem.

– Asia, Julia była manipulantką. Wszystko zawsze musiało być tak, jak jej pasowało. Była słaba i uwieszona na tobie. To ty ją zawsze zabierałaś! A ona uwielbiała, jak uwaga całego świata kręciła się wokół niej! Ja jej nawet nie lubiłem!

Spojrzała na niego przerażona, jak gdyby przyznał się właśnie do morderstwa.

– Nie mów tak...

– Ale to prawda! I gdybym powiedział ci to już dawno, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Joanna kręciła głową.

– Nie, to niemożliwe. Ona świetnie sobie radziła, była silniejsza, niż się wszystkim zdawało, Julia nigdy by...

– Co? Julia nigdy nie przespałaby się z chłopakiem najlepszej przyjaciółki?

Joanna czuła, jak jej całe ciało drży pod naporem wspomnień, które pochowała w najbardziej zakurzonych zakątkach pamięci i które teraz próbowały się wydostać, roztrzaskując w kawałki tarczę, którą zbudowała, by się przed nimi obronić.

– Pamiętasz, co nam powiedziała tamtej nocy w sylwestra? Że jej ojciec ma romans. Wiedziałaś, że ona to wymyśliła?

– Co? Nie, to nie możliwe!

– Ona to zmyśliła. Sama mi powiedziała. Nakłamała własnej matce, a wiesz dlaczego? Żeby przyciągnąć twoją uwagę. Twój ojciec nie żył, mój był wiecznie

pijany, jej idealny dom nie był w centrum uwagi, więc go zniszczyła. Taka była Julia!

– Nie mów tak, Tomek, przestań, proszę. Ona była... moją najlepszą przyjaciółką, moją jedyną przyjaciółką... A ty... ty poszedłeś z nią do łóżka... Widziałam was!

Zamilkł. A potem skinął głową.

– Tak. I nie mogę już cofnąć czasu. Byłem pijany i wściekły.

– Wściekły?

– Tak, na siebie, za... – Urwał i wessał powietrze do ściśniętych bólem płuc. Ile razy budził go w nocy dotyk zimnych ust tamtego małego chłopca na jego własnych wargach, które tak desperacko pragnęły oddać mu swój oddech. – Nie ściągnąłem ich z tego jeziora wcześniej. Mogłem go ocalić. Zresztą... nieważne.... To ona przyszła do mnie, Aśka, nie ja do niej.

– I to cię tłumaczy???

– I powiedziała... Powiedziała: Asia mnie do ciebie przysłała.

– Ja nie... – zaczęła Joanna. Policzki piekły ją, gdy myślała o tamtej nocy. Jak Julia mogła jej coś takiego zrobić. Zwinęła palce w ciasne pięści, żeby powstrzymać dłonie od nieustannego drżenia. – Julia nigdy by nie...

– Tych słów użyła. Asia mnie do ciebie przysłała – powiedział z mocą i popatrzył na nią nieustępliwie. Nagle wiedziała, że nie kłamał.

– Więc to miałeś wtedy na myśli... – mówiła teraz bardziej do siebie niż do niego. Stała w bezruchu na środku pokoju z oczyma utkwionymi w obrazach, których on nie mógł widzieć. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Jak miałem ci to zrobić? Jak miałam ci powiedzieć? Julia była twoją najlepszą przyjaciółką... Nigdy byś mi nie uwierzyła. Nawet teraz mi nie wierzysz! Nigdy nie chciałaś zobaczyć, jaka Julia była w rzeczywistości! Wiedziałem, że jej w końcu wybaczysz. Wiedziałem, że będziesz wtedy miała przynajmniej ją. Nie mogłem ci powiedzieć. Zresztą... co by to zmieniło? Przespałem się nią. Byłem

pijany i już. Zły na siebie, a gdy to powiedziała, byłem również zły na ciebie. Że nie widzisz, co ona nam robi.

– Więc to była moja wina?! – Joanna podniosła głos. Była w szoku i broniła się ostatkami sił przed biczącymi ją wspomnieniami. Czuła się, jak tamtej nocy na plaży, gdy stała w ulewnym deszczu, bezsilna i atakowana przez nawałnicę.

– Nie! Nie to mam na myśli! I dobrze o tym wiesz. Asia, to, co się stało, nie było twoją winą. Podobnie jak chronienie Julii przed nią samą nie było twoją odpowiedzialnością! Nikt nie mógł tego unieść! Rozumiesz? Nawet ty! Nie możesz zawsze wszystkich ratować, do jasnej cholery, Asia!

– Nie. Nie mogę... ale ty mogłeś! To twoja wina! – powiedziała przez łyzy i zaciśnięte gardło.

– Tak uważasz? Naprawdę tak myślisz? – Wstał i chwycił ją za ramiona tak, że musiała stanąć z nim twarzą w twarz. – Zawsze idealizowałaś Julię. Z jakiegoś powodu w twoich oczach ona była ideałem. Asia... To Julia wszystko zniszczyła!

– Nie...

– Tak. A cała reszta... Nie zawsze można zapobiec złym rzeczom, które się dzieją.

– Myślisz, że tego nie wiem. – Spojrzała na niego z zawiścią. – Myślisz, że nie wiem?

Nagle oczy Tomka spojrzały na nią jakoś inaczej, ze zrozumieniem i czułością.

– Wiesz, oczywiście, że wiesz... Ale śmierć twojego taty również nie była twoją winą.

Próbowała się wyswobodzić z jego uścisku, ale trzymał ją mocno. – Poszedł zrobić zakupy. I doznał zawału serca. Byłaś małą dziewczynką – mówił dalej powoli.

– Tomek, zostaw mojego ojca, on nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie? – Próbował zajrzeć jej w oczy, choć odwracała twarz.

– To były... zakupy na moje urodziny... – wyszeptała i łyzy zaczęły płynąć, jakby te słowa stanowiły klucz do drzwi, które nagle otwarto.

– Wiesz, dlaczego Julia tak kurczowo się ciebie trzymała? Bo byłaś jej najlepszą częścią. Wydobywałaś z niej to, co najlepsze. Z nas wszystkich.

– Zniszczyliśmy ją. To była nasza wina. To, co wtedy zrobiliśmy, było...

– Złe. Ale to nie to ją zabiło, Asia! To nie my zabiliśmy Julię. Zabiła ją psychoza.

Puścił ją, choć pragnął trzymać. Czuł się pusty, jakby nie było już nic do powiedzenia, jakby nie było już żadnego miejsca do spenetrowania w tej ciemności, w której błądzili po omacku tyle lat.

Joanna rozejrzała się po barce. Nie miała pojęcia, co tu robiła, co próbowała sobie udowodnić, po co rzucała się w wir przeszłości, dobrowolnie skazując się na ciosy i rany, na które nie była przygotowana. Czy po to uciekała od nich tyle lat? Znieczulała się, chowała, unikała, zapominała? Czy tylko po to, by dać się teraz porwać wspomnieniom, tak bolesnym, że zapłaciła za nie całym swoim życiem? Dwadzieścia lat później i wciąż jeszcze nie miała nic, co stanowiłoby dla niej jakąkolwiek prawdziwą wartość. Była sama, w ciągłej podróży, schowana za obiektywem aparatu, żeby niczego nie dotknąć, żeby nic nie dotknęło jej samej, za szkłem była bezpieczna, nikt i nic nie mogło jej poruszyć, dosięgnąć.

A teraz stał przed nią i tak po prostu po raz kolejny niszczył wszystko, co wiedziała o swoim życiu, w co wierzyła, co pielęgnowała w sobie i chroniła jak sanktuarium. Ze wszystkich ludzi na świecie on potrafił się przedrzeć przez każdą ścianę, każdą tarczę, którą budowała. Zabawne, jak niektóre rzeczy w życiu nigdy się nie zmieniają, jak wszystko powraca, niby inne, a jednak takie samo, jak w makabrycznym, surrealistycznym negatywie.

Może wiedziała? Może zawsze wiedziała, jaka naprawdę była Julia? Może potrzebowała jej tak samo desperacko, jak Julia jej? I gdy przyszło wybierać,

wybrała Julię, wiedząc, że ona bez niej nie dałaby rady przeżyć? Może przez te wszystkie lata obwiniła Tomka, może on obwinił Julię, podczas gdy prawdziwą winną była ona sama?

Joanna poczuła, jak jej ciało słabnie pod ciężarem tych myśli. Ogłuszona nimi nie potrafiła się poruszyć.

Może miłość ma swoje źródło w instynkcie przetrwania? Może podświadomie szukamy tych, dzięki którym nasza egzystencja nabierze sensu, żebyśmy mogli zmierzyć się z przeciwnościami losu, strachem przed śmiercią i bólem. Na kochanków wybieramy tych, którzy albo wyposażą nas w to, co konieczne do przeżycia, albo sami posiadają atrybuty, których nam brakuje. Miłość to nic innego jak sposób na przetrwanie, mechanizm. Żeby przeżyć, potrzebujemy siebie nawzajem.

– Czekałam na ciebie – odezwała się nagle. – Czekałam każdego dnia. Myślałam, że po nas wrócisz, jak cię wypuszczą. Więc czekałam – powiedziała. Jej spojrzenie wycelowane wprost w niego jak broń. – Nadal czekam.

– Asia... Ja... – zaczął. Nagle miał znów dwadzieścia parę lat i serce targane pragnieniami i rozrywane niemożliwymi do podjęcia wyborami.

– Dlaczego mnie zostawiłeś? – spytała z goryczą w głosie.

– Bo mnie nienawidziłaś.

Kręciła głową, jej policzki były mokre od łez, czubek nosa i wargi zaróżowione, ciało drżało od emocji.

– Nie... nie ciebie. Nienawidziłam siebie.

– Siebie? – Popatrzył na nią zaskoczony.

Westchnęła ciężko.

– Bo nie dałam rady jej uratować. Ani ciebie.

Widziała, jak jego ciało napięło się bólem.

– Asia... Zawiodłem cię. Zawiodłem Julię. Zawiodłem wszystkich. Nie musiałaś mnie ratować. Sam się uratowałem od konsekwencji tego, co się wtedy stało. Dlatego odszedłem.

Pokręciła głową.

– Uciekłeś. Uciec to nie to samo, co uratować się lub zostać uratowanym, Tomek.

– Julia też uciekła... – powiedział cicho.

– A ja zostałam sama – stwierdziła smutno.



Oczyrna duszy Joanna zobaczyła Julię na tamtym balkonie za woalem firanek w porannej mgle, przez którą przebijały się pierwsze promyki słońca. Miała wrażenie, że stała w tamtym pokoju, patrząc, jak przyjaciółka wdrapuje się na barierkę, rozkłada ramiona niczym ptak gotowy do lotu ku wolności. Potem Julia powoli opadła, jak gdyby naprawdę odfruwiała, a nie spadała, jak gdyby wiatr i poranna mgła chwyciły ją delikatnie i zabrały w dół. Joanna miała nadzieję, że jakaś część Julii naprawdę odleciała, odłączyła się od ciała, zanim zderzyło się ono z asfaltem ulicy i pękło jak kruchy fragment gliny.

Tak szybko i niespodziewanie światło zmienia się w ciemność, miłość w nienawiść, życie w śmierć.



Wielki kocioł z ugotowanym mlekiem stał na stoliku na końcu szkolnego korytarza, który był jak ciemny tunel z wysokim sklepieniem i linoleum na zawsze wyglądającej na brudną podłodze. Tomek trzymał swój kubek, czekając w kolejce. Kucharka była gruba, a jej okrągła twarz przypominała chochlę, którą wypełniała kubki. Zapach przypalonego mleka unosił się jak lepka mgła, ale Tomkowi to nie przeszkadzało. To miał być jego pierwszy posiłek tamtego dnia i miał nadzieję, że na kolejnej lekcji nie będzie mu burczało w brzuchu tak głośno, że dzieci siedzące trzy ławki dalej chichotały, wskazując go palcami. Drzwi do jednej z klas były otwarte. Przez duże okna na korytarz wpadały smugi szarego światła. Zajrzał do środka. Jego wzrok wyłapał dwie dziewczynki w pierwszej ławce. Rozpoznał jedną z nich. Uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak dziewczynka, którą zapamiętał z podwórka, krzywi się, wachając przypalone mleko. Asia. Przypomniawszy sobie imię, które wydawało mu się ciepłe i miękkie, i może nawet słodkie jak miód. Przyglądał się jej bezwstydnie. Siedząca obok niej koleżanka odkręciła słoik z kakao. Tomek wiedział, że tylko zamożniejsze dzieci zabierały z domu takie smakołyki, żeby osłodzić smak paskudnego szkolnego mleka. Patrzył, jak z namaszczeniem wysypała łyżeczkę ciemnego proszku do swojego kubka, nie częstując Asi, która z wyraźnym obrzydzeniem popijała swoje

mleko. Dziewczynka zamieszała łyżeczką w kubku i obróciła się do Asi, dzieląc się jakąś uwagą, ale przez przypadek potrąciła ręką swój słoiczek z kakao, który się przewrócił, a jego zawartość wysypała się na blat ławki. Dziewczynka spojrzała ze złością na koleżankę.

– To twoja wina! Przez ciebie to wysypałam! – powiedziała do Asi, jakby to była prawda.

Twarz Asi wykrzywiła się w grymasie żalu i strachu. Tomek zacisnął palce na kubku.

– Przepraszam... Przepraszam... Pomogę ci!

Patrzył, jak Asia usilnie próbowała zebrać ciemny puder z powierzchni ławki i uratować jak najwięcej. Jej koleżanka dąsała się jeszcze chwilę, ale po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech i zaczęły rozmawiać, jakby nic się nie stało.

Tomek obserwował je jeszcze chwilę. To było jego pierwsze wspomnienie Julii i Asi razem. I choć mijały lata, tamten korytarz, szare światło jesienno-go dnia, zapach przypalonego mleka mógł przywołać w każdym momencie. Bo właśnie to była chwila, gdy w dziewczynce z podwórka zobaczył coś więcej. Jej śliczną drobną twarz, duże przejrzyste oczy, śmieszny lekko zadarty nos. Pamiętał, że ciasto z jej dłoni smakowało jakoś inaczej. I miał wrażenie, że kochał ją od tamtej pierwszej chwili i tak bardzo pragnął, by zobaczyła w nim kogoś więcej, niż był w istocie. I to się nigdy nie zmieniło.

Obudził się o północy, gdy ponad wodami kanału echo przyniosło huk fajerwerków. Otworzył oczy i obrócił głowę tak, by móc na nią patrzeć. Nie spała. Jej oczy wpatrzone w ciemność zdawały się nieobecne. Czuł jej nagie ciało tak blisko, że miał wrażenie, jakby stąpiali się powoli w jedno.

– Szczęśliwego Nowego Roku – szepnął i pocałował jej skroń.

Wydawała mu się tak smutna, jakby ogarnęła ją głęboka żałoba. Znał to oblicze smutku. Znał je wszystkie. Śmierć jest ostateczna i nie pozostawia żadnej opcji. Ale równie bolesne, a może nawet gorsze jest to umieranie naszych iluzji budowanych pieczołowicie, żeby się chronić i ocalić. Po tym wszystkim, co nas

w życiu spotyka, co nas łamie, po zmianach, nad którymi nie mamy kontroli, po fatalnych wyborach, których nie da się cofnąć, po zawirowaniach, z których wychodzimy ledwo żywi i niezdolni ponownie kochać lub walczyć o cokolwiek, może bycie szczerym ze sobą samym jest ostatnią wartością, którą potrafimy jeszcze ocalić.

Kochali się znowu. Powoli i nie tak łąpczywie. Scałowywał łzy, które płynęły po jej policzkach, jakby chciał spić z niej smutek. Byli znów dziećmi na podwórzu kamienicy, nastolatkami na pomoście ponad błękitną taflą jeziora. Bez słów opowiadali sobie o latach, które ich dzieliły, o latach, które ich połączyły. W tej ciemności, która miała stać się nowym dniem, nowym rokiem, nowym życiem, uwalniali się nawzajem od demonów przeszłości, rozgrzeszali z win, udzielali pokuty. A gdy za oknami umilkły fajerwerki i świat usnął zmęczony świętowaniem, oni byli przebudzeni.

– Wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nigdy nie spotkali Julii? – spytał. W ciszy i ciemności to pytanie unosiło się przez chwilę, bez odpowiedzi, jak droga, którą nikt nigdy nie poszedł.

– Gdybyśmy nie spotkali Julii, nie byłoby Adasia – odparła.

Jasper miał osiem lat, gdy mama zabrała go na wakacje do Hiszpanii. Ich hotel położony był nad turkusowym morzem. Nie zwiedzali dużo, bo Jasper najchętniej spędzał czas na plaży lub w hotelowym basenie. Upał panujący w dzień był męczący, ale luksusowy pokój z tarasem wychodzącym na morze miał klimatyzację. Jasper pamiętał zapach i chłodny dotyk jedwabnej pościeli, przyjemne zmęczenie po dniach pełnych zabawy i beztroski, błogi sen, w który zapadał zaraz po tym, jak przykładał głowę do poduszki, i pobudki w zalanym słońcem hotelowym pokoju.

Czuł, że światło siłą wdzierało się pod jego zamknięte powieki, ale nie chciał ich jeszcze unosić. Trwał zanurzony w tej przyjemnej zawieszynie półsnu, która skutecznie blokowała bodźce docierające z rzeczywistości. Znów miał osiem lat i spał na wielkim łóżku w luksusowym pokoju hotelowym. Prawie słyszał fale błękitnego morza za oknami. Poczuł radość na myśl o przyjemnej bryzie, ciepłej turkusowej wodzie. Spróbował się poruszyć, jakby jego ciało reagowało na te wyobrażenia, jakby chciał natychmiast zerwać się z łóżka i pobiec złocistą plażą w stronę błękitnych fal. Ale jego nogi były zbyt ciężkie, a ramiona zbyt sztywne i Jasper zdał sobie nagle sprawę, że jest spętany, a woda nie jest turkusowa i ciepła,

lecz lodowata i ciemna. Zalała go fala paniki i trwogi. Jęknął i siłą woli wierzgnął, próbując się wyswobodzić.

– Jasper? Synku... Spokojnie... Wszystko już dobrze. Jestem przy tobie.

Usłyszał głos mamy i niemal poczuł jej ciepłą dłoń na policzku. Wiedział nagle, że umrze, i w krótkim przeblasku świadomości poczuł radość, że zginie, słysząc głos mamy. Poddał się i przestał walczyć. Czekał, aż lodowata woda wedrze się w jego nozdrza i zmyje z jego policzka ciepło dłoni mamy. Czekał, ale nic się nie wydarzyło. Jasność, która sączyła się pod jego zaciśnięte powieki, nadal była jasnością, a ciepła dłoń na jego policzku nie przestała głaskać i pieścić.


Jasper otworzył oczy. Bardzo powoli, przygotowany na najgorsze. Najpierw wdarł się blask. Wszystko było niewyraźne i zmaćcone, ale powoli nabierało ostrości. Pochylona nad nim twarz przedarła się przez mgłę. Otworzył usta.

– Mama... – szepnął, ale głos, który wydał, zdawał się brzmieć obco.

– Jestem, synku... Wszystko będzie dobrze, jesteś bezpieczny.

Jasper poczuł ciepłe łzy spływające po policzkach. Próbował się uśmiechnąć. Chciał coś powiedzieć, ale ogarnęło go zmęczenie i sen jak ciepłe turkusowe fale uniósł go ponownie.

59

 Lia Kornmann siedziała przy redakcyjnym biurku i patrzyła z lekkim uśmiechem na bardzo zdenerwowaną kobietę przed nią. Kobieta położyła przed nią wydruki swoich rekomendacji, obszerne CV i list motywacyjny, które Lia już wcześniej miała okazję przeczytać. Odsunęła papiery na bok i uśmiechnęła się do kobiety.

– To nie jest na razie ważne. Proszę mi najpierw opowiedzieć coś o sobie. Ma pani dzieci?

– Tak. – Kobieta odparła niepewnie i jej wzrok nabrał odcienia nieufności, jakby spodziewała się, że udzieliła niepoprawnej odpowiedzi. – Ale to nie będzie problem...

– Ja też. – Lia przerwała jej i uśmiechnęła się ciepło. – Mój syn ma prawie szesnaście lat, a pani dzieci? Chodzą tu do szkoły? Macie jakieś zwierzęta w domu, może kota albo psa? Lubi pani tu mieszkać, we Fryzji? Niektórym się wydaje, że to koniec świata. Ja myślę, że to początek, bardzo piękny, spokojny początek świata...

Parę godzin później Lia stała przy oknie w swoim biurze. Przez szybę obserwowała uliczny ruch i ptaki, które licznie zataczały koła na zmieniającym kolor niebie. Patrzyła, jak światło dnia powoli przeradza się w mrok wieczoru, i wiedziała, że wkrótce świat okryje ciemność. Więc trwała w dziwnym transie,

czekając na zmierzch. Boimy się nie ciemności, lecz tego, co widzimy, gdy nie możemy patrzeć.

Kees Herder szedł powoli, wspierając się na kuli. Śnieg skrzypiał pod jego butami i opadał na policyjną kurtkę i czapkę z daszkiem, choć Kees zdawał się nie zauważać, że świat wokół niego stał się nagle magicznie biały i piękny. Próbował skupić myśli na czymś innym niż własne życie. Jego kolano nigdy już miało nie wrócić do całkowitej sprawności. Śruby umieszczone w nim po pierwszej kontuzji w czasie uderzenia uszkodziły staw tym razem na dobre. Toczyło się przeciw niemu postępowanie w sprawie użycia przemocy i napaści w stanie zawieszenia, działania na własną rękę i jeszcze paru innych zarzutów, które czarno na białym widniały w dostarczonym mu do szpitala piśmie. Nawet jeśli nie zostanie uznany za winnego, może stracić pracę lub mieć ograniczone szanse na awans i rozwój w policji. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat i żadnego pomysłu na kolejną karierę zawodową. Myśl o Frei zadawała mu taki ból, że wszelkie doznania pochodzące z kolana przypominały w porównaniu z nim pieśczętę. Wyszedł z terenu szpitala i ruszył ulicą pogrążony w czarnych jak noc myślach. Coś trafiło go w ramię. Obejrzał się za siebie poirytowany, rozgniewanym spojrzeniem szukając winowajcy. Parę metrów dalej zobaczył chłopca. Zielona czapka zjechała z jednego ucha, koniuszek nosa był czerwony z zimna, rękawiczki oblepione śniegiem, a spojrzenie zawadiackie. Kees zdał sobie sprawę, że wciąż

jeszcze ma na sobie policyjną kurtkę, a chłopiec przed nim nie widział jego uszkodzeń i błędów, jego kiepskich wyborów, wpadek i niedoskonałości. Rzucił kulę w śnieg i balansując na jednej nodze, pochylił się. Zebrał gołymi dłońmi garść lodowatego puchu. Twarz chłopca rozjaśnił szeroki uśmiech, gdy patrzył, jak Kees nieudolnie lepi kulkę. Nim jednak zdążył ją rzucić, w jego plecy trafiła kolejna. Odwrócił się, próbując utrzymać równowagę bez obciążania uszkodzonej nogi. Tomasz Rajter szedł ku nim przez zaśnieżoną ulicę.

– Dwóch na jednego! To niesprawiedliwe! – zawołał Kees.

– Hej, on jest od ciebie pięć razy młodszy i trzy razy mniejszy! To jest twoim zdaniem sprawiedliwość?

Kees uśmiechnął się szeroko i uścisnął wyciągniętą dłoń Rajtera.

– Przecież mówiłem ci, że odwiozę cię do domu ze szpitala. Naprawdę chciałeś iść taki kawał o kulach? – Tomasz podniósł upuszczoną kulę i podał mu.

– Nie, miałem ważne spotkanie, widzisz przecież! – Rzucił śnieżną kulkę, pomachał chłopcu na pożegnanie i z wdzięcznością przyjął pomoc Rajtera przy wsiadaniu do auta. – Mogłem wziąć taksówkę – dodał, gdy Tomasz usiadł i przekreślił kluczyk w stacyjce busa.

– Taksówkę? Do Drachten?

– Dokąd? – Kees obrócił się ku niemu zaskoczony. – Po co, do diabła...?

– Bo mówiłeś, że Freya mieszka w Drachten.

– Nie – zaprotestował ostro. – Odwieź mnie do domu. Ona mnie nienawidzi. Lepiej będzie...

– Słuchaj. – Rajter przerwał mu szybko. – Popełniłeś błąd. Okej? Wszystkim nam się zdarza. Przestań się, kurwa, biczować. Po prostu przeproś. Sto razy, jeśli trzeba. Ale na Boga, nie pozwól jej odejść tak po prostu.

Ruszyli spod szpitala i Kees nie próbował go już przekonywać.

– Masz jakieś informacje dotyczące Mety i Hiske?

– Oficjalne czy...? – Kees urwał, bo Rajter odwrócił ku niemu rozbawione spojrzenie i sam miał problem z powstrzymaniem uśmiechu, choć żołądek bolał go

z nerwów. – Meta przyznała się do wszystkiego. Po Jasperze była w planach jeszcze jedna, ostatnia ofiara. Zostawiła ją sobie na koniec, bo musiała czekać do daty narodzin. Chodziło o pierwsze dziecko nowego dyrektora kanału telewizji regionalnej.

– Boże. – Tomasz westchnął z niedowierzaniem.

Kees pokiwał głową.

– Hiske walczy o ugodę w sądzie. Jej syn przebywa w specjalnym ośrodku. Podobno zaczęły ze sobą rozmawiać, kiedy Meta wydzwaniała bez rezultatu do redakcji „Chic”. Miały ze sobą coś wspólnego. Mąż Hiske zmarł na raka, zostawiając ją z upośledzonym dzieckiem.

– Byłem przekonany, że ona była po rozwodzie. Tak sugerowała mi zwykle Lia.

– Hiske w zeznaniach określiła Lię Kornmann jako zimną sukę zainteresowaną jedynie sobą.

– I to był jej powód, żeby zabijać?

– Twierdzi, że zabijała Meta. Ona jedynie pomagała.

– Jedynie pomagała... – powtórzył jego słowa powoli Tomasz.

Kiedy czterdzieści minut później zaparkowali pod kafejką w centrum Drachten, Kees siedział bez ruchu, próbując nie patrzeć na drzwi budynku.

– I co mam jej powiedzieć, do cholery?

– Na dobry początek, że jesteś idiotą. A potem prawdę. Surową, gorzką prawdę. Nic innego się nie liczy.

Kees pokiwał głową.

– Filozof budowlaniec. A ty? Masz jakieś plany?

– Wracam do Polski. Mam tam pewne sprawy do załatwienia.

Rajter pomógł mu wysiąść i podał kulę. Kees ruszył powoli ku drzwiom. Zobaczył ją, jeszcze zanim wszedł. Stała za barem. Patrzyła wprost na niego, jakby czekała cały ten czas, gdy się nie widzieli. Zawahał się przez chwilę, a potem drżącą dłonią pchnął drzwi.

Miejsca z jego wspomnień zmieniły się. Szedł ulicami, które znał, a których nie rozpoznawał. A miasto zdawało się nie rozpoznawać jego. Patrzył na nowe budynki, na odrestaurowane kamienice, zadbane placyki i skwerki. Wszystko tak mu obce. Zatrzymał się przed budynkiem uczelni z lustrzanymi błyszczącymi oknami. Patrzył na niego z lekkim zdumieniem. Miał jeszcze trochę czasu, ale nie przeszkadzało mu, że musiał czekać. Joanna powiedziała mu, o której musiał tu być. Przyszedł celowo za wcześnie. Chciała pójść z nim, ale poprosił ją, by została. Obserwował młodych ludzi opuszczających mury szkoły. Stał po drugiej stronie ulicy. Nie próbował się chować, chciał tylko dać mu przestrzeń. I może wybór. Nie miał wątpliwości, gdy go zobaczył. Joanna miała rację. Byli do siebie tak podobni, że nawet Tomek, choć był przygotowany na widok syna, zamarł ze zdumienia. W bezruchu patrzył, jak chłopak rozmawia z grupką znajomych. Widział siebie w uśmiechu, który rozjaśniał jego twarz, i w uważnym spojrzeniu, które przesuwano się po twarzach jego towarzyszy oraz po otoczeniu. Aż zatrzymało się na twarzy Tomasza i zastygło. Grupka młodzieży ruszyła spod budynku. Czyjś głos rozległ się donośnie.

– Adam, idziesz?!

Ale on stał tam wciąż, niezdecydowany, czy uciec, czy wyjść mu na spotkanie. Tomek się nie poruszył. Patrzył na swojego syna i pragnął dać mu czas, przestrzeń i wolność wyboru, których sam kiedyś nie miał.

– Idźcie beze mnie! – odkrzyknął i ruszył ku niemu pewnym krokiem, jakby rzucał mu wyzwanie. – Nazywam się Adam Rajter i jestem twoim synem.

Joanna stała w ciemni. Wywoływanie zdjęć było dla niej rytuałem, który odprawiała z namaszczeniem. Szczypcami uniosła papier i zanurzyła go w pojemniku z wywoływaczem. Czekwała. W ciszy i mroku pomieszczenia na skrawkach papieru wyłaniały się obrazy, twarze, emocje. Przyglądała się im. Jeszcze zanim ukazały się w pełnej okazałości, potrafiła ocenić, czy zdjęcie spełniało jej oczekiwania. Położyła dłoń na zaokrąglonym brzuchu i przesunęła ją, podążając za ruchami dziecka w swoim łonie. Twarz, którą chciała zobaczyć naprawdę, była nadal okryta tajemnicą. Z każdym kolejnym tygodniem upływającej ciąży coraz więcej czasu spędzała w ciemni. Czuła się w niej jak w łonie. Wywoływała zapomniane fotografie sprzed lat. Wszystko, co kiedykolwiek odłożyła – jako niezdatne lub niewarte uwagi – teraz wyłaniało się na papierze. Wszystko, co wepchnęła na dno szuflady, powracało. Twarz Julii stopniowo nabierała ostrości. Joanna szczypcami delikatnie wepchnęła zdjęcie głębiej, by płyn pokrył je równomiernie. A potem przyglądała się zagubionym wspomnieniom, nagle tak wyraźnym i jaskrawym w ciemności jak gwiazdy w mroku nocy.

SPIIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Karta redakcyjna

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Ewa Popławska

Zdjęcie na okładce: © vickyrandom / Stock.Adobe.com

Copyright © Dominika van Eijkelenborg, 2022

Copyright © 2022, Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67069-79-3

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek